

HENRYK LISICKI

TALLEYRAND

KRAKÓW
1892

Człowiek, jak Talleyrand, który pierwsze grywał rolę w Rewolucji francuskiej, za czasów Napoleona I., na kongresie wiedeńskim, pod Burbonami i w początkach monarchii orleańskiej, nie mógł uniknąć zaszczytu, że świat wiele się nim zajmował. Za życia doczekał się panegiryków i bez porównania więcej paszkwilów. W historii spotkały go sądy rozmaite, mniej więcej nieprzychylnie, rzadko umotywowane dostatecznie. Z życiorysem Francuzi zwlekali, w oczekiwaniu pamiętników, dawno zapowiadanych, lecz długo nieogłoszonych. Uprowadził ich Anglik, Bulwer, znakomitymi uwagi godnym, choć w szczegółach nie wszędzie dokładnym, szkicem biograficznym¹. W ślad za nim wystąpił Sainte-Beuve z zjadliwym, mocno na pamflet zakrawającym dziełkiem podobnym, które w swoim czasie nie mało sprawiło hałasu².

Przyszła kolej na archiwalne dokumenta. Najpierw pojawiły się listy Talleyranda, pisane z Wiednia do Ludwika XVIII³; następnie korespondencja z czasów misji londyńskiej 1792⁴, zbiór pism z czasów ministerstwa za

¹ *Essai sur Talleyrand*, par sir Henry Lytton Bulwer, traduit p. G. Perrot. Paris 1868.

² *Monsieur de Talleyrand*. Paris 1870.

³ *Correspondance inédite du prince de Talleyrand et du roi Louis XVIII*, publiée p. G. Pallain. Paris 1881.

⁴ *La mission de Talleyrand à Londres en 1792*, par G. Pallain. Paris 1889.

4
Dyrektoryatu¹ listy do Napoleona² i w końcu korespondencja londyńska z r. 1830—1834³.

W roku przeszłym ukazały się nareszcie dawno oczekiwane pamiętniki Talleyranda⁴. Wydawca, ks. Broglie, wyjaśnił w przedmowie przyczyny, dla których ogłoszenie dopiero teraz nastąpiło. W pamiętnikach, zawierających mnóstwo ciekawych rysów, obok luk obszernych, Talleyrand przedstawia się potomności z profilu, w sztucznym oświeceniu, aby usprawiedliwić metamorfozy swego zawodu publicznego i służbę wielu panom. Wartość ich historyczna spoczywa najprzód w opisie społeczeństwa przedrewolucyjnego; potem w kompletnym zbiorze listów i raportów, z epoki kongresu wiedeńskiego, tudzież ambasady londyńskiej za Ludwika Filipa. W połączeniu z poprzednimi, zbiór ten składa zupełny obraz dyplomatycznego zawodu Talleyranda. Ewolucje polityczne i życie prywatne, z natury rzeczy, muszą pozostać w niejednym miejscu, osłonięte pewną mgłą, którą rozproszyć mógł tylko sam Talleyrand; wolał jednak przeciwnej trzymać się drogi.

¹ *La ministère de Talleyrand sous le Directoire* p. G. Pallain. Paris 1891.

² *Lettres inédites de Talleyrand à Napoleon*, publiées p. Pierre Bertrand. Paris 1889.

³ *Ambassade de Talleyrand à Londres en 1830*, p. G. Pallain. Paris 1891.

⁴ *Mémoires du prince de Talleyrand*, publiées par le duc de Broglie. Paris 1890, 1891.

1 stycznia 1892.

H. L.

TALLEYRAND.

I.

Karol Maurycy de Talleyrand-Périgord przyszedł na świat w r. 1754; dzień i miesiąc nie są napewno wiadome. Dom Périgordów, niegdyś udzielnny, z dawnej świetności zachował w XVIII w. tylko tytuły i szczupły majątek. Rodzice Karola trzymali się dworu. Ojciec służył w wojsku, był dworzaninem (*menin*) Delfina, używał opinii człowieka zacnego charakteru i małych zdolności. Matka, z domu margrabianka de Damas, dama pałacowa Maryi Leszczyńskiej, słynęła z rozumu, wdzięku i podobno także z cnoty; żyjąc do r. 1809, miała być bardzo dumną z talentów syna i niezupełnie pochwałać użytku, jaki z nich robił.

Według ówczesnego zwyczaju, rodzice nie zajmowali się wychowaniem dzieci; dla ludzi należących do dworu, małe dzieci były ciężarem. Talleyrand przez całą młodość ani tygodnia nie spędził pod dachem rodzicielskim. Zaraz po urodzeniu oddano go na mamki. Został tam w zupełnym zapomnieniu do lat czterech. Gdy prababka, ks. de Chalais, zażądała mieć go u siebie, pokazało się, że chłopczyk jest kulawy, wskutek spadnięcia z komody i zaniedbania zwichniętej nóżki.

Stara służąca, panna Charlemagne, zawiozła dziecko do Chalais omnibusem, chodzącym do Bordeaux; podróż trwała

6
siedemnaście dni. Pod skrzydłem babki Talleyrand przepędził drugie cztery lata. Zakosztował słodczy rodzinny ogniska, przypatrzył się wielkopańskiej egzystencji, nauczył czytać, pisać *et à parler un peu le périgourdin*. Sam przyznaje, że co w nim było dobrego i szlachetnego, babce zawdzięczał.

Gdy rodzice osądzili, że nadeszła pora rozpoczęcia nauk szkolnych, tensam omnibus zabrał Talleyranda i siedemnastego dnia dostawił do Paryża. Wprost z bióra omnibusów, służący rodziców zawiózł go do Collège d'Harcourt, późniejszego liceum św. Ludwika. On i jakiś kuzynek de la Suze mieli wspólnego guwernera. Talleyrandowi nauki szły łatwo, zdobywał pierwsze nagrody, ale jak twierdzi, postępów nie mógł przypisywać ani przykładowi kuzyna, ani światłu nauczyciela. Raz w tydzień bywał z guwernerem na obiedzie u rodziców; wstawszy od stołu odbierał zawsze tę samą przestrożę: *Soyez sage et contentez M. l'abbé*, i wracał na pensję. Koszta swego utrzymania na pensji zapłacił później sam, z osobistych dochodów. Kiedy dostał ospy, oddano go do kobiety, trudniącej się doglądaniem chorych. Wyzdrowiał, ospa nawet śladów nie zostawiła na twarzy, ale mu dogryzła obojętność rodziców; począł zamykać się w sobie i oswajać z myślą, że na nikogo liczyć nie powinien.

Nie wiedział, co go jeszcze czeka. Rodzice postanowili pozbawić go praw starszeństwa, na rzecz młodszego brata, i przeznaczyć do stanu duchownego, dlatego, że będąc kulawym, nie może wstąpić do służby wojskowej.

Po ukończeniu szkół, w piętnastym roku życia, został posłany do stryja, koadjutora arcybiskupa w Rheims. Podróż odbył tym razem powozem pocztowym, ale przed odjazdem rodziców wcale nie widział. W Rheims powiedziano mu, o co chodzi: że ze swoją nogą na żołnierza nie zdalny, że dla człowieka z jego nazwiskiem pozostaje tylko służba kościelna, wiodąca do

najwyższych godności. Na zachętę, dano mu do czytania życiorysy rozmaitych dostojników, kardynała Richelieu, Ximenesa, nawet pamiętniki Retza. Reszty miał dokonać widok przepychu dworu arcybiskupa.

7

Talleyrand nie czuł w sobie ani powołania, ani ochoty do stanu duchownego. Nie mogłem pojąć — powiada — dlaczego trzeba iść do seminarium, żeby wyjść na ministra finansów; ale byłem sam i miałem wszystkich przeciw sobie. — Po roku tego nowicyatu w Rheims, wstąpił do seminarium św. Sulpicyusza w Paryżu, rozżalony na rodziców, na potęgę zwyczajów i przesądów, które zmusiły go zadać gwałt własnym skłonnościom. W seminarium był ponury i milczący, uchodził za dumnego i pogardliwego; on mówi, że był tylko bardzo nieszczęśliwy i wewnątrz gniewem trawiony.

W kaplicy wpadła mu w oko młoda i ładna dziewczyna. Zaczął pilniej uczęszczać na nabożeństwo i wreszcie, w słotę, zebrawszy odwagę, ofiarował jej przy wyjściu ramię z połową parasola. Zbliżało ich niejako podobieństwo losu: on został z musu klerykiem, ona także z musu aktorką. Zawiązał się czuły stosunek, lata trwający. Talleyrand weselej na świat patrzył, stał się znośniejszym w obcowaniu. Zwierzchnicy zamykali oczy.

Innem źródłem pociechy dla Talleyranda była biblioteka zakładu. Czytając namiętnie, zwłaszcza historię i podróże, nabył mnóstwo rozmaitych wiadomości. Znajdując się zawsze, jak się wyraża, sam na sam z autorem, ile razy był przeciwnego zdania, sobie przypisywał słuszność. Tym sposobem wyrabiał w sobie oryginalność i niepodległość sądu.

W seminarium i w Sorbonnie długo wspomnianie o talencie Talleyranda do dysertacji. On sam, pod koniec życia, w pochwalę Reinharda, czytanej w Akademii nauk moralnych i politycznych, utrzymywał, że nauka teologii jest najlepszym przygotowaniem do zawodu dyplomaty i negocjatora. W dowód przytoczył szereg słynnych imion, a choć swego nazwiska nie wymienił, można być pewnym, że i siebie miał na myśli, i wolno przypuścić, że w młodości traktował teologię jako rodzaj gimnastyki dla umysłu.

Seminarium opuścił z reputacją młodzieńca wielkich zdolności i lekkich obyczajów, którego czekała świetna przyszłość. W przeddzień przyjęcia święceń kapłańskich, dawny towarzysz z pensyi, hr. Choiseul-Gouffier, zastawszy go w rozpacz, zalewającego się łzami, namawiał, żeby się cofnął,

8

póki kłamka niezapadnie. Zapóźno! — odparł Talleyrand. — Bał się podobno gniewu matki i skandalu.

Działo się to w r. 1775, w porze koronacji Ludwika XVI. Talleyrand, zwany wówczas abbé de Périgord, był przytomny uroczystościom w Rheims. Następnie odbył dwuletni kurs w Sorbonnie. W wielkim świecie już dawniej puścił korzenie. Jeszcze podczas pobytu w seminarium, znalazł się u pani du Barry, w towarzystwie młodych ludzi, przechwalających się z powodzenia u kobiet. On milczał i wzdychał. Zapytany o przyczynę, odrzekł: Widzę, że na tym świecie łatwiej o kobiety, niż o beneficya... Pani du Barry wstawiła się u Ludwika XV i wyrobiła Talleyrandowi prebendę w opactwie św. Dyonizego w Rheims¹. Dzięki temu stanął materialnie na własnych nogach. Po wyjściu z Sorbonny, rozpoczął życie niezawisłe, całkiem świeckie; wedle tradycji, nie ukrywał swego wstępu do stanu duchownego i ostentacyjnie okazywał wzdargę dla obowiązków kapłańskich.

Wkrótce po koronacji Ludwika XVI, był wysłany do zgromadzenia duchownego, odbywanego co lat pięć, w celu rozpatrzenia spraw kościelnych i oznaczenia subsydyów, płaconych królowi. Wyrozumiał przy tej sposobności opinie i dążenie członków swego stanu i tak potrafił się podobać, że w r. 1780 powierzono mu stanowisko generalnego ajenta duchowieństwa, urząd dobrze płatny, dający znaczenie i ciągle stosunki z ministrami.

Talleyrand, Choiseul-Gouffier, później ambasador w Konstantynopolu, Ludwik de Narbonne, później minister wojny, składali nierozłączną trójkę. Koło nich zbierało się grono ludzi rozmaitego gatunku: Lauzun, Mirabeau, ekonomista Dupont de Nemours, finansista Panchaud, filozof Barthès, Delille, Chamfort, Rulhière. Schodzono się niemal codziennie na śniadanie u Talleyranda, aby rozprawiać o wszystkim i różnych innych rzeczach, zwłaszcza o ekonomii politycznej i poprawie

¹ Cytowane przez Migneta, w wspomnieniu pośmiertnym Talleyranda, czytaniem w Akademii nauk moralnych i politycznych.

9

losu ludzkości. Talleyrand, nielubiący fałdów przesiedzieć, zbierał tym sposobem nocye i informacye o kwestyach, powszechnie zajmujących umysły. Obdarzony talentem przyswajania sobie cudzych idei, umiał odnaleźć w nich stronę praktyczną i pożyteczną, zastosować do okoliczności, przedstawić jasno, w oryginalnej i powabnej formie. Był znakomitym redaktorem i świetnym stylistą, i tych darów nie zostawiał odłogiem¹. Vergennes i Calonne używali go do pomocy w najważniejszych okazjach. Za jego wstawieniem, Mirabeau otrzymał missyę do Berlina; listy przychodziły na ręce Talleyranda, który je cenzurował, upiększał i przepisywał dla króla. Z stosunków z ministrami, Talleyrand nie zaniedbał dla siebie wyciągnąć pożytku. Armatami, pożyczonemi przez rząd francuski, uzbroił statek korsarski, mający łupić Anglików na jego, Talleyranda, osobisty rachunek². Na podstawie wiadomości, zasięgniętych u ministra skarbu, grywał z powodzeniem na giełdzie.

Jak sobie drogę torował ku szczytom, sam opowiada. Wystrzeżał się utonięcia w tłumie; w wielkim świecie zwykle milczał, udawał lodowatą obojętność, a zaczepiony, odcinał się krótkim zdaniem, lub ciętem słówkiem. Jedna z wielkich pań ówczesnych, ks. de Gramont, niecierpiąca znakomitości z nie swojej parafii, chcąc Talleyranda w kłopot wprowadzić, zagadnęła go ostro przez stół, dlaczego przed chwilą odezwał się: ach! ach! ?

— Księżna niedobrze usłyszała — odparł — powiedziałem: oh! oh!

Wszczął się śmiech, księżna dała za wygrane i jej przeciwnik zdobył sobie reputację dowcipnego człowieka, którego bezpieczniej nie zaczepiać. Aby się odróżnić, nigdy nogą nie postąpił u Neckera, w porze jego największej popularności,

¹ O autentyczności *Pamiętników* Talleyranda wątpić może chyba ten, kto ich nie czytał, albo nie zadał sobie pracy porównać z pismami niewątpliwego pochodzenia. Tak, jak on, nikt nie pisał.

² Mignet w wspomnieniu pośmiertnym.

10

i suchej nitki na nim nie zostawiał, drwiąc z jego brzucha i peruki, krytykując jego plany finansowe, pożyczki drogie i bez amortyzacji zaciągane, które bogaciły bankierów genewskich, obrażały moralność publiczną i uczyły Francuzów egoizmu.

Jako agent duchowieństwa, nakłaniał daremnie współbraci do ofiar materialnych, mogących odświeżyć i podnieść upadający urok stanu duchownego, jak podwyższenie kongruy, wykup loteryi królewskiej. Lecz już wtedy kwestyę mienia kościelnego traktował czysto ze stanowiska oportunisty i utylitaryzmu, opór zaś biskupów kładł głównie na karb ambicji i chciwości.

W pamiętnikach, pełnych najciekawszych szczegółów o czasach przedrewolucyjnych, uderza chłód i lekceważenie, z jakim traktuje Ludwika XVI i Maryję Antoninę. Czuł do nich osobistą urazę, której przyczynę wymienia. Gustaw III, król szwedzki, z którym Talleyrand zawarł znajomość w Paryżu, otrzymał dlań od Piusa VI obietnicę purpury kardynalskiej, która go ominąć miała wskutek intrygi Maryi Antoniny, mszczącej się za historję naszyjnika na przyjaciółach rodziny Rohanów, więc i na Talleyrandzie, należącym do ścisłego kółka pani de Brionne, siostry kardynała Rohan. Prawdopodobnie, wielkim winowajcą w tej sprawie był sam król, przez skrupuły sumienia przeciwny wyniesieniu na jakąkolwiek godność kościelną człowieka, znanego z złych obyczajów. Kiedy zawakowało biskupstwo w Autun, o które Talleyrand się starał, Ludwik XVI założył swoje *veto*, i dopiero umierający ojciec Talleyranda, na łożu śmiertelnem, wymógł na królu, jako ostatnią łaskę, nominacyę dla syna,

II.

W styczniu roku rewolucyjnego 1789, Talleyrand został wyświęcony na biskupa w Autun. Wierni dyccezyi nigdy podobno nie oglądali oblicza swego pasterza. Jeden z biografów

11

współczesnych Talleyranda mówi o nim: *il s'habillait comme un fat, pensait comme un déiste et prêchait comme un saint*. W pierwsze i drugie nietrudno uwierzyć, kaznodziejstwo wolno włożyć między bajki. Biskup miał co innego do roboty. Bywało go wszędzie pełno, u dworu, u hr. d'Artois, u ks. Orleańskiego, w salonach, w operze; nieraz cały dzień przeleżał w łóżku z lenistwa, ale i niejedną noc spędził przy biurku¹. Zapowiedź zwołania stanów generalnych poruszyła wszystkie ambicje i nadzieje; człowiek tego rodzaju, ani chciał, ani mógł pozostać w tyle. Jakoż otrzymał mandat od duchowieństwa swej prowincyi.

W *Galeryi stanów generalnych*, którą wtedy ogłosił Laclos, autor słynnych *Liaisons dangereuses*, Talleyrand figuruje jako Amène. Jest tam dużo gadaniny i przepowiednia, w następstwie najzupełniej ziszczona: *Amène arrivera à tout, par ce qu'il saisira les occasions qui s'offrent en foule à qui ne violente pas la fortune*. Tak też Talleyrand robił. Uważał się za ofiarę istniejącego porządku rzeczy, który mu wyrządził niepowetowaną krzywdę — dlatego całą duszą umiłował nowe doktryny społeczne i polityczne, ale spostrzegł zawczasu, że należy je zaszczerpić na starym pniu; prócz tego nie zwykł był nigdy zrywać przedwcześnie z potęgami, stojącymi jeszcze na własnych nogach. W przemowie do swoich mocodawców,

¹ Z tego czasu datować ma anegdota o powoźniku. Talleyrand sprawił sobie karetę na kredyt. Fabrykant, nie mogąc doczekać się pieniędzy, stawał co rano z kapeluszem w ręku przed gankiem, w chwili wyjazdu biskupa z domu. Nareszcie biskup zapytał, kto on jest i czego chce?

— *Je suis le carrossier de monseigneur.*

— *Ah ! vous êtes mon carrossier, et que voulez-vous, mon carrossier?*

— *Je veux être payé, mon eigneur.*

— *Mais certainement, vous serez payé.*

— *Et quand, monseigneur?*

— *Hum ! vous êtes hien curieux?*

Według innego podania, historia z powoźnikiem miała miejsce później, po mianowaniu Talleyranda ministrem za Dyrektoryatu.

12

nakreślił program, obejmujący monarchię konstytucyjną, zniesienie przywilejów feudalnych, równość cywilną, kodyfikacyę praw, reformę cel i podatków, kontrolę nad groszem publicznym, sądy przysięgłych, wolność druku, oraz inne pomniejsze punkta ówczesnych żądań, z pominięciem przecież filozoficznych i filantropijnych mrzonek. Tej drogi trzymał się w zgromadzeniu, z umiarkowaniem, ostrożnie, nikogo ku sobie nie zrażając i nie stając sztorcem przeważnemu prądowi. Z tego już wynika, że oświadczył się za połączeniem stanów w jedną Izbę. Za specjalność obrał sobie sprawy finansowe, o których miał zdrowe i jasne pojęcie. Niebawem został jedną z znacznych figur w zgromadzeniu, wszedł do komisji konstytucyjnej, w Izbie był chętnie słuchanym, mówił treściwie, spokojnie, nie goniąc za poklaskiem. Monarchię gotów był bronić, o ile ona sama bronić się będzie, i więcej nigdy nie obiecał. Ujrawszy upadek wpływu króla na zgromadzenie i zamęt w niem rosnący, przyłączył się do tych, co radzili rozwiązanie Izby i zwołanie nowej. Na króla usiłował wpłynąć przez hr. d'Artois, do którego udał się po raz ostatni po wzięciu Bastyllii, w nocy z 16 na 17 lipca 1789 r., aby mu przedstawić niezbędną energiczną poskromioną rozruchów ulicznych. Książę, wysłuchawszy Talleyranda, wstał z łóżka, poszedł do króla i wrócił z oświadczeniem, że król woli wszystko poświęcić, byle kropli krwi nie przelać, tudzież, że on, d'Artois, zaraz rankiem Francyę opuści. Kiedy tak — rzekł Talleyrand — kiedy król i książęta odstępują dobro własne i dobro monarchii, każdemu z nas nie pozostaje, jak myśleć o sobie.

I tak uczynił. Odtąd szedł śmielej i rewolucyi dawał rękomię, że do niej duszą i ciałem należy, że go nie wiąże nic, ani pochodzenie, ani przeszłość, ani obowiązki stanu, ani żadne przesady.

Zaczął od wniosku zniesienia dziesięcin kościelnych bez indemnizacyi. Wniosek nie mógł mieć nic innego na celu, jak spopularyzowanie imienia wnioskodawcy w oczach przeciwników duchowieństwa i Kościoła katolickiego, z których składała się większość Izby. Ogromne summy w dochodzie

13

i kapitale, skreślone jednym pociągnięciem pióra, zniknęły bez śladu, skarb państwa nic nie zyskiwał, działa się krzywda duchowieństwu, zakładom naukowym i dobroczynnym, żyjącym z tego grosza; korzyść niejaką odnosiły klasy posiadające, stosunkowo zamożne.

Następnie Talleyrand wniósł zabór dóbr duchownych na rzecz narodu. Operacya miała na celu pokrycie deficytu w skarbie publicznym. obrońcy Talleyranda mówią, że pomysł, w zasadzie trafny, zawiódł z winy niedołęstwa i nieuczciwości wykonawców. Dobrze znając czas i ludzi, Talleyrand mógł przewidzieć, na czym się skończy. Podobno pretendował do teki ministra finansów¹, chodziło mu więc zapewne o to, aby dowieść, że potrafi skarbowi dostarczyć pieniędzy; w mniemaniu zaś

powszechnem te dobra uchodziły za niewyczerpaną kopalnię złota. Ale nadwszystko szło mu niewątpliwie o spełnienie w oczach świata zaślubin z rewolucją.

Wniosek wydania manifestu do narodu, 9 lutego 1790 r. i redakcja onego przyniosły Talleyrandowi dość rzadki zaszczyt wyboru na prezydenta Izby. Plan reformy wychowania publicznego, streszczający opinie najznakomitszych owej epoki mężów, których nazwiska Talleyrand wymienia, miał być długo za pomnik rozumu i bystrości autora. Dodawszy do tego wystąpienie za emancypacją Żydów, oraz mowę przeciwko assygnatom, będziemy mieli mniej więcej zupełny obraz jawnej roli Talleyranda w Zgromadzeniu.

Co robił za kulisami, dojsć nieco trudniej, był bowiem bardzo ostrożny i dyskretny. Należał do założycieli klubu Jakobinów i uczęszczał na posiedzenia różnych klubów, lecz głosu nie zabierał, twierdząc, że dysputy nikogo nie nawrócą. Z margr. Mirabeau łączyły go dawne stosunki; po ogłoszeniu tajemnic dworu berlińskiego, Talleyrand z nim zerwał; w Zgromadzeniu znowu się zbliżyli. Trybun przeznaczał biskupowi tekę spraw zagranicznych, albo skarbu, w swoim

¹ *C'eût été mettre Tantale à même du Pactole*, uważa Sainte-Beuve. — *Monsieur de Talleyrand*.

14

przyszłym gabinetu. Biskup kroczył w ślad za trybunem, walącym nienawistny im obu porządek. Przed samą śmiercią Mirabeau wezwał Talleyranda do siebie, aby mu powierzył obronę swojej pamięci. Talleyrand próbował uwić sobie wianek ze sławy nieboszczyka i tytuł do następstwa, lecz brakło mu porywającej wymowy, ognia, niewyczerpanej energii, żądz rozgłosu tam tego; przytem nie lubił puszczać się na awantury niepewne i wszystko stawiać na jedną kartę. Bezpośrednich stosunków z dworem nie miał, bo para królewska o nim słyszeć nie chciała i on sam bał się kompromitacji, ale o projektach lojalistów był powiadomiony, jak o wszystkim, co się działo w rozmaitych obozach.

W lipcu 1790 r., Zgromadzenie uchwaliło konstytucję cywilną duchowieństwa. Talleyrand za nią głosował. Nazajutrz Paryż obchodził na Polu Marsowem „święto federacji.“ Talleyrand celebrował. Przy ołtarzu paść miały z jego ust cyniczne drwiny z świętego obrzędu, po mieście zaraz rozniesione i niezaprzeczone. W całej Francji znalazło się czterech biskupów, co zaprzysięgli nową konstytucję; w ich liczbie był Talleyrand. Wyborcy departamentu Saône et Loire obrali go swoim biskupem, z stolicą w Autun; i to przyjął. Mniemano, że pragnie dostać się na arcybiskupstwo paryskie; jedne dzienniki poczęły go chwalić, inne wyrzucać mu rozwiązań życie i szulerstwo. Wtedy Talleyrand popełnił okropne głupstwo. Wydrukował w gazetach zaprzeczenie i po studencku uniewinniał się z zarzutu, jakoby wygrał w karty kilkakroć sto tysięcy franków, a przyznawszy się do wygrania, w ciągu kilku tygodni, trzydziestu tysięcy po domach prywatnych i w klubie, bił się w piersi, że zbłądził podwójnie, jako człowiek i jako prawodawca odrodzonego narodu, który winien baczyć surowo, aby ścisła moralność poskromiła nadużycia, mnożące złe, jakie rodzi nierówność majątków.

W wiele lat później, gdy generał Lamarque w podobny sposób bronił się od napaści dziennikarskich, Talleyrand go skarcił: *Général, je vous croyais de l'esprit.....* Mógł być to sobie sam powiedzieć, po swojej spowiedzi publicznej, którą jedno tłumaczył: strach o własną skórę. Czasy były niepewne,

15

podejrzenia rosły jak grzyby po deszczu, a Talleyrand nie miał czystego sumienia wobec nikogo. Inaczej, trudno zrozumieć jego ówczesnej taktyki. Odkąd duchowieństwo zostało odarte z mienia i znaczenia, stan duchowny przedstawiał dlań mniej powabu niż kiedykolwiek, powinien był więc, choć dla przyzwoitości, zrobić odrazu to, co zrobił później, nie splamiwszy się pierwej udziałem w świętokradzkiej komedii. Szło o konsekrację nowo wybranych biskupów. Wybrani biskupi — powiada Talleyrand — sądzili, że mogą obejść się bez instytucji kanonicznej z Rzymu, lecz nie mogli obejść się bez charakteru biskupiego, nadanego przez biskupów, dawniej wyświęconych. Do wyświęcenia biskupa potrzeba trzech konsekratorów; taka jest tradycja apostołska, której nikt złamać się nie poważył, ani protestantyzm, ani rewolucja francuska. Talleyrand podjął się być jednym z trzech; jego udział nadawał obrzędowi cechę, ówczesnym władzom bardzo pożądaną. Znalezienie dwóch drugich przedstawiało trudności; wyszukano wreszcie ludzi słabego ducha, którzy ulegli namowom. Jednym był Gobel, biskup Lyddy *i. p.*; drugim Miroudot, biskup Babilonu *i. p.* W ostatniej jednak chwili Gobel ostrzegł Talleyranda, że pasterz Babilończyków znowu się chwycie i pragnie wycofać. Talleyrand idzie więc do tego ostatniego z fałszywym zwierzeniem, jako biskup Lyddy zamierza odstąpić kolegom, wskutek czego konsekracja nie będzie mogła mieć miejsca. Co do mnie — dodał — wiem, co mi uczynić wypada; nie chcę być przez lud ukamienowany, wolę sobie sam życie odebrać. I wyjąwszy z kieszeni pistolet, obracał go w palcach. Wtedy Miroudot wystraszony, przyrzekł stawić się niezawodnie, i słowa dotrzymał. Tę historię publicysta Dumont słyszał z ust Talleyranda i zamieścił w swoich *Wspomnieniach*. Amerykanin Morris opowiada, że w dzień konsekracji, pani de Flahaut, późniejsza pani de Souza, przyjaciółka od serca Talleyranda, rozchorowała się z desperacji, odebrawszy przez pomyłkę testament *swego biskupa*, zrobiony w obawie, że duchowieństwo każe go zamordować, aby niedopuszczyć konsekracji. Testament mógł być być prostą mistyfikacją, ale zdaje się nieulegac

16

wątpliwości, że obok troski o swoją karierę dalszą, Talleyrand nie czuł się zupełnie bezpiecznym.

Pisząc *Pamiętniki* za czasów Restauracji, chce wmówić w ludzi, że działał w interesie religii i monarchii, albowiem zachodziła obawa, że Zgromadzenie popchnie Francję do presbiterianizmu, co utrudni przywrócenie religii katolickiej, której formy i hierarchia harmonizują z monarchicznym porządkiem. Innego zdania był papież. W dwa miesiące po konsekracji, 26 kwietnia 1791 r., wyszło *breve* papieskie, mocą którego biskup z Autun został zasuspendowany i zagrożony ekskomuniką, jeżeli w przeciągu dni czterdziestu skruchy nie okaże. O tem, co go z Rzymu spotkało, Talleyrand słówkiem nie wspomina, ograniczając się na wzmiance, że po konsekracji dał dymisję z biskupstwa i postanowił zerwać z pierwotnym zawodem. Tymczasem w archiwum departamentalnym znajduje się list jego, zawiadamiający wyborców, że godność biskupią złożył w ręce królewskie; datowany jeszcze z 20 stycznia. Pamięć go zawiodła, a o tych sprawach myśleć nie lubił pod starość. Dość mu było przypomnieć, że był księdzem, żeby go mocno obrazić; wyraz *stula*, wymawiany przed nim, sprawiał mu widoczną przykrość.

III.

Wszystko mi dogadzało, — pisze Talleyrand na tem miejscu *Pamiętników* — bylebym nie przestał być Francuzem. Rewolucya otwierała narodowi nowe przeznaczenie; zdecydowany będąc służyć swemu krajowi dla niego samego, przyniosłem rewolucyi daninę moich zdolności i nadzieje moje oparłem na zasadach konstytucyjnych, których osiągnięcie wydawało się tak bliskiem. To tłumaczy, dlaczego i jakim sposobem występowałem, występowałem i znowu wracałem do służby publicznej, tudzież rolę przemennie odegrałem.

W testamencie, zrobionym w r. 1838, wracając do tego samego przedmiotu, wyraża się inaczej: *Je m'arrêtai à l'idée*

17

de servir la France, comme France, dans quelque situation qu'elle fût: dans toutes, il y avait quelque bien à faire.

Tego wyznania wiary nie trzeba brać dosłownie. Talleyrand chciał uniewinnić przed potomnością swoje metamorfozy, unikając kłopotliwych komentarzy, i przytem popełnił anachronizm. W końcu XVIII w., wyrażenie *servir la France* nie było w użyciu; weszło w zwyczaj dopiero za Ludwika Filipa, kiedy co krok spotykano ludzi, co sześciu panom z rzędu służyli. W początkach rewolucyi mówiono: *servir le roi*, albo *servir la cause de la révolution*. Pojęcie ojczyzny zaledwie poczynało kiełkować. Talleyrand mimowoli miesza służbę dla kraju z daniną dla rewolucyi, wiarę w nowe przeznaczenie z przywiązaniem do zasad konstytucyjnych. Szczerem zdaje się być tylko, że wszystko mu dogadzało, byle pozostał Francuzem, czyli nazywając rzeczy po nazwisku, coś znaczył we Francyi. Zresztą musiał żyć, jak ptacy niebiescy, nie orząc i nie siejąc. Trafnie też scharakteryzował go Morris: *il embrassa la carrière de l'ambition pour rétablir ses affaires.*

Zgromadzenie, rozwiązując się, odebrało swym członkom prawo wybieralności do nowej Izby, tudzież prawo zajmowania urzędów płatnych. Talleyrand osiadł przeto na koszu, bez stanowiska, bez majątku, bez żadnych widoków na jutro. Szczęściem, znalazł punkt oparcia w Ludwiku de Narbonne, ministrze wojny.

Narbonne wszedł do gabinetu z planem ratowania konstytucyi i monarchii. Chciał wywieść króla do Fontainebleau i umieścićwszy go tam pod opieką najwierniejszych pułków, z resztą wojska rozpocząć wojnę z Austryą, biorąc za pretekst kupienie się emigrantów w Trewirze. Oczekiwano krótkiej, łatwej i pomyślnej kampanii, gdyż Austrya będzie działać miękko, jeżeli Prusy nie przyjdą jej w pomoc. Liczono zaś na to, że uda się nakłonić Prusy do neutralności, albo nawet do aliansu z Francją. Zwycięska wojna obiecywała odświeżyć urok monarchii; prócz tego, król w armii zreorganizowanej znaleźć miał środek trzymywania na wodzy Izby i klubów. Inni ministrowie, na ich czele Barnave, obawiali

18

się wojny, grożącej albo rozpasaniem anarchii w razie porażki, albo zbyt czynnem wzmocnieniem korony w razie przeciwnym. Jakobini znowu pchali całemi siłami do wojny, żeby zgubić monarchię.

W salonie pani de Staël, Egeryi ministra wojny, knuły się plany odrodzenia Francyi i odbywało nawracanie opornych członków gabinetu. Wiadomo, jaką rolę grała w polityce XVIII w. intryga. Narbonne, obok wielkich przymiotów, był lekkoduchem i chętnie wierzył we wszystko, czego sobie życzył. Za doradcę obrał sobie Talleyranda; Lauzun-Biron był obu powiernikiem.

Mirabeau zalecał niegdyś Francyi przymierze z Prusami i Anglią; przed samą śmiercią, miał Talleyrandowi to ostatnie, jako główny punkt swego testamentu, przekazać. Dużo z nim obcując, biskup, jak go bliscy nazywali, i Biron mogli do pewnego stopnia przejąć się jego systemem politycznym, lecz daleko ztąd do tego, żeby upatrywać w Talleyrandzie wykonawcę ostatniej woli trybuna, i twierdzić, jak to czyni p. Pallain¹, że alians angielski był od początku do końca osiłą polityki Talleyranda. Talleyrand nigdy nie był doktrynerem; wszelkie przymierze było w jego oczach dobre, gdy obiecywało pożytek i gdy okazywało się możliwem. W danej porze zresztą, jasnym było, że Francya, wobec zamierzonej wojny, starać się powinna o oderwanie Prus od Austryi, tudzież o neutralność Anglii.

Minister spraw zagranicznych, de Lessart, człowiek bez własnego zdania, bojaźliwy, trzymał się święcie tradycyi biórowej; trzeba było dużo czasu i zachodu, żeby go skłonić do jakiego ważniejszego kroku. Już temsamem Narbonne musiał iść do celu krętymi ścieżkami, na które Biron gwałtem go ciągnął. Nie mając pod ręką wodza do zamierzonej na Austryę wyprawy, Narbonne umyślił ściągnąć do Francyi ks. Brunszwickiego, aby mieć w nim drugiego Maurycego Saskiego i urodzonego medyatora między Francją i Prusami, oraz za jednym zamachem pozbawić Niemców

¹ W przedmowie do *Missyi londyńskiej 1792 r.*

19

najdzielniejszego wojownika. Pochwycił więc w lot projekt Birona wysłania tajnej missyi do Berlina.

Biron, jeden z ludzi najszczodrzej od natury uposażonych, wszystko roztrwonił i zmarnował. Została mu tylko żyłka żołnierska, waleczność i odwaga; wstąpił do wojska, ale czekając na rozpoczęcie kampanii, nudził się i z nudów popadł nanowo w manię awantur. Podczas długiej po Europie włóczęgi, poznawszy mnóstwo ludzi różnego gatunku i napatrzywszy się rozmaitych robót, nabrał przekonania, że w polityce zakulisową intrygą i przekupstwem można wielkie rzeczy osiągnąć wszędzie, zwłaszcza w Berlinie. Według niego, dość było tam posłać zręcznego agenta — miał ich kilku gotowych — i dać mu pieniędzy na przekupienie doradców i metres króla. Za skutek z góry ręczył. Biskup nazwał ten koncept *tout ce qu'il y a de plus sauveur*. Agent pojechał i wskórał tyle, co Custine u Brunszwika. Prusy zawrzeć aliansu z Francją nie chciały, a wobec tego najlepsze argumenta Mirabeau nieważły i zdźbła siennego.

Pozostawała Anglia. Brissot i Clavière, niby znawcy tamtejszych stosunków, utrzymywali, że neutralność Anglii będzie łatwą do osiągnięcia, i co więcej, alians możliwym za odstąpieniem kilku wysp, Tabago, Ile de France, Bourbon. Biron radził także w Londynie szczęścia spróbować; liczył na sukkurs opozycyi, miał ochotę sam się tam przejechać, lecz obawiano się złego wrażenia w obozie rojalistów, których kłuły w oczy związki Birona z ks. Orleańskim. Ofiarowano poselstwo Talleyrandowi. Biskup kazał się prosić i dał uprosić. Nie mogąc dostać urzędu jawnego, poprzestać musiał na misyi prywatnej, opłacanej z tajnych funduszków ministerstwa spraw zagranicznych.

Talleyrand powiada, że ogarnęło go zmęczenie i obrzydzenie, pragnął usunąć się z Paryża na czas jakiś i dlatego podjął się poselstwa, ale bez najmniejszej nadziei w pomyślny skutek. Listy jego do Birona zdają się świadczyć, że jechał z ochotą i pełen otuchy. Podobno zamierzał przy pomocy Birona urządzić w Londynie, na wspólnie

20

z opozycją, olbrzymią kabałą przeciwko Pittowi i tem wymusić na gabinecie alians z traktatem handlowym.

Polityka gabinetu londyńskiego była dobrze wiadomą. Anglia nie miała powodu mieszać się do wojny między Francją i Austrią, jak długo Francya nie sięgnie po Antwerpię i Amsterdam; przez Antwerpię bowiem wiodła droga dla wojsk angielskich na kontynent, podczas gdy Amsterdam był wielkim portem handlowym. W przeciwnym razie, żadne zyski kolonialne nie były w stanie Anglii od czynnego wystąpienia powstrzymać. Król i Pitt nienawidzili Francji rewolucyjnej. Niepewność stosunków w Paryżu, słabość rządu i gabinetu, zamęt w Izbie, nie mogły zachęcać Anglii do wiązania się umową z takim sąsiadem. W podobnych warunkach, szanse misji biskupa były nader małe.

Talleyrand powiódł do Londynu list Lessarta do lorda Grenville. Lessart oświadczał, że dawny biskup z Autun udaje się do Londynu w sprawach prywatnych, bez urzędowego charakteru, polecał go względem lorda Grenville i prosił, aby go wysłuchał, a przekona się, do jakiego stopnia rząd francuski pragnie dobre stosunki z Anglią utrzymać i wzmacnić. Po drodze, biskup zabrał z sobą, jako introduktora, Birona, który znał cały świat i któremu Narbonne polecił zakupić kilka tysięcy koni dla kawaleryi.

Francya nie miała w Londynie ambasadora, ani posła. Sprawujący interes francuskie, Hirsinger, przedstawił Talleyranda Pittowi i ministrowi spraw zagranicznych. Pitt zaraz na wstępie zrobił uwagę, że biskup nie ma charakteru urzędowego. Skończyło się na grzecznościach; biskup wyniósł wrażenie, że tym panom nie trzeba się narzucać. Król przyjął Talleyranda nader zimno, królowa odwróciła się doń plecami. Wskutek tego towarzystwo stołeczne zamknęło drzwi przed biskupem. W dodatku zdarzył się brzydki skandal. Biron zamknęto do kozy za długie, na mocy weksli miejscowych i nadesłanych z Paryża, w części podobno fałszywych; Biron wyrzekał, że mu tę sztuczkę splatali arystokraci paryscy. Gdy rząd angielski odmówił przyznania Bironowi charakteru agenta dyplomatycznego, biskup zdołał z wielką

21

biedą przyjaciela z niewoli wykupić i do domu wyprawić.

W Londynie Talleyrand bawił około sześciu tygodni. Negocjacya z ministrami nie ruszyła z miejsca; niepowodzenie biskup złożył na brak charakteru urzędowego i doradził wysłać do Anglii ambasadora od parady, pod firmą którego on będzie układy prowadził. Kandydata upatrzył w osobie p. de Chauvelin, młodzieńca znanego z słabej głowy i próżności, ale popularnego i będącego w Paryżu w modzie. Aby poprzeć swój projekt, w początku marca 1792 r. wrócił do Paryża.

Trafił na chwilę upadku gabinetu i przyjsia do władzy Żyrodystów. Dumouriez, projektując wyprawę do Belgii, jeszcze bardziej dbał o pomyślny obrót układów z Anglią; do Talleyranda nie czuł podobno wielkiej sympatii i biskup mu równą monetą odpłacał, lecz wspólni przyjaciele, między nimi Biron, ułatwili zbliżenie. Talleyrand miał ręczyć, że Anglicy są najlepiej usposobieni dla Francji i nawet w razie najazdu na Belgię pozostaną neutralnymi; w oczach Żyrodystów zaś posiadał wyborną rekomendacyę: złą opinię u dworu. Stańło na tem, że Chauvelin pojedzie do Londynu z tytułem ministra pełnomocnego i zabierze z sobą Talleyranda. Dumouriez wymógł na królu list do Jerzego III, powierzony Talleyrandowi i zawierający specjalne, lecz bardzo pobieżne zalecenie tego ostatniego. Biskup wprowadził do poselstwa Genewczyka Duroverai, prawnika z zawodu, który wiele podróżował, znał Anglię i Irlandyę, pracował przy boku Mirabeau i miał znajomość z Brissosem.

Poselstwo nie prędko wyruszyło w drogę. Chauvelin obraził się, spostrzegłszy, że mu dodano aż dwóch guwernerów; Talleyrand się bawił, Genewczyk targował o pensyę. Zniecierpliwiony Dumouriez kazał im w końcu powiedzieć, że jeżeli zaraz nie wyjadą, kto inny na ich miejsce pojedzie. To poskutkowało. Chauvelin wyprzedził towarzyszy i na wstępie wszedł w zatarg z komorą o kontrabandę koronek, włożonych do kufra przez służącego bez wiedzy pana. Dzienniki paryzkie wydrukowały list Ludwika XVI, zanim tenże został wręczony królowi angielskiemu. Komunikacye między Paryżem

22

i Londynem były tak źle urządzone, że poselstwo czekało tygodniami na wiadomości z domu. Przyjęcie było zimne, uszy i drzwi zamknięte. Obrót rzeczy w Paryżu odbierał resztki kredytu wysłańcom francuskim, opinia publiczna w Anglii stawała się coraz bardziej nieprzychylną dla Francji. Podczas koncertu w Ranelagh, za pojawieniem się ambasady francuskiej, publiczność zaczęła szeptać i omijać przybyłych, jak zapowietrzonych. Tylko koterya Focha i Sheridana pozostała wierną Francuzom, co ich w oczach rządu i rządowego stronnictwa nie mogło podnieść. Chauvelin miał szkodzić niepowściągliwością języka, ale tak czy owak niebyło nic do zrobienia. Talleyrand w listach do Paryża skarżył się na ciężar pracy i brak towarzystwa; on redagował raporta i noty, podpisywane przez ministra, i był *spiritus movens* całej tej ciężkiej i bezużytecznej roboty. Na politykę Anglii poselstwo francuskie nie wywierało i nie mogło wywierać najmniejszego wpływu; nie było nawet w możności dostarczać swemu rządowi wczesnych informacyj, dowiadując się z dzienników najczęściej o zapadłych postanowieniach. Talleyrand był tyle ostrożnym, że nie wspominał wcale o ustąpieniu wyspy Tabago, którą mu w instrukcyach polecono ofiarować w zamian za traktat odporny. W raportach nie szczędził swemu rządowi uwag o tem, co należy czynić w Paryżu, aby nie drażnić, nie obrażać i niewyzywać niepotrzebnie Europy, niepodawać się w oczach zagranicy w podejrzenia i pogardę; te uwagi więcej zajmują miejsca, niż relacya o układach, kręcących się w kółko, i o biegu rzeczy w Anglii.

W połowie czerwca, Dumouriez objął ministerstwo wojny i sprawy zagraniczne ustąpił margrabiemu de Chambonas. Jednocześnie Talleyrand uczuł ochotę zajrzeć do Paryża. Chauvelin zażądał diana urlopu od ministra, pod pozorem porozumienia się ustnego co do odpowiedzi na notę angielską; on sam twierdzi, że pojechał do Paryża przez deferencyę dla ks. Larochevoucauld, prezydenta departamentu paryskiego. Biskup był bowiem jednym z administratorów departamentu i w swoim czasie wybór na tę godność użył za pretekst do

23

złożenia biskupstwa w Autun, gdyż nowe obowiązki wymagały stałego pobytu w Paryżu. Nieprzeszkodziło mu to jednak wybrać się do Anglii. Prezes miał listem wezwać biskupa do powrotu i biskup pospieszył dzielić *les nobles et utiles dangers*, na jakie on i jego koledzy znaleźli się wystawieni w dniach 20 czerwca i 10 sierpnia.

Następne obroty Talleyranda są niepodobną do rozwiązania szaradą. Pewnym jest jedno, że 14 września 1792 r. wyjechał napowrót do Anglii, za paszportem, podpisanym przez Dantona i innych ministrów. Był to wielki i wyjątkowy fawor, albowiem na mocy dekretu z 28 lipca wstrzymano wydawanie paszportów obywatelom francuskim, z wyjątkiem agentów rządu, marynarzy i kupców. Od 10 sierpnia, Chauvelin sam został upoważniony do prowadzenia misji londyńskiej; Danton posłał mu anioła stróża w osobie swego krewniaka, Noëla. Talleyrand daremnie starał się u Rady wykonawczej o utrzymanie go na dawnym w Londynie stanowisku; prosił o pozwolenie wyjazdu choć na krótki czas, dla załatwienia własnych interesów, lecz i tego od razu nie otrzymał. W *Pamiętnikach* opowiada, że wyrobił sobie u władzy wykonawczej misję w kwestyi zrównania miar i wag, co niegdyś proponował Konstytuancie. W paszporcie nie ma wzmianki o żadnej misji. Stoi tylko: Talleyrand jedzie do Londynu z naszego rozkazu. Faktem jest, że biskup dostał paszport za protekcją i z rąk Dantona, i że przed odjazdem rozpowiadał o jakiejś misji. Jakim sposobem zeskamotował Dantonowi oboje, rozmaite są przypuszczenia; jedni mówią, że za pieniądze, drudzy, że pochlebstwem. Używał jeszcze i innego środka, wysługując się nowym władzcom. W archiwach przechował się dokument, ręką biskupa pisany: nota do rządu angielskiego o wypadkach 10 sierpnia, którą Chauvelin doręczył w Londynie.

Wiadomo dziś dowodnie, że napaść na pałac Tuileries i zasuspendowanie króla było z góry ułożonym zamachem. Talleyrand winę składa na barki króla. Oddawna pisze zaufanie powszechne odwracało się od Ludwika XVI. Lud francuski widział, najpierw z boleścią, następnie z oburzeniem,

24

że król podkopuje konstytucję, w której zajmował tak piękne miejsce; że król, pod naciskiem przesądów, wychowaniem zaszczepionych, zamiast uznać swój urząd za zaszczytne dobrodziejstwo, upatrywał w nim jedynie ubliżające mu resztki władzy, nieprawnie sobie wydartej. Złoto i korupcja siane były z skandaliczną szczodrobliwością, aby osłabić i zgasić gorący patryotyzm, królowi niedogodny. Król otaczał się wrogami wolności, odpychał swoich szczerych przyjaciół. Przedstawienia królowi czynione, zamiast przywołać go do obowiązków, nieodzielnych od jego własnego interesu, rozgoryczyły króla i obrzydzały w jego oczach sprawę ludu. Król podniecał widocznie wewnętrzne rozterki. Wojna wydana cesarzowi, w obronie naszej rewolucyi, nie mogła być w dobrej wierze prowadzoną przez króla, który czuł się skrzywdzonym, i musiała zakończyć się klęską Francyi. Gdy podejrzania wzrosły do najwyższego stopnia, gdy pałac Tuileries napełnił się uzbrojonymi zwolennikami kontrrewolucyi, gdy dowiedziano się, że znaczna liczba Szwajcarów, pozostałych w Paryżu pomimo dekretu Zgromadzenia Narodowego, uległa zbrodniczemu uwiedzeniu, gdy nakoniec wszelkie pogłoski i wszelkie objawy zdawały się zapowiadać bliski wybuch obszernego spisku w całej Francyi, wtedy lud paryski, zbudzony wśród nocy trwogą, połączywszy się z zacnymi konfederatami z całego królestwa, uderzył zbrojnie na zamek królewski. Tam, z imponującą siłą i odwagą, umiał w początku trzymać się na wodzy, chcąc tylko dowieść, że niewolno nikomu praw jego gwałcić i uczuć obrażać. Dopiero po niegodnej zaczepce ze strony Szwajcarów, wybuchała wściekłość ludu i podli zdrajcy padli doścignięci zemstą. Król schronił się na łono Zgromadzenia Narodowego, które było świadkiem i niemal ofiarą takiego mnóstwa podstępów. Zgromadzenie ujrzało się zmuszonem przejść na siebie całą władzę, pójść za głosem opinii i w interesie zbawienia publicznego, oraz dla bezpieczeństwa króla, zasuspendować go w urzędzie¹.

¹ *Le Ministère de Talleyrand sous le Directoire.*

25

Ile słów, tyle fałszów. Reszta była hymnem pochwalnym na cześć nowego rządu, który ofiarował Anglii przyjaźń i szacunek. Na samym końcu, nota przypominała Anglikom, że po ich rewolucyi Europa, a Francya szczególnie, pospieszyła uznać formę rządu, jaką naród sobie nadał.

IV.

Rozpoczęła się najtrudniejsza pora w życiu Talleyranda, Daremnie usiłował zachować stosunki z urzędowym światem. W kilka dni po przyjeździe do Londynu, napisał list do lorda Grenville, z oznajmieniem, że nie ma żadnej misji, że szuka jedynie spokoju między prawdziwymi przyjaciółmi wolności, ale gotów jest dostarczyć objaśnień o nowym rządzie, stronnictwach i ostatnich wypadkach we Francyi. Grenville, który biskupa nazywał człowiekiem *głębokim i niebezpiecznym*, list wrzucił do kosza. Własnemu rządowi Talleyrand przypominał się od czasu do czasu; w listopadzie wysłał do Paryża memoryał o stosunkach Francyi z mocarstwami europejskimi, którego większa połowa poświęconą była Anglii. Tym razem biskup zalecał poprzestać na traktacie handlowym i umowie o kolonie¹. Żył, zdaje się, nadzieję, że w razie przyjęcia jego myśli, zostanie upoważnionym do traktowania. Bądź co bądź jednak, dowiódł wtedy, że nie jest takim zmiennikiem, jakim go często wystawiano. Pomimo wszelkich trudności, kłopotów osobistych i nawet prześladowań, trzymał się wiernie sprawy Francyi rewolucyjnej, nie przeszedł do obozu jej wrogów, gdzie łatwe mógł znaleźć przyjęcie. Niebawem własna ojczyzna go odepchnęła. W żelaznej szafie w Tuileries znalazł się list kamerdynera królewskiego Laporta do króla, kompromitujący Talleyranda. Pod datą 22 kwietnia 1791 r., Laporte przesłał królowi pismo biskupa z Autun, z dodatkiem, jako tenże gotów jest służyć NPanu i pragnie, aby wypróbowano jego gorliwość, oraz wskazano mu co ma czynić.

¹ Tamże.

26

Na mocy tego dokumentu Konwencja oskarżyła Talleyranda i uchwaliła zamieścić jego nazwisko na liście emigrantów. Oryginał pisma do króla nie był Konwencji przedłożony; podobno Talleyrand odkupił go od Dantona. Dodać także trzeba, że jako dawny konstytucjonalista, Talleyrand bez innej winy mógł uleść zemście Jakobinów. W przesłanym Konwencji usprawiedliwieniu,

zaręczał, że nigdy do króla nie pisał, że Laporte zapewne przesłał królowi raport komitetu konstytucyjnego, redagowany przez Talleyranda, w sprawie kościołów parafialnych i innych, zalecający poszanowanie religijnych przekonań obywateli, i od siebie pododawał nieprzyzwoite domysły. Cała obrona biskupa, ubrana arabeskami w guście czasu, wyglądała mocno naciąganą i mało do prawdy podobną; najmniejszego też nie odniosła skutku. Nie wiedząc jak i kiedy, biskup wyszedł na emigranta, krzywo widzianego od swoich i obcych. Jedyną osłodę wygnania znalazł w zażyłości z domem margrabiego Lansdowne, niegdyś głowy whigów, wielkiego pana liberalizującego i frondującego, bez znaczenia i wpływu w świecie politycznym. Osoba biskupa wzbudzała pewien rodzaj ciekawości, niekoniecznie pochlebnej i zwykle zawiedzionej, gdyż biskup po swojemu milczał i pokazywał ludziom twarz nieruchomą, bladą i nalaną, zaciśnięte usta i nos impertynencki. Za to w cztery oczy, lub w małym kółku miał być niezrów-nany, nad wyraz miły i zabawny. Z tej pory mają datować koncepta, setki razy cytowane. Ktoś twierdził o kimś, że jest zdolny nawet zabić bliźniego; Talleyrand mruknął: *Assassiner, non, mais empoisonner, oui*. Przy wieście mówiono o jakiejś pani niemłodej, która wyszła za mąż za swego lokaja; Talleyrand liczył lewy i wycedził przez zęby: *A neuf, on ne compte pas les honneurs*.

Ubogi czy bogaty, Talleyrand miał zawsze dłoń otwartą dla przyjaciół; kręciło się koło niego wiecznie dużo ludzi rozmaitego gatunku, spekulantów, karyerowiczów, wykolejonych indywiduów, którym dopomagał na wszelkie sposoby, nawet wtedy, kiedy mu nie byli w stanie żadnej oddać usługi. Niebogata kasa biskupa prędko się wyczerpała na emigracyi;

27

sprzedawał potrochu bibliotekę, rzadkie wydania w pięknych oprawach, dawniej pomału zebrane.

Przesiedział w Londynie cały rok 1793. W styczniu roku następnego, rząd angielski kazał mu opuścić Anglię w przeciagu doby, bez wiadomego i jak się zdaje, słusznego powodu. Protestował, odwołał się do Pitta i do samego króla i nic nie wskórawszy, wsiadł na pierwszy statek, płynący do Ameryki, 3 lutego 1794 r., z paczką listów rekomendacyjnych i kapitałem, szczęśliwie uratowanym. Wiatry przeciwne zatrzymały statek na Tamizie przez dwa tygodnie; Talleyrand, rozgoryczony postępkami Anglików, siedział kamieniem na okręcie, pomimo, że jeden z przyjaciół ministra spraw wewnętrznych Dundasa ofiarował mu gościnność u siebie. Zaraz po wypłynięciu z Tamizy, burza zmusiła statek schronić się do portu w Falmouth. Tam w oberży spotkał Amerykanina, z którym zawiązał rozmowę, nader trudno idącą; gdy go poprosił o listy do Ameryki, ten odparł: Mnie może jednemu niewolno nikogo polecać, i swego nazwiska nie chciał wyjawić. Byłto generał Arnold, skazany na śmierć podczas wojny o niepodległość.

Talleyrand oparł się aż w Filadelfii. Odnalazł tam znajomych, jakiegoś Hollendra i pana de Beaumetz, emigranta, kolegę z Konstytuanty. W ich towarzystwie odbył podróż w głąb kraju, jeszcze wówczas pół dzikiego. Dwie zimy spędził w Filadelfii i Nowym Jorku, widując dużo ludzi i nowych rzeczy. Miał projekt jechać do Indyj, próbował spekulacji handlowych i w nich resztę mienia utopił. Trapiiony tęsknotą i perspektywą niedostatku, tentował przez przyjaciół paryskich o pozwolenie powrotu do kraju. Umrę, jeżeli przyjdzie mi tu jeszcze rok jeden zabawić — pisał do pani de Staël, która gorąco zajęła się losem biskupa. Józef Chénier poparł w Konwencji prośbę Talleyranda, nadesłaną z Filadelfii i otrzymał wykreślenie jego nazwiska z listy emigrantów. W lipcu 1796 r. biskup wylądował w Hamburgu. Jeszcze na statku, zjawił się poseł, bawiącej w Hamburgu pani de Flahaut, z prośbą, aby biskup nie pokazywał się w mieście i czemprędzej nazad odplynął do Ameryki, albowiem jego obecność może przeszkodzić

28

małżeństwu powtórnemu jego dawnej pani. Biskup odpowiedział, że ani myśli wracać na drugą półkulę, zabawił miesiąc w Hamburgu, pełnym Francuzów, i rzemiennym dyszlem, przez Amsterdam i Bruksellę, we wrześniu stanął w Paryżu.

Podczas swej nieobecności, obrany był członkiem Instytutu nauk moralnych i politycznych. Aby spłacić dług akademicki i dać o sobie wiedzieć publiczności, odczytał tam dwa memoriały: jeden o stosunkach handlowych z Ameryką, drugi o pożyteczności kolonij. Był stronnikiem swobody handlowej, a w rozwoju Ameryki widział źródło bogactwa i pomyślności dla Europy; w naszych czasach byłby zmienił zdanie. Główną kwaterę swoich operacyj założył w salonie pani de Staël, przy której Benjamin Constant zajął miejsce Narbonna. Z Benjaminem na wspólnkę założył *Cercle constitutionnel*. Ale trzeba było żyć. Jednego dnia, biskup w te słowa przemówił do pani de Staël: *Ma chère enfant*, mam wszystkiego w kieszeni dwadzieścia pięć ludwików, to i na miesiąc nie wystarczy; chodzić nie mogę, trzeba mi powozu. Jeżeli mi niewyrobisz odpowiedniego stanowiska, w łeb sobie strzelę. *Arrangez-vous là-dessus; si vous m'aimez, voyez ce que vous avez à faire*. — Pani de Staël pobiegła do Barrasa i wymogła zaproszenie dla biskupa na obiad w Suresnes. Biskup przybył przed gospodarzem. Traf chciał, że w tej chwili sekretarz i wielki ulubieniec Barrasa, kąpiąc się w rzece, utonął. Biskupowi przypadła rola pocieszyciela, z której tak dobrze się wywiązał, że podbił odrazu serce dyrektora. Przy pierwszej zmianie ministeryalnej, co wtedy często się trafiało, Barras postawił warunek, że sprawy zagraniczne obejmie Talleyrand i swojego dopiął, pomimo oporu Carnota. Biskup przyjął, naturalnie *pour faire quelque bien*, jak w *Pamiętnikach* oświadcza.

Lepszego wyboru Dyrektoryat nie mógł zrobić, zwłaszcza, z uwagi na toczące się układy z Austrią i Anglią. Talleyrand lepiej znał Europę od wielu innych Francuzów, szybko się orientował, umiał ludzi zażyć i, do niego można śmiało zastosować to, co on o kimś powiedział: *il a eu le plus*

29

d'avenir dans l'esprit, sięgał wzrokiem po za dzień jutrzejszy. Nie ulega wątpliwości, że pragnął zaszczytnym układem zakończyć epokę wojen i Francję pojednać z Europą; w tej pracy nieustawał, i na wielkie trafiał przeszkody, które wolał obchodzić, równie dla braku energii, jak i przez wzgląd na siebie samego. W łonie Dyrektoryatu panowały nieustanne swary i intrzygi; dyrektorowie mieszały się do wszystkiego, niemal każda depesza była przerabiana na radzie. Nie była nic łatwiejszego, jak stracić urząd, albo pójść na deportację. Talleyrand zawsze przemawiał głosem rozsądku i umiarkowania, ale potem robił, jak mu kazano. Dla niego samego, urzędowanie pod Dyrektoryatem było doskonałą szkołą praktyczną. Poznał do gruntu mechanizm spraw i organizację swego wydziału; sam nauczył się pracować, albo wyraźnie mówiąc, godzić wrodzone lenistwo z obowiązkiem codziennej pracy. W zbiorze dokumentów, które p. Pallain ogłosił, widać, jak się kształcił w polityce i robił postępy. Dawniejsze jego pisma polityczne robią wrażenie *de discours académiques*; zamieściwszy na czele parę ogólników,

jechał prosto do celu samą logiką. Teraz pozbył się nałogu, z klasycznej edukacji zaczerpniętego, nauczył odróżniać, co wie na pewno i czego nie wie — którą to umiejętność starzy ludzie nazywali początkiem i końcem mądrości.

Zgłębił przytem sztukę wywracania rządów. Był doradcą Barrasa podczas zamachu 18 fructidora, a przy tej sposobności pozbył się swego wroga Carnota, i wyniósł naukę, że przy zamiataniu, należy czepiać się kija od miotły i strzedz drugiego końca.

Ministerstwo Talleyranda trwało okrągłe dwa lata, od lipca r. 1797 do lipca r. 1799, i zakończyło rozgłośnym skandalem. Po zawarciu traktatu handlowego między Anglią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej, Dyrektoryat kazał zabrać statki amerykańskie, znajdujące się w portach francuskich. Talleyrand zaproponował Amerykanom ugodę, delegaci amerykańscy przybyli do Paryża i wyjechali z niczem, a w ślad rząd amerykański ogłosił raporta swoich wysłańców, opowiadające, że uгода nie przysłała do skutku, bo

30

Talleyrand żądał okupu i pieniędzy nie dostał. Wtedy biskup podał się do dymissy i ogłosił *Eclaircissements à mes concitoyens*, w których wszystkiemu zaprzeczył. Pośrednikiem między ministrem i Amerykanami w tej sprawie miał być p. de Saint-Foy, dwuznaczna figura, z dawien dawna służąca w ministerstwie spraw zagranicznych w roli tajnego agenta i szpiega. On jeden mógł prawdę wyjawić i zabrać ją z sobą do grobu, ale dodać wypada, że dowiedzioną jest rzeczą, iż później w podobnych interesach przybyłych był faktorem Talleyranda.

W tym jednym wypadku Talleyrand dał się złapać na gorącym uczynku, *la main dans le sac*. Po tej historii ustała przyjaźń biskupa z panią de Staël, już pierwej zachwiana. Wszedłszy do ministerium, Talleyrand począł zaniedbywać swoją protektorę, ani rady jej nie zasięgał, ani zwierzeń nie robił. Gdy bomba amerykańska pękła, pani de Staël wpadła w rozpacz, nie chciała wierzyć w taką kalumnię, a w końcu przycisnęła Talleyranda do muru. Biskup, ruszywszy ramionami, nie odrzekł słowa i wyszedł z pokoju; potem jeszcze drwił głośno z naiwności kobiecej.

V.

Talleyrand wyniósł z urzędowania talizman, którego potęgi podobno się nie domyślał: dobry stosunek z Napoleonem Bonaparte. Instynkt zbliżył ich do siebie. Kto pierwszy krok zrobił, nie wiadomo. Talleyrand twierdzi, że Bonaparte, listem, winszującym nominacji na urząd ministra; ten list polecił przyłączyć do *Pamiętników*, ale listu nie znaleziono. Przechował się natomiast list bardzo pochlebny Talleyranda do Bonaparte'go, pisany w kilka dni po objęciu wydziału spraw zagranicznych, w którym nie ma wzmianki, jakoby był odpowiedzią¹. Może się w drodze rozminęły.

¹) *J'ai l'honneur de vous annoncer, général, que le Directoire m'a nommé ministre des relations extérieures. Instement*

31

Biskup poczuł w młodym wojowniku siłę, przedsiębiorczość, zręczność i szczęście. Po zawarłem pokoju w Campo-Formio, pod jesień 1797 r., Bonaparte zjawił się w Paryżu i pierwszy odwiedził ministra spraw zagranicznych. Talleyrand wydał dlań świetny festyn, o którym długo mówiono w Paryżu. Pani Merlin, żona dyrektora, która w życiu nic podobnego nie widziała, wystąpiła z komplementem charakterystycznym: *Cela a dû vous coûter gros, citoyen ministre? Pas le Pérou, madame*, — odrzekł gospodarz. Wtedy miała miejsce słynna rozmowa pani de Staël z Bonapartem, który zapytany przez nią, jakiej kobiecie przyznaje pierwszeństwo, zamiast wymienić panią de Staël, odpowiedział: Tej, co miała najwięcej dzieci.

Dyrektorowie, przez zazdrość i nieufność, chcieli pozbyć się Bonaparte'go z Paryża. Ofiarowano mu wyprawę do Irlandyi. On także wolał być gdzieindziej, ale Irlandya go nie kusiła. Wybrał Egipt, jako przedsięwzięcie, uderzające wyobraźnię jego własną i narodu. Żeby się go pozbyć, rząd przystał na wszystko. Już wtedy Bonaparte rozpowiadał o pójściu do Indyi i o powrocie przez Konstantynopol, chociaż jedno wykluczało drugie. Do Egiptu wybrał się naoślep, nie wiedząc, co tam znajdzie. Żołnierze ginęli stokroć więcej z niedostatku żywności i wody, niż od nieprzyjaciela. W końcu, tylko swemu szalonemu szczęściu zawdzięczał, że cało wrócił do Francyi.

effrayé des fonctions dont je sens la périlleuse importance, j'ai besoin de me rassurer par le sentiment de ce que votre gloire doit apporter de moyens et de facilités dans les négociations. Ce nom seul de Bonaparte est un auxiliaire quidoit tout aplanir. Je m'empresserai de vous faire parvenir toutes les vues que le Directoire me chargera de vous transmettre, et la renommée, qui est votre organe ordinaire, me ravira souvent le bonheur de lui apprendre la manière dont vous les aurez remplies (24 lipca 1797 r.). Inny list kończy się litanią czułości: *Adieu, général pacificateur; amitié, admiration, respect, reconnaissance; on ne sait, on s'arrêter dans cette énumération.*

32

Talleyrand przyrzekł Bonapartemu zawiązać z Portą układy o ustąpienie Francyi Egiptu, i nawet osobiście pojechać do Stambułu, ale obietnicy nie dotrzymał. Znalazł się więc wdrażliwej pozycji wobec wracającego generała. Szczęściem dla biskupa, szło teraz o ważniejsze rzeczy, i on był Bonapartemu potrzebny, jako znawca ludzi i rzeczy miejscowych; będąc zaś chwilowo bez dachu, z zapałem wszedł w kabałę, mającą na celu wspólne ich wyniesienie. Zrazu zamierzano wprowadzić Bonaparte'go do Dyrektoryatu, lecz gdy to generałowi nie dogadzało, ułożono Konsulat, poprawną edycję *polygarchii*.

Przy całej śmiałości, Bonaparte nie jeden raz zachwiał się podczas wykonania planu. Krótco przed zamachem stanu, przyszedł do Talleyranda zmrokiem, na rozmowę o szczegółach operacji. W tem usłyszano na ulicy turkot, odgłos kopyt i szcęk broni, jak żeby dom był otoczony wojskiem. Generał zbladł, biskup także struchlał; obaj przekonani byli, że będą uwięzieni. Tymczasem, popsuł się tylko haker, wiozący pod eskortą kawalerji, pieniądze z domu gry w Palais-Royal. Nazajutrz po zamachu stanu, Talleyrand w towarzystwie Montronda¹ udał się do Saint-Cloud, gdzie bawił generał. Przy nich, doniesiono mu, że rada pięciuset uchwiliła wyjęcie go z pod prawa. Bonaparte znowu zbladł tak, że Montrond kilka razy szepnął: *Général, cela n'est pas correcte*. Cofnąć się było zapóźno, a podrzędni pomocnicy bez porównania więcej ryzykowali, niż główny sprawca.

Po instalacji konsulów, Talleyrand, wraz z Roedererem i Volneyem, otrzymał z ust Bonapartego podziękowanie, w imieniu ojczyzny, za gorliwość, okazaną podczas ostatniej zmiany rządu. Biskup wysłuchał z uroczystą miną perory,

¹ Montrond, którego Sainte-Beuve nazywa *un Talleyrand à cheval*, długie lata był powiernikiem Talleyranda. — Wicie, dlaczego tak lubię Montronda? — miał mówić Talleyrand; dlatego, że ma tak mało przesądów. — Montrond znowu powiadał: Wicie, dlaczego lubię Talleyranda? bo wcale nie ma przesądów. — Kiedy ktoś chwalił przed nim Talleyranda, do wszystkich pochwał dorzucił: *Il est si vicieux*.

33

wiedząc dobrze, co ona warta. Świeże wypadki zatarły wprawdzie wspomnienie o amerykańskiej historii, lecz jeszcze nie wybiła godzina powrotu jego do urzędu. Sieyès fabrykował nową, doskonałą konstytucję, tymczasem rzeczy pozostały w zawieszaniu. Biskup niecierpiał swego niegdyś asystenta przy mszy federacyjnej. Kiedy ktoś przed nim wyraził się o tamtym: *Il a pourtant un esprit bien profond ?* — odrzekł: *Vous voulez dire peut-être creux?* Fabrykanta konstytucji przyrównywał do krawca, co robi zawsze suknie źle leżące. Tegosamego zdania był Bonaparte, który projekt konstytucji wydrwił, jako robiący z głowy rządu *un cochon à l'engrais*, odrzucił i własnym zastąpił.

Prawnie, zwłaszcza przy zręcznej interpretacji, pierwszy konsul miał przewagę nad dwoma drugimi i używał władzy monarszej. Obok tego jednak konsulowie mieli zbierać się codziennie dla wysłuchania sprawozdań ministrów. Talleyrand, zamianowany ministrem spraw zagranicznych w miejsce Reinharda, i w tej regule doradził wyłom. Bourrienne opowiada, że na wstępnej audyencji w te słowa odezwał się do pierwszego konsula: Dla dobra Francji i w interesie jedności w rządzie, pierwszy konsul winien mieć w swoich rękach wszystko, co należy do właściwej polityki, więc sprawy wewnętrzne i policyjne, sprawy zagraniczne, wojsko i marynarkę. Ministrowie tych pięciu wydziałów powinni zatem składać raporta tylko pierwszemu konsulowi i z nim pracować. Cambacérès, jako prawnik, niech się zajmuje sprawiedliwością; Lebrun, jako finansista, skarbem; to ich zabawi; pan generał zaś dzierżąc żywotne części rządu, będziesz mógł osiągnąć cel, jaki zamierzyłeś — odrodzenie Francji. Talleyrand w *Pamiętnikach* przyznaje się tylko do jednej części tego pomysłu, mianowicie do tego, że zwrócił uwagę pierwszego konsula na konieczność zachowania tajemnicy w zarządzie spraw zagranicznych i usunięcie ich z pod kolegiałnych rozpraw. W każdym razie, rada była zdrowa i pożyteczna. Z nią czy bez niej, człowiek z naturą, charakterem i geniuszem Bonapartego, musiał prędzej czy później wszystko zagarnąć.

34

W pierwszych szczególnie latach, Talleyrand był nieocenionym nabytkiem dla Bonapartego. Znał przebieg poprzednich układów i historię stosunków dyplomatycznych; umiał myśli Bonapartego ubrać w formę przyzwoitą, przemawiać językiem, nie rażącym Europy; gładkiem i zręcznym obejściem zacierał wrażenie popędliwości napoleońskich. Pierwszy konsul, bardzo prędko uchwyciwszy nić przewodnią, zrobił się sam swoim ministrem spraw zagranicznych, przejął całą inicjatywę, zostawiając Talleyrandowi wypracowanie szczegółów, ale ufał mu, nie gardził jego zdaniem, nacechowanem jak zawsze duchem umiarkowania, przenikliwym i trafnym. O ile sędzić można z poufnej korespondencji ¹, Talleyrand powziął do pierwszego konsula afekt nieklamany, złożony z admiracji, przywiązania i bojaźni. W początkach szczególnie, w miodowych miesiącach, a nawet i później dość długo, listy jego pełne są czułości, troskliwości, wykwinnych kadzideł, które nie samo pochlebstwo dyktowało. Pierwszy konsul często szwankował na zdrowiu i wyglądał na człowieka, który długo żyć nie może, przeciążał się pracą, odpoczynku nie znał. Latem 1801 r., Talleyrand pojechał do wód. Rozłąkę ze swoim panem nazywa: *la plus sensible des privations*; w każdym liście troszczy się o jego zdrowie, prosi, żeby nie zabijał się pracą, niepokoi się, że przesiaduje w wilgotnej bibliotece: *les rez-de-chaussée ne vous valent rien, vous êtes fait pour les hauteurs*; liczy dnie do powrotu; nie posiada się z ukontentowania, gdy odbiera dobre wiadomości, *car dans l'éloignement on se tourmente horriblement*. I zwykle kończy zapewnieniem, że mu pozostanie wiernym aż do śmierci. A choć w tych listach nie widać wielkich sekretów, prosi, żeby się niedostawiały w cudze ręce. Talleyrand całe życie drżał o los swoich autografów. W dziesięć niespełna lat później, można go było w nieprzyjemny wprowadzić kłopot, pokazując mu autograf z 13 września 1801 r., z podziękowaniem za dobrodziejstwo, wysławiane przez Bonapartego jego rodzinie, i z takim finałem:

¹ *Lettres inédites de Talleyrand à Napoleon*.

35

Permettez-moi d'emprunter à l'histoire d'une amitié célèbre ce qu'un ministre d'Henri IV disait à son maître: Depuis que je suis attaché à votre sort, je suis à vous, à la vie et à la mort. Ludwikowi XVIII i Ludwikowi Filipowi już Talleyrand dozwonnej wierności nie obiecywał.

W ciągu roku 1803 znika z listów serdeczność i poufałość, i tytuł *citoyen*; Bonaparte jest tylko generałem i pierwszym konsulem. Na czele listu z 24 lipca 1804 r. po raz pierwszy figuruje: *Sire*. Talleyrand znowu wybrał się do wód; ztamtąd prosi cesarza o pozwolenie korespondowania z nim prywatnie; wspomina także, iż w powrocie zatrzyma się w Valençay. Był więc już wtedy właścicielem tego majątku, bardzo znacznego i nabytego przy pomocy Napoleona, który dał mu półtora miliona franków na skompletowanie ceny kupna ¹. Z tego wynika, że biskup potrafił dorobić się fortuny w przeciągu niedługiego czasu. Później, kiedy stosunki z cesarzem się popsuly i częste wynikały sceny, Napoleon zapytał Talleyranda, jakim sposobem zebrał tyle pieniędzy? — NPanie, — odparł — bardzo prostym: kupowałem rentę przed 18 brumaire i sprzedałem nazajutrz. On sam nie przeczył, że grał na giełdzie, ale zawsze dodając: pomimo, że grywałem niby napewne, straciłem tyle i tyle milionów.

W 1805 r., podczas kampanii austriackiej, Talleyrand pociągnął w pole za Napoleonem. Posiadał jeszcze wtedy zupełne zaufanie cesarza, ale coraz mniej wpływu na ważne postanowienia. Projekta najważniejszych depeesz cesarz sam dyktował; wypadki wojenne często oddalały Talleyranda od głównej kwatery, będącej centrem, w którym wszystkie nici się zbiegały. Traktat z Prusami o Hannover z 15 grudnia

¹ Nie mogąc dostać *La Biographie universelle de Michaud*, nie jestem w stanie podać wielu dat z prywatnego życia Talleyranda, nawet kiedy się ożenił. Sainte-Beuve, świadek niepodejrzany, ostrzega, że życiorys Talleyranda, w tem dziele zamieszczony, tchnie nienawiścią i nie całkiem zasługuje na wiarę.

1805 r., Duroc i Haugwitz spisali pod dyktandem Napoleona. Na ministra spraw zagranicznych spadał obowiązek wytłumaczenia przed Europą faktów spełnionych. Talleyrand był w tym mistrzem, on, co nie cofnął się przed rolą adwokata w dwóch sprawach arcynieczystych, wypadków 10 sierpnia 1792 r. i zabójstwa księcia d'Enghien. Co się tyczy tego ostatniego, poświęcił w *Pamiętnikach* cały rozdział własnej obronie i dogodzeniu, że nie miał w tym dramacie innego udziału, jak ten, jak i z urzędu przypadał ministrowi spraw zagranicznych, to znaczy, że przedkładał Bonapartemu raportu agentów dyplomatycznych, wzmiankujące o pobycie księcia nad granicą, a potem zwykłym porządkiem umotywowował wobec gabinetów postępek pierwszego konsula. Nic też więcej Talleyrandowi dokumentami nikt nie dowiódł. Prawdopodobieństwo leży po stronie jego podań. Z natury nie był ani okrutnym, ani mściwym, nie miał żadnego interesu w śmierci ks. d'Enghien; natomiast musiał dbać o to, aby nie ściągając ohydy na głowę Bonapartego i nie utrudniać stosunków między nim i Europą monarchiczną. Jedyńą jego winą, że nie użył swego wpływu, żeby zbrodni niedopuszczyć; czy miał po temu czas, sposobność i możność, to znowu trudne do rozwiązania pytanie. Napoleon był w owych dniach w tak wściekłym humorze, że Józefina i jej damy honorowe oddech w sobie tamowały. Talleyrand, leniwy i ociężały, trudno się ruszał z powodu nogi, wołał nie wkładać palca między drzwi i nic kompromitować się zbytkiem gorliwości. Po egzekucji księcia, pozostawało mu do wyboru, albo zrobić, co zrobił, albo złożyć urząd i potem... pójść na pokutę do Trappistów. Kiedy mu radzono podać się do dymisji, odrzekł: *Si Bonaparte s'est rendu coupable d'un crime, ce n'est pas une raison pour que je me rende coupable d'une sottise.*

VI.

Z Strassburga, po batalii pod Ulmem, Talleyrand posłał cesarzowi znakomitą i godną uwagi pracę, z projektem przymierza austriackiego.

37

Europa — pisał — liczy obecnie cztery wielkie mocarstwa; Prusy bowiem uchodzą jedynie w opinii powszechnej za wielkie mocarstwo dlatego, iż jeden z monarchów pruskich wielkich dopełnił rzeczy, i że nawyknięto brać za jedno Fryderyka II i państwo, które okrył sławą. W rzeczywistości Prusy, z rozkawałkowanym terytoryum i zewsząd otwartem, z niewdzięczną ziemią i dziesięciomilionową ludnością, z ubogim przemysłem i brakiem kapitałów, są zaledwie pierwszym państwem drugiego rzędu. Na czele wielkich mocarstw stoi Francya, potężniejsza od każdego z pozostałych, zdolna oprzeć się wszystkim. Z liczby innych mocarstw, dwa, Anglia i Austria, są naturalnymi nieprzyjaciółmi Francji; trzecie, Rosya, oddzielona od Francji olbrzymią przestrzenią, nie jest naszym wrogiem bezpośrednim, lecz tylko pośrednim, jako przeciwnik najdawniejszych sprzymierzeńców Francji (Szwecyi, Danii, Turcyi). Dopóki Austria i Anglia nie przestaną rywalizować z Francją, pozostaną z konieczności w zgodzie i przymierzu z sobą. Dopóki Austria nie wejdzie w współzawodnictwo z Rosją, Anglii łatwo przyjdzie związać je wspólnem przymierzem. Dopóki Rosya stykać się będzie z Turcją i dopóki nie porzuci zamiaru podboju Turcyi, Francya uważać musi Rosję za swego wroga. W tych warunkach, grozi Europie nieprzerwany szereg wojen, traktaty pokojowe będą zawieszaniem broni i krew ludzka lać się nie ustanie. W tych wszystkich wojnach Francya będzie musiała brać udział. Alians Francji z Prusami uważany był niegdyś, jako zadatek pokoju na kontynencie. Obecnie jest on niemożliwym. Polityka pruska, bojaźliwa, podstępna i chciwa, dąży do zysków bez ryzyka, do zwycięstw bez wojny; król dzisiejszy (Fryderyk Wilhelm III), człowiek jeszcze młody i mający zapewne przed sobą długie panowanie, ma pociąg do skąpstwa i spokój miłuje. Zostawmy przeto Prusy na boku i starajmy się usunąć przyczyny niezgody między Francją i Austrią, tamsamem rozdzielić interesa Austrii i Anglii i oba te mocarstwa obrócić przeciwko Rosji, a tamsamem byt Turcyi zabezpieczyć. Aby to osiągnąć, należy najpierw położyć koniec bezpośredniemu sąsiedowaniu Francji

38

z Austrią. Wenecya powinna utworzyć państwo odrębne i niepodległe, oddzielające Austrię od Francji, republikę, z instytucjami arystokratycznymi. Domowi austriackiemu należy odebrać możność wywierania przewagi na Szwajcaryę i południowe Niemcy, i wszystkie te ofiary wynagrodzić Austrii na wschodniej granicy. Austria była niegdyś przedmurzem od Turków, dziś niech się stanie przedmurzem od Rosji. Dajmy Austrii Mołdawię i Wołoszczyznę, Bessarabię i część północną Bułgarii; bogate prowincye, panowanie na Dunaju, przystęp do morza Czarnego, skompensują utratę Wenecyi i Tryestu. Austria pragnie posiadania księstw naddunajskich i z bólem widziałaby ich przejście w ręce Rosji. Co do Turków, czują oni własną słabość i wiedzą, że rozległość państwa przyspiesza utonięcie dominującego żywiołu w podbitej ludności. Utrata kilku prowincyj, wzmocni Turcję i przedłuży jej byt.

Wśród nowych stosunków, polityka Austrii przyjmie odmienny kierunek. Posiadanie Mołdawii i Wołoszczyzny wywoła antagonizm z Rosją, odwróci uwagę i siły Austrii ku Wschodowi. Zamiast popierać plany tureckie Rosji, Austria będzie je krzyżować i z potrzeby zbliży się ku Francji. Anglia nie znajdzie wtedy sprzymierzeńców na stałym lądzie. Rosyanie przerzucą się ku południowej Azji, a tam bieg wypadków sprowadzi kiedyś starcie między Rosją i Anglią¹.

Plan Talleyranda był wykonalny, wobec przewagi Napoleona nad Austrią i na kontynencie. Osiągnąć miał skutek, jaki w naszych czasach osiąga ks. Bismark, podobnemi środkami. W końcu, i co najważniejsze, kładł wcześniej tamę dążeniu Napoleona do owdładnienia całej Europy, na czem Napoleon sobie kark skrzył i Francya niezmiernie wiele ucierpiała.

Cesarz musiał być uderzony planem Talleyranda, skoro zwołał radę *ad hoc* do Monachium; lecz niebawem uniosły go powodzenia wojenne i poszedł drogą wręcz przeciwną.

¹ *Lettres inédites de Talleyrand à Napoléon*. 17 października 1805 r.

39

Wystawiano często Talleyranda jako rodzaj pasożyta, żyjącego z cudzych myśli i cudzej pracy, że gdy był ministrem, wszystko za niego odrabiali sekretarze, nawet korespondencję z monarchami, którą on tylko, jak etykieta wymagała, przepisywał własną ręką. Jest to bajka, przez niechęć ukuta. Talleyrand nie robił sam tego, w czym się mógł wyręczyć; zresztą żaden człowiek wszystkiemu nie byłby wydołał. Nosząc na nodze ciężki przyrząd żelazny, nie mógł długo siedzieć przy stoliku; pismo świadczy,

że ręka mu się trzęsła i że pióro trzymał z wielką trudnością. Opowiadania tych, co z nim wiele obcowali, dają pojęcie, jak pracował.

Leżąc na sofie, mówił sekretarzowi, co i w jakim sensie trzeba zredagować. W tece miał zawsze mnóstwo różnych notatek, które w potrzebie na jaw wychodziły. Potem kazał sobie czytać brulion, wskazywał poprawki i zmiany, często na bok odkładał i znowu po namyśle polecał przerabiać. Listy czasem dyktował, najczęściej poprzestawał naustnych instrukcyach. Z porównania brulionów z autografami, widać najlepiej jego własny udział w przepisywaniu; nie tylko skracał i zmieniał wyrażenia, ale dodawał zdania całe, i wyciskał na rzeczy osobiste piętno swoje. Faktem jest, że wszystka korespondencja ministryalna, równie jak korespondencje z Wiednia, z czasów kongresu, i z Londynu, z czasów ambasady, przechodziła przez jego ręce.

Podążając za Napoleonem, Talleyrand przejechał wskroś Niemcy, widział pole bitwy pod Austerlitz, jeszcze pokryte trupami i rannymi. W Wiedniu ponownie odezwał się do cesarza w obronie Austrii, „niezbędnej dla przyszłego zbawienia ludów cywilizowanych“¹. Cesarz nie posłuchał i Talleyrandowi wymawiał, że w Pressburgu, wbrew jego rozkazom, zbyt miękko prowadził układy.

¹ *Lettres inédites de Talleyrand à Napoléon*. 5 grudnia 1805 r.

VII.

Fox, następca Pitta, począł traktować z Francją o pokój, którego pierwszym warunkiem musiał być zwrot Hannoweru, ustąpionego przez Napoleona Prusom. Gabinet berliński, trzymając się zasady: *ce qui était bon à prendre, est bon à garder*, zwrotu odmówił. Z tego wynikła wojna między Francją i Prusami. Talleyrand i tym razem pociągnął za armią. Napoleon miał z pewną obawą rozpocząć kampanię; bitwa pod Jeną przekonała go, że Talleyrand słusznie liczył czasy Fryderyka W. do wspomnień minionych. W Berlinie cesarz otrzymał proklamacyę ks. Pokoju, zapowiadająca defekcyę Hiszpanii. Po Jenie, wystraszony Godoy wszystkiego się wyparł, ale, według Talleyranda, Napoleon, który już przedtem wygnał Burbonów z Neapolu, wtedy poprzysiął zgubę Burbonów hiszpańskich. A ja, — dodaje Talleyrand poprzysiąłem sobie w duszy, że bez względu na cenę, przestanę być ministrem Napoleona, zaraz po powrocie do Francji. W mojem postanowieniu utwierdziło mnie barbarzyństwo, z jakim obszedł się z Prusami w Tylży. — Podobno i tym razem pamięć niedopisała Talleyrandowi i datę przysięgi zawcześnie umieścił. Bardziej zbliżonem jest do prawdy przypuszczenie, że włóczęga, trudy i niewygody w niej doznane, zbrzydziły mu urząd.

Z Berlina na Poznań podążył do Warszawy, gdzie stanął w końcu grudnia 1806 r. i bawił do pierwszych dni maja następnego roku. Podróż w zimie po naszych drogach, mogła stanąć kością w gardle człowiekowi już niemłodemu, nietęgiego zdrowia i przywyklemu do wygód; w Poznaniu Talleyrand mieszkał w ciasnym pokoiku, z wchodem wprost z sieni; koło Łowicza, ugrzązłszy w błocie, przesiedział całą dobę w karecie. W Warszawie, Barante wysłany naprzód jako kwatremistrz, wynalazł mu przyzwoite pomieszczenie w pałacu Radziwiłłowskim, umeblowanym po europejsku, i łóżko z firankami. Koło ministra spraw zagranicznych zgromadziło się ciało dyplomatyczne. Talleyrand zaprzyjaźnił się

41

z ks. Józefem Poniatowskim i jego siostrą panią Tyszkiewiczową; ta przyjaźń trwała aż do jej śmierci. Zresztą, przez te kilka miesięcy pracował, jak nigdy w życiu, i robił rzeczy, jakich nigdy się nie tykał; cesarz kazał mu bowiem zajmować się szyciem mundurów, zakładaniem szpitali, wysyłką zboża, mąki, sucharów, słoniny i wódki.

Napoleon żądał od Polaków jak najwięcej wojska, aby sobie samemu sił przysporzyć; reszta zależała od okoliczności. Deputacyi polskiej w Poznaniu powiedział: gdy będziecie mieć czterdzieści tysięcy żołnierza, staniecie się godni być narodem i godni mojej opieki. Proklamacyami i obietnicami poruszył umyślnie uczucie patryotyzmu; potem narzekał, że widzi więcej egzaltacyi, niż czynu. Talleyrand od dawna miał sympatyę dla Polski, lecz krzyżować polityki cesarza nie miał ani możności, ani wielkiej ochoty. Obietnicami też Polaków nie łudził. Minister saski Senfft wspomina, że magnaci polscy złożyli na ręce Dalberga cztery miliony złotych dla Talleyranda, który po pewnym czasie pieniądze kazał zwrócić.

Fakt ten zdaje się świadczyć, że i w Polsce wiedziano, którędy trafia się do Talleyranda. Pozostaje do rozwiązania kwestya, czy był on w istocie tak przekupnym, jak go często wystawiano. Chateaubriand okropną rzucił nań obelgę: *Quand il ne conspire pas, il trafique*. Ale wiadomo, jaką straszną nienawiść Chateaubriand żywił do Talleyranda, jak był zawzięty w nienawiściach i jak szarpał bez litości swoich przeciwników. Wiadomo dalej, że Chateaubriand nigdy nie mógł przebaczyć Talleyrandowi, iż w początkach pierwszej i drugiej restauracyi, zajął miejsce rojalistów czystej krwi, a przedewszystkiem miejsce, z prawa należne genialnemu poecie, i skaził rządy prawowitej dynastyi narzuceniem liberalizmu. Mogły się znaleźć i inne osobiste powody, gdyż Talleyrand nie ukrywał antypaty do autora *Geniuszu*

¹ Ciało pani Tyszkiewiczowej, zmarłej w Tours w 1834 r., na jej życzenie pochowane zostało w Valençay w grobie rodzinnym pod kaplicą, wybudowaną przez Talleyranda.

42

Chryścianizmu. Po wyjściu *Męczenników*, Fontanes recenzycę książki, przepelnionej przesadnemi pochwałami, zakończył wzmianką, że bohater i bohaterka byli pożarci *pa rles bêtes*; Talleyrand dorzucił: *Comme l'ouvrage*. Bezpieczniej przeto, podania Chateaubrianda przyjmować z wielką ostrożnością. Z drugiej strony, nie ulega kwestyi, że Talleyrand, choć już w pióra porosły, choć obdarzony przez Napoleona księstwem Benewentu, z którego ciągnął znaczne dochody, nie opuszczał żadnej okazji pomnażania fortuny. Istniał zwyczaj, i przeszedł w regułę, podarunków, dawanych przez monarchów obcym ministrom i dyplomatom, po podpisaniu każdej umowy międzynarodowej, podarunków w kosztownościach i gotówce. Brali wszyscy, Talleyrand brał olbrzymie summy; sam obliczał na sześćdziesiąt milionów zysk z tego tytułu. Od Saksonii, dostał milion franków. W Warszawie księstwa Anhalt, Szwarzburg, Waldeck, Lippe, Reuss, zostały przyjęte do związku reńskiego; drobnym księżętom bardzo szło o ten przywilej, gwarantującym przynajmniej do czasu spokój i bezpieczeństwo. Napoleon żalił się później, że go Talleyrand oszukał, wystawiając w fałszywem świetle wartość tego nabytku. Z Pamiętników Gagerna, ministra nassauskiego, który te sprawy traktował, pokazuje się, że pieniądze grały w nich rolę. Gagern zaręcza, że targi bezpośrednie miejsca nie miały,

lecz on sam taksował usługi Talleyranda, co najwięcej porozumiewszy się poprzednio z p. de Sainte-Foy. Ten, Montrond i Dalberg¹ figurują we wszystkich podejrzanych robotach Talleyranda.

Napoleon wiedział o wszystkim i tolerował do czasu. W Moguncyi, przed kampanią pruską, jednego z książąt niemieckich zapytał przy świadkach: Ile ciebie Talleyrand kosztował? Później, gdy Talleyrand popadł w niełaskę, cesarz nieraz mu wyrzucał przekupstwo, ale już to samo,

¹ Dalberg, minister badeński w Paryżu, otrzymał od Napoleona tytuł książęcy i milionową dotację, wraz z naturalizacją. Po wejściu wojsk sprzymierzonych do Paryża, zasiadł on obok Talleyranda w rządzie tymczasowym.

43

że tak długo cierpiał branie pieniędzy przez Talleyranda, dowodzi, że Talleyrand nie sprzedał ani żadnej tajemnicy stanu, ani interesu Francji.

VIII.

Za powrotem do Paryża, Talleyrand złożył urząd ministra spraw zagranicznych; przy tej sposobności, będąc już wielkim szambelanem, otrzymał od cesarza nową synekurę, *honorable et lucrative*, wice-wielkiego elektora. Ostatni swój list ministeryalny do cesarza, zakończył temi słowy: *Le premier et le dernier sentiment de ma vie sera la reconnaissance et le dévouement*¹. Łaski i zaufania nie postradał u Napoleona, który nie przestał zasięgać jego rady i używać do ważnych poleceń.

Talleyrand bez entuzjazmu położył swój podpis na traktacie z Prusami, i bez entuzjazmu negocjował w Tylży z Rosyanami, do których czuł wstręt. Pierwszy poniżał Prusy i siał tam nasienie zemsty; umowa z Rosją zapowiadała nową erę zawikłań i karkołomnych przedsięwzięć. Wszystko, co Talleyrand w *Pamiętnikach* prawi o swoich sentymentach dla królowej Ludwiki, ma na celu skaptowanie czytelnika. Widok nieszczęśliwej kobiety, lekceważące obejście z nią Napoleona, nie mogły mu być przyjemnymi, ale widział on gorsze sceny w swoim życiu i zniósł je z zimną krwią. Do usunięcia się z urzędu, skłoniło go prawdopodobnie co innego; przekonał się, że niepodoła trudom, jakie pociągało towarzyszenie cesarzowi w wojennych wyprawach, tudzież, że nieposiada dość wpływu, aby politykę cesarza na inną drogę kierować. W końcu zaś, nie miał ochoty być prostym *commis* i jak wół od rana do nocy pracować. Nie wynikało z tego bynajmniej, żeby był przestał wierzyć w trwałość rządów Napoleona, albo dla siebie marzył o *otium cum*

¹ *Lettres inédites*. 10 sierpnia 1807 r.

44

dignitate, ani też, żeby się wdał w kabały i konspiracje przeciwko cesarzowi.

Wiedząc dobrze czem grozi igranie z ogniem pod bokiem takiego Argusa, dbał jak najmocniej o względy Napoleona, aby być o wszystkim powiadomionym, i mózdz, czy radą, w stosownej porze umieszczoną, czy też swoim wpływem w kraju i zagranicą ułatwić osiągnięcie celu, jaki sobie postawił.

Napoleon, obsypując ludzi, co mu służyli, zaszczytami i pieniędzmi, przywiązywał ich do siebie; lecz ci ludzie, tak szybko wyniesieni, zapragnęli w końcu spokoju i możliwości używania posiadanych darów. Już w r. 1805 istniała we Francji partya, niechętna bezustannym wojnom. Dwa lata następne, pruska i polska kampania, w krajach, wydających się Francuzom dzikimi, wywołały nawet w wyższych wojskowych zniechęcenie. W Warszawie słyszano skargi, że Paryż ujrzą chyba w powrocie z Chin. Kula mogła dosięść cesarza i sprowadzić katastrofę, wszystko pochłaniającą. Dygnitarze cywilni jeszcze goręcej życzyli sobie pokoju, wzmocnienia dynastji Bonapartów we Francji i w Europie. Talleyrand, dalej od wielu w przyszłość patrzący, był naturalną

głową tego stronnictwa i sprawy niezasypiał. Niepokoiła go wzrastająca zażyłość Napoleona z Aleksandrem I. Napoleon kuśił Aleksandra projektem rozbioru Turcyi; w Tylży obiecał nie sprzeciwiać się aneksyi Mołdawii i Wołoszczyzny; dalsze zabory wiązał z planem wspólnej wyprawy do Indyj Wschodnich. Byłyto rzeczy dalekie, lecz tymczasem Napoleon otrzymał od Rosyi zamknięcie portów dla flagi angielskiej i Austrii odebrał sprzymierzeńca, co mu ułatwiało przeprowadzenie systemu blokady kontynentalnej, planów hiszpańskich i innych zamiarów, mianowicie zamiaru powtórnej napaści na Austryę.

W styczniu 1808 r. Talleyrand otworzył się przed Metternichem. Cesarz — rzekł — żywi dwa projekta: rozbiór Turcyi i wyprawę indyjską; pierwszy ma realne podstawy, drugi jest romanssem. Austrya powinna w obu wziąć udział i wejść do Konstantynopola razem z Francuzami i Rosyanami.

45

Francja i Rosya chcą Turcję rozebrać; nic nie zmieni postanowienia cesarza, którego znasz charakter. Potoku wstrzymać nie zdołacie; jeżeli spróbujecie stanąć wpoprzek, będziecie zgnieceni, Austrja spadnie między państwa drugorzędne. — Nieco później sam Napoleon nadmienił Metternichowi, że upór Anglików może go zmusić do podjęcia rozbioru Turcyi; *il faut que vous en soyez*, pretensye geograficzne Austrii do Dunaju są słuszne. — Talleyrand zrobił zapewne swój krok, jeżeli nie z rozkazu cesarza, to zgodnie z jego myślą; tylko poszedł dalej, z widocznym zamiarem, aby Austryę przychylnie usposobić i odebrać Napoleonowi pozór do zaczepki. Metternichowi propozycja przypadła do smaku: Turcyi nie ocalimy, pisał do Stadiona; trzeba więc dopomóc w rozbiórce i starać się, żeby nam przypadł udział jak największy. — Gabinet wiedeński był innego zdania, sądził, że o własnych siłach zdoła Francję pokonać; rachuby obaliła katastrofa roku 1809.

Negocjacye z dworem hiszpańskim, poprzedzające inwazyę francuską i zamach na rodzinę królewską, prowadził Talleyrand, wskutek wyraźnego polecenia cesarza, razem z ministrem spraw zagranicznych, Champagny'm. Gdy sprawa wzięła zły obrót, Napoleon całą winę zwał na Talleyranda, twierdząc, że on go namówił do tego przedsięwzięcia. Bliższem wydaje się prawdy, że Napoleon szukał kozła ofiarnego i znalazł. W lipcu 1808 r. Metternich donosił, że Talleyrand od kampanii pruskiej jest przeciwnikiem zaborczego systemu cesarza i najmocniej potępia przewrót w Hiszpanii. Talleyrand w *Pamiętnikach* to samo powtarza. Miał doradzać cesarzowi tylko okkupację Katalonii, aby dwór hiszpański na wodzy utrzymać, oraz w widokach przyłączenia tej prowincyi do Francji, w zamian za Portugalię.

Sprawa hiszpańska poróżniła ostatecznie Talleyranda z cesarzem. Talleyrand nie tylko w oczy cesarzowi się sprzeciwił, lecz w najostrzejszych wyrazach ganił jego postępek

¹ *Mémoires de Metternich: Metternich à Stadion. 18 Janvier 1808.*

46

przed ludźmi. Po zamachu w Bayonnie miał rzec: *On s'empare des couronnes, mais on ne les escamote pas*. Wszystko to dochodziło uszów cesarza, a krytyki człowieka na wyjątkowym stanowisku, ubodły go do głębi. Przez zemstę i żeby wielkiego szambelana w oczach świata skompromitować, osadził infantów hiszpańskich w Valençay. Talleyrand nie pozostał dłużnym zapłaty za taki figiel. Otoczył infantów królewskimi honorami i uczynił to z taką ostentacją, że wszyscy zrozumieli o co chodzi. Chcąc nie chcąc, zrobił przytem dobry uczynek. Ci biedni książęta, którym w Madrycie niewolno było razem wyjść na spacer bez pozwolenia króla, dopiero na wygnaniu zaznali nieco swobody, nauczyli się jeździć konno i strzelać. Do czytania nie było sposobu ich nakłonić, zaledwie interesowały ich obrazki. Gospodarz niezapomniał o pociechach religijnych: *la grande in fortune rend la foi plus vive et l'âme plus sensible*. Dzień kończyła wspólna modlitwa, gromadząca książąt, oficerów gwardyi, żandarmów i ex-biskupa.

Napoleon, wracając z Bayonny, zawezwał Talleyranda do Nantes. Tam zaszła między nimi sprzeczka o Hiszpanię. Talleyrand miał cesarzowi powiedzieć, że w każdym razie więcej stracił, niż zyskał, a zapytany, jak to rozumieć, odparł: Świat wiele przebacza, szaleństwa, wiarołomstwo małżeńskie, winy względem przyjaciół; ale oszustwa w grze nie przebacza: przed takim człowiekiem wszystkie drzwi się zamykają. — Czy aż tak daleko się posunął, wolno powątpiewać, ale podobne sądy słyszał z jego ust Beugnot.

Pomimo nadwerżenia osobistych stosunków, cesarz zabrał Talleyranda do Erfurtu i poruczył mu negocjacyę z Rosyą, główny kładąc nacisk na to, aby otrzymać od Aleksandra zobowiązanie, iż w razie wojny z Austryą, stanie po stronie Francyi. Widoki cesarza pokrzyżowały się z widokami Talleyranda; jeżeli też kiedy, to w Erfurcie, nie zgrzeszył przesadą w gorliwości. Aleksander przybył z uczuciem zawodu, zachwiany i podejrzliwy. Pierwsze spotkanie monarchów, dla obu było kłopotliwe. Napoleon kazał pozostać Talleyrandowi i zarzucił gościa pytaniami o zdrowie małżonki

47

i rodziny; Aleksander odpłacił równą troskliwością. Gdyby czas na to pozwolił — powiada Talleyrand — przyszłaby była nieomylnie kolej na kardynała Fesch ¹. Istotną negocjacyę Napoleon sam prowadził, wikłając Aleksandra w płataninę różnorodnych pokus. Talleyrand prędzej rozdmuchiwał zarzewie nieufności, tlejące na dnie duszy cara. Według Metternicha, miał wręcz powiedzieć Aleksandrowi: Co tu robisz, NPane? Twojem zadaniem uratować Europę, stawiać głowę Napoleonowi. Naród francuski jest narodem cywilizowanym, lecz jego monarcha cywilizowanym nie jest; w Rosyi rzeczy stoją odwrotnie; przeto cesarz rosyjski powinien być sprzymierzeńcem narodu francuskiego... Ren, Alpy, Pyreee, są podbojami Francyi, reszta podbojem cesarza; Francya o to niedba. — Skoro tem się nie pochwalił w *Pamiętnikach*, trzeba przypuścić, że Metternich był źle poinformowany. Pewnem jest przecież, że Aleksandra nakłaniał do zbliżenia się z Austryą i w Paryżu takiej samej rady udzielił Metternichowi, albowiem jedynie zgoda Austrii z Rosyą może ocalić resztki niepodległości Europy. Byłto godziwy sposób ukucia zbawiennego hamulca na Napoleona, Francya na tem tylko zyskać mogła, i Talleyrand zdobyć rękojmnię spokojnego posiadania księstwa Benewentu, wraz z synekurami.

Cesarz wyjechał do Hiszpanii; podczas jego nieobecności nastąpiło zbliżenie między Talleyrandem i Fouché. Metternich przyrównywał ich obu do podróznich na okręcie, sterowanym przez człowieka nie przy zdrowych zmysłach, i oczekujących chwili, kiedy przyjdzie im uchwycić ster w własne ręce. Innemi słowy, przewidywali możność śmierci Napoleona, od kuli, albo sztyletu. Talleyrand miał porozumiewać się z Muratem o objęciu tronu francuskiego, z wyłączeniem braci cesarza. W styczniu 1809 r. zaraz po powrocie Napoleona,

¹ Żeby zmierzyć złośliwość tej uwagi, trzeba pamiętać, że kardynał należał do członków rodziny, najmniej Bonapartom splendoru przyczyniających. Karyerę rozpoczął od tego, że był korsarzem.

² Memoryał Metternicha z 4 grudnia r. 1808: *Mémoires*.

48

burza wybuchła nad głową Talleyranda. W obecności arcykanclerza i ministra marynarki, cesarz wyrzucił Talleyrandowi, że on i Fouché stoją na czele stronnictwa nieprzychylnego rządowi, i które zamierzało zmienić porządek następstwa tronu; potem wdał się w rozmaite rekryminacye z przeszłości; traktat pressburski nazwał *infamią i owocem korupcyi*. Tegosamego dnia, Duroc, z rozkazu cesarza, zażądał u Talleyranda zwrotu klucza szambelańskiego.

IX.

Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło: wraz z kluczem szambelańskim, Talleyrand pozbył się z domu małżonki.

W swoim czasie, gorąco popierał zawarcie konkordatu, pierwotnie jak najbardziej wstrętnej opinii powszechnej, szczególnie wojskowemu. Po podpisaniu pokoju z Rzymem, otrzymał od papieża zdjęcie z siebie klątwy, tudzież pozwolenie noszenia odzieży świeckiej i sprawowania cywilnych urzędów. W testamentie nazwał to swoją sekularyzacją, chociaż *breve* nie zawierało wzmianki o zwolnieniu od ślubów kapłańskich. Wkrótce potem poznał panią Grand, rodem z Indyj Wschodnich, wdowę po Angliku, czy Amerykaninie, i postanowił z nią się ożenić, a niedostawszy ślubu kościelnego, poprzestał na cywilnym. Tym sposobem wszedł w nową kollizyę z Kościołem.

Księżna Benewentu słynęła z piękności i głupoty, posuniętej do tego stopnia, że mając u siebie na obiedzie Anglika, nazwiskiem Robinson, zapytała go, co porabia *Piątek*? Z popełnionej przez pojęcie takiej gęsi niedorzeczności, Talleyrand uniewinnił się po swojemu drwinami: *Une femme d'esprit compromet souvent son mari, une femme stupide ne compromet qu'elle-même*. W dodatku, księżna Benewentu zakochała się w ks. San-Carlos, Hiszpanie. Gdy Talleyrand popadł w niełaskę, Napoleon zakazał jego żonie pokazywać się u dworu i Hiszpana wygnać do Bourg; poczem pani Talleyrandowa

z rozpaczy zamknęła się na wsi. Później stadło połączyło się znowu pod jednym dachem. Od r. 1815 już razem nie mieszkali, a na nagrobku małżonki, Talleyrand polecił drobnymi literami wyryć, że tam leży jego żona *cywilna*.

Talleyrand mógł po sobie najlepiej miarkować, jak wiele świat przebacza. Choć w niełaskę popadły, w kraju absolutnie rządzone i wśród społeczeństwa gnębionego terroryzmem policyjnym napoleońskiej, zachował znaczenie, stanowisko wyjątkowe i w tamtych czasach jedyne. Składały się na to różne ingrediencje. Rozumem, dowcipem i sprytem, niejednym mógł dorównać Talleyrandowi, ale mało kto umiał tak, jak on, tych darów używać; pod tym względem Talleyrand był artystą skończonym i aktorem najpierwszego rzędu. W demokratyzującej się Francji, dworskie maniery, grzeczność i uprzejmość, przypominające pokoje wersalskie, nieprzestały uroku wywierać. Stara arystokracja i nowa, tworzyły dwa światy odrębne; z porównania, tamta zwycięsko wychodziła. Cambacérés, niegdyś adwokat przy parlamencie w Aix, w Prowansji, wziął na marszałka dworu swego dawnego prezydenta p. d'Aigrefeuille, który zaczął go tytułować *Altesse*; on mu na to: *Quand nous sommes entre nous, bornez-vous à m'appeler Monseigneur*. Gagern znowu opowiada, że w Warszawie Talleyrand od początku prosił, żeby go nietytułował *Altesse*, tylko po prostu *M. de Talleyrand*. Trzeba zaś wiedzieć, że Talleyrand miał do wysokiego stopnia rozwiniętą dumę rodową i pretensję należenia do najstarszych rodzin francuskich, co najmniej równych Burbonom. Otrzymał księstwo Benewentu, umyślnie zaniedbał dopełnić formalności, potrzebnych do zamieszczenia w księgach heraldycznych tytułu książęcego, który lekceważył, nadmieniając: *Je suis moins, et peut-être je suis plus*. Był niezmiernie gościnnie, wydawał dużo, trzymał doskonałego kucharza, lubił ludzi widywać, dawał bale dla dorosłych i dla dzieci, koncerta, przedstawienia teatralne, i wtedy ściągał do swego domu najznakomitszych artystów. Pomimo kolosalnego majątku, popadał często w kłopoty pieniężne, wskutek nieudanych spekulacji i z winy własnej hojności. Ta hojność

była także swego rodzaju. Posuwając pogardę dla rodu ludzkiego i cynizm niemal do ostatnich granic, lekceważył zapewne regułę chrześcijańską i zasadę, żeby datek szedł w parze z dobrem słowem; lecz dalekim był również od faryzeuszowskiej polityki smarowania na wszelki przypadek ucha igielnego. Dawał, bo nierozumiał, żeby można nie podzielić się z drugim, i datek z jego ręki nieupokarzał obdarowanego.

Pomimo niełaski, zresztą urzędownie do *minimum* zredukowanej, stosunek z cesarzem nie zerwał się całkiem. Jako wice-elektor, Talleyrand zachował miejsce w wielkiej radzie i prawo do zasiadania w regencji, na wypadek zejścia cesarza. W sprawie rozvodu i małżeństwa z Maryą Ludwiką wziął czynny udział; w wielu innych sprawach Napoleon zasięgał jego zdania. Pomimo wszystkiego, pomimo nienawiści obustronnej i nietajonej, pomimo gwałtownych scen i ciągłego kłóśnięcia się przy lada okazji, ci dwaj ludzie nie

byli w stanie zerwać tajemnej nici, która ich łączyła. *On revient toujours à ses premiers amours*. Dziwny to był gatunek miłości, bardzo silny i trwałe. Wpadłszy w gniew, Napoleon wylewał na głowę Talleyranda konewki obelg, oskarżał o sprzedajność, zdradę, intrygi, spiskowanie, autorstwo zabójstwa ks. d'Enghien i brudów hiszpańskich; ale gdy mu doradzano Talleyranda uwieźć, odpowiadał: *Jamais je ne donnerai la main à la perte d'un homme, qui m'a longtemps servi*. W r. 1812, Talleyrand potrzebował gwałtownie pieniędzy, z powodu bankructwa bankiera, z którym był w spółce; cesarz przyszedł mu w pomoc, odkupując pałac w Paryżu za 1.280.000 fr. Przed kampanią rosyjską chciał mu powierzyć zarząd Polski; po bitwie pod Lipskiem, sprawy zagraniczne. Podczas kongresu w Chatillon kilka razy powtarzał: *Ah! si Talleyrand était là, il me tirerait d'affaire*; podczas stu dni często żałował nieobecności swego dawnego ministra: *C'est encore l'homme qui connaît le mieux ce siècle et le monde, les cabinets et les peuples*.

Najcięższe obelgi Talleyrand znosił w milczeniu, z zimną krwią, wprawiając świadków w zdumienie. Raz szepnął

tylko na schodach: *Quel dommage qu'un aussi grand homme ait été si mal élevé.....* W r. 1814, przed odjazdem cesarza do armii, miała miejsce nowa i podobno najgorsza awantura. Napoleon przez dziesięć minut lżył Talleyranda, który stojąc przy kominie, zasłaniał się od ognia kapeluszem i tak spokojnie wyglądał, jak żeby szło o kogo innego. Z domu dopiero napisał do cesarza list tej treści, że kiedy cesarz ma tak złą o nim opinię, nie może myśleć o wejściu w dany raz do regencji; składa przeto godność wice-ektora i prosi o pozwolenie usunięcia się na wieś. Dymissya nie została przyjęta; cesarz kazał prócz tego oznajmić Talleyrandowi, że może zostać, gdzie jest. W tym wypadku, Talleyrand poczuł, że mu już wolno cesarzowi stawić głowę — cesarz natomiast, że nie jest już dość silnym, żeby z takim człowiekiem otwarcie zerwać.

Za doznawane upokorzenie Talleyrand mścił się językiem, nicując wszystkie postęпки cesarza, słusznie i niesłusznie, potrzebnie i niepotrzebnie. Był oddawna stronnikiem przymierza austriackiego, oświadczył się za małżeństwem z arcyksiężniczką, lecz gdy oba przysły do skutku, potępił jedno i drugie: *L'Empereur pense-t-il que la maison de Habsbourg considère comme un honneur de s'allier avec la famille Bonaparte?* Była to święta prawda, jednak dla cesarza nieprzyjemna. Co się tyczyło przymierza, Talleyrand słusznie dowodził, że ono nic nie znaczy, dopóki Napoleon nie zwróci Austrii zabranych prowincyj; Austria swoich strat przeboleć nie potrafi i to popchnie ją prędzej czy później w ramiona wrogów Francji. Kiedy Maret, ks. Bassano, objął zarząd spraw zagranicznych, Talleyrand, który go zawsze nie lubił, odezwał się: *Je ne connais pas de plus grande bête au monde que M. Maret, si ce n'est le duc de Bassano*. I to cesarzowi podobać się nie mogło. Na wiadomość o pożarze Moskwy, Talleyrand zakonkludował: *C'est le commencement de la fin!* Już w tedy ujrzał, zdaje się, miotłę Opatrzności w ruchu i począł myśleć, jak siebie ocalić od jej razów. Pytany o zdanie, nie szczędził Napoleonowi przestróg i rad zdrowych. Po przejściu Prusaków na stronę Rosyan, zalecał

wejść bez zwłoki w układy, gdyż cesarz ma w rękę zastawy, które może oddać, ale i jutro stracić, a wtedy zniknie nadzieja pomyślnego skutku. Po zawieszeniu broni w Pradze, znowu nalegał o zawarcie pokoju i radził pospiesz. Po bitwie pod Lipskiem, gdy sprzymierzeńcy ofiarowali Francji naturalne jej granice, oświadczył się za przyjęciem warunków i rzekł do cesarza: Najgorszy pokój nie wyrządzi nam tyle złego, co wojna, która szczęśliwie skończyć się nie może. — Wtedy Napoleon proponował Talleyrandowi tekę spraw zagranicznych, jeżeli złoży urząd wice-ektora. Jakto? — odpowiedział Talleyrand —

jeżeli cesarz ufa mi, nie powinien mnie degradować; jeżeli zaufania do mnie nie ma, nie powinien mnie używać. Teraz nie czas na półśrodki. — Kiedy rzeczy już tak źle stanęły, że przyszło myśleć o bezpieczeństwie cesarzowej i króla rzymskiego, Talleyrand, po odbytej radzie, taki sens moralny wyciągnął z kariery swego pana: *Quelle chute dans l'histoire! Donner son nom à des aventures, au lieu de le donner à son siècle!..* A potem, myśląc głośno, w obecności ministra policyi, ks. Rovigo, dodał: *Il ne convient pas à tout le monde de se laisser engoutir sous les raines de cet édifice.*

X.

Talleyrand powiada, że Napoleona nie zdradził i przeciw niemu nie konspirował. Można mu uwierzyć na słowo. Napoleon sam siebie zgubił, nieumiarkowaniem i uporem. Konspiracje były najzupełniej zbyteczne, i, dopóki Savary czuwał w Paryżu, bardzo niebezpieczne.

Jak wielu innych, tylko wcześniej od wielu, Talleyrand w przewidywaniu katastrofy baczył na to, żeby nie zostać pogrzebanym pod gruzami. Podpierać walącego się budynku nie myślał; gromadził koło siebie malkontentów i rozdmuchiwał niechęć przeciwko Napoleonowi, kombinował, szukał wyjścia i czekał cierpliwie. Stałego planu nie miał, nawet mieć nie mógł, bo w początkach niewiadomo było, jaki obrót wezmą wypadki wojenne, później zaś, co postanowią monarchowie

53

sprzymierzeni. Jeden gabinet angielski wcześniej począł się skłaniać ku restauracji Burbonów, czemu Austria w duchu sprzyjała, czyniąc jednak swą decyzję zawiśłą od zgody dwóch innych sprzymierzeńców, mianowicie cesarza Aleksandra, który Burbonów nie lubił, chciał kwestyę tronu pozostawić woli zgromadzenia narodowego i protegował kandydaturę ks. Eugeniusza Beauharnais, albo Bernadottego. Napoleon prawdopodobnie m usiał ustąpić ze sceny, ale i utrzymanie go na tronie było możliwem; prócz tego istniały inne kombinacje, regencya Maryi Ludwiki, albo oddanie korony księciu Orleańskiemu.

Talleyrand nie miał żadnych stosunków z Burbonami; powrotu ich niekoniecznie pragnął. Charaktery i przeszłość książąt krwi nie rokowały wiele dobrego; byli obcy Francji i Francya o nich zapomniiała; rojaliści, otaczający pretendentów, zamierzali przywrócić dawny porządek przedrewolucyjny, usunąć nowych ludzi, karać i mścić się. Robić pierwszy krok do Burbonów, Talleyrand nie widział powodu; wołał urządzić się tak, żeby oni do niego przyszli, i żeby on im postawił swoje warunki. W tem samem położeniu chciał znaleźć się wobec wszystkich bez wyjątku kandydatów do tronu, niedopuszczyć powrotu rządów absolutnych, bezwzględnej reakcji, i nakoniec pominięcia własnej osoby.

Na to trzeba było przedewszystkiem nie ruszać się z Paryża i doczekać wejścia wojsk sprzymierzonych. Napoleon rozkazał cesarzowej wraz z regencją usunąć się do Blois. Posłuszny rozkazowi, Talleyrand, w galowym powozie z wielką pompą ruszył w drogę, umówiwszy się poprzednio z panią de Rémusat, że jej mąż czekać będzie z oddziałem gwardii narodowej u rogatek, powóz wice-elektora zatrzyma i do domu zawróci. Tak się stało. Talleyrand został w Paryżu, gdzie był pierwszą figurą, we Francji najznakomitszą, w Europie najlepiej znaną.

Traf ułatwił mu dalsze ruchy. Cesarz Aleksander, który z królem pruskim najwcześniej w szedł do Paryża, miał zamieszkać w pałacu Elizejskim, lecz w ostatniej chwili otrzymał ostrzeżenie fałszywe, że pałac jest podminowany. Przed

54

cesarzem i z jego polecenia, pojechał do Paryża Nesselrode, późniejszy kanclerz, dawniej sekretarz ambasady rosyjskiej w Paryżu, dobry znajomy Talleyranda. Chcąc zasięgnąć języka, Nesselrode udał się prosto do wice-elektora, który rzucił mu się na szyję i od stóp do głów pudrem obsypał; chesano go bowiem właśnie w tej chwili. W tem nadszedł posłaniec od cesarza, z doniesieniem, że cesarz w Elysée wysiąść nie może. Talleyrand oddał na rozkazy cesarza swój własny dom, *rue Saint-Florentin*, i gościa wzięł pod swoje skrzydła.

Aleksandra sprawa tronu francuskiego mocno obchodziła. W ciągu kampanii doznawał ciągłych zawodów; Metternich niweczył najpiękniejsze jego projekta, sprzeciwił się oddaniu mu naczelnego dowództwa, niechciał słuchać o kandydatach cesarza do korony francuskiej, jeszcze mniej o wyborze króla przez zgromadzenie narodowe. Było zaś punkt kapitalny dla Aleksandra, liczył bowiem, że za tę cenę zdobędzie popularność we Francji i w całej Europie liberalnej. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące, zanim nadjedzie cesarz austriacki z Metternichem.

Talleyrand po namyśle przechylił się już na stronę Burbonów. Wszyscy inni kandydaci do tronu reprezentowali tylko albo siebie samych, albo drobne stronnictwo, albo koteryę. Burboni mieli za sobą długie wieki historii francuskiej, i to wszystkie bez wyjątku stronnictwa uznawały, choć nie wszystkie głośno. Teorya prawowitości później powstała; tymczasem jeszcze inne względy przemawiały na korzyść Burbonów. Wszystkie rządy porewolucyjne wyłoniły się z faktów spełnionych, dokonanych siłą materyalną, i wszystkie po kolei naprzód zawiodły pokładane w nich nadzieje, potem zaś upadły również pod naciskiem siły; pozostawało więc spróbować przeciwnej drogi, oprzeć się na jakimś pierwiastku moralnym, a takim, najbliższym pierwiastkiem była tradycja historyczna. W końcu, powrót Burbonów zapowiadała logika powszechna; sam Napoleon często powtarzał, że na tronie siedzieć może tylko on, albo Ludwik XVIII.

Zagadnięty przez Aleksandra o kwestyę dynastji, Talleyrand także poczuł, że trzeba się spieszyć, aby faktem spełnionym

55

uprzedzić sprzymierzeńców i pretendenta. Jeden punkt oparcia miał już w gabinecie angielskim z góry zapewniony; pozostawało wybić z głowy Aleksandrowi niewczesne mrzonki. Na wzmiankę o Burbonach, Aleksander się skrzywił, swoim zwyczajem zażenował, i, nie chcąc otwarcie stanąć w sprzeczności z gospodarzem domu, zapytał: jakim sposobem przekonać się może, że Francya pragnie powrotu dawnej dynastji. — Z uchwały senatu, odrzekł Talleyrand, pewny, że senat uchwali wszystko, czego on zażąda.

Rozmowa miała miejsce 31 marca 1814 r. Tegosamego dnia rozlepiono na rogach ulic odezwę Aleksandra, oznajmującą, że monarchowie sprzymierzeni nie wejdą w układy ani z Napoleonem Bonaparte, ani z nikim z jego rodziny, oraz, że uznają i zagwarantują konstytucyę, jaką naród francuski sobie nada. Proklamacya wzywała senat do wyboru rządu tymczasowego. Talleyrand, jako wice-prezes tego ciała, zwołał senat i wieczorem 2 kwietnia przyniósł Aleksandrowi uchwałę, orzekającą

detronizację Napoleona, tudzież przywrócenie monarchii Burbonów, z gwarancyami konstytucyjnemu Cesarz miał się zdumieć, ujrawszy pod uchwałą wiele nazwisk ludzi, którzy niegdyś wotowali śmierć Ludwika XVI.

Klamka zapadła, niwecząc rozmaite widoki. Klauzula o konstytucji była nieprzyjemną niespodzianką dla gabinetu austriackiego, a dla Burbonów i rojalistów czystej krwi, dotkliwym razem. Talleyrand, obrany prezesem rządu tymczasowego, popełnił wielką nieostrożność, zgadzając się na umieszczenie Napoleona na wyspie Elbie; pomysł wyszedł od cesarza Aleksandra. Dodać należy, że miał na barkach inne, zwłoki niecierpiące sprawy.

Ludwik XVIII zdążył powoli do stolicy; hr. d'Artois go wyprzedził. Damy z przedmieścia Saint-Germain przedstawiały Talleyrandowi, jak pilno być musi księciu ujrzyć nareszcie i przycisnąć do serca swego dawnego przyjaciela; Talleyrand zapewniał, że i on niemniej gorąco pragnie rzucić się w ramiona księcia, ale woli to odłożyć na później. Po abdykacji Napoleona, d'Artois, wzięwszy tytuł namiestnika królestwa, 12 kwietnia odbył uroczysty wjazd do Paryża.

56

Talleyrand, na czele rządu, przyjął księcia u bram miasta. Oparty na szyi konia księcia, wyrecytował powitanie, z kilkunastu słów złożone; książę, łkając, zaledwie zdołał wymówić: *Je suis trop heureux... tropheureux...* Orszak udał się do kościoła Notre-Dame, wśród frenetycznych okrzyków tłumu. Po skończonej ceremonii, wypadło zredagować opis uroczystości i przytoczyć mowę namiestnika królewskiego, który właściwie nic nie powiedział. Talleyrand poruczył redakcję Beugnotowi, z zaleceniem, żeby nie przesolił poezją. Gdy Beugnot przyniósł brulion, zapytał: *Voyons, qu'a dit Monsieur?*¹ Trzeba mu przecież coś w usta włożyć?... Po różnych przeróbkach, Beugnot skomponował słynny frazes: *Rien n'est change, il n'y a qu'un Français de plus!* Talleyrand klasnął w ręce: *C'est bien là le discours de Monsieur...* bądź spokojny, jutro książę będzie przekonany, że tak a nie inaczej się wyraził.

Senat nie pokazał się podczas przyjęcia. Wzięcie tytułu namiestnika, nie podobało się i zaniepokoiło zwolenników konstytucji. Stał się kompromis taki, że senat ofiarował namiestnictwo księciu, który nawzajem zapewnił, że król niewątpliwie przyjmie zasady konstytucji.

Obowiązki urzędu nie pozwoliły Talleyrandowi pospieszyć na spotkanie Ludwika XVIII. Na swoje miejsce wysłał ks. de Liancourt, mocno skompromitowanego w rewolucji. Liancourt wrócił, nie widziawszy króla i doznawszy nader zimnego przyjęcia u p. de Blacas. Talleyrand się zdziwił i zgorszył. *Qu'est-ce que ce Blacas?* mówił. *Je ne sais pas, d'ou il vient et me soucie assez peu de le savoir.* Teraz inne nastały czasy. Pod rządem konstytucyjnym zdolność daje znaczenie i wpływ.... I dopiero w Compiègne zjawił się u króla. Przyjęcia doznał bardzo serdecznego; Ludwik XVIII zaczął nawet od polectania jego dumy: *Nos maisons datent de la même époque;* gdyby twoi przodkowie byli zrzęczniejsi od moich, ty byś odezwał się teraz do mnie: siadaj, pomówimy o interesach: *aujourd'hui c'est moi qui vous dis: asseyez-vous et causons....*

¹ Brata królewskiego dawnym obyczajem nazywano *Monsieur*.

57

Audyencya trwała długo, Talleyrand wykladał królowi stan rzeczy i usiłował nawrócić króla do swoich zapatrywań, bez wielkiego skutku. Ludwik XVIII, *le roi nichard*, jak go Talleyrand nazywał, nie wchodząc w kontrowersa, dał tylko do zrozumienia, że Francja dostanie konstytucję, a Talleyrand sprawy zagraniczne. Nie obeszło się podobno bez ironicznych przytyków ze strony króla do ludzi, którzy podczas rewolucji trudzili się o własne wyniesienie, podczas gdy on cierpliwie czekał i doczekał powrotu na tron. Wreszcie król miał zapytać Talleyranda, jakim sposobem wywrócił dyrektoriat i Bonapartego; na co Talleyrand odrzekł z niewinną miną: *Mon Dieu, Sire, je n'ai rien fait pour cela. C'est quelque chose d'inexplicable que j'ai en moi et qui porte malheur aux gouvernements qui me négligent.*

Obietnica konstytucji nie wystarczała Talleyrandowi; żądał, żeby król przyjął konstytucję taką, jaką Francja sama sobie nada, czyli wyraźniej mówiąc, jaką on, Talleyrand, przepisze. Kiedy jednak kwestyę wyraźnie postawił, król przerwał mu: *Vous me demandez d'accepter de vous une constitution, et vous ne voulez pas en accepter une de ma part. C'est très-naturel, mais mon cher Monsieur de Talleyrand, alors, moi, je serai debout, et vous assis.*

Po takiej odprawie, król, z pominięciem Talleyranda, wyznaczył komisję, której powierzył wypracowanie projektu karty konstytucyjnej. Talleyrand otrzymał tytuł księcia i tekę spraw zagranicznych, *de facto* piastowaną. Jeszcze przed przybyciem króla, zawarł z mocarstwami sprzymierzonemu konwencyę z 23 kwietnia 1814 r., zapewniającą Francji granice z r. 1792 i ewakuację terytorium francuskiego. Zarazem Francja odzyskała 250.000 żołnierzy, zamkniętych w fortecach po różnych stronach Europy, i przeszło sto tysięcy jeńców wojennych, tudzież artylerję i znaczne zapasy amunicji. Była to wielka usługa, oddana Francji i monarchii, lecz ze strony rojalistów odplacona niewdzięcznością.

Ludwik VIII miał wysokie wyobrażenie o godności monarszej i przekonanie, że cała władza jemu się należy; rozumiał jednak, że okoliczności wymagają ustępstw.

58

Pragnąc umrzeć na tronie i miłując swój spokój, nie targował się o drobnostki; co nie przeszkadzało, że rad był odebrać, co można. Do rewolucji i do ludzi w rewolucję wymieszanych, czuł wstręt nieprzezwyciężony, z musu znosił *ce tas de coquins*, żadnemu nie dowierzał. Karta konstytucyjna, udzielona przez króla, była bardzo liberalna, może nawet, jak na początek, zanadto liberalna, lecz król bał się przewagi nad sobą swoich ministrów, w których upatrywał naturalnych przeciwników władzy monarszej. Sprzęgał więc razem istoty, żyć z sobą w zgodzie niemogące; wszelka wyższość umysłowa ciążyła mu niezmiernie. Obok tego Ludwik XVIII posiadał wielkie zalety, był cierpliwy, wyrozumiały, uprzejmy w obejściu, nieprzystępny pochlebstwem. Emigrantów trzymał krótko; rodzinie łatwiej ulegał. Dawny towarzysz wygnania, *ce certain M. de Blacas*, człowiek uczciwy i wierny, ale ograniczony, zarozumiały i próżny, otrzymał ministerstwo domu królewskiego; przez jego ręce przechodziły wszystkie postanowienia króla, z wyjątkiem spraw zagranicznych, które król wprost z Talleyrandem traktował. Talleyranda kłuł w oczy ten intruz. Król to starał się załagodzić: *Ce pauvre Blacas, il aime la France, il m'aim e, mais on dit, qu'il est suffisant....* — *Ah! oui*, przyznał Talleyrand, *suffisant et insuffisant.* — I z *sufizantem*, jak dawniej i u nas mówiono, musiał na współkę ciągnąć wóz państwa. Twardsza jeszcze sprawa była z hr. d'Artois i z ks. Berry. Artois był o tyle sercowy i wrażliwy, o ile król obojętny i

chłodny; przytem czuły na pochlebstwa, pragnący się przypodobać, wartki, żądny wpływu; Berry siedział pod pantoflem emigrantów, którzy nie mogli strawić, że nie oni po swojemu rządzą Francją; wszystko, co się działo, było wedle nich złe i zgubne dla monarchii. Talleyrand specjalnie stanął im kością w gardle. Wyrzucali mu pospiech przy zawarciu traktatu kwietniowego i przedwczesne oddanie fortec sprzymierzonym. Ks. Berry publicznie na radzie odezwał się: panu de Talleyrand było dziwnie pilno podpisać ten nieszczęśliwy traktat. — Niestety, tak, mości książę, spieszyłem się, ale wielu członków senatu wyrzucało mi także, że okazałem zawiele pospiechu przy oddaniu

59

domowi królewskiemu korony, której mógł nie odzyskać. — Nieco później, ks. Berry wspomniał o świetnej roli, jaką Francya odegrać będzie mogła, gdy trzykroć sto tysięcy wojska, wracającego z fortec i z niewoli, stanie na ziemi ojczyznej. — Więc książę mniemasz, zapytał Talleyrand, że ta armia przyda się Francji? — Niezawodnie! — Otóż tę armię Francya zawdzięcza owemu nieszczęsnemu traktatowi z 23 kwietnia.

Ludwik XVIII, podzielał w duchu uczucia i antypatyje książąt, którzy odrazu stanęli w opozycji z systemem rządowym. Wpływ książąt był czysto negacyjny; zrobić nie mogli nic, ale mogli dużo psuć i niechętnych utwierdzać w przekonaniu, że świeżo zaprowadzony porządek jest tylko tymczasowym, tylko wstępem do innego, trwałego i lepszego. Obawa zaś owego lepszego porządku, prześladowała jak zmora młodą Francję, o której istotnem usposobieniu rodzina królewska miała najfałszywsze pojęcia. Okrzyki tłumu, witającego króla i książąt, i pobożne życzenia emigrantów, brano w Tuileries za najlepszą monetę, za nieomylny dowód, że naród chwilowo obłąkany, nawrócił się do prawowitej dynastji i w jej obronie stanąć gotów, jak jeden mąż. Ludwik XVIII chętnie w to wszystko wierzył, a tem samem skłonniejszy się robił do popuszczania cugli koteryi swego brata,

Talleyrand prędko dał za wygrane w wewnętrznej polityce, ujrzawszy wdzięczniejsze pole w Wiedniu, na kongresie. Dobrał sobie trzech pełnomocników i liczną świtę. Dalberg miał mu służyć za konfidenta, oraz do puszczenia w obieg tajemnic, które winny były dojść do wiadomości różnych osób. Alexis de Noailles, dawny adjutant hr. d'Artois, utrzymując z nim korespondencję niby sekretną, miał zaspakajać ciekawość jego *et de ses petits faiseurs diplomatiques*, bez szkody dla interesów, traktujących się w Wiedniu. Margrabia La Tour du Pin wzięty został do wizowania paszportów; La Besnardière, zdolny i wypróbowany urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, do zawiadywania kancelaryą,

60

złożoną z kilku sekretarzy; w ich liczbie był Perray, później autor mnóstwa pamfletów na Talleyranda.

Jeszcze w 1809 r. Talleyrand ożenił swego synowca, Edmunda de Périgord, którego wyznaczył swoim spadkobiercą, z księżniczką Dorotą Kurlandzką, najmłodszą *des trois Grâces*. Swatem, na prośbę Talleyranda, był cesarz Aleksander; tym sposobem Talleyrand uniknął interwencji w tę sprawę Napoleona i nałożenia sobie synowicy. Pani Edmundowa de Périgord pojechała do Wiednia, w roli gospodyni domu swego stryja. Młoda, piękna i rozumna, przez matkę i siostry mająca gotowe stosunki z towarzystwem wiedeńskim i całą arystokracją międzynarodową, prędko zdobyła sobie stanowisko w Wiedniu i w swoim zakresie doskonale reprezentowała Francję; *elle sut attirer et plaire, et me fut fort utile*, świadczy Talleyrand. Od tego czasu pozostała nieodstępna towarzyszką stryja, który ją pokochał i wysoko cenil.

XI.

Na mocy traktatu paryskiego z 30 maja 1814 r., Francya otrzymała granice z roku 1792, oraz zwrot prawie wszystkich kolonij; w porównaniu przeto z rokiem 1789, wyszła z katastrofy napoleońskiej powiększoną, przez nabycie fortecy Landau z okręgiem, Awinionu, Montbeliard, Sabaudyi i skrawków, przy sprostowaniu granicy jej przypadłych. Prócz tego, pozostały przy niej dzieła sztuki, w różnych czasach w Europie prawem zdobyczy zagrabione. Kosztów wojennych nie płaciła żadnych; odzyskała gotową armię z materiałem wojennym; obce wojska opuściły ziemię francuską.

Zaszczytny i korzystny dla Francji, pokój paryski przynosił chlubę członkowi, co ten pokój negocjował. Talleyrand umiał wziąć się do rzeczy; dopomogły mu przeróżne okoliczności. Po długich i krwawych wojnach, ogarnęła umysły potrzeba spokoju i wypoczynku, ogólny nastrój ku pojednaniu i zgodzie. Sprzymierzeńcy, upojeni radością i pewnym

61

rodzajem zdziwienia, że im się udało przemódz Napoleona, unikali wszystkiego, co mogło zadraskać uczucie Francuzów. Pozostawała wreszcie do załatwienia sprawa nader ważna dla sprzymierzonych mocarstw, podział łupów, czem miał się zająć kongres do Wiednia zwołany.

Postanowionem było w zasadzie, że Hollandya, zwrócona domowi Orańskiemu, otrzyma rozszerzenie granic; że Szwajcaryja zachowa byt niepodległy i samorząd; że państwa niemieckie, pozostając niezawisłemi, zwiążą się w federację; że Włochy północne przypadną Austrii, reszta zaś półwyspu będzie podzieloną na osobne państwa. Byłyto wszystko ogólniki, kwestye otwarte, oczekujące odpowiedzi; prócz tego należało rozstrzygnąć los Saksonii i Księstwa Warszawskiego. Traktat orzekł, iż podział terytoryów mieć winien na celu istotną i trwałą równowagę; co w braku stałej miary i wagi, otwierało szranki dla egoizmu i chciwości ludzkiej.

Stanowisko Francji na kongresie było o tyle ułatwionem, że Francya dla siebie niczego więcej żądać nie mogła i nie zamierzała. Ludwik XVIII dbał mocno o usunięcie z Neapolu Murata na rzecz Burbonów, lecz Murat, jako kreatura Napoleona, mniej-więcej zawadzał całej Europie. Główną rzeczą dla Francji było, odzyskać należne jej miejsce w rządzie wielkich mocarstw i w systemie europejskim. Tymczasem, sekretny artykuł traktatu paryskiego niósł, że rozdział terytoryów, oraz ustanowienie równowagi, dopełnione będzie na kongresie na zasadach, jakie mocarstwa sprzymierzone między sobą ułożą, co równało się wykluczeniu Francji od udziału w dziele, obchodzącem przyszłość całej Europy. Pomimo wszelkich oświadczeń o potrzebie zgody, jedności i braterstwa, w gabinetach istniały silne uprzedzenia i niechęci ku Francji, którą, po części sprawiedliwie, czyniono odpowiedzialną za wybryki rewolucyjne i gwałty napoleońskie. Sprzymierzone mocarstwa pragnęły trzymać Francję pod kuratelą i otoczyć ją kwarantanną od zarazy rewolucyjnej. Ten zamiar zniszczyć, było głównem i niełatwem zadaniem pełnomocnika króla arcychrześcijańskiego.

Talleyrand posiadał wszystkie potrzebne kwalifikacje. Lepszego wyboru Ludwik XVIII nie mógł uczynić; w dodatku, pozbywał się z domu cenzora i zabezpieczał od *uroku*, zgubnego rządowi, zaniedbującym kulawego czarodzieja. Co się tyczyło wierności Talleyranda, król mógł być spokojny, że dopóki siedzieć będzie na tronie, Talleyrand go nie opuści i nie zdradzi. Na wypadek zaś jakiego nieszczęścia, król liczył na niewidzialną rękę, która go już raz wróciła z wygnania.

Wybierając się do Wiednia, Talleyrand przewidywał podobno niedaleki upadek Burbonów, wskutek błędów w polityce wewnętrznej, i miał na myśli dwie kombinacje: regencję z synem Napoleona, albo powołanie na tron Orleanów. W obu alternatywach, zawadą byłby Napoleon i Murat: należało zatem jednego usunąć z Elby, drugiego z Neapolu. Na tym punkcie widoki króla stykały się z widokami przebiegłego pełnomocnika.

W Wiedniu dwie drogi stały otworem dla Talleyranda. Mógł pozostać neutralnym, trzymać się na uboczu i czekać, aż sprzymierzeńcy między sobą się poróżnią, co według wszelkiego prawdopodobieństwa musiało niezadługo nastąpić, a wtedy stanąć po stronie interesom bliższej Francji; lub też odrazu wystąpić w roli poplecznika strony, mającej za sobą większe szanse zwycięstwa i przyspieszyć rozdwojenie między sprzymierzeńcami.

Neutralność obiecywała większy pożytek dla Francji, można bowiem było sprzedać się więcej dającemu; ale neutralność nie przypadła do gustu, ani Ludwikowi XVIII, ani Talleyrandowi. Króla byłaby do głębi ubodła myśl, że jego pełnomocnik siedzi na szarym końcu i nic nie znaczy; winę zwaliliby był na Talleyranda, któremu podrzędna rola jeszcze mniej się uśmiechała. Chciał godnie się postawić, i w oczach króla, i w oczach Europy.

Polityka zagraniczna Francji była oddawna wykolejona, nić tradycji zerwana. Odkąd, jeszcze za Ludwika XV, rywalizacja z domem austriackim straciła rację bytu, mężowie stanu z czasów monarchii, kręcili się wkoło, daremnie

szukając wyjścia i stałego kierunku. System propagandy i podbojów, czyli system rewolucji i Napoleona, upadł pod brzemieniem własnych win, obrzydł Francji i Europie. Naród, w zgodzie z dynastją, wyrzekł się myśli podbojów i pragnął pokoju. Zasada przymierzy z małemi państwami, nie znajdowała zastosowania. Porta, nie brawszy udziału w wojnie, nie zasiadała na kongresie; Szwecya, związana z koalicją, odwróciła się od Francji; państwa niemieckie ciężyły bardziej ku Austrii, Prusom, lub Rosyi; Saksonia istniała ledwie z imienia. Wielkie mocarstwa łączyły traktaty, wspólność wielu interesów, świeże wspomnienia, wreszcie wstręt i podejrzliwość ku Francuzom; żadne nie przypuszczało myśli przymierza z Francją.

Rozglądając się po Europie, Talleyrand ujrzał szczelinę, pozwalającą mieć nadzieję, że klin w nią wciśnięty, rozsadzić może poczwórne przymierze. Szczelinę tworzyła sprzeczność między widokami Austrii i widokami północnych mocarstw. Austrii program, bardzo obszerne, obejmował następne punkta główne. We Włoszech, posiadanie Lombardii i Wenecyi, na co godzili się wszyscy, nie wyjmując Francji, która oponowała tylko rozciągnięciu wpływu austriackiego na cały półwysep, bez względu na formę. W Niemczech, Austria pragnęła powetować utratę korony cesarskiej, zapewnieniem sobie przewagi, opartej na sztucznym

rozkładzie sił i na organizacji związku niemieckiego; lecz w tej sprawie sama sobie przysposabiała współzawodnika w Prusach. Od Kaunitza, wszyscy austriacy statyści wyrzekali na ambycję, chciwość i złą wiarę Prusaków; wszyscy uznawali Prusy za wroga Austrii, i wszyscy dopomagali znosić cegły na fundamenta wielkości Hohenzollernów. W epoce wojen napoleońskich, przyjaźń Prus stała się niezbędną Austrii, lecz postępowanie gabinetu berlińskiego nie wkładało na Austrię wielkich obowiązków wdzięczności. Nie tyle też przez wdzięczność, jak wskutek błędnej budowy swojej teorii o równowadze na północy i w środku Europy, Metternich obstawał przy zasadzie, że Prusy odzyskać winny rozległość i ludność, jaką przed rokiem 1806 posiadały. Tejsamej

zasady trzymały się Anglia i Rosya, lecz zachodziła wielka różnica zdań, co do geograficznego położenia odbudowanych Prus. Cesarz Aleksander, chcąc Księstwo Warszawskie w całości zatrzymać przy sobie, upatrywał kompensatę dla Prus w Saksonii; gabinet londyński na to zezwalał, podczas gdy Austria dążyła do ocalenia Saksonii, zabezpieczającej jej własne granice. Według planu austriackiego, Prusy miały otrzymać ekwiwalent za Saksonię nad Wisłą, w Polsce, chociażby za cenę ofiar od strony Galicyi, o którą Austria nie wiele się troszczyła. Nadto, tym sposobem granice Rosyi mogły być cofnięte dalej od środka Europy, i Prusom przypadała straż Niemiec od nacisku północnego sąsiada.

Program powyższy stanowił *maximum*, o które starać się należało, ale z którego niejedno mogło odpaść. Cesarz Franciszek i Metternich, bywając często na wozie i pod wozem, przyszli do przekonania, że głowy o mur nie warto rozbijać. Najsilniejsze mieli też postanowienie, nietylko wojny unikać, lecz strzedz się waśni między sprzymierzonymi, rozpadnięcia poczwórnego aliansu, który należało utrzymać i zachować na wypadek, zawsze możliwy, nowego starcia z Francją. Polskie projekta Aleksandra niewypowiedzianą odrazę budziły w Wiedniu, lecz nietracono nadziei, że cesarz w końcu ustąpi; od tego był kunszt Metternicha, który tyle i tyle odniósł nad nim bezkrwawych zwycięstw. Szukać poparcia u Francji, nikomu przez myśl nie przeszło; nie przeszkadzało to jednak, że w pewnych chwilach, sukkurs w osobie Talleyranda przez Opatrzność zesłany, mógł być Austrii bardzo na rękę. Talleyrand i to zapewne zmiarkowawszy, zawczasu odpowiednio się urządził. Ku Austrii ciągnęły go nadto dawne sympaty, tudzież wzgląd, że Austria była głową moralną koalicji i prawie zawsze swoją przeprowadzała wolę.

XII.

Ciekawą jest instrukcja, jaką Talleyrand wedle zwyczaju sam dla siebie zredagował.

Na wstępie, opierając się na brzmieniu traktatu paryskiego, dowodził, że kongres, jako powszechny, obejmować winien wszystkie państwa, wielkie i małe, biorące udział w wojnie, traktatem zakończony; czyli całą Europę, z wyjątkiem Turcyi i Szwajcaryi. Szło mu o przypuszczenie do obrad kongresu pełnomocników państw drugorzędnych i drobnych państw niemieckich, między którymi znajdowało się wielu dawnych klientów Francji. Oczywiście było, że każde takie państwo zechce zachować

swój byt i niezawisłość, przytem powiększyć się. Interes Francji był jasny: należało te dążenia popierać, aby niedopuszczyć wzrostu wielkich mocarstw, i na kongresie zjednać sobie stronników.

W dalszym ciągu, z własnej definicyi prawa publicznego, Talleyrand wyciągnął wniosek, że władza panującego nie może być nabyta drogą podboju, ani też przejść na zdobywcę, bez wyraźnej zgody poprzedniego monarchy, oraz nie będąc uznaną przez inne państwa; gdzie zaś monarchy nie było, lub nie ma, i gdzie cessa wskutek tego stała się niepodobną, zastąpić ją może sankcyja Europy.

Cały ten wywód, bardzo długi, szczegółowy i przykładami objaśniony, miał na celu rozmaite manipulacje, mianowicie Saksonię, Polskę i Neapol. Neapol Talleyrand wliczał do kategorii krajów spornych, dlatego, że nie wszystkie państwa uznały Murata, którego nigdy po nazwisku nie wymieniając, nazywał: *celui qui règne à Naples*, i któremu odmawiał prawa wysłania pełnomocnika na kongres. Saksonię i Księstwo Warszawskie liczył do krajów, których monarcha utracił posiadanie, bez przekazania swoich praw innemu, ale których nikt inny sobie nie przywłaszczył. Los ich miał być rozstrzygnięty przez decyzję kongresu.

Bardzo trafnie określił Talleyrand teorię równowagi europejskiej. Równość sił między państwami istnieć nie może,

66

i prędzej byłaby szkodliwą niż pożyteczną. Właściwa równowaga spoczywa w stosunku siły odpornej do siły zaczepnej; gdyby Europa składała się z państw tak uorganizowanych, że *minimum* siły odpornej najmniejszego państwa równałoby się *maximum* siły zaczepnej największego, istniałaby w Europie równowaga prawdziwa, wypływająca z natury rzeczy. Tego w Europie nie ma i być nie może; poprzestać zatem trzeba na równowadze sztucznej i o tyle trwałej, o ile wielkie mocarstwa rządzić się będą duchem umiarkowania i sprawiedliwości.

Zobaczymy, jak Talleyrand chciał tę równowagę osiągnąć.

Oddać całe Włochy Austrii nikt nie myśli, i Austria tego nie żąda, bo straciłaby Włochy w ciągu kilku lat, jeżeli nie miesięcy. Ale grozi inna kombinacyja, zapewniająca Austrii trwałe panowanie na całym półwyspie, jeżeli Austria otrzyma Włochy północne, jeżeli Modena, Parma, Placencya i Toskania dostanie się członkom domu austriackiego i Murat nieprzestanie panować w Neapolu. Aby temu zapobiedz, należy oddać Neapol prawowitej dynastji, Toskanię królowej Etruryi, Stolicy apostolskiej Legacye, wreszcie powiększyć Sycylię i prawa domu Carignan do następstwa tronu ostatecznie uregulować. Najlepiej byłoby Muratowi nic nie dać; w najgorszym razie, można osadzić go na wyspach Jońskich.

W Niemczech należy położyć tamę przewadze Prus. Prusy są ambitnymi z konieczności, wskutek swojej fizycznej budowy. Wszelki pretekst bywa dla nich dobrym; żaden skrupuł ich nie powstrzymuje; własna korzyść trzyma miejsce prawa. Takim sposobem, Prusy w przeciągu lat sześćdziesięciu i trzech, wzrosły z niecałych czterech milionów ludności do dziesięciu i stworzyły sobie ramy na olbrzymią monarchję. Straszny upadek, jak i na siebie niepomiarkowaną ambicyją ściągnęły, nie posłużył im za naukę. Obecnie emissaryusze pruscy agitują w całych Niemczech, przepowiadając najazd francuski i wystawiając Prusy, jako jedyne zbawcę. Prusy pożądadą Belgii, prowincyj nadreńskich, Luksemburga. Wszystko ma być stracone, jeżeli Moguncyja im nie przypadnie.

67

Nie będą nigdy bezpieczne, jeżeli nie posiadą Saksonii. Sprzymierzeni postanowili podobno przywrócić Prusom dawną ilość mieszkańców. Jeżeli tak dalej pójdzie, niebawem Prusy będą miały dwadzieścia milionów ludności i całe Niemcy zagarną. Trzeba poskromić tę nienasyconą ambicyję, redukując o ile można obszar Prus i wpływ na Niemcy. Pierwsze osiągnąć można przez zachowanie bytu drobnych państw i powiększenie średnich. Kiedy zaś drobne państwa nadal istnieć mają, tem więcej Saksonia ocaloną być winna. Król saski przez lat czterdzieści rządził krajem po ojcowsku, dając przykład cnót monarszych i ludzkich. Zaskoczony burzą w podeszłym wieku, ugiął się pod ramieniem, które tylu innych złamało, lecz z pobudek naturalnych i zaszczytnych, jakich nie miało wielu innych, którzy większą obciążeni winą, zasypują go teraz wyrzutami. Świetność znosił z umiarkowaniem, jak dziś znosi godnie nieszczęście. Z Francją łączą go węzły pokrewieństwa; z drugiej strony, zabór Saksonii byłby pierwszym krokiem do opanowania Niemiec przez Prusy. Gdyby nawet przyjąć miało do usunięcia z tronu dzisiejszej dynastji, tron przyspaść winien linii książęcej domu saskiego.

Organizacyja związku niemieckiego, nie kusząc się o doskonałość, powinna dążyć do tego, aby w małych państwach poddani nie byli uciemienieni, aby wielkie państwa nie gniotły małych i nie mogły wyzyskiwać ich na własną korzyść.

Odbudowanie Polski byłoby rzeczą dobrą i nawet bardzo dobrą, *un bien et un très-grand bien*, — ale pod trzema warunkami: żeby Polska była istotnie niepodległą, żeby miała silną konstytucyję, żeby nie trzeba było wynagradzać Austrii i Prusom ubytku ztąd wynikającego.

Talleyrand z góry stawiał pewnik, że wszystkie trzy warunki są niepodobne do osiągnięcia, a najtrudniejszym drugi. W tym ostatnim punkcie myślił się z gruntu, widząc rzeczy przez pryzmat zachodnich teoryj i wyobrażeń.

Co się tyczy pierwszego, istotnej niepodległości, prawdą było, że Rosya, czyli ściślej mówiąc, cesarz Aleksander, chciał Polskę przywrócić nie po to, żeby oddać, co ma, tylko po to, żeby nabyć, czego nie posiadał. Posiadłszy całą Polskę,

68

Rosya posuwała się wprawdzie daleko ku środkowi Europy, ale nie jest wcale dowiedzionem, żeby to posunięcie się Rosyi, miało być dla całej Europy tak wielkiem niebezpieczeństwem, jak Talleyrand twierdził. Państwo piętnasto-milionowe, mające osobny rząd, skarb i wojsko, zawsze coś znaczyć musiało, z czem Rosya musiałaby się liczyć. Religiją, cywilizacyją, przeszłością, Polska była w każdym razie bliższą Zachodowi, niż Wschodowi. Polaków i Rosyan dzieliły prócz tego dawne urazy i świeże niechęci. To wszystko rokowało prędzej niezgodę niż zgodę, a wtedy Polska stawała się hamulcem dla Rosyi i rodzajem wału obronnego dla Europy. Z czasem Polacy mogli nabrać rozumu i wykształcenia politycznego, wzmóc się w siły, ucywilizować Rosyę i na jej politykę wpływ przeważny wywierać. Zależało to naturalnie od wielu okoliczności; pierwszym jednak warunkiem było, naprawić krzywdę, przez rozbiory narodowi wyrządzoną i przywrócić mu możność normalnego rozwoju.

Talleyrandowi zdawało się mało prawdopodobnem, żeby Polacy raz z Rosyą połączyć, zechcieli nanowo się oderwać. Natomiast, z apodyktyczną pewnością orzekał, że Polska niepodległa popaść musi w anarchję, ponownie stracić niepodległość i

pójść pod cudze jarzmo. Obszar bowiem kraju wyklucza istnienie prawdziwej arystokracji; monarchia utrzymać się nie może tam, gdzie lud nie posiada swobód cywilnych, podczas gdy szlachta ma wolność polityczną, albo jest niezależną. Polska składa się jakby z dwóch narodów odmiennych, którym wypadaloby nadać podwójne instytucje, znoszące się wzajemnie. Przywracając Polskę, niepodobna pozbawić szlachty swobód politycznych, ani też lud obdarzyć swobodą cywilną, która byłaby marnym słowem, dopóki lud nie posiada środków do niezawisłego życia, własności, przemysłu, sztuk i wszystkiego, co czas jeden dać może. Polska mogła wyjść z anarchii jedynie drogą absolutyzmu; nie mając zaś w sobie pierwiastków, niezbędnych do wytworzenia władzy absolutnej, popadła pod cudze jarzmo, skoro sąsiednie mocarstwa tego zechciały. Postępy, uczynione przez dzielnicę,

69

przypadłe narodom dalej w cywilizacji posuniętych, dowodzą, jakim szczęściem podbój stał się dla Polski.

W całej tej gadaninie jeden punkt nieulegał zaprzeczeniu, że w Polsce przed rozbiorem panowała anarchia, że anarchia zrodziła niemoc, z czego państwa sąsiednie skorzystały, aby Polskę rozebrać. Na anarchię, prócz absolutyzmu, były i inne lekarstwa. Konstytucja 3 maja dowiodła, że w Polsce są ludzie, rozumiejący potrzebę wewnętrznej naprawy. Czy reformy wówczas przez sejm uchwalone, wiodły do celu, nikt nie wie i wiedzieć nie może, bo nie zostawiono Polakom czasu do wprowadzenia tych reform w życie. Epoka napoleońska nie przeszła w Polsce bez śladu. W Polakach obudził się patriotyzm, z gnuśnych stali się mężnymi. O ile nauczyli się rządności, czas i praktyka dopiero okazać mogły. Przywracając Polskę, Europa zachowywała prawo i możliwość przepisania Polsce formy rządu i wyboru króla. Sprawa mogła być ciężką, zwłaszcza w początku, z edukacją polityczną szlachty, ale kwestya cywilnej wolności ludu, w niczem nie przeszkadzała odbudowaniu Polski. Chłop byłby po dawnemu uprawiał ziemię, płacił podatki, dawał rekruta i rządu służył, a znalazłszy w królu opiekuna, przekształcił się w krótkim czasie w zawziętego monarchistę. Nic zaś nie stało na zawadzie, żeby stopniowo poprawiać jego byt i prawa rozszerzać.

Talleyrand niedarmo był Francuzem. Nasłuchawszy się w młodości o anarchii polskiej, związał z sobą te dwa pojęcia, Polski i anarchii, i rozumując, wracał do punktu wyjścia. Inaczej wreszcie robić nie mógł, chcąc z góry dowieść, że nie pozostaje, jak rzeczy przywrócić do stanu, w jakim były po trzecim rozbiore. Kosztem Polski, spodziewał się uratować Saksonię, tudzież ominąć sprawę kompensaty dla Austrii za Galicyę. Austrya wtedy zażądałaby wynagrodzenia we Włoszech, pod tą lub ową formą, i swoje pretensje poparła przypomnieniem strat, w Polsce poniesionych.

A dla uciszenia skrupułów Ludwika XVIII i własnych, Talleyrand taki stawiał nam horoskop: Pozostając nadal podzieloną, Polska nie będzie nazawsze zniweczona; Polacy,

70

nie tworząc politycznego ciała, tworzyć nie przestaną jednej rodziny; nie mając jednej ojczyzny, zachowają jedną mowę łączącą ich przeto będzie węzeł najsilniejszy i najtrwalszy pod obcym panowaniem, dojdą do wieku męskiego, czego dobić się nie zdołali w ciągu dziewięciu wieków niepodległości, a wtedy niedaleką będzie chwila zjednoczenia się wszystkich u ogólnego ogniska.

W dodatku do instrukcyi, Talleyrand otrzymał upoważnienie, oświadczyć pełnomocnikom Austrii i Bawaryi, że liczyć mogą na pomoc wojskową Francyi, aby sprzeciwić się widokom Rosyi i Prus względem Polski i Saksonii, tudzież, donieść to do wiadomości pełnomocnika angielskiego, jeżeli będzie nadzieja, że Anglia przyłączy się do związku.

XIII.

Przybywszy do Wiednia, 23 września 1814 r., Talleyrand znalazł wielką zmianę w usposobieniu dyplomacyi europejskiej względem Francyi. Opinia publiczna w Niemczech ganiła zbytek szlachetności w obejściu się z Francuzami, którzy przez tyle lat gnębili i niszczyli Niemcy, od krańca do krańca, a zamiast zasłużonej kary, otrzymali traktat paryski, zostawiający Francję większą, niż była przed rewolucją. Pełnomocnicy mocarstw sprzymierzonych, *fort blasés sur les jouissances que donne la générosité*, wyłącznie zajęci podziałem łupów, bardziej niż kiedykolwiek trwali w zamiarze ułożenia najważniejszych spraw między sobą, bez udziału Francyi i państw drugorzędnych.

Na przyszłość stała niejedność między samymi sprzymierzeńcami, z których każdy miał swój program, swoje widoki, albo poboczne zobowiązania. Cesarz Aleksander uważał Księstwo Warszawskie za zdobycz wojenną i chciał zatrzymać przy sobie, a związany z królem pruskim osobistą przyjaźnią i umową, zapewniającą Prusom rozległość i ludność, jakie posiadały przed rokiem 1806, upatrzył dla nich kompensatę w Saksonii. Tym sposobem postawił się w sprzeczności

71

z Austryą, której program obejmował nietykalność Saksonii, tudzież powrót w Polsce do granic trzeciego rozbioru. Gabinet wiedeński nigdzie nie znajdował poparcia, gdyż Prusy trzymały z Rosją, Anglia zaś, chcąc pokoju i tylko pokoju, za jakąkolwiek cenę, sprzyjała wzmocnieniu Prus i o los Saksonii nie dbała. Zamiar usunięcia Francyi na bok, niepozwałał Austrii zbliżyć się do niej; nadto obawiano się, że poparcie pełnomocników francuskich przyjdzie okupić ustępstwami we Włoszech, gdzie cesarz Franciszek i Ludwik XVIII pragnęli osadzić na tronach jak najwięcej członków swoich rodzin.

Pełnomocnicy czterech gabinetów naradzali się między sobą, nie mogąc trafić do końca; tymczasem, zwlekano z urzędowym otwarciem kongresu. Gdy kongres nie został otwarty 1 października, jak był powinien, Talleyrand upomniał się o wyznaczenie nowego terminu, dając do zrozumienia, że mu pilno wracać do domu, gdzie jest potrzebny. Jednocześnie uderzył do pełnomocników małych państw, obrażonych taktyką matadorów; począł oraz wyrzekać przed Metternichem i Nesselrodem, z którym łączyły go dawne stosunki. Skutek był taki, że wraz z postem hiszpańskim Labradorem, otrzymał zaproszenie na konferencyę w kancelaryi stanu. Prócz nich obecni byli: Metternich, Nesselrode, Castlereagh, Hardenberg, Humboldt i sekretarz Gentz. Na stole leżały protokoły narad, w czwórkę odbywanych. Pierwszy głos zabrał Metternich, po nim Hardenberg; obydwu wspomnieli o powszechnym życzeniu pokoju i najlepszych chęciach *mocarstw sprzymierzonych*. Talleyrand wsiadł na nich zgóry, pytając, przeciw komu zwrócone jest przymierze? Czy przeciw Napoleonowi, zamkniętemu na Elbie? czy przeciw Francyi, z którą zawarto pokój? czy przeciw Ludwikowi XVIII, który traktat paryski ratyfikował i pokój poręczył? Jeżeli są jeszcze, dodał, sprzymierzeni, ja tu nie mam co robić. Ja jeden może nie żądani nic, prócz względów Francyi należnych, natomiast przynoszę

wam nieskończenie wiele. Obecność między wami pełnomocnika Ludwika XVIII uświęca zasady, na jakich spoczywa porządek społeczny. Europie przedewszystkiem

72

potrzeba rękojmi, że podbój prawa nie rodzi, wskrzeszenia zasady prawowitości, z której wypłynie porządek i stałość. Traktat pański orzeka, że wszystkie państwa, w wojnie udział biorące, wyszlą pełnomocników na kongres; pytam więc, kiedy kongres powszechny będzie otwarty i kiedy rozpoczną się narady? Gdyby pewne mocarstwa uprzywilejowane, chciały przywłaszczyć sobie dyktaturę, nie mógłbym, stojąc na gruncie traktatu, przyznać postanowieniom ich mocy obowiązującej, ani też zajmować się wnioskami, z ich strony postawionymi.

Labrador sekundował Talleyrandowi z całych sił. Zgromadzenie wpadło w niemały kłopot. Metternich począł przekładać, że poprzednie narady miały jedynie na celu uprościć prace kongresu; na co Talleyrand zauważył, że nic nie przeszkadza, aby komisyje *ad hoc* wyznaczone, zajęły się rozbiorem ważniejszych spraw.

Spostrzegłszy swoją przewagę, którą zawdzięczał temu, że miał prawo i słuszość po sobie, oraz przytomności umysłu i ciętości języka, Talleyrand wyraził zdziwienie, dlaczego sam jeden z całej ambasady francuskiej został wezwany. Metternich odrzekł, że na ten raz wyjątkowo zaproszono tylko ministrów spraw zagranicznych i naczelników gabinetu; Labrador nie był wprawdzie ani jednym ani drugim, ale jego obecność usprawiedliwia nieobecność w Wiedniu ministra hiszpańskiego. Koło Hardenberga siedział Humboldt; co ten tu robił? Odpowiedziano, że wypadło zrobić wyjątek, z powodu głuchoty Hardenberga. *S'il s'agit d'infirmités, chacun peut avoir les siennes et les faire valoir*, odciął się Talleyrand; co wolno głuchemu, powinno być wolno i kulawemu. Jakoż odtąd przyprowadzał z sobą Dalberga.

Wszczęła się mowa, jakie państwa mają być przypuszczone do kongresu. Teorya prawowitości Talleyranda, zmierzała do wykluczenia Murata, któremu Austria niedawno jeszcze traktatem zagwarantowała tron neapolitański i aneksję części posiadłości papieskich. Skoro padło nazwisko Murata, Labrador wystąpił z filippiką przeciwko uzurpatorowi, Talleyrand zaś udał zdziwienie: *De quel roi de Naples*

73

parlez-vous? nous ne savons, qui c'est?..... Hardenbergowi, występującemu z uwagą, że mocarstwa uznały Murata i poręczyły mu koronę, przerwał słowami: Ci, co mu koronę poręczyli, nie powinni byli tego czynić, więc i poręczyć nie mogli. — Metternicha musiało to ukłuć w okolicy serca, pałał bowiem afektem ku małżonce uzurpatora, a podpis jego stał na traktacie. Nie wdając się w spory o zasady, przy każdej wzmiance o detronizacji Murata, straszyl kolegów armią neapolitańską.

Talleyrand dokazał, że poczwórne narady ustały, przynajmniej formalnie. Otwarcie kongresu jeszcze kazało czekać na siebie; medytowano nad deklaracją, przeznaczoną dla Europy. Projekt Talleyranda nie podobał się sprzymierzeńcom i nawzajem.

Do Wiednia zjechał tymczasem cesarz Aleksander. Już w Paryżu stosunki cesarza z Talleyrandem znacznie oziębły, Talleyrand bowiem zbyt prędko wyemancypował się z pod opieki Aleksandra, który czuł urazę i do Ludwika XVIII za lekceważenie dobrych rad, zwłaszcza w kwestyi swobód konstytucyjnych. Na audyencji, udzielonej Talleyrandowi, cesarz zaczął od pytań, co słyhać we Francyi, jaki jest stan umysłów, co porabiają idee liberalne, co mówi armia, jak zachowują się Izby? — i kołem zdążył do swego: Trzeba tutaj ukończyć nasze interesa; każdy powinien otrzymać, co mu dogadza.

- I do czego ma prawo, wtrącił Talleyrand.
- Co do mnie, zatrzymam, com zajął.
- W. C. Mość nie będzie żądać nic więcej nad to, co mu się z prawa należy.
- Jestem w zgodzie z wielkimi mocarstwami.
- Niewiem, czy W. C. Mość liczy Francję do rzędu wielkich mocarstw?
- Naturalnie; ale, jeżeli dogodność nic nie znaczy, co ją ma zastąpić?
- Najpierw idzie prawo, potem dopiero dogodność.
- Dogodność Europy tyle znaczy, co prawo.
- Serce W. C. Mości tych słów nie podziela.

74

— *Non, non, les convenances de l'Europe sont le droit.*

Kulawy lis wziął się bić głową o mur:

— *Europe, Europe, malheureuse Europe! Sera-t-il dit que vous l'aurez perdue, sire? !*

Cesarz zawołał:

— Wolę wojnę, jak wyrzec się tego, co trzymam w ręku.

Talleyrand, w postawie człowieka smutkiem przejętego, z opuszczonymi rękami i zwieszoną głową, szepnął:

— Wina nie na nas spadnie... — i zamilkł.

Aleksander, zbity z tropu, powtórzywszy parę razy: *Oui, plutôt la guerre*, zaczął machać rękami i wołać, że czas jechać do teatru; potem wyszedł, wrócił, schwycił Talleyranda w pól, potrząsnął nim i pożegnał, jakby nie swoim głosem: *Adieu, adieu, nous nous reverrons...*

Polska i Saksonia wcale nazwane nie były, choć o nie chodziło. Cesarz, mówiąc o królu saskim, użył wyrażenia: *Ceux qui ont trahi la cause de l'Europe*; na co Talleyrand odparł: *Sire, c'est là une question de dates, et l'effet des embarras dans lesquels on a pu être jeté par les circonstances*. Byłato alluzya aż nadto przezroczyta do Tylży. Gdy raz wymknęło się cesarzowi słowo *sprzymie-rzeni*, Talleyrand nieomieszkał zaatakować go o anachronizm; Aleksander się uniewinnił, składając to na karb przyzwyczajenia.

Niemałym klinem dla sprzymierzonych była nota Talleyranda, domagająca się otwarcia kongresu; nota, zredagowana w urzędowej formie i podpisana. Prusacy nazwali ją *un brandon de discorde*. Inni delikatnie wyrzucali Talleyrandowi podpis, sprawiający, że niepodobniństwem było na nią urzędownie odpowiedzieć.

— Kiedy wy piszecie i podpisujecie między sobą — tłumaczył się Talleyrand — dlaczego mnie ma być niewolno was naśladować?

— Więc musimy dać odpowiedź?

— Tak się zdaje.

Stało na tem, że wyznaczona będzie nowa data, 1 listopada, otwarcia kongresu. Talleyrand żądał, żeby dodano,

75

któ będzie zasiadał w kongresie i na jakich zasadach kongres ma obradować. Nowy kłopot. Metternich nie pragnął obecności pełnomocnika Murata, ale bał się, że Murat, raz wyraźnie wykluczony, wpadnie w wściekłość i rzuci się na Austryaków, nie dość silnych we Włoszech.

W ciągu poufnych rozmów, ztąd wynikłych, Talleyrand spróbował kusić Metternicha. Zaczął od tego, że go ukąsił. Metternich wspominał o nowym projekcie deklaracji, który zapewne Francję zadowolni, ale którego nie miał u siebie. *Probablement, il est en communication chez les alliés*, rzucił Talleyrand mimochodem. Wieczne dogryzanie sprzymierzeńcami sprzykrzyło się Metternichowi: *Ne parlez plus d'alliés*, zawołał z niecierpliwością, *il n'y en a plus!* Wtedy ex-biskup wystąpił z kazaniem: Są między nami tacy, co powinni być w przymierzu z sobą; to znaczy, że nawet bez wyraźnego układu, powinni być jednej myśli i jednej woli. Jak Austria może pozwalać Rosji sadzić się na granicy Węgier i Czech? Jak Austria scierpieć może przejście ojcowizny swego dawnego i dobrego sąsiada i krewnego (Saksonii) na własność naturalnego wroga Habsburgów? Czy to nie dziwne, żeby Francja temu oponowała, podczas gdy Austria na wszystko przystaje?

Nie chcąc wchodzić w eksplikacje, Metternich uzalił się, że Talleyrand mu nie ufa. — Nieraz doznałem zawodu, westchnął kusiciel; i teraz wszystko przedemną ukrywacie. Co do mnie, nie mam sekretów, tajemnic z niczego robić nic potrzebuję; jest to wyższość tych, co stoją przy zasadach. Leży tu papier i pióro. Gotów jestem podpisać, że Francja dla siebie nic nie żąda, nic nawet nie przyjmie.

— Ale macie sprawę neapolitańską — zarzucił Metternich; — to właściwie wasza sprawa?

Nic moja, — zaprotestował Talleyrand — tylko wspólna wszystkich. Dla mnie, to rzecz zasady. Żądam, żeby w Neapolu panował ten, co panować powinien, i nic więcej. Co do reszty, będę mówić otwarcie. Czuję, że król saski może być zmuszonym poczynić ustępstwa, ale nie przystanę nigdy na zabór całej Saksonii przez Prusaków. Nie przystanę również

76

na oddanie Prusom Moguncyi i Luksemburga. Nie przystanę, żeby Rosja wzrosła w Europie do czterdziestu czterech milionów ludności i granice swoje do Odry posunęła. Ale, jeżeli Luksemburg przypadnie Hollandyi, a Moguncya Bawaryi, jeżeli Saksonia zachowa byt i król saski tron przodków, jeżeli Rosja nie przekroczy Wisły, nie będę miał nic do zarzucenia w tej stronie Europy.

Z czystym sumieniem mógł Metternich zaręczyć, że i on niczego innego nie pragnie. Francja może być spokojną, mówił, Prusy nie dostaną ani Luksemburga, ani Moguncyi; Austria nie życzy sobie posunięcia granic Rosji w głąb Europy; z Saksonii starać się będzie choć część dla króla ocalić. O jedno tylko prosił, mianowicie o odłożenie sprawy neapolitańskiej, dokąd siły austriackie we Włoszech nie będą wzmocnione.

Z rezultatu obie strony były zadowolnione, lecz Metternich zapewne bardziej, niż Talleyrand, przekonał się bowiem, że skoro zechce, znajdzie gotowe poparcie, którego nateraz nie potrzebował, nie przestawszy wierzyć w skłonność Rosji i Prus do ustępstw.

Po tej rozmowie, sprawa deklaracji łatwiej poszła. Talleyrand, zdobywszy przypuszczenie do kongresu Hiszpanii, Portugalii i Szwecyi, oraz widoki pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy o Neapol, nie targował się o tekst. Żądał tylko, aby deklaracja, pióra Gentza, zawierała zdanie: otwarcie kongresu nastąpi zgodnie z zasadami prawa publicznego. W zgromadzeniu wszczął się tumult niesłychany. Hardenberg, głuchy, więc głośno mówiący, krzyczał: *Cela va sans dire...* Talleyrand odparł spokojnie: *Cela ira mieux en le disant*. Humboldt, forsownym głosem, przyszedł w pomoc swemu kanclerzowi: *Que fait ici le droit public?!* Talleyrand nie pozostał dłużnym z odpowiedzią: *Il fait que vous y êtes...* Nakoniec Gentz przedstawił Metternichowi, że trudno ominąć wzmiankę o prawie publicznem w akcie tego rodzaju, i wymógł przyjęcie wstawki, proponowanej przez Talleyranda. Nazwano to zwycięstwem Francyi.

XIV.

Talleyrand fait ici le ministre de Louis XIV, odezwał się cesarz Aleksander. Gentz wyrzekał na fanfaronady Francuzów, szczególnie Dalberga. Talleyrand pisał do króla, że swoim podwładnym zaleca *la simplicité et la candeur*, ale i sam nie grzeszył wstrzeźliwością języka, strasząc Europę gniewem króla arcychrześcijańskiego, obrońcy prawa i sprawiedliwości. W gruncie, straszyl na kredyt. Ludwik XVIII kontent był z postawy swego ministra, bo mu ona pochlebiała; dobro krewnych mocno go obchodziło, kazał ich bronić, ale, jak na filozofa przystało, przewidywał zawczasu konieczność kapitulacji: *Je ne puis pas employer la force pour faire triompher le bon droit, mais je puis toujours refuser d'être garant de l'iniquité: nous verrons si pour cela on osera m'attaquer....* Dobrze prawo znaczyło dla Polski trzypolówkę, dla Saksonii restaurację króla saskiego na tronie. Na wypadek porażki dobrego prawa, Ludwik XVIII ofiarował Fryderykowi Augustowi gościnność i chleb powszedni.

W Wiedniu nikt nie wierzył w przedsiębiorczość króla arcychrześcijańskiego. Jedni sądzili, że Francja nie jest w możności czynnie wystąpić; inni, że nie ma woli po temu. Talleyrand tak mało liczył na swego pana, iż jako *remedium* na zawikłania kongresu, podsuwał projekt wystąpienia z deklaracją, oznajmującą, jakich zasad trzyma się Francja, i to dopiero kiedyś później. Szczęściem dla niego, niezgoda coraz bardziej wkradała się między sprzymierzonych; cesarz Aleksander niezręcznem wzięciem się do rzeczy, podkopywał własne stanowisko.

Rosja używała przewagi wyjątkowej i niezaprzeczonej. Ona pierwsza złamała potęgę Napoleona i mogąc poprzestać na uwolnieniu się od obcego najazdu, podjęła w interesie Europy trudy i koszta dalszej walki. Z kampanii 1812 r. Europa wyciągnęła naukę, że każda wojna zaczepna z Rosją skończy się nieomylnie klęską, podobną do napoleońskiej.

78

Cesarz Aleksander zachował armię na stopie wojennej i nie cofnął jej z Niemiec. Będąc monarchą samowładnym, nie potrzebował oglądać się na względy, krępujące innych monarchów. Rosja posiadała pewnego sprzymierzeńca w Prusach, opętanych chciwością i żądzą zemsty.

Kto wie, co byłoby się stało, gdyby cesarz Aleksander, postawiwszy swoje *ultimatum*, czekał cierpliwie, co inni poczną. Ci inni pragnęli i potrzebowali pokoju. Austria, jakkolwiek nie bezbronna, wiodła, jak zwykle, politykę nad siły. Niepewna swego we Włoszech, mocno zainteresowana w Niemczech, w zasadzie przychylna wzmocnieniu Prus, niedowierzająca Francji, i z tego powodu dbała o dobre stosunki z Rosją i Prusami, liczyć nie mogła nawet na pomoc państw niemieckich; podczas gdy Anglia, nie będąca w stanie odegrać przeważnej roli militarnej na kontynencie, należała na układ między sprzymierzonymi, i w kwestii saskiej przerzuciła się całkowicie na stronę Rosji i Prus. Anglicy sprzyjali Prusom, jako państwu protestanckiemu; silne Prusy były im oczyma niezbędne, aby bronić Niemcy i od Rosji i od Francji, równoważyć w Niemczech wpływ Austrii i być niejako placówką angielską na Północy.

Cierpliwość wiele mogła dokazać, ale Aleksander nie miał cierpliwości ani za grosz. Przeceniając usługi, oddane sprzymierzeńcom i Europie, sądził się w prawie żądać stosownego wynagrodzenia, pod postacią uległości dla wszystkich swoich planów, upodobań, i niestety, kaprysów. Dbał niesłychanie o marne tytuły dobroczyńcy pacyfikatora świata, anioła pokoju, orędownika liberalizmu. Czuły na pochlebstwo, chciał wszystkim dogodzić i wszystkim się przypodobać: obietnice nic go nie kosztowały, potem mu ciężyły i wprowadzały w kollizje z własnym interesem. Prócz własnych planów, daleko sięgających, wziął na barki mnóstwo cudzych interesów, rodzinnych i prywatnych, i uparł się wszystkie, ważne czy drobne, osobiście załatwiać, z monarchami i z ministrami, na audyencyach urzędowych, na balach, przy herbacie, gdzie się sposobność zdarzyła. Z natury nieśmiały, łatwo się mieszał, gdy mu kto kontrował, i wtedy, albo mu

79

się wyrwały niepotrzebne pogroźki, które nikogo nie przestraszały, albo sam cofał się dalej, niż należało. W podróży do Pesztu¹, spróbował ubić interesa w cztery oczy z cesarzem Franciszkiem, który urwał rozmowę, odsyłając go do Metternicha, bo do interesów są ministrowie. Przyjmując lorda Stewart, posła angielskiego w Wiedniu, oświadczył z kopyta: *Nous allons faire une grande et belle chose: relever la Pologne*, i dodał, że koronę przeznacza jednemu z braci, albo szwagrowi, ks. Oldenburgskiemu. Stewart odpowiedział, że taka niepodległość nie będzie niepodległością, i że nie myśli, aby Anglię, jakkolwiek mniej od innych mocarstw w sprawie polskiej interesowaną, taka kombinacja zadowolniła. Podobne zwierzenia czyniąc na prawo i na lewo, poruszał osie gniazdo, a co gorzej, zdradzał się, że sam jeszcze nie wie, czego właściwie chce. Tę nieszczęśliwą polską koronę coraz komu innemu przeznaczał, tak, że w końcu nie wiadomo było czego się trzymać; podejrzewano zatem, że ostatecznie tamci pójdą w ką, a cesarz sam ogłosi się królem. Właśni ministrowie i powiernicy cesarza, zbici z tropu metamorfozami, jak im ulegał szkic, nigdy niewykończony, polityki cesarskiej, znajdowali się w trudnym położeniu wobec obcych. Dyplomacja rosyjska pod Aleksandrem nie odznaczała się jednolitością i karnością; dużo w niej było cudzoziemców, zwłaszcza Teutonów, świeżo przyjętych do służby

¹ Ludwik XVIII pasjami lubił dykteryjki; Talleyrand miał podobne gusta; obaj przeto cudnie się bawili kosztem bliźniego. Oto ustęp z listu Talleyranda, poświęcony obrabianiu Aleksandra: Cesarz ciągle swoim zwyczajem mówi o ideach liberalnych: one zapewne podsunęły mu myśl zwiedzenia pola bitwy pod Wagram, *pour faire la cour à ses hôtes*. Wybiera się do Pesztu, zamówił tam sobie bal, na którym wystąpi w ubiorze węgierskim. Przed balem, albo po balu, pójdzie płakać na grobie siostry (żony Palatyna). Zaprosił na te ceremonie wszystkich tutejszych Greków, którzy niezawodnie pospieszą oglądać jedyne monarchę tegosamego, co oni, obrządku. Nie wiem, do jakiego stopnia to przypada do smaku tutejszemu dworowi, ale wątpię, żeby się bardzo podobało. 13 października 1814 r.

80

i trzymających w duchu z swoimi; cesarz często zmieniał politykę i jej wykonawców, którym wielką swobodę słowa i ruchów zostawiał. Nesselrode bił czołem przed Europą i luminarzami Europy, Metternichem i Talleyrandem; Pozzo di Borgo, Korsykanin z rodu, Francuz z upodobań, z wyobrażeń kosmopolita, wszedłszy w służbę rosyjską przez nienawiść do Napoleona, miał tylko na oku ambasadę paryską; Grek, Capo d'Istria, zwany przez Metternicha Janem Apokaliptą dyplomacji, głowa bałamutna i zbałamucona liberalnemi zachciankami, czekał, kiedy przyjdzie kolej na oswobodzenie jego własnej ojczyzny; Anstett pod rosyjskim mundurem Niemcem pozostał; Razumowski przerobił się na Wiedeńczyka. Ku Polsce wszyscy tchnęli uprzedzeniem i niechęcią. Jeszcze w 1813 r. Nesselrode przedstawił cesarzowi memoriał, potępiający przywrócenie Polski, pod wszelką formą, *comme une mesure éminemment antinationale*: zwracając Polsce zupełną niepodległość, Rosya utraci trzy lub cztery najpiękniejsze prowincje i obrazi uczucia narodu, który w wojnie 1812 r. tak wielkie poniósł ofiary; Polacy sami nie życzą sobie przejść pod berło Rosji; w razie połączenia dwóch koron, cesarz rosyjski będzie zarazem autokratą i królem konstytucyjnym; zaledwie Dniepr i Dźwina dzielić będą tak sprzeczne instytucje polityczne, wynikną z tego ustawiczne starcia i jedno musi w końcu pochłonąć drugie... Takie były precedensa człowieka, który na kongresie miał obowiązek bronić polskich planów Aleksandra. Wprawdzie, ulegając woli monarszej, Nesselrode na wstępnej konferencji pełnomocników mocarstw sprzymierzonych, oznajmił zamiar cesarza zatrzymania Księstwa Warszawskiego, jako zdobyczy wojennej, lecz łatwo sobie wystawić, czy czynił to w sposób, świadczący o silnej woli wytrwania do końca.

Metternich zaraz replikował, że Księstwo Warszawskie nie było zdobyte samym orężem Rosji, ale przy pomocynnych sprzymierzeńców. Wojska rosyjskie zajęły Warszawę dopiero wskutek umowy zawartej z Schwarzenbergiem. Rosji, ma niezaprzeczenie prawo do kompensat; dwór wiedeński nie sprzeciwia się aneksji większej części Księstwa do Rosji,

81

jednak bez Krakowa i Zamościa, jako zbyt zbliżonych do Wiednia. Część Księstwa, wraz z Finlandją i Bessarabią, tworzy dostateczne wynagrodzenie dla Rosji, nie naruszając równowagi europejskiej. Austria nie myśli wzniecać wojny, z powodu roszczeń rosyjskich, musi jednak dbać o odwrócenie następstw, jakie w niedalekiej przyszłości pociągnęłyby za sobą nieomieszkało rozstrzygnięcie kwestji Księstwa Warszawskiego w myśl planów Rosji, zwłaszcza gdyby Rosya wskrzesiła nazwę Polski, wbrew istniejącym traktatom.

Castlereagh oświadczył imieniem Anglii, że opinia publiczna jego kraju przyjęłaby przychylnie odbudowanie Polski, lecz mając na względzie potrzebę utrzymania pokoju i zgody, gabinet londyński życzy sobie, aby trzy mocarstwa rozbiorowe porozumiały się z sobą w tej sprawie, i aby Rosya umiarkowała swoje pretensje. Hardenberg zaś zastrzegł dla Prus w każdym razie Toruń, z dodatkiem, że Prusy do odbudowania Polski ręki nie przyłożą.

Tak rzeczy stały przez wrzesień i październik, kiedy Castlereagh, naciśnięty z różnych stron, na scenę wystąpił. Naczelnik gabinetu londyńskiego, flegmatyk i pedant, musiał zważać na opinię parlamentu, Polsce przychylną, zresztą wszystko dość obojętnie traktował *et avait besoin d'être soutenu*. Metternich znalazł gotową dla niego podporę w rodzonym bracie, Stewarcie, który będąc przez długie lata posłem angielskim w Wiedniu, podzielał widoki Austrii. Naciśnięty przez podpory, Castlereagh zażądał u cesarza Aleksandra audyencji. Cesarz sam pojechał do niego i pierwszy wniósł na stół kwestyę polską, mówiąc, że nie pojmuje, dlaczego Anglia i Francja są przeciwne przywróceniu królestwa polskiego; będzie to zadośćuczynieniem dla obrażonej przez rozbiory moralności publicznej i gatunkiem ekspiacy. Nie idzie teraz wprawdzie o odbudowanie całej Polski w dawnych granicach, ale to może nastąpić później, jeżeli Europa tego życzyć sobie będzie. Obecnie byłoby to przedwczesnem; naród potrzebuje być przysposobionym do niepodległości, a najlepszą szkołą będzie królestwo, utworzone z części Polski i obdarzone odpowiednimi instytucjami. Koszta cesarz sam

82

poniesie, albowiem królestwo obejmie tylko prowincje, które dierży prawem zdobyczy, tudzież Białystok i Tarnopol, dawniej Rosyi przypadłe. Cesarz wszelkie ofiary obetnie poniesie, idąc za głosem sumienia, aby pocieszyć naród nieszczęśliwy, a także w interesie cywilizacyi, własnego honoru i chwały.

W odpowiedzi, Castlereagh wystosował do cesarza memoriał z dowodzeniem, że dobro Europy wymaga zamknięcia raz na zawsze tego źródła niezgody, czyli innemi słowy, zupełnego podziału Polski. — *Il ne conclut rien et paraît ériter de conclure*, skarżył się Talleyrand przed królem; traktuje rzecz obojętnie, i, co gorzej, w sprawie saskiej nietylko odmawia pomocy, lecz twierdzi nawet, że kara za zdradę króla saskiego będzie zbawiennym przykładem dla Niemiec i dla Europy. Jeżeli cesarz Aleksander uprze się, Austria ustąpić, nie ustąpi, ale będzie zwlekać w nieskończoność. Tymczasem grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. W Niemczech bierze górę jakobinizm i pcha do zjednoczenia Niemiec, czego Francja ścierpieć nie może, odkąd nie posiada Belgii i lewego brzegu Renu. Nikt zresztą nie przewidzi, dokąd potoczy się taka massa olbrzymia, raz w ruch wprawiona. Odroczenie kongresu, a nawet zwłoka, gotowa ułatwić wybuch. Należy przeto starać się, aby prace kongresu poszły szybszym krokiem i zostały ukończone. Ani honor, ani bezpieczeństwo Europy nie pozwala ustąpić Rosyi i Prusom. Austrii nie zbywa może na ochocie przeciwstawienia siły sile, ale zbywa na woli. Rozporządza ona znaczną armią, obawia się jednak ruchów rewolucyjnych we Włoszech i liczyć tylko może na Bawaryę i Wirtemberg; pomoc innych państw niemieckich jest prawdopodobną, lecz niepewną; pomocy francuskiej Austria życzy sobie, sądzi przecie, że na Francję trudno liczyć. Osoba, bliska Metternichowi, odezwała się przed Dalbergiem: Wasze poselstwo bardzo zżęcznie przemawia, na nieszczęście działać nie chcecie; my zaś także sami działać nie chcemy. W. Kr. Mości wiadomo, jak wojny nie lubię i nie pragnę, mniemam jednak, że dość wojnę pokazać, aby jej uniknąć. Przewiduję również, że jeżeli cesarz Aleksander wytrwa

83

w uporze, Metternich zapyta mnie, do jakiego stopnia Austria polegać może na Francji. Nasze instrukcje zdają się upoważniać mnie do obietnicy przyścia na pomoc Austrii, lecz, aby módz dać wyraźną odpowiedź, potrzebuję specjalnego pozwolenia W. Kr. Mości (17 października r. 1814).

Do wyraźnego postawienia kwestyi ze strony Austrii, było w każdym razie bardzo jeszcze daleko, i to musiało nie być obcem Talleyrandowi; ale wiedząc, że w Paryżu pod nim dołki kopia, potrzebował zmiarkować usposobienie króla. Odpowiedź Ludwika XVIII przekonała go, że słusznie żądał specjalnego upoważnienia do układów z Austryą. Król, aby wszystkim dogodzić, a siebie zbytecznie nie narazić, kazał sobie przysłać projekt poprzednio wspomnianej deklaracji i obiecał zająć się postawieniem armii na odpowiedniej stopie: *pour prouver qu'il y a quelque chose derrière*. Deklaracja ukazała się nieprędko i była nader wodnista. Nakazane przez króla uzbrojenia, ograniczyły do skompletowania armii na stopę pokoju; nie przeszły jednak niepostrzeżone i później wzmocniły stanowisko Talleyranda w Wiedniu.

XV.

Zbliżał się 1 listopada, termin urzędowego otwarcia kongresu, ale do zgody było coraz dalej. Sprzymierzeni trwali w zamiarze ułożenia się między sobą, bez Francyi, którą Anglia szczególnie pragnęła odosobnić i wpływu na lądzie i morzach pozbawić; *du reste, tout était intrigue, mystère et incohérence*. Cesarz Aleksander, cofnąwszy swoje wojsko z Saksonii, wpuścił tam Prusaków, jak żeby pokazać Europie, że na swoim postawi, ale po dawnemu nie porzucił systemu osobistej dyplomacyi.

U Talleyranda zjawił się ks. Adam Czartoryski z długo odkładaną wizytą i z tłumaczeniem, że zwlekał, wiedząc, jak Talleyrand źle jest dla Polski usposobiony. Talleyrand zaprzeczył: Owszem, lepiej niż ktokolwiek, chcemy bowiem Polaki całej i niepodległej, — a na westchnienie Czartoryskiego:

84

Piękna rzeczby to była, na nieszczęście, mocarstwa nigdy na odbudowanie Polski nie przystaną, — odrzekł: W takim razie Polska nas nie obchodzi, ważniejszym dla nas byt Saksonii. Jeżeli kwestya polska redukuje się do kwestyi granic, niech Austria i Prusy patrzą własnego bezpieczeństwa. Skoro one zostaną zaspokojone, nie będziemy przeszkadzać cesarzowi dać tej części Polski, jaka mu przypadnie, takiej formy rządu, jaką za stosowne uzna. W zamian żądamy nietykalności Saksonii.

Po Czartoryskim przyszedł Nesselrode. Obaj byli wysłani z tumsamym interesem, aby przygotować grunt do rozmowy cesarza z Talleyrandem, której cesarz sam zażądał. Aleksander, widocznie rozdrażniony, zasypał Talleyranda wymówkami, dlaczego tak prędko zmienił zdanie, w Paryżu Polsce przychylnie. Talleyrand znowu powtórzył że był i jest za odbudowaniem Polski niepodległej w dawnych granicach; teraz sprawa inaczej stanęła, idzie o rozgraniczenie, zapewniające Austrii i Prusom bezpieczeństwo.

Cesarz się uniósł: Mam dwakroć sto tysięcy wojska w Księstwie Warszawskim, niech mnie ztamtąd kto wypędzi. Saksonię dałem Prusom; jeżeli król saski dobrowolnie nie złoży korony, będzie wywieziony do Rosyi i tam umrze, jak Stanisław Poniatowski. Wasze prawo publiczne i wasze pargaminy u mnie nic nie znaczą. Dałem słowo i słowa dotrzymam. Król saski jest zdracą....

Talleyrand odpowiedział morałem z katechizmu monarchicznego: *Sire, la qualification de traître ne pent jamais être donnée d un roi, et il imports qu'elle ne puisse jamais lui être donnée*, a na wzmiankę o wywiezieniu króla saskiego do Rosji: *Le congrès n'a pas été réuni pour voir un pareil attentat*.

Negocjacya przybrała, z winy Aleksandra, charakter szermierki językowej, sąsiadującej z pospolitą kłótnią. Pod koniec cesarz się poprawił, uroczyście oświadczając: Król pruski będzie zarazem królem saskim, tak, jak ja cesarzem rosyjskim i królem polskim; przychylność w tej sprawie Francji, będzie miarą mojej przychylności dla niej. — Ten

85

pożegnawszy Talleyranda, zatrzymał u siebie przyniesioną listę krajów, jakie możnaby dać Prusom zamiast Saksonii.

Po niejaki namyśle Ludwik XVIII przysłał Talleyrandowi żądane pełnomocnictwo do traktowania z Austryą; nie tań jednak, że przykro mu byłoby wiązać się z Austryą, zwłaszcza samą. Pocziwy król wynalazł ciekawy argument w obronie Saksonii: przykład Karola XII. Śmierć Patkula świadczyła, jak Karol był mściwym i mało skrupulatnym w obejściu się z prawem narodów, a przecież, pozbawiwszy Augusta II korony polskiej, nie poważał się wydrzeć mu Saksonii. Niech dziś Europa naśladuje przykład Karola XII i poprzestanie na odebraniu królowi saskiemu tytułu Księcia Warszawskiego. — Przewidując, że tego gatunku reminiscencye historyczne skutku nie odniosą, Talleyrand argument zatrzymał przy sobie. Pełnomocnictwo także zamknął w stoliku.

Metternich, żeby uniknąć otwartej scyssy między sprzymierzeńcami i zyskać na czasie, odmówił rozdzielenia sprawy saskiej od polskiej; obie miały być razem traktowane i rozstrzygnięte. Przeciwno zajęciu Saksonii przez Prusaków nawet protestu nie wniósł; w urzędowych zaś notach, oświadczał, że tylko konieczność mogłaby przełamać wstręt moralny i polityczny Austrii do zaboru Saksonii przez Prusy. Wyglądało to na kapitulację. Cesarz Franciszek miał wręcz powiedzieć swemu szwagrowi, ks. Antoniemu saskiemu, że Saksonia jest dla nich tak dobrze, jak stracona. Myśl zwrócenia się w stronę Francji, nikomu w Wiedniu w głowie niepostała.

Ludwik XVIII czuł szczególnie pociąg do księcia regenta i Anglii, nieodpłacany wzajemnością. W kwestyi polskiej, Castlereagh stał przynajmniej teoretycznie przy Francji, lecz Saksonię bez wahania oddawał na łup Prusaków, głośno przyznając, że ani pryncypia, *qui n'étaient pas son fort*, ani żaden wstręt, moralny lub polityczny, nie przeszkadza mu dać zbawienną nauzkę Niemcom i światu, oraz wzmocnić Prusy. Dopiero niejaki wrażenie zrobiła na nim uwaga, że Anglia niepowinna powierzać Lipska Prusakom, z którymi

86

nie jest pewną żyć w zgodzie, podczas gdy z Saksonią wojny toczyć nigdy nie będzie; swobodny przystęp na jarmarki lipskie, mocno obchodził handel angielski. Pomimo to, użalał się przed Talleyrandem na upór Francji w sprawie saskiej, nierównie ważniejszej od polskiej.

Talleyrand pokazał mu na karcie, jak Prusy, usadowione w Saksonii, będą mogły w kilka tygodni zawojować Czechy i dostać się do serca monarchii austriackiej. Anglik, w geografii nie mocniejszy niż w pryncypiach, potrzęsł głową. Talleyrandowi przypomniał się wykrzyknik Kaunitza: *C'est prodigieux tout ce qua ces Anglais ignorent!*... Ale pilniejszym uchem słuchał, o potrzebie położenia tamy ambicyi północnego olbrzyma: ruchy wojsk rosyjskich nad granicą turecką były wymownym argumentem.

— Dobre to wszystko, ozwał się wreszcie; ale Francya ma dwadzieścia pięć milionów ludności, które my taksujemy na czterdzieści... gdybyście przynajmniej wyrzekli się zamiaru odzyskania lewego brzegu Renu...

Gdy Talleyrand tego się wyparł, Anglik jeszcze westchnął:

— Armia francuska w Niemczech obudzi rozmaite wspomnienia, — a w końcu naiwnie przyznał, że bez Francji i bez Talleyranda, wszystko byłoby dawno ukończone, bo w gruncie mocarstwa są jednej myśli.

Ile ta jedność była warta, pokazało się niebawem, przy otwarciu kongresu, z mowy Metternicha, której sens był taki, że przed wyborem komisji, mających rozdzielić między siebie rozmaite sprawy, każde mocarstwo powinno ułożyć się z innemi o punkta bezpośrednio go obchodzące¹. Równało

¹ Talleyrand w raporcie do Paryża tak sparodyował przemówienie Metternicha:

Il nous dit: que toutes les affaires avaient deux faces; que ce congrès n'était pas un congrès; que son ouverture n'était pas proprement une ouverture; que les commissions n'étaient pas des commissions; que dans la reunion des puissances à Vienne, il ne fallait considérer que l'avantage d'une Europe sans distances; qu'on resterait d'accord, on qu'on, ne le serait pas.

87

się to wyznaniu, że porozumienie dotąd nie postąpiło. Jakoż poprzestano na wyborze komisji do sprawdzenia pełnomocnictw, oraz na rozpoczęciu formalnych układów w sprawach najmniej drażliwych, szwajcarskiej i włoskiej. Polska i Saksonia pozostały przedmiotem zakulisowych targów.

Metternich, już osobiście poróżniony z cesarzem Aleksandrem, zwrócił się do Talleyranda z prośbą, aby zbytecznie nie napierał, gdyż Austrya i Anglia postanowiły nie dopuścić przekroczenia Wisły przez Rosyę; o Saksonię toczą się układy z Prusami, ofiarowano Prusakom około pół miliona dusz w Saksonii, mianowicie Wittemberg, potrzebny dla zaślony Berlina; w ten sposób, król saski będzie mógł zachować koronę i półtora miliona poddanych. W parę dni później, w obecności Nesselrodego i Castlereagh'a, wystąpił przed Talleyrandem z oświadczeniami przyjaźni dla Francji; potem zaś prosił, aby Talleyrand, odkładając na bok swary, dopomógł im ruszyć z miejsca.

Ex-biskup odpowiedział morałami: On nikomu wody nie mąci, nie ma dla nikogo tajemnic, podczas gdy oni robią codzień w sekrecie mnóstwo rzeczy, o których poselstwo francuskie dowiaduje się dopiero z brukowych pogłosek. Wszystkie trudności pochodzą z odwlekania otwarcia kongresu. Ten kongres trzeba raz zebrać; czem wcześniej, tem lepiej. Zwłoka dowodzi chyba nieczystego sumienia. Nie czekając na formalne sprawdzenie pełnomocnictw, co może długo potrwać, nic nie przeszkadza zgromadzić pełnomocników i wyznaczyć komisye, którym każdy swoje żądanie przedłoży.

Castlereagh, przyznając mu słusność w rzeczy, ubolewał, że sama nazwa kongresu przestrasza Prusaków, szczególnie Hardenberga. Metternich powrócił do swego, że zebranie kongresu najlepiej odłożyć do chwili, kiedy stanie zgoda, przynajmniej w najważniejszych sprawach. W jednej — której nie nazwał, ale która znaczyła Polskę — *on est en présence*; co do organizacyi

Niemiec, wszystko idzie gładko; niebawem przyjdzie kolej na Szwajcaryę, w czym Francya powinna wziąć udział; we Włoszech są komplikacje... w interesie spokoju Włoch i Europy, wypada kwestyi neapolitańskiej

88

nie rozstrzygać na kongresie, odłożyć ją na później, tembardziej, że sama siła rzeczy sprowadzi restauracyę Burbonów.

Siła rzeczy, odparł Talleyrand, dziwnej teraz nabyła potęgi. Los Neapolu musi być na kongresie rozstrzygnięty. Co najwięcej zgodzić się mogą na to, żeby sprawy włoskie rozbiierać porządkiem geograficznym, wtedy Neapol przyjdzie na ostatku. Uorganizujemy Włochy, oznaczymy granice w północnych i środkowych Włoszech, usuńmy zewsząd obce wojska, zaprowadźmy wszędzie prawowite rządy i regularną administracyę, określcie następstwo tronu w Sardynii, wysłżycie arcyksięcia do Medyolanu jako namiestnika uznajcie prawa królowej Etruryi do Toskanii, oddajcie papieżowi co do papieża należy i co Austria zajęła, a wtedy Murat zejdzie do rządu prostego rozbójnika.

Skutek rozmowy był taki, że sprawy włoskie poszły nieco różniejszym krokiem.

XVI.

Zwłoka wyszła ostatecznie na korzyść Talleyranda. Wojskowi austriacy poczęli kiwać głowami na usadowienie się Prusaków na drodze do Czech; różni doradcy donieśli o tem cesarzowi Franciszkowi, który miał zwyczaj zasięgać zdania u całego świata. Ze swojej strony Talleyrand trafił wprost do cesarza przez hr. Sickingen. Skończyło się na zwołaniu wielkiej rady wojennej, i ta orzekła, że bezpieczeństwo monarchii i Niemiec wymaga, aby Rosya nie posunęła dalej swych granic, tudzież, żeby bieg rzeki Saali nie dostał się w ręce Prusaków. Orzeczenie rady związało do pewnego stopnia ręce Metternichowi, i cesarz wystąpił teraz jako obrońca Saksonii, mocno obrony potrzebującej.

W. ks. Konstanty, z polecenia Aleksandra, udał się do Warszawy, aby organizować armię polską. Aleksander dał się słyszeć ze zdaniem, że gdy on zaprowadzi swoją administracyę w księstwie Warszawskim, a Prusacy swoją w Saksonii, niedaleko będzie do objęcia tych krajów na własność.

89

I tak się niby zdawało. Pomimo to, protest króla saskiego przeciwko okupacyi pruskiej, złożono do akt. Castlereagh z Metternichem wymogli na Hardenberga obietnicę poparcia dla siebie w sprawie polskiej; Aleksander pomieszał im szyki. Zaprosiwszy króla pruskiego na obiad do siebie, odwołał się do jego przyjaźni i serca, zaklinał, aby go nie opuszczał w chwili, kiedy jest tak bliskim spełnienia swoich najgorętszych życzeń przez odbudowanie Polski. Fryderyk-Wilhelm poprzysiągł wierność i wytrwałość. Zawołano Hardenberga, który musiał przyrzec, że zastosuje się do woli króla.

Metternich zganił uległość Hardenberga, lecz gdy chwilowo złe nie było do naprawienia, o pół kroku posunął się ku Talleyrandowi, który nie wiedział nawet napewne, co się dzieje między sprzymierzeńcami i co oni między sobą piszą. Chodziła wprawdzie po mieście wieść o scenie, jaka miała zajść między Aleksandrem i Metternichem, w ciągu której ostatni miał grozić cesarzowi odbudowaniem Polski przez Austryę, na szkodę Rosyi, a cesarz gromić kanclerza, jak on jeden śmie przybierać *un ton de révolte*; lecz co do Saksonii, postawa Austrii nie przestawała być zagadkową.

Przy nadarzonej sposobności, Talleyrand jął się przedstawiać Metternichowi po przyjacielsku, jak źle robi, zamało myśląc o sobie. Mąż publiczny musi nieraz i w niejednym ustąpić, ustąpić z najczystszych pobudek, lecz gdy świat tych pobudek nie zna i sądzi tylko po widomych rezultatach, niepodobna uniknąć niesprawiedliwych oskarżeń. Trzeba więc choć przyjaciół postawić w możności prostowania fałszywych sądów. I tak, oskarżają Metternicha, że poświęcił Saksonię... Natenczas Metternich wydobył kopię noty do Prusaków, w której oddawał im całą Saksonię, pod warunkiem, że Prusy odstąpią cesarza Aleksandra w kwestyi polskiej i zrzekną się Moguncyi. Po tem, co zaszło między monarchami, Austriya wprawdzie niewiele ryzykowała; lecz koniec końcem, sposób, w jaki Saksonii broniła, wart był tyle, co groźba odbudowania Polski na rachunek Austrii.

Castlereagh, korespondujący ustawicznie z Aleksandrem, postawił również alternatywę: albo odbudowanie Polski

90

niepodległej w dawnych granicach, albo powrót do trzeciego rozbioru. Odbudowanie Polski znaczyło olbrzymią wojnę, na którą Anglia nie myślała dać ani jednego żołnierza; gabinet angielski trwał przy tem w chęci niedopuszczenia interwencyi francuskiej w sprawy kontynentalne. Co się tyczyło Saksonii, Castlereagh uważał aneksyę jej do Prus za rzecz skończoną. W Paryżu, Wellington twierdził, że działa on w sprzeczności z otrzymanymi instrukcyami; gdy mu jednak Blacas poddał myśl zawarcia między Anglią, Francją i Hiszpanią konwencyi, mającej jedynie na celu wykład zasad, wspólnych tym mocarstwom, Wellington znalazł to zbyt cennym. Taka u wszystkich Anglików przeważała niechęć ku Francji.

Cesarz Aleksander, sądząc się zabezpieczonym ze strony Prus, nanowo spróbował szczęścia z Talleyrandem. Spotkawszy go w prywatnym domu, przymówił się o poproszenie o audyencyę. Mowa była naturalnie o Polsce i Saksonii. Z obu stron wytoczono ciężką artyleryę zasad, prawa narodów, dobra Europy, odpowiedzialności przed światem i historyą. Aleksander zagalopował się, twierdząc, że jest w zgodzie z Austryą, i co do Polski, i co do Saksonii. Talleyrand wiedział, że tak źle jeszcze nie jest. Nareszcie, cesarz uciekł się do argumentu, iż Francya podobno także przypuszcza podział Saksonii? Nie mogąc zaprzeczyć, Talleyrand zasłonił się interesem utrzymania pokoju. Wtedy Aleksander zarzucił, że właśnie Sasi najbardziej obawiają się podziału; wolą raczej przejść wszyscy razem pod berło Prus; podział jest największym nieszczęściem, jakie naród spotkać może. — NPanie, wtrącił Talleyrand, gdyby to rozumowanie za stosować do Polaków?... — Cesarz się obruszył: Rozbiór Polski nastąpił nie z mojej winy, naprawa krzywdy nie odemnie samego zależy; kiedyś stać się to może.

Do Wiednia doszły słuchy o uzbrojeniach we Francyi. Cesarz spytał, ile w tem prawdy, a po wyjaśnieniach

¹ Dokumenta z r. 1814 i 1815 są dotąd w Londynie nieprzystępne obcym. Oncken miał otrzymać wypisy z archiwów, których jeszcze nie ogłosił.

91

Talleyranda, zaproponował mu targ: *Ecoutez, faisons un marché: soyez aimable pour moi dans la question de la Saxe, et je le serai pour vous dans celle de Naples*. Gdy zaś Talleyrand zareplikował: W. C. Mość niezawodnie zarówno z Francją pragnie powrotu do Neapolu prawowitej dynastji — Aleksander zwinął chorągiewkę: *Eh bien! persuadez aux Prussiens de me rendre ma parole*.

Talleyrand, widząc, jak cesarz sam się cofa, udał niewiniątko: NPane, z Prusakami bardzo rzadko się widzimy; oni mnie zresztą słuchać nie zechcą; za to W. C. Mość wszystko u nich może, mianowicie u króla, i ma w dodatku czem ich zaspokoić. — Jakim sposobem? — Kawalkiem Polski — Jakto? mam własnym kosztem drugiemu dogadzać?

Wejście cesarzowej przerwało rozmowę. Po chwili, Aleksander rzekł: *Résumons-nous*. Zrekapitulowawszy swoje argumenta, Talleyrand zakończył tem, że będzie obstawał przy pozostawieniu królowi saskiemu półtora miliona dusz... *Vous insistez trop sur une chose décidée*, odparł cesarz.

Tout a été calme et doux, donosił Talleyrand Ludwikowi XVIII. Cesarz chciał się dowiedzieć, co ma sądzić o naszych zbrojeniach; zmiarkować, czy Francya byłaby skłonna wejść z nim w przymierze; poznać nasze widoki w kwestji saskiej, którą nazwał rzeczą zdecydowaną, ale tonem, wnosząc pozwalającym, że owa rzecz postanowiona, może uleść odwołaniu. Cesarz czuje się związanym, więcej niż przyjaźnią, obietnicami, jakie poczynił królowi pruskiemu; a jeżeli się nie mylę, byłby bardzo kontent znaleźć uczciwy pretekst do wycofania się przyzwoicie. Tak było, niestety. Aleksander w podobnym sensie odezwał się do Schwarzenberga, który przyciśnięty przezeń, aby mówił otwarcie, jako przyjaciel, po niejakiem wahaniu wręcz powiedział cesarzowi, że jego postępowanie względem Austrii, jest nieszczerze i nielojalne, że jego pretensye dążą do postawienia monarchii austryackiej w niebezpiecznem położeniu, z czego wyniknie wojna, może nie teraz, lecz za półtora roku lub za dwa lata najpóźniej.

92

W rzeczy samej, Schwarzenberg przewidywał wybuch wojny i radził nieociągać się z przygotowaniem. Wskutek tego rząd austryacki wzmacniał załogi w Galicyi. Metternich zapytał Bawarów, czy byliby skłonni oddać do dyspozycyi Austrii dwadzieścia pięć tysięcy ludzi; Wrede obiecał trzy razy tyle, jeżeli Francya przyłączy się do związku i jeżeli Bawarya otrzyma udział w subsydyach, jakich Anglia zapewne pospieszy dostarczyć. Nadworna rada wojenna wypracowała plan kampanii: Austrya, Bawarya i inne państwa niemieckie, miały wyprowadzić w pole trzykroć dwadzieścia tysięcy ludzi; dwakroć przeznaczonych działac pod Schwarzenbergiem nad Wisłą, sto dwadzieścia pod Wredem nad Elbą i Odrą. Lecz plan ten przewidywał, że Francya wystawi korpus stutysięczny, którego jedna połowa zasłoni armię czeską od oskrzydlenia, druga zatrudni Prusaków nad Renem. W tem tkwiła główna trudność, Austrya bowiem bała się współki z Francuzami.

Rachuby na pomoc Niemiec również okazały się zawodne. Wirtemberg przerzucił się na stronę Rosyi. Cesarz Aleksander przez ks. Leopolda Koburgskiego wymógł cofnięcie wspólnej noty małych państw z protestem przeciwko zaborowi Saksonii. Jedna Bawarya wytrwała przy Austrii, oglądającej się na Anglię, której pomoc pieniężna była nieodzowną do prowadzenia wojny. — Kiedy się jest w lidze, powtarzała Castlereagh, trzeba w niej pozostać. Liga w jego ustach znaczyła poczwórne przymierze, Metternicha strachem przejmowała zawziętość Talleyranda na Murata, któremu Austrya świeżo sprzedała dwadzieścia pięć tysięcy karabinów. Przyciśnięty o to do muru przez Talleyranda, wszystkiego się wyparł i swoją taktykę w sprawie neapolitańskiej uniewinniał tem, że nie można wszędzie naraz ognia podkładać. Ale o zamiarze podłożenia ognia nad Wisłą i Elbą, wcale nie wspominał.

Wewnętrzny stan Francyi budził uzasadnione obawy. Bonapartyzm dawał znaki życia, armia szemrała, podczas wojny mogły w niej odżyć wspomnienia napoleońskie, Austrii Niemcom aż nadto pamiętne. Ludwik XVIII, jakkolwiek

93

dbały o dobro krewnych, do których i króla saskiego zaliczał, zdawał się na Opatrzność, bo ludzie przeciw woli Bożej nie poradzą. Obiecywał wytrwać przy zasadach, aby może zasłużyć u potomności na: *Justum ac tenacem propositi virum*. Wrzenie umysłów we Francyi, bynajmniej go nie dziwiło. — Śpię tak spokojnie, jak za najmłodszych lat, pisał do Talleyranda. Przewidywałem od początku fermentację, nieuniknioną wśród tylu sprzecznych pierwiastków; prędzej czy później, chmury się same rozejdą.

XVII.

Pełnomocnicy czterech mocarstw zasypywali się wzajemnie replikami i duplikami w procesie o Polskę i Saksonię, z wielkim pożytkiem handlarzy papieru. Na tem schodził czas, niezajęty przez festyny i spektakle wszelkiego gatunku. Dwór austryacki wydawał olbrzymie sumy na żywienie i bawienie swoich gości; Talleyranda gorszyło pospolitowanie się głów koronowanych, których całe tuziny spotykano co wieczór po domach prywatnych. Kunszt zaś Metternicha tak określał: *Son grand art est de nous faire perdre du temps, croyant par là en gagner*. Lecz taktyka Metternicha była naturalnem następstwem fałszywego położenia, w jakim znaleźli się sprzymierzeni, zamieściwszy w traktacie paryskim klauzulę, że podział terytoryów i ustanowienie równowagi nastąpi odpowiednio do przyjętych przez nich zasad, które tak dobrze wtenczas, jaki teraz im samym były niewiadome.

Cesarz Aleksander, niekontent z Nesselrodego, którego miękkości przypisywał swoje niepowodzenia, sformował sobie nową radę przyboczną. Weszli do niej Capo d'Istria, Stein i Czartoryski. Pierwszy mógł chyba mgliste pomysły cesarza jeszcze bardziej pomógł. Stein, prześladowany przez Napoleona, był przy Aleksandrze stróżem interesów niemieckich i unitaryzmu pod wodzą Prus; nadto przeciwnikiem przywrócenia Polski, w czem upatrywał niebezpieczeństwo dla Austrii

94

i Prus; odradzał również nadania Polakom konstytucyi, aby nie stwarzać sprzeczności między zasadniczymi ustawami i formą rządu obu krajów; Polaków uważał za niezdolnych rządzić się konstytucyjnie, i co najwięcej, przypuszczał dla nich udział w miejscowym zarządzie. Mając jednak przed wszystkim na uwadze interes pruski i przewagę Prusaków w Niemczech, uznał korzystniejszym dążyć do zamiany Warszawy na Saksonię i zaprzestał sprzeciwiać się polskiemu projektowi cesarza, który używał go w stosunkach z gabinetem berlińskim. Czartoryskiemu, *dont la perspicacité n'égalait pas à beaucoup près la loyauté*, — powiada Talleyrand — przypadła rola pośrednika między cesarzem i Francuzami.

Aleksander kołysał się nadzieją, że Talleyranda nakłoni do zawarcia z sobą przymierza. W tym celu zgadzał się pozostawić królowi saskiemu związek państwa, *un noyau*; Francji ofiarował swoje poparcie w sprawie neapolitańskiej, tudzież rękę siostry dla ks. Berry. W początku Restauracji, Ludwik XVIII mocno sobie życzył małżeństwa rosyjskiego; teraz, ochłodłszy, postawił warunek, że przyszła księżna Berry stanie na ziemi francuskiej katoliczką: *feisant profession ouverte de la religion catholique, apostolique, romaine*. Zmianie religii opierała się cesarzowa matka; w każdym zaś razie dwór rosyjski obstawał przy tem, aby przejście na katolicyzm odbyło się dopiero po zawarciu małżeństwa, na obcej ziemi i w formie, jak najmniej zwracającej uwagę. Talleyrand odetchnął. Postawa Ludwika XVIII niweczyła projekta małżeńskie, a wraz z małżeństwem zniknął z horyzontu i alians, w sprawie neapolitańskiej niepotrzebny, gdyż wszyscy monarchowie brzydzili się uzurpatorem i kreaturą *człowieka z Elby*.

Natomiast pod koniec roku, Austria i Anglia poczęły wyraźniej zbliżać się ku Francji. Metternicha skłoniła do tego nieudana próba porozumienia się wprost z Rosją. Castlereagh, podrażniony bezskuteczną korespondencją z Aleksandrem,

¹ W. Ks. Anny Pawłowny, która miała wyjść za Napoleona, a w końcu wyszła za króla Hollenderskiego.

95

którą cesarz urwał w sposób obraźliwy, niecierpliwił się leniwym chodem kongresu. Obaj zaczęli przypuszczać Talleyranda do swoich sekretów, komunikować mu noty, wymieniane z Rosyanami i Prusakami. Castlereagh trwał jednak zawsze przy swoim, że kiedy się jest w lidze, należy w niej zostać. Jednego razu nareszcie, przyszedłszy do Talleyranda, aby się rozmówić w sprawie komisji statystycznej, mającej sprawdzić obliczenia rozległości i ludności w Polsce i w Saksonii, przedstawione przez Austriaków i Prusaków, napomknął, że bez pomocy Francuzów nigdy kongres do końca nie dojdzie.

— Wszystko do niczego nie prowadzi — odezwał się Talleyrand — jeżeli naprzód nie ustanowimy zasad i reguł, i nieuznamy wyraźnie praw króla saskiego do Saksonii. Co się tyczy tego ostatniego punktu, moglibyśmy zawrzeć konwencję w trzech: Anglia, Austria i Francja.

Anglik się stropił:

— Czy konwencja ma znaczyć przymierze?

— Konwencja — odparł Talleyrand — może nie znaczyć przymierza, albo jeżeli chcecie, może być przymierzem; co do mnie, nie mam nic przeciw temu.

— Kiedy bo przymierze sponuje wojnę, lub gotowe do wojny doprowadzić; my zaś chcemy wojny uniknąć?

— I ja jestem tego zdania, że wojny należy się wystrzegać, byle bez uszczerbku dla honoru, dla sprawiedliwości i dla przyszłego bezpieczeństwa i spokoju Europy.

— Wojna byłaby w Anglii niepopularna — zarzucił jeszcze Castlereagh.

— Wojna byłaby i u was popularną, — wtrącił Talleyrand — gdybyście naznaczyli jej cel wzniosły, prawdziwie europejski.

— Jaki cel?

— Odbudowanie Polski.

Anglik namyśliwszy się, potrząsł głową:

— Jeszcze nie...

Talleyrand przyznał się królowi, że nadal umyślnie taki obrót rozmowie, żeby Anglika *wysondować*. Lecz sondy nie zdołał

96

zapuścić do gruntu, tam, gdzie była schowana miłość dla ligi, wraz z mocnym postanowieniem usunięcia Francji od rzeczywistego wpływu na sprawy kongresowe. Przekonał się o tem zaraz nazajutrz rano, gdy Stewart przyniósł nowinę, że na komisję statystyczną jest powszechna zgoda, ale pełnomocnik francuski ma być z niej wykluczony. Zapytany, kto mianowicie chce Francuzów wyłączyć, zaręczył, że nie jego brat, i wyjął: sprzymierzeni...

Talleyrand wpadłszy w gniew, zagroził wyjazdem z Wiednia. Sprzymierzeńcy skapitulowali. Wieczorem tegosamego dnia, Castlereagh zawiadomił Talleyranda, że stanie się zadość jego życzeniu. Dalberg zasiadł w komisji statystycznej, obok Prusaków, których obecność pozwalała wnosić, że swoje pretensje zmodyfikują i zastosują do wyniku narad komisji.

Inna komisja, do której wszedł Razumowski, Capo d'Istria, Metternich i Hardenberg, zajęła się kwestją rozgraniczenia w Polsce. Rosja wstąpiła przez to także na drogę kompromisu. Aleksander ponownie wysłał Czartoryskiego do Talleyranda z dwoma poleceniami, jednym dziwniejszem od drugiego. Najpierw, kazał oświadczyć, że go najniesłuszniej pomawiają o odstępstwo od zasad, gdyż wierny pozostał swojej zasadzie niezmiennej, jaką jest szczęście ludów; powtóre, że prześladuje go obawa, że król saski, powróciwszy na tron przodków, może się uczuć bardzo nieszczęśliwym, wskutek utraty znacznej części swojej spuścizny. — Talleyrand miał w zanadru odpowiedź: szczęście ludów było zasadą wszystkich przywódców rewolucji francuskiej, bez różnicy epoki; król saski, pozbawiony tronu i uwięziony, będzie niezawodnie jeszcze nieszczęśliwszy. — Z poselstwa zaś dla siebie wyciągnął sens moralny, że skrupuły cesarza nie świadczą o silnej woli oszczędzenia królowi saskiemu smutków, jakie sprawi utrata kawałka ojcowizny.

Na schyłku roku 1814, stanął pokój między Anglią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej. Anglia miała ręce wolniejsze w Europie. W parlamencie upomniano się za Polską i za Saksonią; książe regent posłał w tym duchu instrukcye swoim pełnomocnikom w Wiedniu i rzekł się

97

powiększenia Hannoveru Jeżeli król saski koronę odzyska. Castlereagh, do żywego dotknięty tonem, jaki Rosja i Prusy przybrały na konferencyach, i zaniepokojony myślą, że mu przyjdzie stanąć przed parlamentem z próżnymi rękami, uczuł potrzebę zdobycia świadectwa czarno na białem, że robił wszystko, co było w jego możliwości i nie cofnął się nawet przed użyciem heroicznych środków. Gdy więc Talleyrand wspomnił ponownie o konwencji, przyniósł mu brulion umowy, przez siebie artykułami zredagowany. Talleyrand aż podskoczył z radości. Cyrograf był bardzo niewinnej natury, spisany naprędce i nieporządnie, ale... *avec des gens d'un caractère faible il fallait se presser de finir*. Po wspólnej naradzie z Metternichem, który od razu zmiarkował, że się na żadne niebezpieczeństwo nie wystawi, i po poczynieniu nieznacznych poprawek, tegosamego dnia w nocy podpisany został słynny traktat z 3 stycznia 1815 r.

Według brzmienia traktatu, Anglia, Austria i Francja zawarły między sobą przymierze odporne, w przekonaniu, że mocarstwa, powołane do uzupełnienia postanowień traktatu paryskiego, aby móżd wiernie i godnie wywiązać się z tak ważnego obowiązku, powinny używać zupełnego bezpieczeństwa i zupełnej niezależności. Wobec roszczeń świeżo podniesionych, wypada im zatem obmyśleć środki odparcia zaczepki, wyniknąć mogącej wskutek postawionych przez nie wniosków, sprawiedliwością i słuszością wskazanych. Następuje XIV artykułów. Artykułem pierwszym strony podpisane zobowiązały się wzajemnie działać w porozumieniu z sobą, z całą bezinteresownością i dobrą wiarą, i dążyć do tego, aby postanowienia traktatu paryskiego uzupełnione zostały zgodnie z prawdziwym duchem tegoż traktatu. Gdyby w następstwie wniosków wspólnie postawionych, jedno z mocarstw podpisanych zostało zaczepione, wszystkie trzy pospieszą zaczepkę odeprzeć, dostarczając sił niżej wymienionych.

Zaraz w drugim artykule zastrzeżone było, iż na wypadek, gdyby jedno z mocarstw podpisanych, ujrzało się zagrożonym, z powodów poprzednim artykułem wymienionych,

98

dwa inne użyją przyjacielskiego pośrednictwa, aby zaczepki niedopuszczyć.

Dalsze artykuły, III, IV i V, stanowiły, że w razie zaczepki, każde mocarstwo wystawi sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, określały skład korpusów i zostawiały Anglii swobodę dostarczenia subsydyów w pieniądzu zamiast wojska.

Artykuł VI pozostawiał późniejszemu układowi ułożenie planu kampanii, kwestyę dowództwa naczelnego i zaopatrzenia armii w żywność i amunicję.

Artykuł VII zastrzegł możność wzmocnienia sił czynnych odpowiednio do potrzeby.

Artykuł VIII warował, że pokój może być zawarty tylko wspólnie, przez wszystkie państwa w wojnie udział biorące.

Artykuł IX pozwalał każdemu mocarstwu zaciągać względem innych zobowiązania, o ile takowe sprzeciwiać się nie będą celowi obecnego przymierza.

Artykuł X i XI utrzymywał traktat paryski w całej mocy, tak we wszystkim, co się tyczyło granic mocarstw podpisanych, jakoteż przy traktowaniu innych przedmiotów.

Artykuł XII przewidywał przystąpienie innych państw do związku, w czasie i na warunkach przez trzy mocarstwa oznaczonych.

Artykuł XIII zaliczał Hannover i Holandję do posiadłości, najściślej których pociągnie za sobą obowiązek solidarnej obrony.

Artykuł XIV wyznaczał termin ratyfikacji przed upływem sześciu tygodni.

Stary nałóg zapewne sprawił, że dodano do konwencji osobny artykuł sekretny, wymieniający Bawaryę, Hannover i Holandję, jako państwa, które zaproszone będą do przystąpienia do traktatu.

99

XVIII.

Koalicja nie istnieje! — tryumfował Talleyrand, donosząc Ludwikowi XVIII o zawarciu traktatu. — Koalicja rozbita nazawsze! Francja wyszła z odosobnienia, idzie ręka w rękę z dwoma wielkimi mocarstwami i z trzema drugiego rzędu; niezadługo skupią się około niej wszystkie państwa, niewyznające zasad rewolucyjnych. Król arcychrześcijański będzie głową ligi, utworzonej w obronie zasad, jakie on pierwszy w Europie głosił.

Francja wyszła o tyle z odosobnienia, że pełnomocnicy francuscy brali odtąd udział w wszystkich pracach kongresu; w pięć dni po zawarciu traktatu, Talleyrand został zaproszony do komisji dla spraw polskich. Lecz poczwórne przymierze było tylko chwilowo zawieszane. Austria bądźco bądź nie przestała być bliższą Rosji i Prus, niż Francji; podział Polski, będący jednym z głównych celów traktatu styczniowego, miał nanowo ściśnić rozluźnione węzły. Anglia wiązała się z Francją w przewidywaniu wypadków, które prawdopodobnie miały nastąpić, i z zastrzeżeniem, że Francja dla siebie nic nie zażąda.

W zamian za zaszczyt przypuszczenia Francji do koncertu europejskiego, Talleyrand, podpisując traktat, poręczył Austrii i Anglii ich wspólny program, obejmujący podział Polski i przywrócenie Prusom dawnych rozmiarów; Austrii w dodatku zapewnił bezpieczeństwo na czeskiej granicy, przez utrzymanie Saksonii, której byt monarchię austriacką bezpośrednio dotykał, podczas gdy dla Francji stanowił punkt bardzo podrzędny. Z drugiej strony, Talleyrand sam sobie ręce związał w kwestjach granicznych nad Wisłą, Elbą i Odrą. Tam Austria była bezpośrednio interesowaną; skoro więc ona czyniła ustępstwa, Anglia nie miała powodu targować się o cudze dobro i dla świętego spokoju wołała powiedzieć: Amen! Natenczas dwóch członków ligi stawało naprzeciw trzeciego, który od początku głosił, że kwestya

100

rozgraniczenia Francję wcale nie, lub bardzo mało obchodzi.

Wprawdzie wojna mogła wyniknąć i otworzyć nowe horyzonty; lecz na samo wspomnienie wojny, wszyscy się zegnali i prosili Pana Boga, żeby ich nie wodził na pokuszenie; jeden z artykułów styczniowego traktatu, włożył nawet na podpisanych obowiązek użycia przyjacielskiej interwencji, aby zaczepkę odwrócić.

Talleyrand zawczasu uspokajał Ludwika XVIII: *Il est grandement à croire que la Russie et la Prusse ne voudront pas courir les chances de la guerre*; jak długo zaś Rosya i Prusy nie wystąpią zaczepnie, traktat pozostanie martwą literą. W samej rzeczy, Rosya i Prusy nie o zaczepce, lecz o kompromisie myślały. Na konferencji, odbytej 30 grudnia 1814 r., Razumowski, obstając przy pozostawieniu Rosji Księstwa Warszawskiego, z wyjątkiem niektórych części, ustępował Kraków i Toruń z okręgiem, aby z nich utworzyć miasta wolne, pod opieką trzech mocarstw. Wyjątek niektórych części Księstwa nie mógł znaczyć co innego, jak zwrot kawałka Polski Austrii i Prusom; o Toruń i Kraków nie warto było wszczynać wojny. W dniu podpisania traktatu, 3 stycznia, Metternich przedłożył swój projekt podziału Polski: Rosya zatrzyma Księstwo Warszawskie; część okręgu krakowskiego na prawym brzegu Wisły, z Wieliczką i Bochnią, oraz Tarnopol, przypadnie Austrii; Kraków i Toruń utworzą wolne miasta; część Księstwa wróci do Prus. Projekt austriacki nie różnił się zatem mocno od rosyjskiego. Co się tyczyło Prusaków, trwali oni przy tem, co im dawniejsze umowy przyrzekły; byle im zwrócono rozległość i ludność z przed roku 1806, reszta mniej ich obchodziła; pożądaną Saksonii, nie gardzili Warszawą; o obronne granice dbali, ale sztukowana kompensata po różnych stronach, nad Wisłą, Elbą i Renem, obiecywała także pewne zyski, przy umiejętnym traktowaniu wartości ziemi i

wartości dusz. Wszak sam Talleyrand twierdził, że chłop polski, ubogi, niedbały o uprawę gruntu, mieszkający w drewnianej chałupie, nie może iść w porównanie z zamożnym i pracowitym chłopem saskim lub nadreńskim. Prusacy dla formy jeszcze obstawali

101

przy zaborze całej Saksonii i przeniesieniu króla saskiego nad Ren, lecz ich pretensje straciły widoki powodzenia, gdy Razumowski przyjął w zasadzie, 7 stycznia, propozycje austriackie i gdy Anglicy opatrzyli się, że król saski nad Renem będzie waszałem francuskim.

Rozpoczęto, na wniosek Talleyranda, traktować z Bawaryą i z drobiazgiem niemieckim, o przystąpienie do traktatu; Bawaryja odrazu przystała, książę hesski obiecał dostarczyć sześć tysięcy zbrojnych. Tekst traktatu pozostał utrzymanym w tajemnicy, ale doszło do wiadomości interesowanych, że coś się knuje. Castlereagh znalazł się w niemałym kłopotcie, gdy Aleksander raptem wystąpił z zapytaniem, ile jest prawdy w tem, co mówią o przymierzu Anglii z Francją, Austrią i Bawaryą? — Nie sądząc się w prawie, pisał, rozgłaszać zawarcie traktatu, i nie chcąc mówić nieprawdy, zapewniłem cesarza, że postępując zgodnie z intencjami, jakie wyraził, nie potrzebuje niczego obawiać się ze strony tych mocarstw. Nie zataiłem jednak, że ton Hardenberga na ostatnim posiedzeniu słusznie zaniepokoił mocarstwa, dbające o własną niezawisłość¹. — Po ustępstwach, zrobionych przez Aleksandra w Polsce, pogrożka mogła mieć na celu już tylko Prusy. Żeby zaś Prusom odwrót ułatwić, Talleyrand na piśmie oświadczył, że Francja użyje całego wpływu, aby króla saskiego skłonić do ustępstw, jakie Francja, wspólnie z Anglią i Austrią, za konieczne uzna. Ale trzem mocarstwom traktatowym trudno przychodziło nawet określenie owych ustępstw koniecznych. Gabinet wiedeński twierdził, że bezpieczeństwo Austrii nie pozwala na oddanie Prusom fortec Torgau i Erfurtu; Talleyrand popierał Metternicha, nie bardzo mocno; Castlereagh zaś stanął po stronie Prusaków i z góry zapowiedział, że Anglia w tej kwestyi nie czuje się związaną traktatem.

Talleyrand naprzemiennie wmawiał w Ludwika XVIII, że się wielkie rzeczy gotują, i znowu zapewniał, że nie ma

¹ 8 stycznia.— Oncken: *Das Zeitalter der Revolution, des Kaiserreiches und der Befreiungskriege.*

102

powodu obawiać się wojny. Zaraz na wstępie, zażądaj od króla wysłania do Wiednia, w największym tajemnicy, generała Ricard, aby na wszelki wypadek ułożył z Austriakami, co potrzeba. Nie wiedząc jeszcze, jak król przyjmie wiadomość o zawarciu traktatu, powtórnie zaręczył, że w jego przekonaniu wojny wcale nie będzie, lecz zaproponował królowi rozpoczęcie układów z Portą o dywersję na wypadek wybuchu wojny i nadmienił, że w Wiedniu postara się Szwecyę wciągnąć do przymierza.

Ludwika XVIII niezmiernie uradowała rola, jaką raptem grać zaczął w Europie, oraz zbliżenie między Francją i Anglią, czego oddawna gorąco pragnął. Pospieszył przeto ratyfikować traktat, obiecał wysłać do Wiednia generała Ricard, *avec toute la célérité possible et tout le mystère possible*; myśl układów z Turcyą także pochwalił. Zresztą, w ciemni niebity i przez Wellingtona dostatecznie powiadomiony, jaki wstręt Anglia czuje do wszelkiej wojny, o laurach wojennych dla siebie nie marzył, i nikogo o podobne marzenia nie posądzał. Dlatego wzmianka o wejściu Szwecyi do ligi, mniej mu się podobała: po co bowiem było bratać się z krajem, w którym kiedyś zasiąść miał na tronie Bernadotte, kreatura Buonapartego? Współka z Szwecyą, pisał do Talleyranda, to delikatna materyja. Rosyjanie mogą prędko stanąć w Sztokholmie, lepiej więc może Szwedów nie narażać na niebezpieczeństwo? Gustaw IV wprowadził zabdykował dobrowolnie, ale czy Gustaw miał prawo zrzec się praw swego syna do tronu? Jeżeli nie miał, elekcyja Bernadottego jest nieważna... *Pendant que nous sommes en bon train, tâchons de terminer l'affaire de Naples.*

W przekonaniu Ludwika XVIII, praktyczna wartość traktatu winna była okazać się w sprawie neapolitańskiej. Pocziwy król, bardzo wyrozumiały na słabości cielesne, którym sam składał, albo przynajmniej udawał, że składa daninę, okropnie się gorszył romansami Metternicha z połowicą uzurpatora, chociaż te romanse należały już do historii, i sądził, że cesarz Franciszek, nie wiedząc właściwie o co chodzi, pozwala swemu ministrowi wodzić się za nos: *Ce qui*

103

nuit an bon droit, c'est la cause la plus honteuse dont l'histoire ait jusqu'ici fait mention; car si Antoine abandonna lâchement sa flotte et son armée, du moins c'était lui-même et non pas son ministre que Cleopatre avait subjugué. — W skutek tego ominęła Metternicha błękitna wstęga orderu św. Ducha.

Kleopatra neapolitańska dużo mniej w tym wypadku winną była, aniżeli Ludwik XVIII mniemał. Wiedeński Antoniusz umiał swemu sercu nakazać milczenie, tem łatwiej, że pod ręką miał pocieszycielkę, bliską znajomą Talleyranda; lecz na pierwszym planie stała rzecz pilniejsza, sprawa saska, o którą targ szedł z wielkim oporem, nietylko z winy Rosyan i Prusaków. Castlereagh, autor traktatu styczniowego, nie przestał popierać roszczeń pruskich i tem zmuszał do ustępstw Metternicha, którego Talleyrand pomawiał o lekkomyślność i obojętność: *Il traite la question de la Saxe avec une légèreté et une insouciance dont je suis toujours émerveillé, quelque habitude que j'aie de les lui voir.* Ale i reprezentant głowy ligi, Talleyrand, doszedł do odkrycia, że w sprawie saskiej są dwie kwestye odrębne: kwestya legitymizmu, najważniejsza, która wyjdzie cało, jeżeli król saski odzyska tron, oraz kwestya równowagi, która może i musi ponieść uszczerbek.

Talleyrand odstępował Prusakom z Saksonii pół miliona dusz, Metternich siedmkroć, Castlereagh cały milion. Prusacy wszystkim odpowiadali: to nie dosyć; szczególnie napierali się Lipska, niby ich krwią zdobytego i obiecanego im przez monarchów sprzymierzonych jeszcze na polu bitwy.

Takie targi potrwać mogły parę lat, lecz cesarz Aleksander, raz dawszy za wygrane, zapragnął zdziwić świat wspaniałomyślnością. Z własnego popędu więc obiecał użyć swego wpływu na Prusaków, żeby ich nakłonić do umiarkowania, i Austrii ofiarował cyrkuł Tarnopolski. Austrija podziękowała, prosząc, aby raczej taka sama ilość mieszkańców przypadła Prusom nad Wisłą, jako kompensata za odpowiednie ustępstwo od strony Saksonii. Innemi słowy, potentat, przeciw któremu traktat styczniowy był wymierzony,

104

z własnej ochoty poszedł w służbę ligi. Wreszcie i Opatrzność lidze dopomogła. Castlereagh musiał wracać do domu, gdzie jego obecności wymagały sprawy parlamentarne. W Wiedniu wszystkim uprzykrzył się jego upór. Zwiąawszy się z Austrią i Francją, w celu obrony Saksonii, nie zaprzestał popierać po dawnemu Prusaków i ich pretensji do Saksonii, tłumacząc się tem, że dbać musi o swój *character*, o swoją odpowiedzialność przed parlamentem, na co inni zważać nie potrzebują. Zastąpił go w Wiedniu Wellington, Francuzom przychylny i sympatyczny; nie taki, jak poprzednik, sztywny i uparty, przytem lepiej obeznany z geografją polityczną i militarną. Przyjeżdżając z Paryża, wystawił Francji dobre świadectwo, że król jest lubiany i szanowany, że armia, nie zupełnie pewna, gdyby jej wewnątrz użyto, z ochotą poszłaby na obcych. Zdanie Wellingtona wiele ważyło u sprzymierzonych, mianowicie u cesarza Aleksandra. Powagi swej użył na wybicie z głowy przesadzonych żądań Prusakom, którym obiecano kawał przyległy z Saksonii, sto tysięcy dusz od Hollandyi, pięćdziesiąt od Hannoveru, Erfurt, Fulde; Aleksander dodał do tego Toruń. Saksonii miało pozostać około półtora miliona ludności.

Żeby usprawiedliwić przed Ludwikiem XVIII taki obrót rzeczy, nie zupełnie odpowiadający widokom traktatu, przed miesiącem zaledwie podpisanego, Talleyrand uciekł się do wybiegu: pozostawała mu droga protestu, ale protest byłby skompromitował zasadę prawowitości, jakby cudem ocaloną. Zarazem traktatowi wystawił nagrobek, z napisem: wojny nikt toczyć nie myśli i prawie nikt toczyć nie jest w stanie; generał Ricard niepotrzebnie fatygował się do Wiednia ¹. Dla króla miał inne zabawki: obchód żałobny za Ludwika XVI i małżeństwo ks. Berry. Ludwik XVIII spieszył się przymnożyć następców do tronu; myśli aliansu rosyjskiego jeszcze całkiem nie porzucił, ale ten alians Talleyrandowi bardzo niesmakował. Żeby więc uprzędzić przybycie do Paryża generała Pozzo di Borgo, opatrzzonego w instrukcje Aleksandra

¹ 8 lutego 1815 r.

105

w tej sprawie, posłał królowi długi list, wyłącznie małżeństwu poświęcony. Zaraz na początku pochwalił warunek postawiony przez króla, aby księżna Berry stanęła na ziemi francuskiej katoliczką: król arcychrześcijański nie może na tym punkcie przekroczyć granicy, jakiej Bonaparte przekroczyć nie śmiał. Przed ośmioma miesiącami, związek familijny z Rosją przedstawiał pewne korzyści, przeważnie zdolne inne względy; odkąd Opatrzność wzięła na siebie trud umocnienia tronu, jej ręką odbudowanego, odkąd tron otoczony jest miłością narodu, odkąd koalicja nie istnieje, Francja nie potrzebuje oglądać się na cudzą pomoc, i król nie potrzebuje robić na rzecz konieczności ofiary z względów, jakie w sprawie podobnej są głównymi. W. ks. Anna ma za sobą piękność i postawę, zalety nader pożądaną na tronie francuskim, Francuzi bowiem, więcej niż każdy inny naród, czują potrzebę móżdż powiedzieć o swoich księżkach: *Le monde, en les voyant, reconnaîtrait ses maîtres!*.... W. księżna odebrała podobno staranne wychowanie, ma odznaczać się dobrocią, nakoniec liczy lat dwadzieścia i jeden, nie daje przeto powodu do obaw, jakie rodzi przedwczesne zamążpójście. Przeciwno niej przemawia naprzód to, że miała zostać żoną Bonapartego. Dalej, pamiętać należy, jaki był stan umysłowy Piotra III i Pawła; sądząc z przykładu Gustawa IV, nieboszczyka króla duńskiego i panującego księcia Oldenburgskiego, wnosić należy, że kalectwo umysłowe jest dziedzicznym apanażem domu holsztyńskiego, i obawiać się wniesienia podobnej spuścizny w dom Burbonów. Zmiana religii, którą przypisanoby naturalnie politycznym pobudkom, nie omieszkałaby przyczynić się do upowszechnienia między ludem choroby naszego czasu, indyferentyzmu w rzeczach wiary. Dom Burbonów znajduje się w konieczności zawierania związków małżeńskich z rodzinami, niższymi od siebie, albowiem nie ma równego sobie w Europie; mógłby zatem spokrewnić się z domem holsztyńskim, jakkolwiek w porównaniu z innymi na Północy, nowym; lecz skoro dom Burbonów zaszczyca inny swoim wyborem, ten zaszczycony powinien zaszczyt, jaki go spotyka, umieć cenić należycie i nie

106

mniemać, że obszerność posiadłości kompensuje świeżość pochodzenia. Z drugiej strony, gdy trzy siostry W. ks. Anny powychodziły za małych książąt niemieckich, ks. Berry wszedłby w bliskie pokrewieństwo z mnóstwem książątek, umieszczonych na najniższym szczeblu hierarchii europejskiej. Rosja, przed stu laty prawie nieznaną w Europie, przez małżeństwa zjednała sobie możność wywierania wpływu na Europę; po wstąpieniu na tron francuski księżniczki rosyjskiej, wpływ Rosyi jeszcze się wzmoże; bo, chociaż Francja nigdy sprzyjać nie będzie ambicyi i rewolucyjnym ideom cesarza Aleksandra, inne mocarstwa powezmą ku niej nieufność i zdala od niej trzymać się będą.

Cywilny małżonek owdowiałej pani Grand, umiał w potrzebie rozprawić jak mędrzec o godności małżeństwa; ekskomunikowany biskup-filozof, na wspótkę z królem-filozofem, przeklinał indyferentyzm religijny, szerzący się między ludem. Lecz argumentem najskuteczniejszym wobec Ludwika XVIII, było podobno przypomnienie o swatach Bonapartego, tudzież ostatni ustęp listu Talleyranda: Wydaje mi się odpowiedniem wielkości domu Burbonów, aby w epoce, kiedy wszystkie jego gałęzie, jedną rozbite burzą, razem się podniosły, w własnym łonie szukał środków swego rozrodzenia; jakoż słyszę wielkie pochwały, oddawane córce następcy tronu Obojga-Sycylii...

I na tem się skończyło. Marya-Karolina sycylijska wyszła w 1816 r. za ks. Berry i była matką ostatniego z starszej linii Burbonów.

XIX.

Około połowy lutego, Saksonii został się już tylko milion trzykroć sto tysięcy dusz. Talleyrand pocieszał Ludwika XVIII, że Saksonia nie przestanie być państwem trzeciego rzędu; król bowiem dawniej kilka razy powtarzał, że nieścierpi, aby Saksonia spadła między państwa czwartego lub piątego rzędu. Polska już Talleyranda nic a nic nie

107

obchodziła; dosyć miał kłopotu z Neapolem, o który Ludwik XVIII w każdym liście nalegał, i który samemu Talleyrandowi sen odbierał. W ciągu ostatnich miesięcy, prawowita dynastia straciła we Francji urok nowości, nie przysporzywszy sobie zwolenników; Napoleon zaś siedział na Elbie, jak orzeł w klatce, i tęsknił za swobodą. Możliwość upadku Burbonów i możliwość powrotu na scenę Napoleona, zarówno kazały Talleyrandowi spieszyć się z wygnaniem uzurpatora z Neapolu.

Murat nie miał w Wiedniu ani jednego stronnika; wszyscy monarchowie uważali go za intruza, awanturnika i człowieka niebezpiecznego, którego pozbyć się należało. Dopóki Murat siedział w Neapolu, Austria czuła się zagrożoną we Włoszech, i wobec strachu o własną skórę, traktaty z Muratem nie były ważną przeszkodą. Chciano tylko uniknąć skandalu i zbrojnego starcia, które mogło za sobą pociągnąć wybuch ruchów rewolucyjnych na całym półwyspie. Metternich bał się rewolucji jak ognia, i mówił sobie w duchu: jakoś to będzie! Tymczasem zwlekał z rozstrzygnięciem, co mu w dodatku ułatwiało targ z Francją o korony włoskie dla arcyksiążąt.

Dla dodania odwagi Metternichowi, Talleyrand znalazł się w nieprzyjemnej konieczności: wypadło mu odzyskać łaski cesarza Aleksandra. Wtedy zaś właśnie, jakby umyślnie naprzekór, Ludwik XVIII wystąpił z swojemi skrupułami szwedzkiemi, zmierzającemi ku temu, aby mocarstwa unieważniły wybór Bernadottego, dawno przez Europę uznany. Kongres i tak był przeciążony procesami; wznawiać nowy, więcej niż wątpliwej natury, znaczyło narazić się wszystkim, zwłaszcza zaś Aleksandrowi. Obok wszelkich tytułów prawnych, Bernadotte miał za sobą usługi oddane koalicji, oraz szczególną protekcję cesarza, który w 1814 r. przeznaczał mu koronę francuską. Talleyrand jął się więc przekładać królowi, że skoro wojny być nie ma, odpada potrzeba układów z Szwecją; Bernadotte nie jest uzurpatorem; naród go wybrał i król adoptował; zakwestyonować następstwo tronu, znaczy obrazić samego króla. Nie dobrze jest, że taki człowiek może

108

kiedys nosić koronę, ale na to nie ma rady. Dla Francji sprawą pierwszorzędnej wagi jest Neapol; trudności są wielkie, nie obejdzie się bez pomocy Rosyi i Prus.

Obrońca prawa i moralności wyciągał teraz rękę do burzycieli porządku i spokoju Europy. Rad nie rad, musiał pójść z prośbą do Aleksandra. Cesarz przyjął go litanią wyrzutów: dlaczego tak zawzięcie psuł polskie projekta; dlaczego w Szwajcaryi skrzywdził liberałów; dlaczego nic nie wyjednał dla ks. Eugeniusza Beauharnais; dlaczego nie przyszła dotąd do skutku sprawa małżeństwa?.... Talleyrand wyparł się w żywe oczy, jakoby kiedykolwiek sprzeciwił się cesarzowi w Polsce, i całą winę zwałił na Anglików. Co do małżeństwa, sam Aleksander ułatwił mu odwrót, opowiadając, że świeżo odmówił rękę siostry królowi hiszpańskiemu, który nie zgadzał się na urządzenie dla królowej kaplicy prawosławnej w Madrycie. — Npanie, rzekł Talleyrand, z postępku króla arcykatolickiego W. C. Mość wniesie, co jest obowiązkiem króla arcychrześcijańskiego. — I tak, na wszystko znajdował odpowiedź, a gdy z czego nie mógł się inaczej wykręcić, kładł to na karb Metternicha, znenawidzonego przez cesarza.

Aleksander niezaniebdał upomnieć się o wykonanie umowy, zawartej z Napoleonem, mocą której Francja obowiązała się wypłacić znaczne summy rodzinie Bonapartów. Zrazu, Talleyrand złożył się tem, że od pięciu miesięcy bawiąc w Wiedniu, nie wie co robią w Paryżu; ale spostrzegłszy, jak i z tego tytułu można wyciągnąć pożytek, począł przedstawiać cesarzowi, że wobec wrzenia umysłów we Włoszech, lepiej nie dostarczać Bonapartom środków materialnych, których oni mogą na złe użyć. W Neapolu siedzi Murat... I, niepytany ani nieproszony, wdał się w rozprawę nad różnicą między Muratem i Bernadottem; pierwszy jest uzurpatorem, drugi prawnym następcą tronu szwedzkiego. Pogłaskawszy tem Aleksandra po sercu, dobył z kieszeni *Almanach królewski*, w którym nazwisko Bernadottego stało wydrukowane między monarchami. Pokazało się, że ani Aleksander, ani Bernadotte nie spodziewali się takiego honoru.

109

Za miłą niespodziankę, Aleksander odwdzieczył się z lichwą, nazywając Murata *une canaille qui nous a tous trahi*, a następnie dodał: *S'il résiste, il faudra le chasser.....* tylko Wellington powiada, że to rzecz trudna, z powodu przewozu morzem znacznej ilości wojska. — Npanie, zawołał Talleyrand, nie żądam ani jednego żołnierza; proszę tylko o wiersz, jeden wierszyk w traktacie: Francja z Hiszpanią podejmną się reszty.

W nawiasie przyznaje otwarcie: wiedziałem naprzód, że wojska mi nie dadzą. Stosowało się to do Rosyi i Anglii. Z Austryą sprawa stała inaczej. Po zamieszczeniu owego wierszyka w traktacie, Austrii nie pozostawało, jak podjąć się roli egzekutora, dla własnego bezpieczeństwa we Włoszech. Metternich już to obiecywał, skoro Austria zgromadzi na półwyspie odpowiednie siły. Castlereagh, na wypadek gdyby Murat poddał się dobrowolnie wyrokowi Europy, przyrzekł dla niego pensję angielską; żądał jednak w zamian, aby Francja zrzekła się z swojej strony prawa do handlu niewolnikami, który w koloniach francuskich jeszcze przez lat cztery był dozwolony.

Żółwi pochód neapolitańskiej historii przyspieszył Murat przez własną porywczosć, żądając od gabinetu wiedeńskiego wolnego przechodu dla swoich wojsk, przez okolice, zajęte wojskiem austriackiem. Nie poprzestając na tem, Murat wysłał notę do Talleyranda z zapytaniem, dlaczego pełnomocnicy francuscy przeciw niemu w Wiedniu występują, oraz czy Francja jest z nim, lub nie jest w pokoju. Za namową Metternicha, minister Murata noty nie doręczył, lecz Austria oświadczyła, że niecierpi przechodu obcych wojsk przez swoje terytorjum. Postanowiono jednocześnie przeprowadzić do Włoch siły austriackie, skoncentrowane nad granicą polską i saską.

Sprawa Saksonii była ukończoną, polska na ukończeniu; pozostawało tylko oznaczyć linie graniczne. Aleksander oddał Austrii Tarnopol i co żądała nad Wisłą, z wyjątkiem Krakowa; Prusom Poznańskie i Toruń, zawarowawszy sobie tytuł króla polskiego i możność nadania konstytucyi

110

Królestwu. Wszystkie gwarancje, na korzyść Polaków w traktacie zamieszczone, były osobistem dziełem cesarza, okupionem kosztem terytoryalnych ustępstw. Ani Francja, ani Anglia za nami się nie ujmowała. Austria i Prusy widziały w konstytucyi kamień obrazy i zgorszenia, lecz ustąpiły, przekonawszy się, że Aleksander nie ustąpi i że Anglia z Francją ich na tym punkcie nie poprą. Anglicy całemu światu zalecali naśladowanie swoich form parlamentarnych; Castlereagh kontent był mieć czem zasłonić się przed parlamentem. Co do Talleyranda dbał on o Polskę tyle, co o Chiny, ale nie przestał wierzyć w zbawienność zasad konstytucyjnych i rad był przypodobać się Anglikom, u których tentował o przedłużenie pod tą lub ową postacią traktatu styczniowego. Castlereagh jednak odmówił, pod pozorem, że charakter Metternicha nie budzi ufności.

Prawo narodów nie przeszkodziło wydrzeć królowi saskiemu części ojcowizny, ale to samo prawo narodów wymagało, aby król saski zrzekł się niby dobrowolnie swoich praw do zabranego mu kraju. Dopóki Europa nie dobiła targu, Fryderyk August był

trzymany w Berlinie pod strażą. Teraz pozwolono mu wyjechać do Austrii. Nie chcąc i nie mogąc pokazywać się w Wiedniu, król osiadł w Pressburgu. Metternich, Wellington i Talleyrand zostali tam wysłani w sprawie renuncyacji.

W Pressburgu mieszkała pani de Brionne, przyjaciółka Talleyranda jeszcze z przedrewolucyjnych czasów. *Madame de Brionne!... Madame de Brionne!!... Madame de Brionne!!!... Oh! il faut que la politique attende!...* Pobiegł paść jej do nóg, które łzami skropił. Staruszka, nad grobem stojąca — zgasa bowiem w kilka dni później — objęła w ramiona marnotrawnego syna: *Vous voilà donc enfin!... J'ai pu être mécontente de vous, mais je n'ai pas cessé un moment de vous aimer.....* Takie spotkanie, po dwudziestu pięciu latach, mogło kamień poruszyć; Talleyrand poszedł nad Dunaj zacerpnąć świeżego powietrza. Wróciwszy, miał co opowiadać. Pani de Brionne powtarzała: *Votre position est*

111

belle, bien belle..... Dwa trony zwrócił prawowitym monarchom

Wieczorem odbyła się egzekucja króla saskiego. Metternich przedstawił życzenia mocarstw; król, nic nie przyrzekając, ale i nie odmawiając wyraźnie, obiecał wysłać pełnomocnika na kongres. Po kilku konferencyjach z tym pełnomocnikiem, stanął układ między Saksonią i Prusami: *Non pas à la satisfaction de l'une et de l'autre, mais d'accord entre elles; ainsi le principe de la légitimité n'eut point à souffrir dans cette importante circonstance*, pisał Talleyrand do króla. — Kładziono mu w usta maksymę, że mowa dana jest człowiekowi dla ukrycia myśli; jeżeli tego nie powiedział, to swoją maksymę praktykował.

Organizacja Niemiec i Szwajcaryi poszła po woli Austrii. We Włoszech, Austria również przeprowadziła swoje zamysły prawie całkowicie. Talleyrand długo opierał się uposażeniu tam Maryi Ludwiki, chcąc wydziedziczyć wszystkich członków rodziny Bonapartów, nawet tak mało, jak cesarzowa, dbających o zaszczyt należenia do niej; lecz cesarz austriacki załatwił tę sprawę wprost z Ludwikiem XVIII. Za to z głęboką satysfakcją widział Talleyrand, jak cesarz Franciszek wnuka traktuje, że syn Napoleona żadnego tronu nie dostanie i nawet nazwiskiem nie będzie przypominał swego pochodzenia.

Pobył Napoleona na Elbie wszystkich niepokojem przejmował. Zamierzano wysłać go na wyspy Azorskie, o pięćset mil od lądu odległe; lecz ta sprawa obchodziła miłość własną cesarza Aleksandra, chcącego wspaniałomyślnością imponować swemu wrogowi. Przecież, pomimo wszelkich obaw i przepowiedni, pomimo budzenia się bonapartyzmu we Francji, nikt nie przeczuwał, jak bliskim jest powrót na scenę *człowieka z Elby*. Monarchowie gotowali się do wyjazdu.

XX.

W nocy z 6 na 7 marca miała miejsce u Metternicha narada pełnomocników pięciu mocarstw, trwająca do trzeciej z rana. Metternich zakazał się budzić, dopóki nie zadzwoni. Pomimo zakazu, kamerdyner wszedł około szóstej godziny z depeszą, przyniesioną przez umyślnego posłańca; na kopercie stało: od konsula w Genui — pilno. Metternich odłożył na bok depeszę, nieotwartą, ale nie mógł zasnąć. Około w pół do ósmej, skuszony ciekawością, otworzył kopertę; zawierała doniesienie, że Napoleon znikł z Elby, w niewiadomym kierunku. O ósmej Metternich poszedł z raportem do cesarza Franciszka, który bez namysłu polecił mu oświadczyć cesarzowi rosyjskiemu i królowi pruskiemu, że Austria zdecydowaną jest zbrojnie przeciw Bonapartemu wystąpić. Aleksander i Fryderyk Wilhelm nie wahali się także ani chwili z posłaniem wojsku rozkazów ciągnięcia ku granicy francuskiej.

O dziesiątej, pełnomocnicy Anglii, Francji, Prus i Rosji zgromadzili się u Metternicha. Pierwszy przyszedł Talleyrand, przekonany, że Napoleon wylądował we Włoszech. Metternich mu z góry przepowiedział, że pójdzie prosto na Paryż.

Tedy czy owędy, straszny człowiek znowu na wierzch wypłynął, z mocnym postanowieniem pokazania, co umie. Talleyrand udawał, przynajmniej przed królem, że go to mało obchodzi: *Toute entreprise de sa part sur la France serait celle d'un bandit*. Dowiedziawszy się o wylądowaniu bandyty na wybrzeżach francuskich, pisał do króla: *Cet incident, d'ailleurs si désagréable, aura du moins cet avantage, qu'il hâtera ici la conclusion des affaires*. Spieszno mu niby było stanąć przy królu; ale można dać głowę, że wołał w Wiedniu burzę przeczekać, wiedząc doskonale, że w domu nikt go słuchać nie zechce, i nie bardzo ufając w tęgość rojalistów. Królowi zalecił marszałka Macdonalda, jako człowieka zupełnie pewnego; co do reszty, zdawał się na mądrość i przezorność króla. Nieco później, gdy do Wiednia

113

doszły wieści o zwyciężkim pochodzie Napoleona, radził Ludwikowi XVIII schronić się do fortecy nad północną granicą, zgromadzić tam izby i unikać pozorów rozdwojenia między sprawą dynastii i sprawą narodu — więc emigracji i umizgów do obcego wojska.

Ludwik XVIII dosiadywał w Paryżu, nietyle przez heroizm i politykę, jak dlatego, że przykro i ciężko mu było ruszyć się z Tuileries, które Napoleon doskonale wyrestaurował i urządził. Gdy armia przeszła na stronę uzurpatora, czemu żadna siła ludzka nie mogła przeszkodzić, królowi nie pozostało, jak Paryż i Francję opuścić. Można było przecież oszczędzić monarsze wyjazdu, będącego ucieczką. Ale król i rojaliści łudzili się od początku do końca, biorąc własne życzenia za rzeczywistość. Już z Ostendy, król zapewniał Talleyranda: *Buonaparte a pour lui la force armée, tous les coeurs sont à moi*. Blacas, przyznawszy, że król tylko dzięki marszałkowi Mortier opuścić mógł Lille *sinon sans danger, du moins sans accident*, wychwalał doskonały duch gwardii narodowej i ludności w całym kraju: wszystko przyłączy się do wojsk sprzymierzonych, spieszących dla przywrócenia prawowitej władzy. Polegając na dwudziestu pięciu milionach serc, dosiadywano w Paryżu do ostatniej chwili, i króla wywieziono z takim pośpiechem, że cała garderoba królewska składała się z kilku koszul i starych, ukochanych pantofli.

Zawiniątko zginęło w drodze. — Zabrali mi moje koszule, skarżył się Ludwik XVIII w Lille przed Macdonaldem; ale niczem koszule w porównaniu z pantoflami: kiedyś może dowiesz się, jakim dobrodziejstwem są pantofle dobrze wydeptane! Dla starego króla, cierpiącego w najwyższym stopniu na pedogre, strata pantofli była w rzeczy samej dotkliwym ciosem; dotkliwszym jednak, niestety, niż katastrofa, pozbawiająca go naraz pantofli i tronu. O tron był spokojny, licząc, nie na serca narodu, ale na przewagę obcych wojsk. Rodzina panująca i rojaliści z zupełną obojętnością znosili myśl, że wrócą do Francji drogą, utworzoną przez cudze bagnety.

114

Pobyt dworu w Ostendzie, dał powód do pogłoski, że król zamierza odpłynąć do Anglii: żeby temu zaprzeczyć, dwór przeniósł się do Gandawy¹. W Gandawie wszystko szło dawnym porządkiem, jak w Tuileries; rada gabinetowa zbierała się regularnie pod prezydencją króla, koło którego skupili się rojalści najczystszej wody. Powrót Burbonów na tron wydawał im się niemniej pewnym, jak wschód i zachód słońca o naznaczonej w kalendarzu godzinie; *modus* wcale ich nie obchodził; natomiast zawczasu układali, jak będą karać winowajców i usuwać ludzi źle myślących.

Restauracja Ludwika XVIII nie była wcale tak niezawodną, jak w Gandawie mniemano. Mocarstwa, podpisane na deklaracji z 13 marca², ogłosiły Bonapartego za uzurpatora, z którym traktować nie będą, i zobowiązały się szanować traktat paryski; o przywróceniu na tron Burbonów ani deklaracja ani traktat nie zawierały najmniejszej wzmianki. Dawaj sprzymierzeńcy odnowili między sobą umowę z Chaumont, teraz wyłącznie jakoby zwróconą przeciwko Bonapartemu: koalicja przeto odżyła. Z tego wszystkiego wynikało tylko, że mocarstwa mają mocne postanowienie Napoleona w Europie nie ścierpieć.

Napoleon, stanąwszy w Tuileries, spróbował odnowić stosunki z Europą, lecz bez skutku. Pisma, adresowane do gabinetów mocarstw zagranicznych, pozostały bez odpowiedzi. Flahaut, wysłany do Wiednia, musiał wrócić z Sztutgardu. Napoleonowi wpadł w ręce traktat stycziński; znalazł go podobno w biurku Ludwika XVIII, i przez bawiącego w Paryżu sekretarza ambasady rosyjskiej, Butiakina, posłał

¹ W początkach drugiej Restauracji, każdy suplikant, proszący o posadę, kłął się, że wraca prosto z Gandawy, gdzie z królem dzielił wygnanie. Talleyrand w końcu zapytał jednego: *Dites-moi franchement si vous avez été à Gand: ou si vous n'avez fait quen revenir? Car, voyez-vous, on y était à Gand six ou sept cents, et, à ma connaissance, il en est revenu plus de cinquante mille.*

² Anglia, Austria, Francja, Hiszpania, Portugalia, Prusy, Rosja i Szwecja.

115

czemprędzej Aleksandrowi. Aleksander zawołał do siebie Metternicha, pokazał mu *corpus delicti*, napasł się widokiem zakłopotanej miny winowajcy, papier rzucił w ogień i powiedział, że wszystko puszcza w niepamięć, ale żąda sekretu przed Talleyrandem. Teraz Talleyrand wpadł w łapkę, o czym się dopiero później przekonał. Tymczasem Aleksander i jemu powtarzał o zapomnieniu uraz, bo jedyną jego myślą walka z wrogiem Europy; w głębi duszy przecież nikomu nie przebaczył i szczególnie zawziął się na Burbonów i ich pełnomocnika.

Do Wiednia spadł raptem Montrond, którego Fouché wysłał na zwiady, czy regencya Maryi Ludwiki ma jakie szanse za sobą. Prócz tego, Montrond, osobisty przyjaciel Ludwika Filipa Orleańskiego, chciał zmiarkować szanse Orleanów do tronu. Usłyszawszy od Metternicha, że Austria o regencji ani myśli, i od Nesselrodego, że cesarz Aleksander z góry wyklucza od tronu całą rodzinę Bonapartów, Montrond uderzył do Talleyranda. Co sobie do uszów szeptali, niewiadomo. Wedle relacji Talleyranda, złożonej Ludwikowi XVIII, Montrond miał go zapytać, czy się odważy ściągnąć wojnę na Francję; on zaś miał odrzec: Przeczytaj deklarację mocarstw, z której przekonasz się, że wojna toczyć się będzie nie z Francją, lecz z *człowiekiem z Elby*. — Według Bulwera, Montrond wtenczas napomknął o Orleanie a Talleyrand odpowiedział jak wyrocznia: *La porte n'est pas ouverte, mais si elle venait jamais à s'ouvrir, il n'y avait pas nécessité de la fermer avec violence.*

Słowa powyższe zgadzały się z taktyką Talleyranda. Ludwik Filip dopiero począł wkładać się do roli pretendenta. W owej chwili bawił w Anglii — czem się Ludwikowi XVIII mocno naraził, — aby dać poznać, że niesolidaryzuje się ze starszą linią i umywa ręce od skutków grożącego Francji najazdu. Stronnictwa jeszcze nie posiadał we Francji: drzwi były przeto zamknięte. Ludwik XVIII mógł wrócić, albo nie wrócić na tron, lecz dopóki nie stracił widoków odzyskania tronu, Talleyrand nie czuł w sobie powołania drzwi wyłamywać. Właściwszem i pilniejszym uznał wzmocnić

116

własne stanowisko u króla, obszczonego przez rojalistów, którym wypadki dały rację, dowodząc, że okrasa liberalna nie ocalała prawowitej dynastii.

W liście z 23 kwietnia, Talleyrand, zgodnie z prawdą, ostrzegł Ludwika XVIII, że niepowinien mniemac, jakoby wszystkie mocarstwa miały niewzruszony zamiar przywrócenia Burbonów na tron. Przy układaniu deklaracji z 13 marca, wszyscy zgadzali się, dopóki szło o Bonapartego; ale skoro wszczęła się mowa o zamieszczeniu wzmianki, że ostatecznym celem wojny będzie powrót prawowitej dynastii, zdania się podzieliły. Jedni mówili, że to się samo rozumie; inni obawiali się, że wzmianka zniechęci mnóstwo ludzi, którzy zdradziwszy rząd, gotowi są Bonapartego odstąpić za cenę ustępstw, jakie król jeden może wyraźnie obiecać i udzielić. Szczególnie cesarz Aleksander wzdragał się i wzdraga kwestyę tronu przesądzać. Czuje on do króla urazę, bo go ominęła błękitna wstęga, którą dostał regent angielski; potem, za to, że ks. Wicency (Caulaincourt) nie został powołany do izby parów, choć cesarz o to się wstawiał; wreszcie, o niedojście do skutku małżeństwa siostry z ks. Berry; boli go również, że karta konstytucyjna odstąpiła od punktów, jakie zalecał w Paryżu. Pod wpływem urazy, cesarz sędzi po swojemu o położeniu Francji i króla.

Następuje obszerna relacja, co cesarz miał mówić o Francji różnym osobom, mianowicie lordowi Clancarty. Relacja mogła być wierną, mogła być upiększoną. Wierna, czy upstrzona dodatkami, zawierała niezawodnie wszystko, co Talleyrandowi dolegało.

Cesarz miał rozpowiadać rzeczy następne: Upadek Bonapartego będzie dopiero połową naszego dzieła. Pozostanie jeszcze zabezpieczyć spokój Europy, która spokoju nie odzyska, dopóki Francja nie będzie spokojna, to znaczy, zadowolniona ze swego rządu. Dynastia Burbonów ma za sobą tylko jedną połowę narodu, bierną, która od dwudziestu sześciu lat znosi wszelkie przewroty, nad każdym ubolewa i żadnemu nie umie przeszkodzić. Druga połowa, ta, co jest na widowni, działa, rządzi i za całą naród uchodzi, nie podda

117

się dobrowolnie rządowi, który świeżo zdradziła, a gdyby się nawet poddawała, nie dochowa mu wierności. Mamyż więc uciekać się do siły, aby ją do poddania zmusić, albo do wojny eksterminacyjnej, żeby ją wytępić? Kto zaręczy za skutek?... Monarchowie mają obowiązki względem Europy i względem siebie samych; przypuściwszy więc, że restauracja Burbonów przyjdzie łatwo, potrzebują rękojmi, że ten porządek będzie trwałym. A gdzież są te rękojmie? Co wczoraj się stało, może się znowu niezadługo powtórzyć, ale w chwili, kiedy monarchowie nie będą zgromadzeni na jednym miejscu i nie będą mieli miliona żołnierzy pod

bronią. Restauracji Ludwika XVIII wszyscy pragną; ja pierwszy pragnę jej gorąco; lecz życzenia nasze mogą rozbić się o nieprzełamane przeszkody. Obowiązkiem przeto naszym zastanowić się wcześniej, czy nie ma innej kombinacji możliwej. Arcyksiężna Marya Ludwika nie chce słyszeć o powrocie do Francji, nie ma zatem mowy o regencji. Ale jest książę Orleański, Francuz, Burbon, z Burbonką ożeniony; ma synów, za młodu służył sprawie konstytucyjnej, nosił kokardę trójkolorową...

Nastraszwszy Ludwika XVIII Orleanem, Talleyrand pospieszył dodać od siebie, że dotąd nikt nie podziela opinii Aleksandra. Austria znajduje niewczesnym wdawać się w rozbiór ewentualności, które mogą wcale nie zajść. Król pruski, najlepiej usposobiony dla Burbonów, radzi królowi uprzedzić zebranie kolegów wyborczych, zwołanych przez Napoleona, i wydać proklamację, poręczającą wszystkim stronnictwom swobody konstytucyjne. Jestto nawet wspólne życzenie mocarstw; niektóre życzą sobie nadto, żeby król zważył popełnione błędy na ministrów i już teraz utworzył nowy gabinet z ludzi, którzy rozmaitym partynom dadzą pożądaną ręką.

Przyszła w końcu kolej na najdrażliwszą materię, bo na krytykę pierwszej Restauracji. Talleyrand, schowany za cesarza Aleksandra, przedkłada królowi długi spis grzechów. Już przed rokiem należało się obawiać upadku Burbonów. Uczucia i opinie książąt, obce były nowym pokoleniom narodu. Król otoczył się ludźmi, godnymi zapewne szacunku,

118

ale którzy Francji nie znali i których Francja także nie znała, ludźmi, bez znajomości ducha czasu i bez doświadczenia. Człowiek najpowszechniej znienawidzony — *un certain M. de Blacas* — używał właśnie nieograniczonego zaufania monarchy. Jeszcze więcej wyrządzili złego książęta krwi, którym król pozwolił wywierać wpływ na bieg interesów, i na to niema lekarstwa. Uprzedzenia przeciwko książętom wynikłe, szkodzą więcej dynastji, niż niechęci przeciwko samemu królowi, albowiem największe obawy rodzą właśnie domniemani następcy tronu. Ludwik XVIII sam mógłby łatwo zdobyć miłość narodu, lecz z winy książąt nie zdoła zapewne wzmocnić się na tronie.

Pigułkę Talleyrand ozłocił, zapewniając Ludwika XVIII o szczerych sympatyach wszystkich monarchów dla jego osoby. Co się tyczyło książąt, raz jeszcze powtórzył: Szczęśliwy byłbym móżdż dodać, że równą sympatyą cieszy się brat królewski, ks. d'Angoulême i ks. Berry. — Aby zaś nie pozostawała żadna wątpliwość, do czego zmierza, tak zakonkludował: Gdy władza raz będzie skupioną w rękach króla i odpowiedzialnych ministrów, obdarzonych zaufaniem monarchy i narodu, zatrze się pomału złe wrażenie, wewnątrz i zewnątrz przez omyłki lub przez niebaczność sprawione.

W odpowiedzi, Ludwik XVIII wezwał Talleyranda, aby czempredziej przybył do Gandawy, gdyż takich rzeczy niepodobna listownie traktować. Podobno król czuł potrzebę podpory i obrony od nacisku emigrantów; między wierszami można to z listu króla wyczytać. Zastępca ministra spraw zagranicznych, Jaucourt, również sobie życzył przybycia Talleyranda, pod którym wszyscy dołki kopali, zwłaszcza Blacas i Chateaubriand, mianowany ministrem stanu.

Talleyrand jeszcze cały miesiąc w Wiedniu przesiedział, twierdząc, że musi doczekać podpisania aktu końcowego kongresu, co intryganci chcą puścić w odwłokę i pewne sprawy pozostawić nierozstrzygnięte; imię zaś króla powinno znaleźć miejsce w akcie, stwierdzającym zgodę między wszystkimi mocarstwami. W *Pamiętnikach* powiada, że chciał otrzymać od mocarstw zobowiązanie wyraźne, podpisane i nieodwołalne,

119

przed rozpoczęciem wojny, której wynik mógł długo pozostać wątpliwym. Prawdopodobnym jest, że w przewidywaniu długiej walki z Napoleonem, wołał przeczekać w Wiedniu, aż się pokaże, czy Ludwik XVIII odzyska koronę. Dopiero 10 czerwca ruszył w drogę.

Dla człowieka chciwego, kongres wiedeński był rzadką okazją obfitego połowu pieniędzy. Na Gentza spadł istny deszcz złoty, chociaż nie sprzedawał się, w właściwym znaczeniu słowa. Różne inne drugorzędne figury obłowiły się porządnie, lecz między matadorami dyplomacji, przekupstwem nikt się nie skaził. Gadaniny o milionach, zebranych przez Metternicha, pokazały się być czystym wymysłem. Talleyrand, za Benewent, wraz z wszystkimi donacyami napoleońskimi za granicą, wracający do korony, dostał od Ferdynanda IV tytuł księcia Dino, ale bez księstwa. Tabakierki z brylantami, rozdawane przez monarchów przy podpisaniu traktatu wiedeńskiego, mogły razem przedstawiać wartość kilkudziesięciu tysięcy franków. Jeżeli co więcej zarobił, to na giełdzie. Chodziła wieść, że od Burbonów neapolitańskich wyłudził sześć milionów franków. Perrey, sekretarz Talleyranda, rozповідаł, że był posłany do Neapolu po odbiór pieniędzy, że przywiózł przekaz na dom Baringa, że Talleyrand uściskał go z radości, ale mu nie zwrócił pięciuset franków, wydanych nad kwotę, przeznaczoną na podróż, i mocno się skrzywił, zobaczywszy u sekretarza na szyi order neapolitański. Ale Perrey jest bardzo nieczystym źródłem. Przez dwadzieścia lat był sekretarzem Talleyranda, wypędzony za różne nadużycia, rozsiewał na swego pana dawnego niezliczone potwarze, produkując autografy, przez siebie fabrykowane, umiał bowiem naśladować pismo Talleyranda.

120

XXI.

W Brukselli Talleyrand dowiedział się o porażce Napoleona pod Waterloo. Ludwik XVIII już był opuścił Gandawę, zdążając w ślad za armią angielską, ku granicy francuskiej. Taki skutek odniosły rady Talleyranda, który jeszcze w jednym z ostatnich listów nalegał, żeby król strzegł się wszystkiego, co go może postawić w fałszywym położeniu względem narodu, i narazić na odpowiedzialność za klęski i nieszczęścia, jakie wojna ściągnąć na kraj nieomieszka. Lecz król był zdania, że to nikomu nie zaszkodzi, jeżeli on wróci do Paryża najkrótszą drogą, choćby pod zasłoną angielskich bagnetów.

Dopiero w Mons, Talleyrand dopędził króla, na wsiadaniem do powozu, i doznał bardzo suchego przyjęcia. Według anegdotycznej wersji, Talleyrand prędko zmiarkowawszy, że popadł w niełaskę, miał prosić króla o pozwolenie odbycia kuracji w Karlsbadzie na swoją wątrobę, a król miał odrzec: *Certainement, M. de Talleyrand; j'ai entendu dire que ces eaux sont excellentes*. Ta wersja wydaje mi się tyle warta, co i druga, że Talleyrand z Wiednia udał się naprzód do Karlsbadu i ztamtąd przyjechał do Gandawy; tymczasem, ani w Karlsbadzie, ani w Gandawie nogą nie postąpił. Chateaubriand rozповіда znowu, jak Talleyrand, zimno przyjęty w Mons przez Ludwika XVIII, już siedzącego w karecie, pieniał się ze złości, wygadując na niewdzięczność i ślepotę Burbonów, a potem dopiero zdecydował się zażądać dymisyi.

Talleyrand w *Pamiętnikach* pisze, że miał u króla audyencję i przytacza szczegóły rozmowy. Fakt audyencji nie ulega, zdaje się, wątpieniu, albowiem Ludwik XVIII, jakkolwiek pilno mu było w drogę, nie mógł odmówić przyjęcia człowiekowi, który świeżo oddał mu wielkie usługi. A skoro audyencya miała miejsce, niema powodu podejrywać Talleyranda, że dopiero w *Pamiętnikach* skomponował relację,

121

zaszczytną dla siebie. Uwagi wreszcie, jakie królowi przedstawiał, były bardzo proste i podyktowane przez wspólny ich interes, mianowicie: Król nie powinien pokazywać się na ziemi francuskiej w szeregach obcych wojsk, bo zaszkodzi własnej sprawie i obrazi dumę narodu; winien raczej bez eskorty przez Szwajcaryę udać się do Lyonu, lub na inne miejsce, gdzie niema cudzoziemców; tam ustanowić siedzibę rządu i zgromadzić Izby. W Lyonie król będzie niezawisłym od sprzymierzonych, co w Paryżu osiągnąć się nie da; będąc niezawisłym, łatwiej zdoła bronić interesów Francji, na wypadek, gdyby sprzymierzeni, po odniesionem zwycięstwie, zmienili ton i zamiary. Rozmaite oznaki każą się tego obawiać. Powrót sprzymierzonych do zasad jest zanadto świeży, aby można bezwarunkowo zaufać ludziom, nawykłym mierzyć swoje prawo swojemi pretensjami, a pretensye stosować do posiadanej siły. Gdyby sprzymierzeni przeobrazili się na nieprzyjaciół, król znajdzie się w stolicy na ich łasce i niełasce. Godzina powrotu króla do Paryża wybije wtedy, gdy stolica będzie oczyszczona z obcych wojsk i z facyonistów.

Z wyjątkiem końca rozmowy, który mógł zostać upiększony po zawodzie, doznanym ze strony sprzymierzonych mocarstw, rada, udzielona królowi, usunięcia się do Lyonu, była niezaprzeczenie zdrową i życzliwą, tudzież zgodną z tem, co Talleyrand poprzednio królowi zalecał i co obcy, Burbonom życzliwi, również doradzali¹. Gdy Ludwik XVIII nie okazywał ochoty zmienić postanowienia, Talleyrand oświadczył,

¹ Metternich w liście do Talleyranda z Mannheimu, z 24 czerwca 1815 r., odradzał najprzód zamianowania komisarzy francuskich przy wojskach sprzymierzonych: *la chose tournaît entièrement contre le roi*. A dalej pisał: *Faites aller le roi en France, ou vous voudrez, pourvu qu'il soit seul chez lui, entouré de Français, loin des baïonnettes étrangères et des secours de l'étranger. La grande arme dont Bonaparte vent se servir, est celle de l'émigration. Or, le roi cessera d'être émigré le jour, où il sera chez Ini, au milieu des siens.*

122

że w razie nieprzyjęcia jego rad, *il lui serait impossible de diriger les affaires du roi*.

Dbając o władzę i o własne stanowisko, Talleyrand zwykł był unikać stawiania rzeczy na ostrzu noża; być więc może, że zamiast wyraźnie nadmienić o dymisji, poprzestał na wzmiance o kuracyi w Karlsbadzie, aby formalnie urlop tylko otrzymać. W Mons zabawił całą dobę. Wieczorem przy obiedzie u mera miasta, był wesół i rozmowny, jak rzadko, a swoim zaufanym wspominał, że z prawdziwą przyjemnością pozbył się służby u kliki niewdzięczników, którym niepodobna dogodzić.

Czekał zapewne, jaki skutek osiągnie memoriał, wręczony Ludwikowi XVIII i zawierający, obok sprawozdania z czynności kongresowych, program wewnętrznej polityki.

Z pierwszej części buchały kłęby kadzidła dla Ludwika XVIII. On, wróciwszy na tron, wskrzesił politykę, opartą na moralności, i wprowadził ją w stosunki międzynarodowe; wskutek tego Europa znalazła niewzruszoną podstawę dla swego spokoju i przyszłego szczęścia; broniąc zasady legitymizmu, Francya odzyskała należny sobie wpływ w radzie Europy. Na nieszczęście, zasada legitymizmu, tryumfująca na kongresie, doznała szwanku we Francji. Z tego Talleyrand wziął assumpt do wejścia w osie gniazdo spraw domowych, aby, jak się wyrażał, spełnić obowiązek, ciężący na każdym zagranicznym wysłańcu króla, obowiązek zdania sprawy, jak w obcych krajach sądzone są postęпки rządu i jakie wywołują uwagi.

Z braku ochoty, czy też odwagi do wytaczania procesu pierwszej Restauracyi, poprzestał na ogólnem zdaniu, że ludzie łatwiej znoszą wszelki stały porządek rzeczy, nawet ich zasady obrażający, jeżeli ten porządek nie budzi obaw na przyszłość, nie ulega z dnia na dzień zmianom, których kresu niepodobna przewidzieć. Potem, robiąc rewolucjonistów kozłem ofiarnym, nadmienił, że przestraszyły ich, nie początkowe postęпки rządu, lecz późniejsze. I tak, mieli oni zimno przyjąć usunięcie z izby parów sześćdziesięciu kilku senatorów,

123

ale obeszła ich mocno projektowana reorganizacja Instytutu¹, dalej zmiany osobiste w sądzie kassacyjnym.

Argumenta nie wydają się bardzo przekonującymi, więcej zaś grzechów, i ważniejszych, Talleyrand nie był w stanie wyliczyć, z tej prostej przyczyny, że pierwsza Restauracja nie tem przewiniła, eo zrobiła istotnie, tylko tem, co jej adherenci zrobić przy okazji zamierzali. Do nich pił Talleyrand w dalszym ciągu:

Zasadę legitymizmu podkopali w sposób o wiele niebezpieczniejszy obrońcy władzy prawowitej, niemniej odróżnić źródła władzy od jej wykonania, i sądząc, że władza prawowita winna być temsamem absolutną. Tymczasem, sposób wykonywania władzy winien być zastosowany do wymagań czasu i miejsca. W naszej zaś epoce, duch czasu wymaga, aby w wielkich państwach cywilizowanych władza monarsza wykonywaną była z udziałem ciał, wyszłych z łona społeczeństwa. Przeczyć temu, znaczny wydać wojnę opinii całego świata; to zaś czyniło wielu ludzi, blisko tronu stojących. Cała siła stanowiska króla, spoczywała w nocie i dobrej wierze, jakie królowi przyznawano. Osłabiły ją naciągane interpretacye niektórych artykułów karty konstytucyjnej². Poczęto wątpić o szczerości rządu, podejrywać, że uważa on kartę konstytucyjną jako tymczasowe ustępstwo, spowodowane chwilowem położeniem. Niektóre nominacje

¹ Reorganizacja Instytutu nastąpiła dopiero w marcu 1816 r. Przywrócono Instytutowi dawną nazwę Akademii. Wykluczeni zostali członkowie rodziny Bonapartów, kardynał Maury, Cambacérés, Sieyès, Garat, Merlin, Roederer, Monge, Carnot, Gregoire i t. d.

² Rozporządzenie z 7 czerwca 1814 r. o święceniu niedzieli, wzięto we Francji za zamach na kartę konstytucyjną, poręczającą swobodę wyznań. W Anglii, po hotelach, w każdym pokoju znajduje się na ścianie przybita kartka z paragrafem billu oświeceniu niedzieli; w niedzielę wszystkie sklepy i miejsca publiczne są zamknięte, przynajmniej od ulicy; na kolei chodzi zaledwie połowa pociągów, poczta i telegraf równie zamknięte. Nikt przecież nie skarży się na pogwałcenie swobody sumienia.

124

zdwoiły obawy powrotu reakcyi¹. Niepokój pchnął w objęcia partyi rewolucyjnej wszystkich zwolenników zasad konstytucyjnych i wszystkich tych, co dbali o nowy porządek, pod wpływem doktryn wielkiej Rewolucji ustanowiony. Temu,

bardziej niż przywiązaniu do swojej osoby, zawdzięczał Bonaparte odzyskanie w kraju i w wojsku wielu stronników, wraz z nim wychowanych i wzrosłych wśród Rewolucji.

Wszystko było prawdą, i to także prawdą, że legitymizm ma swoje dobre i złe strony, oraz, że złe strony powszechniej były znane od dobrych, bo już na lat dwadzieścia, jeżeli nie więcej, przed Rewolucją, wzięto się wszystko, na czym stało społeczeństwo, *dyskutować, egzaminować, analizować* i burzyć.

Dziś — pisał dalej Talleyrand — każdy pyta: co to jest prawowitość, z kąd wyszła i z czego się składa? Dopóki uczucia religijne były głęboko w sercach wyryte i w umysłach wszechmocne, ludzie mogli wierzyć w boskie pochodzenie władzy monarszej i w boskie prawo rodzin panujących. Odkąd zaledwie ślady tych uczuć pozostały, odkąd węzły religijne pękły, lub rozwolniły się co najmniej, nikt nie chce przyznać prawowitości boskiego pochodzenia. W opinii powszechnej, rządy istnieją dla narodów; prawowitą władzą jest ta, która narodowi zapewnia szczęście i spokój. Z tego wynika, że prawowitą jest władza, mająca za sobą długie lata istnienia; i w samej rzeczy, taka władza, wzmocniona uszanowaniem, jakie rodzą wspomnienia przeszłości, tudzież przywiązaniem, jakie każdy człowiek żywi do rodu swego pana, mającego za sobą odwieczny tytuł posiadania, najrzadziej wydaje los narodu na niebezpieczne hazardy. Ale,

¹ Talleyrand przytacza jeden tylko przykład, nominację hr. de Bruges na wielkiego kanclerza legii honorowej. Bruges przed Rewolucją służył w marynarce francuskiej, emigrował i wstąpił w szeregi angielskie. Wybór był bezwątpienia niestosowny, ale wiele zaszkodzić nie mógł, kanclerstwo było bowiem prostą synekurą. Dowodzi to tylko wielkiej niezręczności ze strony rządu, a ze strony społeczeństwa chorobliwego rozdrażnienia.

125

gdy ludzie poczną myśleć, iż nadużycia władzy przeważają nad jej dobrodziejstwami, prawowitość staje się dla nich czystą chimera. Aby temu zapobiedz i wlać w naród ufność ku władzy prawowitej, należy ukonstytuować rząd w sposób, wszelkie obawy usuwający. Leży to zarówno w interesie monarchy i narodu, władza absolutna bowiem byłaby dziś nieznośnym ciężarem i dla rządzących i dla rządzonych. Przed Rewolucją, władzę monarchy ograniczały wielkie ciała ukonstytuowane, magistratura, duchowieństwo i szlachta, za pośrednictwem których monarcha rządził. Obecnie, gdy te ciała nieistnieją, wypada stworzyć nowe, wskazane przez opinię powszechną. Odkąd zwłaszcza powaga religii nie może użyczyć poparcia władzy monarszej, władza monarsza nie może znaleźć podpory gdzieindziej, jak w opinii, i dlatego musi iść w zgodzie z opinią, dać ludowi ręką, że nie przeciwko jego dobru przedsięwziąć nie zdoła, nie posunie się do arbitralnych postępów, nie omyli się w wyborze środków. Nie wystarcza zaufanie w cnoty i przymioty monarchy, jak on, znikome. Zaufanie powinno mieć niewzruszone podstawy w instytucjach niezmiennych i w formie rządu, przez opinię wieku wymaganą. Wszyscy żądają ręką, i dla monarchy, i dla poddanych; a nikt tych ręką nie uważałby za dostateczne, gdyby swoboda osobista nie była prawnie zabezpieczoną, gdyby wolność druku nie była zapewnioną i gdyby prawo nie poprzestało na ściganiu przestępstw, drukiem popełnionych; gdyby sądownictwo nie było niezależne,

gdyby władza sądowa w pewnych wypadkach była powierzona władzom administracyjnym; gdyby do rady monarchy miały wstęp osoby nieodpowiedzialne, nakoniec, gdyby prawo nie było wyrazem woli zbiorowej trzech ciał odrębnych: *si la loi n'était pas l'expression d'une volonté, formée par la réunion de trois volontés distinctes.*

Późniejsze wypadki dowiodły, że lekarstwa zalecane przez Talleyranda, nie były w stanie uleczyć Francuzów z gorączki, zaszczeplonej przez wielką Rewolucję, ale nie ulega kwestyi, że naród tego wszystkiego żądał i że Ludwik XVIII

126

nie mógł ostać się na tronie inaczej, jak kosztem ustępstw, głosem publicznym wymaganych.

XXII.

Le roi se fit traîner en France. Po upływie doby, Talleyrand dopędził Ludwika XVIII w Cambrai, *pour se mettre comme le roi dans les bagages de l'armée anglaise.* Rojaliści, a nawet Chateaubriand, mieli go błagać, aby nie opuszczał króla, wystawionego na pokusy sprzymierzeńców. Z kąd im to tak nagle przyszło do głowy, Talleyrand nie powiada: może prędzej jemu samemu zrobiło się żal urzędu. W każdym razie, walczył z sobą niedługo i niewzywany poszedł oddać się na usługi kliki niewdzięczników.

Przyjęcie znalazł nadspodziewanie dobre. Ludwik XVIII, zmiarkowawszy z rozmów z Anglikami, że Anglia i wszyscy sprzymierzeńcy nie przypuszczają wyłącznych rządów jednej koteryi, nawrócił do swego systemu równowagi ministeryalnej. Z wszystkich ludzi, splamionych rewolucją, Talleyrand najmniej ciężył królowi; nadto obiecywał być podporą wobec hr. d'Artois, podporą bardziej niż kiedy potrzebną, skoro z ukochanym Blacsem tak czy owak rozstać się wypadało. Wellington dał królowi do zrozumienia, że jeśli chce zapewnić sobie przychylność Anglii, powinien utrzymać na czele rządu człowieka, któremu Anglia ufa. Sam wreszcie d'Artois, nienawidzący w Talleyrandzie liberała, lecz jeszcze bardziej nienawidzący faworytów królewskich, radził bratu pogodzić się z człowiekiem potrzebnym i użytecznym. W końcu, Guizot, imieniem konstytucjonalistów, przyobiecał pomoc swego stronnictwa, pod warunkiem, że Talleyrand pozostanie u władzy.

Wszystko więc złożyło się na utorowanie Talleyrandowi drogi do naczelnictwa gabinetu, który miał być sformowany po powrocie do Paryża. Na pochwałę Talleyranda dodać trzeba, że od swoich zasad nie odstąpił i zaraz na wstępie zabrał się do naprawiania błędów, pod jego nieobecność popełnionych.

127

Poprzednio, 25 czerwca, król wydał był proklamację, datowaną z Cateau-Cambrésis, która wszystkich obraziła. Sprzymierzeńcom nie podobał się ustęp, niosący, jako król i rodzina królewska niechcieli przyłączyć swoich ramion do narzędzi, jakich Opatrzność użyła na ukaranie zdrady. Francuzom niedostateczną wydała się obietnica utrzymania konstytucyi; wszystkich zaś, co niemieli czystego sumienia, zaniepokoiła zapowiedź nagrody dla dobrych i kary dla winnych, oraz skupienie około tronu wiernych, co dali dowody odwagi i przywiązania. Talleyrand zażądał w Cambrai nowego manifestu swojej redakcyi, zawierającego publiczną

spowiedź z grzechów pierwszej Restauracji. Oto powstała pierwsza sprzeczka, świadcząca, że król, książęta krwi i pierwszy minister, nigdy zgodzić się nie zdołają.

Na radzie ministrów, pod prezydencją króla, Beugnot odczytał projekt Talleyranda. Ludwik XVIII, skrzywiwszy się, kazał czytać po raz drugi. Następnie zabrał głos hr. d'Artois, że monarchia okryje się wstydem, manifest każe bowiem królowi prosić o przebaczenie za winy, popełnione przez powolność dla swoich uczuć i przyjaźni, tudzież przyrzekać poprawę w przyszłości. Talleyrand bronił swego dzieła, twierdząc, że wszystko, co w nim jest, jest potrzebne i stosownie umieszczone: *Le roi a fait des fautes, ses affections l'ont égaré; il n'y a là rien de trop*. Wtedy d'Artois spytał, czy to do niego ma się stosować, a gdy Talleyrand z naciskiem powtórzył: *Oui, Monsieur a fait beaucoup de mal....* uniósł się i zawołał: *Le prince s'oublie!...*

Je le crains, mais la vérité m'emporte, odciął się Talleyrand. Ks. Berry wziął ojca w obronę; król mu przerwał: *Assez, mon neveu: c'est à moi seul à faire justice de ce qui se dit en ma présence...* nie pochwalam ani brzmienia proklamacji, ani dyskusji, jaka się toczyła; redaktor zmieni swój projekt, mając na uwadze względy przyzwoitości, jakie należy zachować, gdy się przemawia przez moje usta.

Mais ce n'est pas lui, qui a enfilé toutes ces sottises-là.... odezwał się jeszcze ks. Berry, pokazując Beugnota. Kto głupstwa nanizal, wszyscy doskonale wiedzieli. Ludwik XVIII

128

wszystkim lista zamknął: *Mon neveu, cessez d'interrompre, s'il vous plait, et passons à un autre sujet*.

Projekt Talleyranda, wygładzony i zapewne rozwodniony, ukazał się 28 czerwca, pod nazwiskiem deklaracji z Cambrai. Niepodobna wiedzieć ściśle, w czym Talleyrand ustąpił; manifest zawierał jednak zdania takie: *Mon gouvernement devait faire des fautes, peut-être en a-t-il fait.... l'expérience seule pouvait avertir, elle ne sera pas perdue*. Król przyrzekł zachować kartę konstytucyjną i dodać do niej rękojmię, zapewniającą jej dobrodziejstwa, mianowicie rękojmię najsilniejszą: *l'unité du ministère*. Osobny ustęp zbijał bajkę o przywróceniu dziesięcin i praw feudalnych i kołł obawy nabywców dóbr narodowych. Drażliwy paragraf, tytułujący się wielkich i małych winowajców, tak opiewał: *C'est parmi tous les Français que j'aimerai à choisir ceux, qui doivent approcher de ma personne et de ma famille. Je ne veux exclure de ma présence que ces hommes, dont la renommée est un sujet de douleur pour la France et d'effroi pour l'Europe... J'aperçois beaucoup de mes sujets égarés et quelques coupables. Je promets, moi qui n'ai jamais promis en vain, l'Europe entière le sait, de pardonner, à l'égard des Français égarés, tout ce qui s'est passé depuis le jour où j'ai quitté. Lille, au milieu de tant de larmes, jusqu'au jour où je suis rentré à Cambrai, au milieu de tant d'acclamations. Cependant, le sang de mes sujets a coulé par une trahison dont les annales du monde n'offrent pas d'exemple. Cette trahison a appelé l'étranger au cœur de la France; chaque jour me révèle un désastre nouveau. Je dois donc pour la dignité de mon trône, pour l'intérêt de mes peuples, pour le repos de l'Europe, excepter du pardon les instigateurs et les acteurs de cette trame horrible. Ils seront désignés à la vengeance des lois par les deux Chambres, que je me propose d'assembler incessamment*.

Wspaniała proza, dobra dla filozofów i półfilozofów, zamądra dla mas; jak wszystko, co wychodziło z pod pióra Talleyranda. Amnestya za wypadki, zaszłe między wyjazdem króla z Lille i przybyciem do Cambrai, niewielkie uczyniła

129

wrażenie, karząc bowiem, wypadłoby dziesiątkować cały naród. Królobójców trapiła myśl, że mogą uleść zemście prawa. Konstytucjonalistów uradował najbardziej podpis Talleyranda pod deklaracją; ten podpis był również zadatkem, że prześladowania i proskrypcje nie będą miały miejsca, przynajmniej na wielką skalę, i że wstęp do urzędów nie stanie się monopolem emigracyjnej koteryi.

Już w drodze do Paryża okazało się, jakim złem jest obecność króla wśród obcego wojska. Rozmaici intryganci poczęli starać się o protekcję Anglików i Wellingtona, o którym wiedziano powszechnie, jak wiele może u Ludwika XVIII. Przez Wellingtona Fouché wyrobił dla siebie ministerstwo policyi. Obecność królobójcy w radzie rodzonego brata Ludwika XVI, była policzkiem, wymierzonym moralności i wszystkiemu, co ludzie najobojętniejsi zwykli szanować; w następstwie zaś zawiodła rachuby tych, co widzieli w niej korzyść dla rządu i dobry nabytek dla dynastji.

Talleyrand, jako naczelnik gabinetu, musiał królowi formalnie przedstawić nowego ministra, bo tego wymagała etykieta; będąc kulawym, miał zwyczaj opierać się na ramieniu osoby, koło niego idącej. Ztąd powstał krwawy sarkazm Chateaubrianda: *Le vice appuyé sur le bras du crime*; sarkazm, i w przenośni, i literalnie uzasadniony. Przystając na koleżeństwo z ks. Otrantu, Talleyrand popełnił nieprzebaczoną nedorzecznosc, której rozmiarów może nie czuł, wskutek starego nałogu nieprzebiegania w ludziach; ale przynajmniej połowa winy ciąży na królu i na protektorach ks. Otrantu. Król rad był zrobić figla bliźniemu i zgrzeszył uległością dla Anglików, mających przesadzone wyobrażenie o znaczeniu, wpływach i zręczności swego kandydata do teki ministra policyi. Sława najprzebieglejszego człowieka pod słońcem, zaimponowała nawet wielu rojalistom; chętnie uwierzyli, że Fouché jest niezbędnym dla bezpieczeństwa drugiej Restauracji, trzyma bowiem w rękę nici intryg, jakie już raz tron Burbonów obaliły. Tegosamego zdania miał być Metternich, i to jest do prawdy podobne, gdyż w Austrii natenczas komisarz policyi uchodził za gatunek gwoździka

130

w koronie. Jeden cesarz Aleksander nie pochwalił wejścia królobójcy do gabinetu, ale podobno głównie dlatego, że ganił wszystko, co dogadzało Anglikom i Austryakom. Talleyrand, nie mając całkiem czystego sumienia wobec Aleksandra, aby cesarza przejednać, ofiarował teki ministerialne dwom jego ulubieńcom; Pozzo di Borgo wolał przecież pozostać w służbie rosyjskiej, ks. Richelieu wymówił się nieznanymi stosunków francuskich, które od lat dwudziestu pięciu stracił z oczu. Odmowa pomnożyła trudności w sformowaniu gabinetu; trzeba było poprzestać na ludziach nijakich. Sprawy zagraniczne zatrzymał Talleyrand; wojsko objął marszałek Gouvion-Saint-Cyr, sprawiedliwość i tymczasowo sprawy wewnętrzne Pasquier, marynarkę Jaucourt, ministerstwo domu królewskiego hr. Pradel. Skarb został w rękach barona Louis, niegdyś księdza, przed rewolucją częstego gościa śniadań u Talleyranda, potem członka rady stanu za cesarstwa, znakomitego finansisty, który ocalił kredyt Francji i szybką spłatą kosztów wojennych przyspieszył.

XXIII.

Prusaków ogarnęła wściekłość odwetu i pomsty. Blücher leciał jak szalony prosto na Paryż, powiadając, że miasto każe zrabować. Na rabunek nie byliby zezwolili monarchowie sprzymierzeni; sam Blücher, gorszy w mowie, niż w uczynku, dla szulerstwa zapomniał o świecie, dniując i nocując w Palais-Royal, z kąd go gwałtem musiano wyciągać. Ale za niego czuwał Gneisenau, imieniem armii, wyrzekającej, że dyplomaci marnują korzyści krwią żołnierza zdobyte.

W 1814 r. Prusacy zostali, ich zdaniem, ciężko skrzywdzeni. Nie dostała im się Alzacya i Lotaryngia, o czym marzył Stein. Wyrachowali, że od Francji należy im się sto siedmdziesiąt milionów za dostawy podczas kampanii rosyjskiej; odprawiono ich z kwitkiem. Żądali zwrotu dzieł sztuki,

131

zabranych w Niemczech, i to się nieudało. Wskutek decyzji monarchów sprzymierzonych, wszystko, co było wystawione w muzeach, miało tam pozostać. Ludwik XVIII obiecał zwrócić przedmioty jeszcze nie rozpakowane, ale Francuzi zdołali rewizje uprzędzić. W pakach znaleziono słomę, albo same bohomyzy. Prusacy odzyskali tylko *Wiktoryę* z bramy brandenburskiej i szpadę Fryderyka Wielkiego.

Przy układach z Prusakami i Anglikami o drugą kapitulację Paryża, Francuzi chcieli zamieścić warunek, zabezpieczający im posiadanie wszystkich dzieł sztuki, różnemi czasy po Europie zagrabionych. Po ich stronie był precedens roku 1814. Co nieodebrano Francji, pokonanej w walce z Europą, tego nie powinna była utracić Francja, sprzymierzona z Europą w walce przeciw Bonapartemu. Prusacy, co do siebie, warunek odrzucili, zapowiadając, że wywiozą swoją własność, gdziekolwiek znajdą. Wtedy Wellington wystąpił w obronie innych poszkodowanych, mianowicie papieża, Toskanii i Hollandyi, mających równe z Prusakami prawa do odzyskania swoich skarbów. Wskutek tego, kapitulacja o dziełach sztuki zupełnie milczała. Po wejściu do Paryża, Prusacy

jęli się płądrować po zbiorach. Niemcy Włosi wystąpili z pretensjami na drodze dyplomatycznej, i, poparci przez Wellingtona, który twierdził, że moralność każe dać Francji nauczkę, otrzymali satysfakcję, Canovie, przyslanemu w tym interesie z Rzymu, podobno Wellington dostarczył funduszy na opakowanie *Laokoona* i innych arcydzieł. Zabrano nawet przedmioty, cedowane Francji na mocy traktatów.

Ziściły się obawy i przepowiednie Talleyranda. Sprzymierzeni traktowali Francję, jak kraj podbity; król nie był w stanie bronić narodu, musiał przypatrywać się gwałtom i znosić tysiączne przykrości. Przed oknami biednego króla, pruscy żołnierze rozwieszali brudną bieliznę. Prusakom przyszło do głowy wysadzić w powietrze most, niegdyś przez Napoleona nazwany *Pont d'Iena*; most uratowała interwencja

132

Wellingtona i Talleyranda 1. Lecz niczem to było w porównaniu z tem, co się działo po kraju, w okolicach, zajętych przez Prusaków, Austryaków i Bawarów, którzy posuwając

¹ Beugnot opowiada, że Talleyrand wysłał go w sprawie mostu do Blüchera, zalecając użyć najenergiczniejszych wyrażen: *dites les choses les plus fortes sur le chagrin que le ro. éprouve. — Czy mogę zagrozić, że król każe zawieść się na most i razem z mostem wyleci w powietrze? — Non, pas précisément; on ne nous croit pas fa its pour an tel héroïsme, mais dites quelque chose de bon et fort; vous entendez bien: quelque chose de fort.*

Przechował się jednak autograf listu króla, z 15 lipca, do Talleyranda, w którym król każe mu udać się do Anglików o pomoc i tak kończy: *quant à moi, s'il le fant, je me porterai sur le pont; on me fera sauter si l'on veut.*

Ludwik XVIII był z pewnością jak najmocniej przekonany, że Prusacy nie posuną się tak daleko; dowodzi to tylko, że w potrzebie umiał przybrać piękną postawę.

Talleyrand mógł mieć dobre powody ukryć przed Prusakami tani heroizm swego pana. Sprawa niecierpiała zwłoki, gdyż robotnicy kuli minę w moście; obeszło się jednak bez heroiczych środków. Z Blücherem, sprowadzonym w najgorszym humorze z Palais-Royal i mówiącym bardzo źle po francusku, Beugnot nie mógł wprost trafić do końca, lecz szef sztabu bez trudu zamiar wyperswadował marszałkowi, któremu pilno było wracać do szulerii.

Dopiero dowiedziawszy się o pomyślnym rezultacie poselstwa, Talleyrand miał się odezwać do Beugnota: *Puisque les choses se sont passées de la sorte, on pourrait tirer parti de votre idée de ce matin, que le roi avail menacé de se faire porter sur le pont pour sauter de compagnie: il y a là matière d'un bon article de journal, arrangez cela.*

Tu ktoś minął się z prawdą. Albo Talleyrand schował list króla do kieszeni, albo Beugnot przywłaszczył sobie cudzy koncept.

Nazwę mostu zmieniono na *Pont de l'Ecole militaire*, co dało powód do gry słów, której Prusacy szczęściem nie zrozumieli. Utrzymują oni, że most ocalał przypadkiem, bo pierwsza mina nie wybuchła: dalsze zaś próby powstrzymał przyjazd Fryderyka Wilhelma III.

133

się coraz dalej, gnębili mieszkańców rekwizycjami, zabierali kasy publiczne, ściągali podatki i kontrybucye.

Ludwik XVIII po niewczasie przekonał się, jakim błędem był powrót do stolicy, zajętej przez obce wojska. W liście do Talleyranda, 21 lipca, przewiduje, że postępowanie wojsk sprzymierzonych popchnie naród do powszechnego powstania, jak w Hiszpanii; gdy wiek i kalectwo nie pozwala mu stanąć na czele, opuści Francję i zażąda przytułku u króla hiszpańskiego: *Je ne veux pas sembler conniver aux violences dont je gémiss.... j'aime mieux etre dans une prison qu'aux Tuileries, témoin passif du malheur de mes peuples.* Lecz ulżywszy sobie w ten sposób, król ani myślał nawet o biernym oporze; słowne zaś protesty były grochem na ścianę. Baron Louis okupem stu milionów wyjednał układ z sprzymierzeńcami, którzy zobowiązali się nie przekraczać linii demarkacyjnej, zaprzestać nakładania kontrybucyj i wszędzie przywrócić władze królewskie.

Natenczas sprzymierzeńcy oznajmili, że żądać będą od Francji rękojmi na przyszłość, nie wymieniając, jakich. U Prusaków gwarancje znaczyły rozbiór Francji. Jeszcze przed wejściem do Paryża, Gneisenau napierał Hardenberga o dwie rzeczy: zabór Alzacji i Lotaryngii, i wydanie Napoleona w ręce pruskie, aby go postawić przed sąd wojenny i rozstrzelać. Wellington od pierwszego słowa zapowiedział, że z sądu nic nie będzie; Anglia Napoleona trzyma, na wolność nie puści, ale go nikomu nie wyda i mordować nie pozwoli. Pretensje do Alzacji również nie znalazły odgłosu w żadnym gabinecie; natomiast przyjęła się myśl ukarania Francji, zamknięcia jej w przedrewolucyjnych granicach i oddania na pewien przeciąg czasu pod kuratelę europejską.

Było to oczywiście złamaniem przyrzeczeń, zawartych w deklaracji mocarstw z 13 marca, która niosła, że wojna toczyć się będzie nie z Francją, lecz z Bonapartem, i że traktat paryski w całej mocy zostanie utrzymany. Na Anglię i Wellingtona spadał podwójny obowiązek ujęcia się za Francją, Anglia bowiem najgoręcej popierała restaurację Ludwika XVIII, a Wellington zalecił królowi Talleyranda, jako

134

człowieka posiadającego zaufanie Anglii; należało przeto oszczędzić dynastyi i ministrowi, upokorzenia wobec narodu. Miano kupić Anglików argumentem, że Hollandya nie będzie bezpieczną, jeżeli nie odzyska dawnej granicy belgijskiej. Główną jednak pobudką u wszystkich była obawa, że Francya nie zostanie spokojną i spokoju Europy nie uszanuje. Dlatego chciano wzmocnić poczwórne przymierze, świeżo wskrzeszone; za czem szła konieczność zadowolenia Prusaków, u których zemsta tym razem więcej ważyła niż chciwość.

Koło połowy września, sprzymierzeńcy oznajmili rządowi francuskiemu swoje warunki:

Sprostowanie granic w ten sposób, że Francya z przedrewolucyjnych i porewolucyjnych granic utraci około dwóch trzecich tego, co nabyła na mocy traktatu paryskiego, mianowicie od strony Niemiec Landau i Saarlouis, od strony Hollandyi okręgi dawniej do Belgii należące, od strony Sardynii całą Sabaudyę;

Zburzenie raz na zawsze fortecy w Hunindze;

Sześćset milionów kosztów wojennych, oraz dwieście milionów na budowę fortec w krajach sąsiednich;

Pozostawienie w pasie granicznym przez lat siedm na koscie Francyi korpusu wojsk sprzymierzonych, sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi liczącego.

Trudno brać za złe ówczesnej Europie, jeżeli po tylu gorzkich doświadczeniach, dbała o własne bezpieczeństwo i własny spokój. Tron Burbonów stał na bardzo kruchych nogach; w razie jego upadku, groziło przyjście rządu jeszcze słabszego; z tego powodu okupacya terytorium francuskiego przez wojska sprzymierzone, jakkolwiek Francyi wstrętna, była nieuniknioną koniecznością, i dla samych Francuzów przykrem, lecz zbawiennem lekarstwem. Europa nie miała także obowiązku rujnować się na wojnę z Napoleonem, którego rządy były klęską i dla Francyi. Lecz w kwestyi granic, mocarstwa sprzymierzone obrażyły prawo narodów, elementarną moralność i przyzwoitość, bez dopięcia zamierzonego celu, albowiem sprostowanie granic nie umniejszyło siły

135

zaczepnej Francyi i nie wzmocniło siły odpornej państw sąsiednich.

Talleyrandowi nie trudno przyszło dowieść, że żądania sprzymierzonych nie posiadają prawnej podstawy; lecz wiedząc, że ich uporą nie przełamie, przyjął w zasadzie trzy główne punkta: sprostowanie granic tam, gdzie traktat paryski granice dawnej Francyi rozszerzył, spłatę kosztów wojennych i okkupacyę z skróconym terminem. Spodziewał się tym sposobem rzeczy sprowadzić na drogę układów i w toku układów skłonić Anglię i Austryę do ulg na korzyść Francyi, aby skończyło się na nieznacznych ustępstwach terytoryalnych, trzystu lub czterystu milionach kosztów wojennych i zajęciu kilku fortec nadgranicznych do czasu reorganizacyi armii francuskiej.

Nic nie przeszkadzało potargować się z sprzymierzeńcami, którzy postawiwszy swoje warunki wraz z projektem traktatu, związali sami sobie ręce, że więcej żądać nie będą. Odpowiedź sprzymierzonych nie zawierała też odmowy rozpoczęcia układów; owszem, kwestyę pieniężną i kwestyę okkupacyi odkładali oni wyraźnie do ustnej narady; wreszcie nota z 22 września poświęconą była głównie uzasadnieniu potrzeby rękojmi. Dwory sprzymierzone — czytamy tam — uznają za główny swój cel przywrócenie porządku i wzmocnienie władzy królewskiej we Francyi, lecz przekonane są, że Francya nie może używać stałego pokoju, dopóki sąsiednie narody nie przestaną żywić ku niej żalu i ciągłych obaw. Dlatego przyjęły zasadę sprawiedliwego wynagrodzenia za straty i ofiary w przeszłości poniesione, tudzież zasadę dostatecznych rękojmi bezpieczeństwa dla państw ościennych, jako podstawy trwałego układu i środek położenia tamy wszelkiej waśni. Oczywiście jest dziś, że potrzeba rękojmi stała się pilniejszą, niż w chwili zawarcia traktatu paryskiego. Ostatnie wypadki przejęły strachem całą Europę i pociągnęły za sobą dotkliwie straty i koszta, nieodłączne od powszechnego uzbrojenia. Trudno wymazać z pamięci współczesnych wspomnienia podobnego przewrotu. Co ich w 1814 r. zaspokoić mogło, to dziś nie wystarcza. Francya musi dać

136

Europie nowy zakład bezpieczeństwa i powinna to uczynić przez uczucie słuszności i w dobrze zrozumianym własnym interesie, gdyż dla spokoju i szczęścia Francuzów trzeba, aby ich sąsiedzi byli również szczęśliwi i spokojni. Powyższe względy skłoniły dwory sprzymierzone zażądać od Francyi niejakich ustępstw terytoryalnych. Rozmiary tych ustępstw, wraz z wyborem punktów, na jakich one mają nastąpić, świadczą, że mocarstwa, dalekie od zaborecznych widoków, miały jedynie na oku bezpieczeństwo sąsiednich krajów. Żądane ustępstwa nie naruszają ciągłości granic francuskich, nie osłabiają Francyi ani pod względem administracyjnym, ani militarnym; Francya pozostanie nadal państwem najlepiej zaokrąglonem i najbardziej obronnem w Europie, jakoteż najobficiej uposażonem w środki odparcia wszelkiego najazdu.

Ku końcowi, nota protestowała w imię równości i wzajemności międzynarodowej przeciwko różnicy, jaką gabinet francuski pośrednio chciał ustanowić między obszarem dawnej Francyi przedrewolucyjnej i później szemi nabytkami terytoryalnymi. Zdaniem sprzymierzonych, przypominało to rewolucyjną doktrynę nietykalności granic Francyi i najwstrętniejszy rozdział arbitralnego kodeksu międzynarodowego, jaki Europie narzucili usiłowali naczelnicy apostołowie Rewolucyi: w dalszem zaś następstwie Francyi, wolno byłoby rozszerzać się bez końca i bez niebezpieczeństwa uszczerbku dawnych posiadłości, w razie nieszczęśliwego obrotu wojny.

Ton, w jakim sprzymierzeńcy przemawiali, był nieprzyjemny i mało obiecujący; lecz położenia rzeczy odpowiedź mocarstw w niczem nie zmieniała. Francyi, zalanej przez obce wojska i pozbawionej własnej armii, którą dekret królewski rozwiązał, nie pozostało nic innego, jak drogą układów tentować o ulgi w warunkach. Nie do czego innego zmierzał Talleyrand, już poprzednio przyjąwszy w zasadzie

¹ Niedawno dla spokoju i szczęścia Europy trzeba było, żeby Francya była spokojną, szczęśliwą i z swego rządu zadowolnioną.

propozycje mocarstw. Ludwika XVIII odpowiedź mocarstw miała mocno przestraszyć; oświadczył Talleyrandowi, że trzeba negocjować, *prendre des tempéraments*, ustąpić dopiero w ostatniej konieczności, ale w końcu ustąpić. Natenczas 23 września Talleyrand wraz z całym gabinetem podał się do dymisji.

Wszystko, co prawi o swoim niezmiennym oburzeniu na postępowanie sprzymierzonych, o niepodobieństwie wchodzenia w układy o cesyjskie terytorjalne, można śmiało na bok odłożyć, skoro on sam dążył do otwarcia układów, w nadziei, że skończy się na niebardzo dotkliwych ofiarach. Powody dymisji leżały w czym innym; wszystko rwało mu się w rękach. Skorzystał zatem z pretekstu *pour faire une belle sortie*, żeby mógł powiedzieć, że ustąpił, nie chcąc podpisać traktatu, krzywdzącego Francję.

XXIV.

Najpierw, w niwecz poszło stanowisko Talleyranda, w Wiedniu mozolnie zdobyte; zraziwszy ku sobie cesarza Aleksandra, nie zdołał pozyskać trwałej przychylności Anglii i Austrii. Metternich i Castlereagh, dopiero gdy zawisło nad nimi przyjscie do władzy ks. Richelieu, uchodzącego za kreaturę Aleksandra, jęli się błagać Talleyranda o cofnięcie dymisji; Castlereagh użył nawet słów, przypominających najlepsze czasy wiedeńskie: *Pourquoi ne voulez-vous pas être ministre de l'Europe avec nous?* Gdy Europa traktowała Francję jako swego przeciwnika, Talleyrand musiał odpowiedzieć: *Je ne veux être que le ministre de la France*. Lecz, aby godnie pełnić te obowiązki, potrzebował być pewnym zupełnego poparcia ze strony króla.

Heroiczne zapędy Ludwika XVIII kończyły się zawsze, niestety, na listownych ekspektoracjach. O rewolucyjne podboje nie dbał on wcale i z ojcowizny gotów był ustąpić, dla świętego spokoju. Odkąd Fouché wystąpił z gabinetu i księżęta krwi zostali usunięci z rady, królowi dotkliwie ciążyła

kuratela ministeryalna, w jakiej Talleyrand go trzymał. Rad był przeto pozbyć się pierwszego ministra i chętnie słuchał, co mu kładli w uszy jego przeciwnicy.

Hr. d'Artois nie przebaczał Talleyrandowi swego wypędzenia z raju. *Un jour Votre Majesté me remerciera pour ce qui déplait à Votre Altesse Royale*, przedkładał Talleyrand księciu, chcąc tem wyrazić, że dla następcy tronu najlepiej nie brać na siebie odpowiedzialności za uczynki poprzedniego panowania. Jeszcze zawziętszą była koterya emigracyjna, dążąca do utworzenia wraz z bratem królewskim pokutnego rządu. Raziły ją konstytucyjne porządki Talleyranda, opieka i skryta pomoc, niesiona ludziom proskrybowanym, wreszcie pewna hardość w stosunkach ze sprzymierzeńcami. Ośmieleni wynikiem wyborów do Izby deputowanych, przeprowadzonych w ich duchu pod naciskiem obcych bagnetów, lojaliści upatryli w sprzymierzeńcach zadatek powodzenia dalszych swoich planów, i dla tego namawiali króla do powolności względem Europy. Kiedy w końcu cesarz Aleksander obiecał wziąć Francję w opiekę, jeżeli ks. Richelieu obejmie naczelnictwo gabinetu, król dał poznać Talleyrandowi, iż jest zawadą.

Opuuszczony przez króla, Talleyrand nie miał najmniejszej szansy szczęśliwego poprowadzenia układów z mocarstwami, ani też wybrnięcia z wewnętrznych trudności, które były niezmiernie, i którym mądrość Salomona może nie potrafiłaby podołać. Talleyrand traktował rzeczy z doktrynerską naiwnością i filozoficznym spokojem, pozwalającym wątpić, czy w danym położeniu był odpowiednim człowiekiem.

Kiedy sprzymierzeńcy po raz pierwszy nadmienili o gwarancjach, jakie Francja powinna dać Europie, Talleyrand odpisał, co następuje: Najlepszą gwarancją przeciwko nowym przewrotom, stanowią instytucje polityczne, jakimi Francja rządzić się będzie. Izba parów złożona będzie z członków dziedzicznych. Izba deputowanych oprze się na zasadzie, zapewniającej harmonię czynników prawodawczych. Obydwie Izby podzielą z królem przywilej inicjatywy, dawniej tylko królowi służący. Prawodawstwo, będąc wyrazem

zbiorowej woli trzech odrębnych czynników, da wszelkie rękojmie bezstronności. Gabinet, już utworzony, posiada siłę, jakiej używa jedność; będąc odpowiedzialnym, posłuży za rękojmię przeciwko nadużyciom władzy. Niezależność sądownictwa jest zabezpieczona; kara konfiskaty nazawsze usunięta. Król uchylił przepisy, tamujące swobodę druku. Wszystkie instytucje wykluczają zarówno absolutyzm i swawolę; z równem szczęściem poskromią one ducha podbojów, zrodzonego wśród wyjątkowych okoliczności, które się więcej nie ponowią. Nie będzie we Francji dynastji rewolucyjnej, zmuszonej dążyć do obalenia prawowitych tronów, ani też tyrana, zniewolonego ludzic naród perspektywą chwały i w ten sposób odwracać uwagę powszechną od codziennych dolegliwości. Bonaparte znajduje się w rękach monarchów sprzymierzonych. Główni współwinni ostatniej jego zbrodni są w rękach sprawiedliwości, narzędzia jego despotyzmu wygnane z Francji, lub wydalone ze stolicy. Duch podbojów miał główne siedlisko w wojsku, lecz ten duch osłabł w miarę ostatnich niepowodzeń i wskutek przekonania, że Europa jest dziś inną, niż dawniej. Z drugiej strony, żołnierz całe życie spędzając w szeregach, tam widział swoją rodzinę i ojczyznę; innej wcale nie znał. Nowa organizacja wojskowa ułatwi żołnierzom częste zetknięcie z rodzinami i zajęciami domowemi, przez co oduczy ich stwarzać sobie uczucia i interesa, odrębne od uczuć i interesów kraju.

Nie inny był program wewnętrznej polityki Talleyranda, program teoretycznie bardzo dobry, ale w którego zbawienność autor zbyt naiwnie wierzył, i był zdaje się przekonany, że wszystko pójdzie samo jak z płatka. W tem mocno się mylił. Pomimo tyloletnich doświadczeń, Talleyrand nie przestał być konstytucjonalistą z Konstytuanty, po wierchu tylko legitymizmem ocukrowanym.

Rząd nie posiadał elementarnych narzędzi. Armia napoleońska była rozwiązana i do czasu sformowania nowej, kraj był огоłocony z siły zbrojnej, niezbędnej wobec namiętności silnie grających w rządzie, zwłaszcza na południu, gdzie przyszło do krwawych starć. Nowa armia miała się

składać z resztek dawnej, z resztek najmniej zarażonych bonapartyzmem, lecz niemniej przywiązanych do trójkolorowej chorągwi, orłów i widomych znaków minionej chwały. Wojsko napoleońskie liczyło około czterdziestu tysięcy oficerów, z których przynajmniej połowa musiała uledeć reformie, pójść na pół żołdu, znaleźć się bez zajęcia i sposobu do życia, utworzyć

armię malkontentów, niebezpiecznych dla każdego rządu, dla Burbonów tem niebezpieczniejszych, że przy nowej organizacji starano się naturalnie usunąć z szeregów żywioty najbardziej sfanatyzowane, ludzi niepewnych, niespokojnych. moralnie i umysłowo najniżej stojących, którzy swą krzywdę kładli na karb dynastji i wyszli na jej śmiertelnych wrogów.

W spadku po Napoleonie dostał się Burbonom arsenał instrumentów panowania, których Ludwik XVIII wcale nie zamierzał na rdzewienie skazywać. Francya tak wreszcie przywykła była do centralizacji i ścisłej opieki administracyjnej, że stały się one koniecznymi; ale niepodobieństwem było pozostawić administrację w rękach urzędników zsolidaryzowanych z dawnym porządkiem, jeszcze zaś trudniej wynaleźć ludzi, umięjących poprzestać na ścisłem pełnieniu obowiązków i ustrzedz się zbytku gorliwości, bardzo zdradliwej ze względu na czasy i chorobliwe rozdrażnienie umysłów w narodzie. Brak uregulowanej administracji dał się zaraz uczuć przy wyborach do Izby deputowanych.

Zgromadzić napowrót dawną Izbę, po tylu dowodach jej małoduszności, sama przyzwoitość niepozwałała. System konstytucyjny Talleyanda kazał nie zwlekać z wyborami, aby przyspieszyć puszczanie w ruch machiny rządowej. Prefekci i podprefekci nowego autoramentu nie umieli zabrać się do rzeczy, kierunek wyborów dostał się więc w ręce zagorzatych rojalistów, którzy jedni wiedzieli czego chcą, jedni byli czynni i ruchliwi, i potrafili zjednać sobie poparcie wojsk sprzymierzonych. Talleyrand pomnożył liczbę deputowanych i do lat dwudziestu pięciu obniżył granice wieku wybieralności. Skutek był taki, że do Izby weszli w przeważnej

141

liczbie rojaliści skrajnego odcienia, po największej części młodzi, nieobeznani z parlamentaryzmem.

Gabinet przedstawiający politykę umiarkowania i pojednania, znalazł się wobec Izby, otwarcie dążącej do przelania władzy na jedno stronnictwo, którego celem było zburzyć wszystko, co Rewolucya zrobiła. Z dwóch innych czynników prawodawczych, król nie obiecywał być wierną podporą gabinetu Talleryanda i Izba parów przedstawiała zagadkową wartość. O zasadę dziedziczności wynikł pierwszy spór między Talleyrandem i Ludwikiem XVIII, który długo oponował, twierdząc, że nie może i nie powinien ogałacać korony z wszelkiego wpływu na najznakomitsze ciało w państwie. Talleyrand nie ustąpił, co król sobie zapisał w pamięci,

lecz dziedziczność mogła wydać spodziewane owoce dopiero w drugim albo w trzecim pokoleniu. Tymczasem do Izby parów weszli ludzie zdezoryentowani, przygniecenii uczuciem zmienności rzeczy ludzkich, niezdolni stać się dla rządu ani zbawiennym hamulcem, ani silną podporą. Ta Izba dziedziczna była później celem pocisków swego własnego twórcy; kiedy mówiono Talleyrandowi, że tam przynajmniej są sumienia, odrzekł: *Ah! oui; beaucoup, beaucoup de consciences; un tel en a au moins deux...*

Przy nominacji parów wypadło rozstrzygnąć los dawnych dygnitarzy, którzy zbyt łatwo służbę u różnych panów zmieniali. Talleyrand, pragnąc proskrypcje o ile można zredukować, chciał, żeby król uznał jako dymisjonowanych, parów z r. 1814, którzy zasiedli następnie w Izbie, przez Napoleona podczas stu dni utworzonej. Ułożenie listy osób, mających pójść pod sąd za czyny po wylądowaniu Bonapartego popełnione, miało być poruczone Izbom. Talleyrand nie przypuszczał zwycięstwa skrajnego stronnictwa przy wyborach; liczył, że czas ukoji namiętności, i że uda mu się zachcianki rojalistów, jeżeli nie całkiem, to w większej części zniweczyć. Lecz Fouché, teraz pokorne narzędzie rojalistów, przedstawił radzie ministrów gotowe listy proskrypcyjne, przeszło sto nazwisk obejmujące. Gdy król zgodził się w zasadzie na wniosek ministra policyi, Talleyrand tyle

142

tylko otrzymał, że listę zredukowano do połowy. Ney, Labédoyere, Grouchy, Cambronne, Clausel, Lavalette, Rovigo, dwaj bracia Lallemand i inni w liczbie dziewiętnastu, mieli być sędownie ścigani; reszta, między nimi: Soult, Exelmans, Vandamme, Lamarque, Lobau, Marbot, Boulay de la Meurthe, ulegli internowaniu i nadzorowi policyi.

Rząd miał prawo i obowiązek ukarać zdradę, złamanie przysięgi, ale zbytnia surowość nie była do twarzy monarsze, który królobójcę do swej rady przypuścił. W takich warunkach, kara wyglądała na prostą zemstę; odłożywszy zaś na bok wszystkie inne względy, należało nie zapominać, iż zemsta słabemu nie wychodzi na pożytek. Jedną z wielkich usług, oddanych przez Talleyranda drugiej Restauracyi, była pobłażliwość w traktowaniu zwyciężonych. Uległszy woli króla w sprawie proskrypcyi, kazał wszystkich nią dotkniętych ostrzedz poufnie, dostarczył im paszportów i pieniędzy na drogę z funduszów swego wydziału w kwocie czterechkroć sześćdziesięciu tysięcy franków. Ney i Labédoyere sami nie chcieli z tego dobrodziejstwa korzystać.

Świadczy to, że Talleyrand złego serca nie miał; innem źródłem pobłażliwości był niewątpliwie indyferentyzm, płynący z braku wszelkich zasad, z braku wiary w jakiegokolwiek prawdy niewzruszone, w końcu z doświadczeń własnego życia. Przebaczał największe upadki, bo wszystkie przypisywał temu, że człowiek upadły nie umiał wybrać stosownej pory, kiedy można upaść bezpiecznie i z korzyścią dla siebie. Na wycieczki przeciwko zdrajcom owego czasu, miał zwyczaj odpowiadać: *Tout ceci ne prouve qu'une chose, c'est que leur montres avançaient et que tout le monde était à l'heure.*

Nieco później udało się Talleyrandowi wyparować ks. Otrantu z gabinetu, ale był to jego śpiew łabędzi. Nawet w razie gładkiego obrotu układów z sprzymierzeńcami, dni gabinetu były najprawdopodobniej policzone i nie długie. Musiało przyjść niebawem do starcia z Izbą deputowanych, gabinet zaś nie posiadał w swem łonie mówców i taktyków

143

parlamentarnych. Niegdyś w Zgromadzeniu Narodowem, Talleyrand bywał chętnie słuchanym, dzięki oryginalnej formie, w jaką umiał ubierać filozoficzne doktryny, wszystkich czarując urokiem nowości. W późniejszych czasach już nigdy nie brał udziału w rozprawach parlamentarnych i wszelkich dysput unikał z zasady, jako daremnych. Na zebraniach dyplomatycznych miał zwyczaj słuchać i milczeć, jak gdyby wszystko aprobował; dopiero gdy inni nagadali się do syta, występował ze swoim zdaniem, treściwie wyrażonem i naprzód najściślej rozważonem. Z Izbą z kilku setek głów złożoną, do tego niesforną i wrażliwą, podobna taktyka nie obiecywała pomyślnego skutku. Trzeba było wreszcie zawsze stać na stanowisku i schodzić ostatnim, co przechodziło fizyczną możność Talleyranda, z powodu wieku i kalectwa. Czuł on to dobrze i dlatego tem skorzej uchwycił pretekst, pozwalający mu usunąć się z honorem.

Z honorem, lecz nie bez żalu, źle tajonego. Ludzie publiczni bardzo rzadko umięją znieść z prawdziwym spokojem rozbrat z władzą; każdego mniej więcej trapi robak zawiedzionej ambicyi, małej lub wzniosłej, odpowiednio do miary i gatunku człowieka.

Jeszcze rzadszą bywa umiejętność milczenia, które może być bardzo wymowne, a najmocniej imponuje. Nie będąc z natury i zwyczaju gadułą, Talleyrand nie wdawał się w łokciowe filippiki na króla i swego następcę, ale nikt na tem nie stracił.

Ludwik XVIII dostał pierwszy zasłużone cięgi. Zrobiwszy Talleyranda wielkim szambelanem, z pensją dożywotnią stu tysięcy franków, na ostatniej urzędowej audyencji, w obliczu wszystkich ministrów, król w te słowa miał przemówić do człowieka, któremu zawdzięczał w znacznej części koronę i piękne chwile początków swego panowania: *Vous voyez à quoi les circonstances me forcent; j'ai à vous en remercier de votre zèle, vous êtes sans reproche, et rien ne vous empêche de rester tranquillement à Paris.*

Talleyrandowi krew do głowy uderzyła, ale języka nie zapomniał i podniesionym głosem odrzekł: *J'ai eu le bonheur de rendre au roi assez de services pour croire qu'ils*

144

n'ont pas été oubliés; je ne comprendrais pas ce qui pourrait me forcer à quitter Paris. J'y resterai et je serai trop heureux d'apprendre qu'on ne fera pas suivre au roi une ligne capable de compromettre sa dynastie et la France.

Następca Talleyranda, ks. Richelieu, opuściwszy Francję w początkach Rewolucji, wstąpił do służby rosyjskiej, ale trzymał się zdala od emigrantów, dążących do poruszenia całej Europy przeciwko własnej ojczyźnie. Ustanowiony przez cesarza Aleksandra gubernatorem Krymu, rzucił w tym dzikim kraju pierwszy posiew cywilizacji, stworzył Odessę i zostawił po sobie najlepsze, dotąd żyjące wspomnienie. Prawy, szlachetny i bezinteresowny, miernego talentu, pięknej postawy i wytwornych form, do Aleksandra był przywiązany przez wdzięczność i pewien rodzaj admiracji, jaką cesarz wzbudzał w ludziach, skłonnych do entuzjazmu. Gdy Talleyrand mu ofiarował ministerstwo domu królewskiego, odmówił, dając za powód, że nie zna stosunków francuskich i pragnie wrócić do Odessy, aby ukończyć rozpoczęte dzieło; postąpił wtedy niezawodnie z całą szczerością, a jeżeli co przemilczał, to wstręt do koleżeństwa z ks. Otrantu. Talleyrand chciał go mieć w gabinecie, jako amulet przeciwko nielase cesarza Aleksandra, i odmowę wziął bardzo do serca. Tem bardziej obraził się przyjęciem naczelnictwa gabinetu i teki spraw zagranicznych, chociaż widocznem było, że nastąpiło to w zupełnie odmiennych warunkach, na życzenie Ludwika XVIII i cesarza Aleksandra, w widokach korzystnego dla Francji obrotu układów z mocarstwami sprzymierzonymi.

Pytany, czy Richelieu potrafi rządzić Francją, Talleyrand odparł: *Très certainement; personne ne connaît mieux la Crimée...* a w Pamiętnikach, nazwawszy swego następcę *un très bon homme, mais novice en diplomatique et tant soit peu crédule*, piórem w zółci zmaczanem dodaje: *Persuadé qu'entre les images de la Divinité sur la terre il n'y en avait pas de plus belle et de plus digne que l'empereur Alexandre, le duc de Richelieu n'imaginait rien de mieux, en se chargeant des affaires de la France, que d'aller implorer les lumières et l'appui de ce prince.* Tak źle nie

145

było. Aleksander, oprócz pomsty na Talleyrandzie, chciał mieć w Paryżu na czele rządu człowieka, który nie będzie knuł w Europie na szkodę Rosji, i swego dopiął; lecz Richelieu nie stał się bynajmniej marynetką w cudzych rękach. Anglomania Ludwika XVIII neutralizowała w potrzebie rusofilstwo pierwszego ministra, który był uczciwym Francuzem i, kierując się zdrowym rozsądkiem, bardzo wielkie trudności szczęśliwie zdołał ominąć.

XXV.

Na wielkich uroczystościach dworskich, Talleyrand stawał regularnie za tronem, oparty na długiej lasce, podobnej do kuli. Król traktował go zimno, książęta krwi i dworacy nie szczędzili złośliwych spojrzeń; on wszystko znosił obojętnie. Obcy bez porównania wyżej go cenili, niż swoi, których namiętności i ułud nie podzielał. Zaściankowych polityków i nowicuszów, w Izbie deputowanych rej wodzących, trzymał zdala od siebie; na posiedzenia Izby parów rzadko uczęszczał i wpływu tam nieużywał, z powodu niechęci, jakie wzbudzał zarówno w rojalistach i w bonapartystach. Od czasu do czasu zabierał głos, aby przypomnieć światu, że żyje, jest w pełni sił umysłowych, wierny dawnym opiniom i w pewnych warunkach gotów służyć krajowi.

W lecie 1821 r. wystąpił w obronie swobody druku, jako składowej części rządu reprezentacyjnego i jednego z najistotniejszych

narzędzi tego rządu, i postawił dwie tezy: że wolność druku jest potrzebą czasu, oraz, że każdy rząd, opierający się zbyt długo i zbyt upornie temu, co czas za niezbędne uznał, swój własny byt naraża. Duch ludzki, mówił, nigdy nie spoczywa, wczorajsze odkrycia są dlań środkiem do nowych odkryć; lecz w pewnych porach trawiony bywa potrzebą produkcji, w innych zaś odpoczywa i porządkuje zdobyte skarby. Taką epoką szczęśliwą był wiek XVII, gdy umysł ludzki zapragnął użyć do syta bogactw, nagromadzonych dzięki wynalazkowi druku, i tworzyć

146

arcydzieła. Największe genjusze czasu Ludwika XIV pracowały w zawody nad przyozdobieniem porządku społecznego, po za którymi nad którym nie widziano nic więcej, i który miał trwać tak długo, jak chwała wielkiego monarchy. Po wyczerpaniu kopalni starożytnej, umysł ludzki ujrzał się zniewolonym szukać dla siebie innego pola i nowość znalazł w badaniach spekulacyjnych, obejmujących całą przyszłość o niewiadomych granicach. Po poetycznych prawidłach *Telemaka* nastąpiły teorie *Ducha Praw*, *Port-Royal* ustąpił miejsca *Encyklopedyi*. Niestety spadła na Francję w epoce rewolucyjnej, nie powinny zacierać zasługi wzniosłych umysłów, którym zawdzięczamy odkrycie wielkich prawd i które nie są odpowiedzialne za szalony pospiech, z jakim Francja rzuciła się na drogę, przez nich pokazaną. Jedynie trzymając się wymagań czasu, można być pewnym, że się nie zbłądzi. A jeżeli chcemy poznać istotne wymagania czasu w 1789 r., zajrzyjmy do *Kajetów* stanowych, których treści Konstytuanta wiernie się trzymała, uchwalając swobodę wyznań, równość wobec prawa, swobodę osobistą, swobodę druku. W innych punktach Konstytuanta poszła odmienną drogą, a przecież, pomimo wszystkich błędów i klęsk, potomność przyznaje Konstytuancie chwałę rzucenia podstaw nowego prawa publicznego. Bądźmy również pewni, że to, co w ciągu długiego szeregu lat ludzie światli zgodnie uznali za dobre i pożyteczne, jest koniecznością czasu. Tak się rzecz ma z swobodą druku. Rządy słusznie nie spieszą się z zadośćuczynieniem nowym potrzebom społeczeństw; lecz ustępstwa raz udzielone, powinny być ściśle dotrzymane, aby nie podawać w podejrzenie dobrej wiary rządu. W naszych czasach nie łatwo przychodzi oszukiwać: *Il y a*

quelqu'un qui a plus d'esprit que Voltaire, plus d'esprit que Bonaparte, plus d'esprit que chacun des Directeurs, que chacun des ministres passés, présents, à venir: c'est tout le monde. Gdy prasa jest swobodna, gdy każdy wie, że jego interesa mają lub znajdą obrońcę, każdy czeka cierpliwie, aż wybije godzina sprawiedliwości; lecz gdy prasa jest skrepowana,

147

Nieukontentowanie powszechne zmusza prędko rząd do pobłażania, albo do zbytku represyi.

Przez usta Talleyranda odezwał się znowu konstytucjonista z Konstytuanty, niezadający sobie sprawy z radykalnej przemiany stosunków, sprowadzonej udziałem mas w życiu politycznym. W klasach oświeconych zbawienne następstwa swobody druku, mogły równoważyć zło, z jej nadużycia wynikłe; do umysłów ciemnych, ogołoconych z własnego sądu i doświadczenia, znajdowały przystęp prawie same tylko najgorsze i najdroższe produkty prasy. W ciągu dziesięciu lat, licząc od powrotu Burbonów i nadania swobody druku, rozsprzedano we Francji przeszło półtrzecia miliona egzemplarzy pism przeciwko wierze, religii i obyczajom; młodzieży i robotnikom sprzedawano je za pół ceny, a koszta ponosiło stronnictwo rewolucyjne, przygotowujące grunt do społecznych i politycznych przewrotów. W Paryżu, na ósmkroć mieszkańców, liczone dwadzieścia tysięcy mężczyzn i osmdziesiąt tysięcy kobiet, wyznających jakąkolwiek religię; trzecia część ludności nie była wcale ochrzczoną w cyrkulach zamieszkałych przez najniższą klasę, trafiało się ledwie jedno małżeństwo na dwadzieścia par, żyjących w konkubinacie. Propaganda ateizmu wychodziła nietylko na szkodę dusz i moralności. Te tłumy bez Boga i wiary, były ciągłą groźbą dla spokoju publicznego, stanowiąc armię uliczną, która najprzód Burbonów, a potem Orleanów obaliła.

Rokiem później Talleyrand dał nowy znak życia, komentując w Izbie parów kartę konstytucyjną i zamiary jej twórców. Nakoniec, w 1823 r., powstał przeciwko wyprawie hiszpańskiej i przepowiedział Burbonom los Bonapartego. Wyprawa była we Francji niepopularna; sam jej autor, Chateaubriand, wątpił o pomyślnym rezultacie wielkiego przedsięwzięcia rojalistów. Ale fortuna odwróciła się od Talleyranda, który miał żywić nadzieję, że w razie złego obrotu

¹ *Mémoires de Metternich.* Metternich do cesarza Franciszka 28 marca 1825.

148

rzecz, będzie wezwany na ratunek. Burboni zebrali w Hiszpanii laury, nietrwale wprowadzając, zadające jednak kłam prorocostwom człowieka, otoczonego urokiem niomyślności. To odebrało Talleyrandowi ochotę do mieszania się do polityki; spadły nań prócz tego rozmaite ciosy.

Bonapartyści z niesłychaną zawziętością prześladowali Talleyranda, jego niezliczonym zdradom przypisując upadek cesarstwa. Savary ogłosił ustęp swoich *Pamiętników*, poświęcony sprawie ks. d'Enghien i zwałający winę instygatorstwa na Talleyranda. Osoba oskarżyciela o tyle ważyła, że dawny minister policji Napoleona mógł wiedzieć całą prawdę; oskarżenie zaś przyszło na rękę rojalistom, nienawidzącym oskarżonego. Talleyrand zamierzał dochodzić potwarzy przed Izbą parów, lecz Ludwik XVIII upoważnienia odmówił i za całą satysfakcję zakazał Savaremi pokazywać się u dworu. Zakaz był ogłoszony w dziennikach; w parę dni później król rzekł Talleyrandowi: *Vous et les vôtres pourrez venir ici sans crainte de mauvaises rencontres*; plama niemniej została niezmyta.

Jednocześnie, pojawiła się wieść, jako Talleyrand w 1814 r. zamierzał kazać zamordować Napoleona, w drodze na Elbę. Autorem wieści był Armand de Maubreuil, margrabia d'Orsavault. Syn dobrej rodziny bretońskiej, bił się niegdys z Wandejczykami, potem służył pod Napoleonem w Hiszpanii. Wypędzony z armii, w porze kiedy nieprzebierano w ludziach, dostał się na dwór, równie niewybredny, króla Hieronima westfalskiego. I ztamąd przepędzony, spekulował na dostawach dla wojska, stracił mienie i po upadku Napoleona przekabacił się na gorącego stronnika Burbonów. Po wejściu sprzymierzonych do Paryża, Maubreuil potrafił dotrzeć do domu Talleyranda, gdzie było siedlisko rządu tymczasowego. Wedle jego wersji, sekretarz generalny rządu, Roux Laborie, miał mu zaproponować, imieniem Talleyranda, zabicie Napoleona i obiecać w nagrodę stopień jeneralski i gubernatorstwo prowincji. Wedle innej wersji, Maubreuil miał sam ofiarować, że Napoleona zabije za dziesięć milionów, a jeden z świadków sceny, albo Pradt, albo Louis,

149

zawołał: *Dix millions! mais ce n'est rien pour débarasser le monde d'un tel fléau !....* Bądźcobańdź, Maubreuil otrzymał paszport, jako wysłaniec rządu w missyi tajnej, i przepustki od dowódców wojsk sprzymierzonych. Talleyrand powiada, że w owym czasie takich sekretnych posłańców były setki, że posyłano każdego, co się pod rękę nawinał, aby zawiadomić władze w kraju o powrocie Burbonów na tron. Maubreuil twierdził, że missya sekretna znaczyła zamordowanie Napoleona, lecz on w drodze sumieniem ruszony, od zamiaru odstąpił. Za to, spotkawszy po drodze królowę westfalską, zatrzymał ją, obrał z pieniędzy, srebra i kosztów-ności i z łupem wrócił do Paryża, gdzie wskutek skargi królowej, poszedł do kozy. Wypuszczony na wolność w marcu 1815 r. znowu uwięziony z rozkazu Napoleona, uciekł z więzienia do Belgii, gdzie go napowrót przytrzymał na żądanie Ludwika XVIII. Tym razem wolność miał zawdzięczać protekcji króla holenderskiego. W 1816 r. w Paryżu, raz jeszcze aresztowany, zbiegł w sposób, pozwalający wnosić, że policja ułatwiła mu ucieczkę. Tułając się zagranicą, drukował pamflety na Talleyranda, jako sprawcę doznanych krzywd; w r. 1827 zaś, wróciwszy potajemnie do Francji, napadł na niego w kościele katedralnym w Saint-Denis, podczas żałobnego obchodu za Ludwika XVI, obił i powalił na ziemię. Ukarany pięcioletniem więzieniem, nie zaprzestał swoich wycieczek; za Ludwika Filipa wytaczał Talleyrandowi procesy i w oczach wielu osób uchodził potrafił za ofiarę największego krętacza, jakiego ziemia wydała. Wszystko zaś razem wzięwszy, zdaje się nie ulegać kwestyi, że Talleyrand miał prawo z tej historii taki sens moralny wyciągnąć: *Donnez moi de l'argent, ou je ferai du scandale*¹.

Talleyrand poniósł prócz tego bardzo znaczne straty majątkowe, przez upadek domu handlowego, założonego jego funduszami. Odtąd większą część roku spędzał w Valençay. W najbliższym sąsiedztwie, w Rochecotte, mieszkała pani Edmundowa de Périgord, nosząca teraz tytuł księżnej Dino

¹ W liście do pani Mollien, cytowanym przez Sainte-Beuve'a.

150

i separowana z mężem. Zatargi małżeńskie nie zamąciły harmonii między stryjem i synowicą, której córeczka, Paulina, późniejsza pani de Castellane, była w szczególnych łaskach u dziadka, i w końcu ułatwiła mu przeprawę na tamten świat. *La douce approche d'une jolie enfant a un grand charme*, pisał o niej Talleyrand do pani Mollien, jednej z swoich zwykłych korespondentek, miał ich bowiem kilka i zdawałoby się, że chętniej pisywał do kobiet, niż do mężczyzn.

Pomimo namiętności Francuzów do zbierania autografów, stosunkowo bardzo mała ilość listów prywatnych Talleyranda wysłała dotąd na jaw. Z rewolucyjnych czasów znalazło się zaledwie parę do Choiseula, do pani de Staël i do lorda Lansdowne, chociaż trudno przypuścić, aby człowiek, tak życiu towarzyskiemu oddany, czynił był wyjątek od powszechnej reguły i niepisywał wcale, gdy wszyscy pisali bez miary. Brak listów z epoki napoleońskiej tłumaczy do pewnego stopnia ostrożność. Z epoki kongresowej przechowało się parę bilecików. Dopiero od rozstania się z Ludwikiem XVIII kolekcja autografów staje się obfitszą, a nader obfitą po objęciu przez Talleyranda ambasady londyńskiej, lecz wtedy pani Adelaida, siostra Ludwika Filipa, i księżna de Vaudémont służyły ambasadorowi do znoszenia się z królem.

W ostatnich kilku latach panowania Burbonów, Talleyrand odzywa się do swoich korespondentek, jako poczciwy staruszek, którego jeszcze wszystko zajmuje, ale który niczem bardzo się nie troszczy, bo dobrze mówi *le bonhomme* Lafontaine:

Patience et longueur du temps
Font plus que force ni que rage.

Pogoda i deszcz, własne reumatyzmy i dolegliwości pani Dino, drobne ploteczki i anegdotki, *les amours des doctrinaires*, czyli wejście w stan małżeński Rémusata i Guizota, śmierć Canninga z przeładowania żołądka, czasem wzmianka pobieżna o jakim wypadku politycznym, lub o nowej książce — taka jest treść tych listów, na które mógłby

151

się zdobyć najzwyczajniejszy śmiertelnik. Przy tej sposobności, Sainte-Beuve trafną robi uwagę, że u ludzi tego pokolenia dobry smak, z jakiego słynęli, nie szedł w parze z dobrym smakiem artystycznym i literackim i że w poezji szczególnie trzymali się oni konwencyonalnych form *et des lieux communs*, z pierwotnej edukacji zaczerpniętych¹. Rzadkie są w tej korespondencji owe błyski dowcipu, które zjednały Talleyrandowi osobny rodzaj sławy. Z piórem w rękę bywał najczęściej sentencyonalny, czasem nieco suchy i ciężki; co nie przeszkadza, żeby nie miał być innym w rozmowie. Czy wszystkie dowcipy, jakie mu legenda przypisuje, były jego osobistą własnością, to znowu inna materya. Ojcostwo słynnego określenia zabójstwa ks. d'Enghien: *C'est pire qu'un crime, c'est une faute*, z Talleyrandem dzieli Fouché i Boulay de la Meurthe. Niemniej słynny portret Talleyranda: *C'est un bas de soie rempli de boue*, miał wedle jednych wymyśleć lord Granville, wedle innych Lannes, Lasalle i wreszcie Napoleon, z tą odmianą, że w późnosze było coś brzydszego od błota. Podobnego gatunku koncepta, bardzo często zrodzone niewiadomo gdzie, obiegają z ust do ust pod coraz inną etykietą, aż przylgną do człowieka, który w powszechnem mniemaniu najlepiej zasługuje na zaszczyt

¹ Sainte-Beuve przytacza w dowód list Talleyranda z wód w Bourbon, gdzie wraz z nim bawił generał Dupont, znany z kapitulacji Baylen, w nieszczęściu metroman. Recytował on swoje wiersze Talleyrandowi, który znalazł bardzo piękną następną strofę, opiewającą smutne losy pary słoniów w niewoli:

Loin du rivage de Golconde
L'hôte géant de ces déserts,
De sa solitude profonde
Chérit l'image dans ses fers.
Jamais son épouse enchainée
Ne veut d'un servile hyménée
Subir les honteuses douceurs;
L'amour en vain gronde et l'accuse;
Sa jalouse fierté refuse
Des sujets à ses oppresseurs...

152

autorstwa. A wtedy należą do historii, jako charakterystyczne rysy znakomitych osobistości i znamiona czasu i obyczajów.

XXVI.

Talleyrand zaręcza w *Pamiętnikach*, że do końca Restauracji nie przestał wierzyć w trwałość i zbawienność porządku, opartego na legitymizmie i umiarkowanych zasadach liberalnych z r. 1789, nie przestał pragnąć utrzymania na tronie prawowitej dynastji, i nie przyłożył ręki, ani do upadku Burbonów, ani do oddania korony Orleanom. Dopiero gdy legitymizm złamawszy, jak się wyraża, własne przysięgi, wzniecił wielką burzę, gdy należało myśleć przedewszystkiem o ratunku Francji i monarchji, przyjął wybór, uczyniony przez naród, jako kotwicę zbawienia, i pospieszył oddać się na usługi nowego rządu, który chronił Francję od republiki, anarchji, wojny rewolucyjnej i płynących ztąd nieszczęść.

Swoim zwyczajem, Talleyrand w wielu punktach mija się z prawdą, szczególnie, gdy się wypiera wszelkiej solidarności z ludźmi, którzy przygotowali upadek Burbonów i zmianę dynastji na rzecz Orleanów. Gadka o połamanych przysięgach, była wymysłem kazuistów, potrzebujących wymówki dla własnego wiarołomstwa. Burzy także legitymizm rozmyślnie nie wzniecił, tylko niezręcznem postępowaniem dostarczył swoim wrogom pretekstu do wywołania ulicznych zamieszek, których rząd nie umiał i nie był zdolny poskromić. Owa wreszcie kotwica zbawienia kutą była naprzód przez długie lata, pod okiem i z wiedzą Talleyranda.

Burbonów obaliła koalicja, złożona z rewolucjonistów, liberałów i monarchistów, zaślepionych doktrynerstwem konstytucyjnym. Między Burbonami i czystą rewolucją, kompromis był niemożliwy, lecz partja rewolucyjna, liczebnie jeszcze słaba i nieskrystalizowana, nie mogła nic dokazać sama, wobec rządu, wspartego przez skupiony zastęp ludzi porządku, do których liczył się obóz liberałów umiarkowanych,

153

tembardziej cały obóz monarchistów. Na nieszczęście, skupienie się ludzi porządku nigdy nie nastąpiło. Naturalni sprzymierzeńcy rządu, podzieleni na stronnictwa, walczyli między sobą i z rządem. Walki te przybrały prędko charakter gwałtowny i nieprzejednany i chwilami tylko zawieszano spory partyjne, aby połączoną siłą uderzyć na rząd. Gdy zaś często ponawiane szturmowe skutki nie odniosły, opozycja konstytucyjna nie pogardziła przymierzem z uliczną rewolucją.

Winy drugiej Restauracji były w rzeczywistości dużo mniejsze, niż fama niosła. Jeden z deputowanych opozycyjnych określił rząd Karola X: *C'est l'ancien régime avec les Jésuites et sans les libertés de l'église gallicane*. Daleko było do tego. O absolutyzmie nie marzył już żaden rojalista. Praktyka życia konstytucyjnego szła ciężko, bo wszyscy, począwszy od króla, musieli dopiero przywyknąć do noszenia świeżo skrojonej szaty, którą przywdziewano w dzień świąteczny. Emigranci otrzymali miliard indemnizacji za dobra skonfiskowane przez Rewolucję; prawo pozwoliło ustanawiać majoraty; stare nazwisko szlacheckie było dobrą rekomendacją, i może nieraz znaczyło więcej, jak należało: opozycja upatrywała w tem zamach na równość cywilną, przywrócenie prawa starszeństwa i pierwszy krok do powrotu przywilejów, choć sama dążyła do monopolu dla siebie *et pour la roture*. Dodać zaś jeszcze wypada, że ów miliard, wypłacony właścicielom dóbr skonfiskowanych, kładąc koniec reklamacyom, zaspokoił obecnych posiadaczy tych dóbr i znacznie podniósł ich wartość. Okrzyczana reakcja klerykałna wydała dekret o święceniu niedzieli, prawo o świętokradztwie ani razu nie zastosowane, pomnożenie biskupstw i tak zwane kongregacje. Karol X pragnął nawrócenia Francji, *zdekatalogowanej* przez Rewolucję, używał opieki pracy misyjnej, tolerował obecność Jezuitów, lecz trzymając się maksymy, że duchowieństwo jest rodzajem policyjnym, potrzebnej dla bezpieczeństwa tronu, nie zwrócił Kościołowi niezależności i swobody. Stosunek Kościoła do państwa nie przestał opierać się na konkordacie, a w potrzebie wracano do artykułów organicznych, lub przywilejów dawnej monarchii.

154

Co się tyczyło gallikanizmu, ten sam z siebie był wygaśnięty, i żadna siła ludzka nie mogła go wskrzesić. Synom Rewolucji nie chodziło też o gallikanizm; żądali nieograniczonej swobody dla ateizmu i sekciarstwa, pęt dla Kościoła katolickiego.

Bądźco bądź, swoboda osobista i obywatelska była bez żadnego porównania większa, niż za wszystkich poprzednich rządów. Amnestye zatarty ślady i pamięć proskrypcji, w początkach zarządzanej. Na arbitralność władz, na niesprawiedliwość lub surowość wyroków sądowych, nikt skargi nie podnosił. Wolność druku nie przestała istnieć nawet w porach, kiedy rząd uciekał się do cenzury na ulotne i periodyczne pisma. Parlamentaryzm zapewniał swobodę słowa, jawność i kontrolę nad rządem. Można było poprzestać na tych elementarnych dobrodziejstwach systemu konstytucyjnego i dalsze zdobycze pozostawić czasowi, a to tembardziej, że natura Francji nie znosiła rządów ściśle parlamentarnych, na wzór angielski.

Konstytucja angielska wyrobiła się stopniowo, w ciągu bardzo długiego czasu. Nie będąc dotąd jeszcze skodyfikowaną, opiera się na fikcjach i konwencyach, powszechnie uznanych, i na regułach, ustalonych praktyką. Natomiast przeszła w obyczaj narodu; dlatego nader rzadkie są spory o ducha konstytucji, o kompetencję czynników konstytucyjnych, lub o zakres swobód, konstytucją poręczonych. W epoce, kiedy Francja odbywała właśnie nowicjat konstytucyjny, w Anglii, przed pierwszą reformą wyborczą, mechanizm parlamentarny był niezmiernie uproszczony. Rządy spoczywały w rękach oligarchii, silnie zorganizowanej, podzielonej na dwa obozy torysów i whigów, między którymi zatarty się zasadnicze różnice. Miejsce w stronnictwie syn odziedziczył po ojcu, z tytułem i majoratem. Torysi starali się unikać reform, zmieniających układ polityczny i społeczny kraju, lub szkodliwych dla interesów arystokracji gruntowej; whigowie byli skłonniejsi czynić zadość wymaganiom opinii publicznej. Opozycja regularnie oskarżała gabinet, że gubi Anglię, ale przyszedłszy do władzy, robiła mniej więcej

155

tosamo. Zmiana gabinetu dawała nieraz uczuć się bez porównania dotkliwiej Europie, niż samej Anglii, bo między stronnictwami nie było do głębi sięgających, zasadniczych różnic, i rząd nie posiadał narzędzi, jakimi inne rządy europejskie trzymają w swej mocy każdą jednostkę, od kolebki do grobu.

Karta konstytucyjna francuska, spisana na obstalunek, ugrzęzła w formalizmie od urodzenia. Ducha jej każde stronnictwo inaczej pojmowało i naginało do własnych widoków. Pierwszy-lepszy paragrafowicz wszczynął nieskończone spory o literę prawa, które nie było w stanie wszystkiego naprzód przewidzieć. Dążenia stronnictw, oparte na wręcz przeciwnych zasadach, wnikały głęboko nietylko w stosunki parlamentarne i polityczne, lecz w sprawy religijne, wychowanie publiczne, w życie rodzinne i codzienne. Rządy ściśle parlamentarne znaczyły przewrót zupełny, dopełniony pod olbrzymim naciskiem wszechwładnej centralizacji. Dlatego walki konstytucyjne przybrały charakter tak gwałtowny i nieprzejednany.

Zażarta opozycja konstytucyjna pociągnęła za sobą mieszczaństwo i ośmieliła stronnictwo rewolucyjne, dążące do prostego obalenia prawnego porządku. Karol X, czując się zagrożonym od dołu i opuszczonym przez znaczny odłam monarchistów i ludzi porządku, zwrócił się ku skrajnym rojalistom, co instynkt powszechny wziął za zapowiedź walnej rozprawy, rozstrzygającej o bycie dynastji, posiadającej już pod bokiem niebezpiecznego rywala.

Konstytucjonalistom i doktrynerom anglomania podsunęła myśl naśladowania przykładu Anglików, którzy wyniosłszy na tron w r. 1688 nową dynastję, zdołali osiągnąć i utrwalić swój system konstytucyjny. We Francji sprawa wydawała się tem snadniejsza i prostsza, że dom panujący dzielił się na dwie linie, i że naczelnik młodszej linii był kandydatem, wedle serca autorów projektu substytucji.

Ludwik Filip Orleański służył niegdyś Rewolucji, nosił kokardę trójkolorową, stronił od starszej linii swego domu i zręcznie postępowaniem umiał zatrzeć pamięć niepoehlebną rodzica. Stosunki jego z Ludwikiem XVIII były zawsze mocno

156

naprężone; król posądzał kuzyna o nieczyste zamiary, że on jest głową, a jego dom siedziskiem partyi antidynastycznej, lecz nie zdołał schwytać go na gorącym uczynku, bo, jak mówił: *Il ne se remue pas, mais il chemine, et comment empêcher de marcher un homme qui ne fait aucun pas ?.....*

Po śmierci księcia Berry, Orleanom błysnęła nadzieja osiągnięcia korony drogą spadku; owdowiała księżna mogła powiód córkę, w takim razie tron przechodził kiedyś na młodszą linię. Po urodzeniu księcia Bordeaux, dzienniki londyńskie ogłosiły imieniem Orleanów protest z zarzutem, że dziecko było podstawione. Ks. Orleański wyparł się autorstwa protestu, ale taktyki nie zmienił, choć Karol X wyciągnął rękę do zgody i udzielił Orleanom dawno upragniony tytuł królewskiej wysokości. W Palais-

Royal robiono wszystko inaczej, jak w Tuileries. W zamku panowała dawna etykieta; przez cały czas trwania Restauracji, tylko trzech ludzi, nienależących do dworu, dostąpiło zaszczytu obiadowania u stołu królewskiego: lord Moira, osobisty przyjaciel Ludwika XVIII; Wellington po bitwie pod Waterloo, i za Karola X Metternich. Przystęp do Palais-Royal był wszystkim otwarty, zwłaszcza malkontentom, artystom, literatom, którzy ujęci gościnnością, popularyzowali imię gospodarza. Ludwik Filip chodził po mieście z parasolem pod pachą, synów wychowywał w Collège de France, polityką niby się nie trudził, ale zdobył sobie reputację ideału liberalnego księcia. Wielką pomocą była mu siostra, pani Adelaida, stara panna z mężką głową, namiętnie kochająca brata i jego dzieci, i dla nich pełna ambicji.

Wszyscy późniejsi dygnitarze lipcowej monarchii, byli zwykłymi gośćmi w Palais-Royal. Talleyrand tam rzadko zaglądał, chociaż, pomimo podeszłego wieku, nie zerwał z życiem towarzyskim. Spotykano go regularnie w kilku salonach uprzywilejowanych, *où il se faisait faire la cour*, jak powiadał Metternich. Trzymając prócz tego dom otwarty, mnóstwo ludzi widywał u siebie.

Gdy ks. Polignac objął naczelnictwo gabinetu, 8 sierpnia 1823 r., Talleyrand miał się odezwać, jak niegdyś za

157

Napoleona: *C'est le commencement de la fin....* Długoletnia praktyka ułatwiała mu wczesne rozpoznanie przedśmiertnych oznak u rządów, które go zaniedbywały; wiedział też doskonale, że owe drzwi, zamknięte w 1815 r., są nawpół otwarte, że Orlean zjednał sobie mnogich stronników. Kiedy i jak przyszło do skutku porozumienie między Orleanami i Talleyrandem, nikt dojść nie zdołał. Mądrej głowie dość na słowie — mogło obejść się więc bez formalnych paktów, ale robota na tem nie ucierpiała i niebawem wydała widome owoce. U pani Dino, w Rochecotte, postanowiono założyć dziennik orleanistowski, *Le National*, którego pierwszy numer wyszedł 3 stycznia 1830 r. i w redakcji którego, podczas dni lipcowych, była główna kwatera ruchu. Redakcję objął Armand Carrel, Mignet, protegowany Talleyranda, i wielki ulubieniec tegoż Thiers, o którym Talleyrand mawiał: *Ce n'est pas un parvenu, c'est un arrivé.*

Z wiosną Talleyrand przeniósł się jak zwykle do Valençay. W *Pamiętnikach* znajdują się dwa listy, pisane ztamtąd do księżnej de Vaudémont, zaufanej przyjaciółki rodziny Orleanów. W pierwszym, z 20 maja, Talleyrand nazywał rozwiązanie Izby deputowanych zamachem stanu przeciwko pobytowi na wsi, i dodawał: Później rzeczy może jaśniej się zarysują. Z naszym gabinetem nie można być pewnym niczego. *Tout se fait avec étourderie, et le résultat de l'étourderie peut être un embarras réel.* Mylą się ci, co sądzą, że wyprawa do Algieru ułatwi wybrnięcie z wewnętrznych kłopotów; był na to prostszy środek: zmniejszyć podatki... *Mais je fais là des réflexions d'un vrai campagnard....* W trzy tygodnie później, wiejska wyrocznia posłała znaczące ostrzeżenie. *Le moment décisif approche, je ne vois ni boussole ni pilote, et rien ne peut empêcher un naufrage.... Tout se compligue, et nous n'avons ni tête pour conduire, ni ciseaux pour couper les noeuds.*

Podczas dni lipcowych, Talleyrand znalazł się w Paryżu. Przez dwa dni nikogo nie chciał widzieć i ust prawie nie otwarł. Trzeciego dnia poprosił swego sekretarza, żeby pojechał do Saint-Cloud zobaczyć, co porabia rodzina

158

królewska. Pod nieobecność sekretarza, przyjął kilka osób z stronnictwa organistowskiego, mianowicie Sebastianiego i generała Gérard. Gdy posłaniec wrócił z wiadomością, że dwór przenosi się do Rambouillet, zamknął się w swoim pokoju, i po paru godzinach samotnej medytacji, słodziutkim tonem poprosił sekretarza, żeby pojechał do Neuilly, gdzie Ludwik Filip siedział zamknięty na cztery spusty; starał się dotrzeć do pani Adelaidy i doręczył jej karteczkę, na której Talleyranda ręką wypisane były słowa: *Madame pent avoir toute confiance dans le porteur qui est mon secrétaire*; potem karteczkę zaraz spalił, albo jeszcze lepiej zabrał z sobą i ustnie oświadczył księżniczce, że nie ma chwili czasu do stracenia, ks. Orleański powinien nazajutrz przybyć do Paryża i przyjąć tytuł generalnego namiestnika królestwa: *le reste viendra.*

Odczytawszy karteczkę, pani Adelaida zawołała: *Ah! ce bon prince, j'étais sûre qu'il ne nous oublierait pas!* i dała słowo, że brat jej nazajutrz stawi się w Paryżu i pójdzie za radą kochanego księcia. Tak się też stało, a reszta przyszła, wprawdzie niekoniecznie sama z siebie, ale przyszła. Księżna Amelia Orleańska błagała męża, żeby poprzestał na namiestnikowstwie do pełnoletności księcia Bordeaux, na rzecz którego Karol X zabdykował; przeważało jednak zdanie pani Adelaidy i przywódców zwyciężkiego stronnictwa, widzących w zmianie dynastii rękojmię utrwalenia monarchii konstytucyjnej. Dla zasłonięcia się przed światem, wynaleziono argument, że wzięcie korony przez Ludwika Filipa było nieuniknione, w przeciwnym bowiem razie przyjść musiała republika; lecz przebieg wypadków pozwala powątpiewać o sile republikanów, którzy zadowolnili się wizytą ks. Orleańskiego w ratuszu i obietnicą Lafayette'a: *Ce sera la meilleure des républiques.*

Royer-Collard, przybywszy do Paryża w dniu złożenia przysięgi przez nowego króla, rzekł swoim: I ja należę do zwycięzców, ale smutne odnieśliśmy zwycięstwo.

XXVII.

Nowo narodzonej monarchii groziły dwa niebezpieczeństwa, anarchia wewnątrz i wojna europejska.

Ulegalizowanie rewolucji nie wiele czasu zabrało i poszło nader łatwo. Legitymiści usunęli się sami z obu Izb; na wniosek Guizota skasowano parów, mianowanych przez Karola X; uzupełniające wybory dały rządowi większość w Izbie deputowanych. *La charte baclée*, jak nazywano nowa konstytucję, zmieniła tytuł króla Francji na króla Francuzów; religia państwa ustąpiła miejsca wyznaniu większości Francuzów. Izba deputowanych zyskała prawo wyboru prezydenta, tudzież rozszerzenie przywileju inicjatywy prawodawczej i pociągania ministrów do odpowiedzialności. Przestępstwa prasowe oddane zostały pod rozpoznanie sądów przysięgłych. Rząd pospieszył oczyścić armię, radę stanu, administrację, prokuraturę królewską z ludzi podejranych o przychylność dla dawnego porządku, i temsamem mógł poumieszczać i zadowolnić swoich stronników. Ludwik Filip, któremu Dupin publicznie powiedział, że wstępuje na tron nie jako Burbon, *mais quoique Bourbon*, brał po kolei do gabinetu ministrów, przez panujące stronnictwo wyznaczanych, i pozwalał im pokazać, co umieją. Zużywali się szybko w walce z nieładem ulicznym.

Dnie lipcowe dowiodły ponownie, że kto jest panem stolicy, jest także panem całej Francji; a ludowi stołecznemu zostawiły po sobie naukę i przykład, jak się zabierać do wywracania rządów. W życiu politycznym Francji, zyskał prawo obywatelstwa nowy czynnik, kasta barykadowych żołnierzy, której monarchia orleańska w znacznej części zawdzięczała swój początek i z którą

na każdym kroku liczyć się należało. Waleczni wojownicy uliczni, otrzymali nagrodę narodową w kwocie siedmiu milionów. Obniżenie podatku od napojów gorących, wskutek czego dochody skarbowe zmniejszyły się o trzydzieści milionów, miało również na celu skaptowanie ludu stołecznego. Sto milionów przeznaczono na roboty publiczne, aby zająć robotników, pozbawionych chleba.

160

Naczelne dowództwo gwardii narodowej, wątpliwej opiekunki porządku publicznego, otrzymał Lafayette, chociaż wiadano, że obraca się z wiatrem, jak chorągiewka na dachu. Lecz chwilowe uspokojenie umysłów w stolicy krótko trwało. Lipcowi zwycięzcy poczęli nanowo rościć pretensje do dyktowania woli rządowi.

Pierwszym powodem starcia, był proces ministrów Karola X, których ludowa sprawiedliwość chciała koniecznie zaprowadzić na gilotynę. Gdy, niby na prośbę rannych podczas dni lipcowych, rząd postanowił wnieść projekt do prawa, uchylającego karę śmierci za zbrodnie polityczne, tłum napadł na pałac Luksemburski, siedzibę Izby parów. Minister spraw wewnętrznych, hr. Montalivet, o osobistą odwagę i energią uratował oskarżonych i przewiózł do fortu w Vincennes, gdzie stary beznogi komendant Daumesnil już poprzednio odparł był napaść, przypominając szturm na Bastylię, zagrożeniem, że fort i siebie wysadzi w powietrze, ale więźniów nie wyda. Natenczas gabinet, w którym prezydował bankier Laffitte, ambitny dorobkowiec, pobratany z tajnymi towarzystwami i przed rewolucją lipcową niezamordowanie pracujący nad połączeniem w jedno rozmaitych odcieni opozycji, wszedł w układy z ruchem. Studenci, za obietnicę wolnomyślniej polityki, przyrzekli pomagać do utrzymania porządku; Izba parów, ulegając zewnętrznemu naciskowi, skazała oskarżonych na dożywotnie więzienie; lecz skończyło się tylko na chwilowym zawieszeniu broni. Przez kilka początkowych lat panowania Ludwika Filipa, ponawiały się bez ustanku zamachy na życie króla i krwawe starcia uliczne, wywoływane pod najrozmaitszymi pretekstami. Mieszczaństwo, zagrożone na bycie i mieniu, ocknęło się wreszcie i wydało ludzi, silniejszą dłonią ster dzierżących. Wtedy nastąpiła we Francji epoka rządów parlamentarnych i panowania mieszczaństwa, które okazało się nie lepszym od dawnej szlachty, chciwym, pełnym egoizmu, pozbawionym poczucia sprawiedliwości i miary, a w końcu znalazło pogromcę i mściciela w czwartym stanie, w plebie robotników wyzyskiwanym i ciemionym.

161

Ludwik Filip widząc, że waśń z mieszczaństwem przyprawi go o utratę tronu, pozwalał mieszczaństwu porastać w pierze i znaczenie, demokratyzować Francję¹, eksploatować na swoją wyłączną korzyść władzę prawodawczą. W zamian Ludwik Filip zdobył przydomek króla mieszczańskiego, ale inne warstwy narodu zubożniały dla monarchy, zmonopolizowanego przez jeden stan. W końcu jednak i mieszczaństwo podtrzymało tron Ludwika Filipa jedynie przez bojaźń czerwonej republiki. Król bowiem nie chciał i nie mógł ściśle zastosować się do formuлки Thiersa: *Le roi règne, mais il ne gouverne pas*, a w braku lepszych środków, uciekał się do rozmaitych kunsztów, nierzadko z uszczerbkiem własnej powagi. Wśród tylu zużytych ministrów nie znalazł szczerze sobie oddanego sługi, jak nie potrafił zdobyć miłości narodu, i gdy mieszczański porządek zdmuchnęła uliczna zawierucha, poszedł na wygnanie od nikogo prawdziwie nie żalowany.

Na wiosnę r. 1849, ks. Decazes, natenczas bardzo jeszcze młody, począł wyrzucać Ludwikowi Filipowi, że zgubił siebie i swoich adherentów. Stary król taką miał dać odpowiedź: *Mon cher enfant, si je n'ai pas pu me tirer d'affaire, c'est que personne ne s'en serait tiré a ma place, et vous pouvez tenir pour certain qu'après moi personne ne s'en tirera. Cette pensée me console*². Obrona Ludwika Filipa zawierała w sobie odrobinę prawdy, lecz niepodobna przeczyć, że istniał ścisły związek między początkiem i końcem monarchii lipcowej, którą zabił jej grzech pierworodny.

Ten grzech pierworodny postawił Ludwika Filipa w drażliwym położeniu wobec Europy monarchicznej. Nagie fakta. obrażały wszystkie zasady, reguły i pojęcia. W samej Francji

¹ W Strasburgu król wirtemberski zapytał Ludwika Filipa, dlaczego przystał na zniesienie dziedzicznego parowstwa? Ludwik Filip odrzekł: Nic mi na tem nie zależy, czy Porcher de Richebourg, albo Cochon de l'Apparent będzie dziedzicznym parem. Obydwa ci hrabiowie napoleońscy byli członkami Izby parów.

² *Le comte Racyński et Donoso Cortés*. Paris, 1880.

162

panowało przekonanie, że Europa nie ścierpi zamachu lipcowego i nie cofnie się przed zbrojnym wystąpieniem w obronie prawowitości. Szczęściem dla Orleanów i Francji, koalicja była dawno pogrzebana, a z nią i możliwość restauracji Burbonów. Anglia, zajęta reformą parlamentarną, usunęła się od spraw kontynentalnych, nie dotykających bezpośrednio interesu angielskiego. Jeden cesarz Mikołaj groził zbrojną interwencją, przyczem sam najmniej ryzykował, lecz nie mógł nic przedsięwziąć bez Prus i Austrii. W Berlinie przewidywano napaść francuską, lecz nieufność w własne siły i w pomoc sprzymierzeńców, radziła unikać zaczepki. Austryę, nieco poróżnioną z Rosją od wojny tureckiej, kępował niedostatek wojska i pieniędzy, tudzież obawa ruchów rewolucyjnych w Niemczech i we Włoszech. Na wieść o rewolucji lipcowej, Metternich ułożył z Nesselrodem w Karlsbadzie zasady wspólnego postępowania mocarstw, niosące, iż dopóki Francja nie naruszy traktatowego porządku i niezakłóci spokoju innych państw, mocarstwa mieszać się nie będą w wewnętrzne sprawy francuskie. Tak zwany *le chiffon de Carlsbad*, będący wiernym wyrazem chwilowego położenia, stał się nicią przewodnią polityki trzech mocarstw względem Francji, co nie wykluczało wielkich obaw, wielkiej podejrzliwości i nieufności ku narodowi francuskiemu i osobie króla. Argument, jako Ludwik Filip podjął koronę z bruku, aby uchronić kraj i Europę od republiki, będącej wówczas synonimem terroryzmu i propagandy rewolucyjnej, nikogo nie przekonał¹. Zapewnienia, że Francja święcie

¹ Jenerał Belliard, wysłany do Wiednia, opowiedziawszy Metternichowi historię dni lipcowych, scenę w ratuszu i efekt, wywołany ukazaniem się na balkonie ks. Orleańskiego pod rękę z Lafayettem, opowiadanie tak zakończył: *Le duc embrassa le général, et c'en était fait de la République!*

— *Un baiser est un léger effort pour étouffer une République; croyez-vous pouvoir accorder un même pouvoir à tous les baisers dans l'avenir?* odparł Metternich.

Mémoires, T. V. p. 22.

uszanuje traktaty i spokój Europy, nie znalazły wiary, wątpiono bowiem, czy monarcha, zawdzięczający tron ruchowi demagogicznemu, zdoła uwolnić się z pod opieki ulicznych Moncków i czy nie znajdzie się w konieczności szukania wyjścia w wojnie europejskiej.

Anglia pierwsza przed upływem sierpnia uznała monarchię lipcową, bez wachania, nie żądając żadnej gwarancji, pomimo, że naczelnik ówczesnego gabinetu, Wellington, był jednym z ojców Restauracji i Karolowi X zalecił księcia Polignac, ambasadora w Londynie, na pierwszego ministra. Postępek Anglii wzniewał nadzieję, że inne mocarstwa pójdą za jej przykładem; otwierał nadto możliwość zawiązania bliższych stosunków z pierwszorzędną potęgą europejską, a wtedy Francja wychodziła z odosobnienia, przestawała uchodzić za zarażoną owcę, i mogła być spokojniejszą o własne bezpieczeństwo. Powodzenie zależało od wzięcia się do rzeczy i od człowieka, który interes prowadzić będzie. Ludwik Filip ofiarował ambasadę londyńską Talleyrandowi. Za rozmaite usługi należała mu się nagroda, a najmilszą nagrodą dla sędziwego dyplomaty była sposobność odegrania raz jeszcze pierwszorzędnej roli na scenie europejskiej. Osoba ambasadora, o którym świat wiedział, że nie zwykł służyć rządowi, nie mającym jutra przed sobą, znaczyła, że monarchia lipcowa posiada siły żywotne, widoki na przyszłość, że nie myśli puszczać się na awantury i chce żyć z Europą w zgodzie. Ważyły również niemało osobiste stosunki Talleyranda z angielskimi mężami stanu obu stronnictw, szczególnie z Wellingtonem, w którym Talleyrand miał jedynego może w Europie, prawdziwego i wiernego przyjaciela¹.

¹ Pani Lieven pisała do ks. Leopolda Koburgskiego: *Le duc de Wellington me parait très engoué de M. de Talleyrand; il dit de lui que c'est un très honnête homme. L'a probité de M. de Talleyrand me rappelle l'esprit de M. de Polignac.* (Stockmar: *Denkwürdigkeiten*). Wellington w swoim czasie wychwalał rozum Polignaca, co, równie jak przyjaźń dla Talleyranda, kładziono na karb łatwowierności zwyczajcy z pod Waterloo.

Po niedługich ceremoniach, Talleyrand podjął się obowiązków, bardzo dlań ciężkich, choćby z powodu podeszłego wieku i kalectwa. Przed końcem września był już w Londynie; wkrótce potem pospieszyła tam za stryjem pani Dino.

XXVIII.

Naoczny świadek zostawił opis wjazdu Talleyranda do Londynu¹. Ambasador wjechał otwartym czterokonnym powozem, w okrągłym kapeluszu, z olbrzymią kokardą trójkolorową; trójkolorowe wstęgi zdobiły uprząż. Za powozem biegła kupi ludzi, krzyczących: Talleyrand *for ever!* Przed domem ambasady na Regent-Street, Talleyrand podziękował swojej eskorcie uchYLENIEM kapelusza, wysiadł z powozu przy pomocy dwóch służących i oświadczył zebranyemu urzędnikom ambasady, że będąc zmęczony, musi przyjęcie odłożyć na dzień następny. Koło południa nazajutrz zgromadzili się więc wszyscy w wielkim salonie na pierwszym piętrze; na stole paradował kapelusz z kokardą, którego nie brakło także podczas posłuchań, udzielanych przez ambasadora Francuzom, spieszącym wyrazić adhezyę dla monarchii lipcowej. Po kwadransie czekania, w drzwiach naościęz otwartych, ukazał się Talleyrand, wsparty jedną ręką na ramieniu kamerdynera, drugą na nieodstępnej lasce. Miał na sobie frak, przypominający mody Dyrektoryatu; długie włosy, spadające na uszy i upudrowane, były z tyłu splecione w warkocz. Zasiadłszy w fotelu przy kominie, dał ręką znak rozpoczęcia przedstawień. Każdego z sekretarzy spotkało uprzejme powitanie, lecz gdy przyszła kolej *des attachés*, Talleyrand zmienił ton i dość sucho poradził im stosować się do zwyczajów miejscowych, a wolny czas poświęcić na zwiedzenie kraju — teraz nie znajdują bowiem w kancelaryi zajęcia, ani też sposobności do zabawy w mieście, letnią porą pustem.

¹ *Souvenirs du comte d'Haussonville*. Paris, 1885.

Po rewolucji lipcowej, jak u nas po listopadowej, rząd francuski wziął zwyczaj umieszczać w poselstwach zagranicznych młodzieńców z partii ruchu. Trzech takich Talleyrand już zastał w Londynie. Jeden nazywał się Chodron i był synem notaryusza, trudniącego się interesami Talleyranda; spotkawszy pierwszy raz w życiu d'Haussonville'a znajomość rozpoczął od tego, że mu wyrwał z rąk gazetę i kichnął prosto w nos. Drugi, nazwiskiem Gobert, fundator nagród, dotąd rozdawanych przez Akademię francuską, był obrońcą barykad lipcowych i wielkim zwolennikiem literatury romantycznej. O trzecim milczy historia, ale Talleyrand powiada, że wszyscy trzej chodzili na bankiety rewolucyjne i wznosili rewolucyjne toasty, jeden zaś obiecał wypić zdrowie Ludwika Filipa dopiero, gdy ustąpi z tronu.

Po niedługim czasie znikł kapelusz z kokardą i figurował tylko na karykaturach. Po kapeluszu przyszła kolej *des jeunes sans-culottes de juillet*, którzy zostali odesłani do domu. Ustały również audyencye, udzielane przez ambasadora obywatelom rodakom; wygalowany szwajcar, stojący u drzwi, nie puszczał byle kogo do wnętrza.

Podziwu jest godną świeżość umysłu, energia i niezmiordowana praca tego kaleki, dźwigającego ósmy krzyżyk na barkach. Sprawa belgijska, wlokąca się prawie dwa lata, wymagała ciągłej czujności, ciągłego natężenia sił umysłowych i fizycznych. Talleyrand sam osobiście prowadził układy, był przytomny na wszystkich konferencyach urzędowych, spisywał najczęściej własną ręką protokoły, utrzymywał ciągłe stosunki z ministrami angielskimi i z ciałem dyplomatycznym, często pokazywał się u dworu i na posiedzeniach Izb, nieraz trwających do białego dnia. Urzędowa korespondencja z Paryżem, tworzy parę grubych tomów, a każda depesza świadczy tokiem myśli i stylem o osobistym udziale Talleyranda w redakcyi. W kilku miejscach *Pamiętników* skarży się na brak pomocy biórowej. Po długich instancjach przysłano mu z Paryża hr. Bresson, w którym znalazł zdolnego współpracownika, lecz i ten prędko go opuścił, aby się przenieść do Brukselli. Natenczas przybył do ambasady londyńskiej

p. de Bacourt, jako drugi sekretarz. Talleyrand przyjął go w pokoju sypialnym, w szlafroku, w chwili, kiedy odbywał płókanie gardła, trwające najmniej kwadrans i bardzo hałaśliwe. Kiwnąwszy ręką, płókał dalej w najlepsze i wykrzywił się przytem na

wszelkie sposoby. Po skończonej operacji, przeprosił sekretarza za dostarczone mu widowisko, składając się nakazem lekarza, i zasadził go do roboty, której rezultat zjednał młodzieńcowi wyjątkową łaskę ambasadora i szybki awans. Lecz Bacourt, z przeciążenia pracą, ciężko zaniemógł. Zawiadomiony o przyczynie choroby, Talleyrand pielegnował go po macierzyńsku i obdarzył przyjaźnią, tak daleko idącą, że testamentem jemu powierzył swoje pamiętniki i papiery.

Z Anglikami Talleyrand bardzo szybko potrafił zawiązać najściślejsze stosunki, których nie przerwał upadek gabinetu Wellingtona i przyjście whigów do steru. Zażyłość ministrów z ambasadorem francuskim, wywołała nieco później przykre zajścia w Izbie lordów, gwałtowne ataki w dziennikach i mnóstwo karykatur; najpopularniejsza przedstawiała Talleyranda i Palmerstona z podpisem: kulawy wodzi ślepego.... Stosunki z ciałem dyplomatycznym musiały być więcej niż niezłe, skoro Talleyrand nikogo w *Pamiętnikach* wbrew zwyczajowi nie podrapał. Bardzo chwali wesoły humor, uprzejmość *et la finesse* ks. Pawła Esterhazego, którego niejeden z czytelników pamięta jako miłego staruszka, obsypującego panie komplementami i cukierkami. Chwali rozum, talent i takt Matuszewicza, laureata uniwersytetu paryskiego. O Lievenie powiada, że miał więcej zdolności, niż powszechnie sądzono, ale szkodziło mu sąsiedztwo żony. Pani Lieven bawiła w Anglii od lat dziewiętnastu. Pojawiwszy się w Londynie po raz pierwszy w r. 1812, kiedy żadne mocarstwo nie utrzymywało tam ambasady, tem łatwiej znalazła dobre przyjęcie u dworu i w towarzystwie, zwłaszcza, że nie było królowej i że regent korzystał z jej obecności, aby publicznie przyjmować u siebie swoje dobre przyjaciółki. Nigdy nie będąc piękną, nigdy nic nie czytając, pani Lieven odznaczała się postawą, umiejętnością życia, wrodzonym

167

sprytem i nienasyconą ciekawością. Pisała doskonale po francusku, w piśmie była świetniejszą, oryginalniejszą, dowcipniejszą niż w rozmowie. Afekta polityczne często zmieniała, *en souvenir peut-être de sa jennesse*, powiada Talleyrand, ale zawsze umiała znaleźć się w najlepszych stosunkach z ministrem, przychodzącym do władzy. Opuściwszy Wellingtona dla Canninga, nigdy już z pierwszym nie doszła do ścisłej zażyłości; za to opanowała lorda Grey. Z Talleyrandem wiodła podjazdową wojnę. *Elle préférerait la satisfaction d'embarrasser, au désir de plaire, en faisant valoir celui, auquel elle parlait*, mówi on. Ale Talleyranda nie łatwo było zbić z tropu. Gdy zaraz w początkach pani Lieven głośno odezwała się: *Ce qui vient de se passer en France est une flagrante usurpation* — Talleyrand odciął się natychmiast: *Vous avez bien raison, madame; seulement, ce qui est à regretter, c'est qu'elle n'ait pas eu lieu quinze ans plus tôt, comme le désirait et le voulait l'empereur Alexandre, votre maître*.

Ambasada i przyjęcie w Anglii zawróciły nieco głowę Talleyrandowi. Gdy w Dover zagrzmiały działa na jego powitanie, stanął mu w pamięci wyjazd do Ameryki; porównanie sprawiło satysfakcję, której odgłos znajdujemy w przemowie do Wilhelma IV, przy wręczeniu listów wierzitelnych. *Parlant au nom de notre roi et de la France, je me suis retrouvé avec ma voix de l'Assemblée constituante*, pisał do pani Adelaidy. Mógł był jednak dać pokój przypinaniu łatek Burbonom, co zresztą czynił bardzo delikatnie, często powtarzając: *Żałuję, że lat temu piętnaście zapomniałem, co Fox powiedział i wydrukował, że Restauracja jest najgorszą rewolucją.* — Sposobności i materiału do polechtania Ludwika Filipa po śledzienie i tak nie brakło. Zaraz przy pierwszym spotkaniu, Wellingtonowi wyrwało się z ust nazwanie wypadków lipcowych *nieszczęśliwą rewolucją*. Talleyrand podniósł rękawicę, mówiąc, że przymiotnik nieszczęśliwy, podsunięty został zapewne księciu przez współczucie dla strąconej z tronu dynastii, bo rewolucja nie jest nieszczęściem ani dla Francji, ani dla mocarstw, z którymi Francja, wyzwolona

168

z fałszywego położenia, w jakim ją postawiły poprzednie rządy, pragnie zachować najlepsze stosunki. Wellington miał potwierdzić taką interpretację swoich słów i nawet uwierzyć we wszystko, co mu Talleyrand prawił o niewinnym początku monarchii lipcowej, która przyszła na świat sama, bez przygotowań i intryg, bo ks. Orleański przyjął koronę tylko z musu, dla szczęścia Francji i spokoju Europy¹. Jeżeli to była prawda, pani Lieven słusznie pomawiała Wellingtona o łatwowierność. Ale Ludwik Filip, nie psuty przez Europę, nie wdawał się w dochodzenie pobudek, i brał, co mu dawano.

XXIX.

W drodze do Londynu, w Calais, doszła Talleyranda wieść o rozpoczęciu ostatniego aktu rewolucji belgijskiej. Traktat paryski r. 1814, przyłączając na wieczne czasy Belgię do Hollandyi, orzekł, iż konstytucja hollenderska rozciągniętą zostanie do Belgii, po poprzednim zaprowadzeniu w niej zmian, odpowiednich potrzebom i życzeniom mieszkańców. Zaraz wtedy pojawił się w Belgii silny opór przeciwko złaniu z Hollandyą. Rząd hollenderski użył surowych środków dla poskromienia ruchu, na czele którego stanęło duchowieństwo katolickie. Ks. Broglie, biskup z Gandawy, skazany na deportację, ratował się ucieczką, lecz wielu duchownych i świeckich dosięgły ciężkie kary. Następnie, gdy zgromadzenie notablów belgijskich odrzuciło projekt konstytucyi,

¹ *Je crois aujourd'hui le duc très convaincu, que le mouvement français de la fin de juillet n'a été conduit par personne, que l'indignation a été le lien général, qu'il n'y a pas eu une seule intrigue; que M. le duc d'Orleans a été force d'accepter la lieutenance generale du royaume, et plus tard la couronne; qu'en l'acceptant, il a rempli un devoir, et qu'en remplissant ce devoir il a rendu un service essentiel à toute l'Europe.* — Talleyrand do pani Adelaidy, 2 października 1830 r. *Mémoires*. T. III.

169

będącej prostą kopią ustawy hollenderskiej, rząd skasował głosy przeciwne, umotywowane różnicą wyznania, głosy zaś nieobecnych doliczył do głosów potwierdzających, i na mocy tak sfałszowanej uchwały, ogłosił konstytucję za obowiązującą. Przed tem jednak, po powrocie Napoleona z Elby, dekret królewski zagroził piętnowaniem i galerami, lub śmiercią, za odwodzenie poddanych od posłuszeństwa. Dekret ten, zredagowany w ogólnikach i nie cofnięty, aż do r. 1829 nie przestał być stosowanym w Belgii w przestępstwach prasowych. Wbrew przepisowi konstytucyi, że sędziowie będą wybierani z pomiędzy kandydatów, przedstawionych przez stany, i urzędować dożywotnie, król mianował w Belgii wedle własnego wyboru sędziów od wokalnych. Belgia, licząca półtora miliona dusz więcej od Hollandyi, wysyłała takąsamą ilość co ta deputowanych, pod pozorem, że była uboższą; natomiast system podatkowy, faworyzujący klasy najzamożniejsze, dotkliwie ciążył na Belgii, która ogółem płaciła przeszło pół miliona więcej od Hollandyi, a nowo nałożonych podatków trzy razy więcej, głównie dzięki opłacie od

mlewa, będącej jednym z powodów rewolucji 1830 r. Wszystkie władze naczelne były skoncentrowane na północy; nawet kancelarya orderu Lwa belgijskiego i dyrekcja górnicza, znajdowały się w Hadze, choć Belgia nie posiadała żadnych kopalń. Przystęp do wyższych urzędów był dla Belgów tak utrudniony, że liczone ich 87 na 317 Hollendrów.

Niemniej dolegało Belgom postępowanie rządu holenderskiego w sprawach religijnych. Istnienie seminarium uczyniono zawisem od pozwolenia króla; każdy kandydat do stanu duchownego przejść musiał przez kolegium filozoficzne, założone w Lowanium, w celu powolnego protestantyzowania katolików. W prowincjach, zamieszkałych przez ludność katolicką, dozór szkolny spoczywał po największej części w rękach protestantów. Do uniwersytetów belgijskich, rząd nadsyłał profesorów protestanckich, Hollendrów i Niemców. Przyszło w końcu do zaprowadzenia języka holenderskiego w sądownictwie, a gdy urzędnicy zaczęli opuszczać służbę, minister sprawiedliwości, Van Maanen, wymógł na królu

170

dekret, stanowiący, że urzędnik dymisyonowany bez świadectwa dobrej konduity, traci prawa polityczne i obywatelskie.

Po wybuchu rewolucji lipcowej w Paryżu, król holenderski przyrzekł zwołać nadzwyczajną sesję stanów generalnych, w celu rozpatrzenia skarg, przez Belgów podnoszonych; lecz to wystarczyć nie mogło, gdyż Hollendrzy głosowali zawsze jak jeden człowiek przeciwko Belgom, i utrata kilku głosów belgijskich, groziła ponownem ulegalizowaniem niezdolnego stanu. Przykład Francuzów poruszył cały naród, mocno przywiązany do religii, mowy ojczyźnej i samorządu, krzywdzony moralnie i materyalnie. Było w Belgii stronnictwo, głównie złożone z dawnych urzędników napoleońskich, marzące o połączeniu Belgii z Francją; nie brakło także ruchliwych żywiołów, blisko spokrewnionych z ruchem paryskim, którego naczelnicy pchnęli do Belgii agentów swoich i profesorów barykad, podczas gdy zasada nieinterwencji, proklamowana przez rząd francuski, ośmielała do czynu nawet najumiarkowańsze stronnictwo.

Na 24 sierpnia przypadał dzień urodzin króla, wedle zwyczaju obchodzony festynem ludowym. Gdy w Brukselli pojawiły się plakaty z napisem: W poniedziałek fajerwek, we wtorek illuminacya, w środę rewolucya... postanowiono zaniechać festynu, lecz na uroczyste przedstawienie w teatrze wybrano *Niemą z Portici*. Skoro Masaniello zanucił: *Liberta*, cały teatr zatrzęsł się od oklasków i krzyków: Wolność! wolność!... Tłum, zgromadzony na placu, zawtórował, potem rzucił się na redakcyę dziennika urzędowego, splądrował mieszkanie znieawidzonego Van Maanena i gmachy publiczne. Załoga zamknęła się w zamku królewskim; w mieście objął rządy komitet gwardyi obywatelskiej.

Król oddalił ministra sprawiedliwości, obiecał przyspieszyć zebranie stanów i wysłał do Brukselli swoich dwóch synów, na czele korpusu wojska. Wyprzedziwszy brata i siłę zbrojną, ks. Oranii przybył do miasta sam, z trójkolorową szarfą brabancką, i zawarł z notablami układ na podstawie unii personalnej między Hollandją i Belgią. Lecz w mieście

171

tymczasem wypłynął na wierzch komitet centralny, niekontentujący się unią. Wojsko hollenderskie znalazło przystęp do stolicy zabarykadowany, i po trzechdniowej strzelaninie, cofnęło się wskutek rozkazu króla, który syna nienawidził i posądzal o zamiar naśladowania Ludwika Filipa. Bombardowanie Antwerpii dołało oliwy do ognia i zniszczyło możność kompromisu. Nadto, stronnictwo konserwatywne i katolickie, aby nie dać ubiedz się demagogii, podniosło sztandar niepodległości, i za tę cenę zdobyło wpływ w rządzie tymczasowym, który 3 października ogłosił niepodległość Belgii.

Hollandya była kreacyą europejską i specjalnie angielską, strażnikiem interesów europejskich i angielskich na granicy Francyi. Dlatego w 1814 r. oddano Belgię domowi Orańskiemu; dlatego w 1815 r. powiększono Hollandyę kosztem Francyi i znaczną część kontrybucyi wojennej francuskiej obrócono na budowę fortec nadgranicznych, które cesarz Mikołaj nazywał *les forteresses de l'alliance*. Cztery mocarstwa miały prawo i obowiązek bronić własnego dzieła. Francya wystąpiła z zasadą nieinterwencji i oczywistem było, że trzymać będzie stronę Belgów, dążyć do osłabienia państwa, stworzonego na swoją szkodę, jeżeli nie do odzyskania Belgii. Na wypadek czynnego wystąpienia Francyi, powinien był wejść w życie traktat niegdyś w Chaumont zawarty, odnowiony w Wiedniu w 1815 r. i w Akwizgranie w 1818 r., wkładający na cztery mocarstwa obowiązek odparcia zaczepki wspólną siłą.

Tak sprawa wyglądała w teorii; w praktyce przeważała reguła, żeby unikać wojny europejskiej, starcia z Francją, a w Belgii ratować, co można. Impuls wyszedł od Anglii, najmocniej interesowanej w bycie Hollandyi i geograficznie najbliższej ogniska wypadków. Wellington był przekonany, że wojsko hollenderskie przywróci porządek w Brukselli. Wiadomość o rejteradzie Hollendrów otrzymał w Brighton, podczas obiadu u króla; *il en fut attéré*, powiada pani Lieven, i rzekł: *Diablement mauvaise affaire!* O zbrojnej interwencji mowy ani na chwilę nie było. Gabinet postanowił dążyć do tego, aby pokój europejski nie został zakłócony i Hollandya

172

odniosła jak najmniejszą szkodę — w tym celu zebrać w Londynie konferencyę pełnomocników pięciu mocarstw. Miano nadzieję zakończyć sprawę unią personalną. W dniu ogłoszenia niepodległości belgijskiej przez rząd tymczasowy, gabinet wystosował do dworów zaproszenie na konferencyę; nazajutrz nadeszła do Londynu prośba króla holenderskiego o zbrojną pomoc przeciwko zbuntowanym Belgom.

Z podobnem żądaniem król hollenderski udał się do Petersburga, Wiednia i Berlina. Cesarz Mikołaj, od rewolucji lipcowej niecierpliwie rwący się do robienia porządku w Europie, wysłał Orłowa do Wiednia i Dybicza do Berlina z oświadczeniem, że nadeszła pora walnej rozprawy z stronnictwem wywrotu i z Francją, opiekunką tego stronnictwa. Rosya postawi przeto na stopie wojennej i zgromadzi nad granicą swój kontyngens traktatowy, w ilości 60.000 ludzi, tudzież *une armée respectable*; spodziewa się zaś, że Austria i Prusy to samo uczynią, i bez zwłoki zajmą się wraz z Rosją obmyśleniem planu działań wojennych.

Reklamacya króla hollenderskiego sprawiła, według świadectwa Metternicha, niezmierny kłopot w Wiedniu i w Berlinie. Austria, w przewidywaniu ruchów rewolucyjnych na półwyspie włoskim, ścigała ku południowi wszystkie siły rozporządzalne, stosunkowo zresztą szczupłe, i z tego powodu musiała zaniechać innych przedsięwzięć europejskich. Sprawa hollenderska była nadto, zdaniem Metternicha, stracona; zaledwie pozostała możność niedopuszczenia, *par un grand tour de force*, aneksyi Belgii do Francyi. Zamiast żądanych żołnierzy, cesarz Franciszek przyrzekł więc królowi holenderskiemu swoje moralne poparcie.

Prusy miały nad Renem trzy korpusy wojska gotowe, ale gabinet francuski ostrzegł berliński jeszcze w końcu sierpnia, że wkroczenie Prusaków do Belgii pociągnie za sobą wejście tam Francuzów. Wstrzemięźliwość Austrii nakładała Prusom takąsamą politykę, tem bardziej, że zbrojne zastępy cesarza Mikołaja, znajdujące się jeszcze bardzo daleko od granicy, mogły nadejść dopiero po rozprawie z Francuzami, uważanej za nader niebezpieczną.

173

Orłowa i Dybicz odprawiono w obu stolicach jednobrzmiącymi niemal oświadczeniami wdzięczności, z dodatkiem, że oba mocarstwa nateraz interweniować nie są w stanie, lecz myślą o własnym bezpieczeństwie i w potrzebie skorzystają z ofiarowanej pomocy Rosyi; chwilowo jednak muszą unikać dostarczenia Francji pozorów do zaczepki.

Tęsamem Austria i Prusy nie mogły nie przyjąć zaproszenia na konferencję londyńską. Metternich wziął przecieź bardzo za złe Wellingtonowi, że gabinet angielski zniósł się z Francją, nie porozumiewając się poprzednio z dworami sprzymierzonymi, i że nie dość silnie wystąpił przeciwko francuskiej zasadzie nieinterwencji, której Austria nigdy nie uzna: *Ce sont les brigands qui r cuseut la gendarmerie, et les incendiaires qui protestent contre les pompiers*, pisał do Esterhazego.

Opuszczony przez najbliższych sprzymierzeńców, cesarz Mikołaj przyjął wniosek angielski, jednak w sposób świadczący, jak niechętnie to czyni. Posyłając Matuszewiczowi pełnomocnictwo, Nesselrode dodał, że cesarz nie wierzy w pomyślny rezultat narad, które rozbijają się o złą wolę Francji. Zdaniem cesarza, układy pociągną za sobą stratę czasu, pozwalającą buntownikom belgijskim utrwalić swoje grzeszne przedsięwzięcie; zwłoka będzie zachętą dla rewolucjonistów całego świata i przynnoży przeszkód mocarstwom przy interwencji, do której koniec końcem uciec się wypadnie. W interesie pokoju Europy, cesarz zgadza się na udział Francji w naradach, pod warunkiem, że konferencja przyjmie jako zasadę administracyjny rozdział Belgii od Hollandyi, nie naruszający całości Hollandyi pod berłem domu Orańskiego, tudzież bezpieczeństwa fortec, *des forteresses de l'alliance*. Cesarz kazał wyrazić nadzieję, że mocarstwa sprzymierzone nie cofną się w razie potrzeby przed użyciem siły do przeprowadzenia postanowień konferencji, obiecał zgromadzić nad granicą swój kontyngens traktowy *et une arm e respectable*, żądał uzbrojeń od sprzymierzeńców i wczesnego obmyślenia wspólnego planu.

174

Depesza Nesselrodego ¹ nosiła datę 19 października. Lieven, przybyły w drugiej połowie listopada do Londynu dla objęcia ambasady, najsolennie zapewnił Talleyranda, że Rosyianie nie przekroczą granicyinaczej, jak w zgodzie z mocarstwami. Lieven miał na myśli mocarstwa, należące do poczwórnego przymierza, Talleyrand wszystkie wielkie mocarstwa, więc i Francję; ale to na jedno wychodziło, ponieważ armia rosyjska, mająca ciągnąć na Belgię, istniała zaledwie na papierze, żadne mocarstwo nie zamierzało wzywać pomocy Rosyan, i Francja postanowiła unikać zakłócenia pokoju Europy. Niebawem powstanie polskie uwolniło sprzymierzonych od dalszych nagabywań cesarza Mikołaja.

We Francji rewolucja belgijska do głębi poruszyła umysły. Wszystkie stronnictwa od dość dawna marzyły o odzyskaniu pierwszego podboju Rewolucyi ². Partya ruchu, przyłożywszy się czynnie do wypadków brukselskich, nie omieszkała zużytkować ich na swoją korzyść w Paryżu, aby przynnożyć rządowi kłopotów. Rząd na początek postawił zasadę nieinterwencji, w Anglii także popularną, i wziął za regułę postępować w porozumieniu z Anglią; tęsamem zgodził się na konferencję, proponowaną przez Anglię. Co dalej począć, z tego nikt w Paryżu jasnej sprawy zdać sobie nie umiał. Ludwik Filip, przekonany, że Europa tolerować go będzie, o ile on nie będzie wody mącić, gotów był daleko pójść w ustępstwach, ale musiał się oglądać na Izby, ministrów, opinię publiczną i pstrokatą rzeszę swoich adherentów.

¹ Zamieszczona w całości w III tomie *Pamiętników* Talleyranda.

² Podczas wojny tureckiej, Polignac powziął plan nowego ukształtowania Europy, wychodzący z podziału Turcyi; Rosya miała otrzymać Turcyę azyatycką, Austria Bośnię i Serbię; z reszty posiadłości Porty, miało być utworzone królestwo dla domu Orańskiego. Hollandya właściwa i Saksonia przypaść miały Prusom, za prowincye nadreńskie, oddane królowi saskiemu. Belgia przypadła Francji, kolonie hollenderskie Anglii. Pokój Adryanopolski zgotował temu projektowi przedwczesny koniec.

175

Opinia radykalna parla otwarcie do wojny; umiarkowana do aneksyi Belgii, lub osadzenia księcia francuskiego na tronie belgijskim, co koniec końcem także wojnę znaczyło. Szczerych zwolenników pokojowej polityki znajdowało się niewiele; po największej części byli to ludzie, którym obawa wojny ciążyła, jak zmora, bo wystawiali sobie, że nazajutrz po wybuchu wojny runie tron Ludwika Filipa, nastanie rzeczpospolita czerwona, i według przepowiedni Dalberga: *tout ira au diable!* Starzy wojownicy napoleońscy, nawróceni na orleanizm, zacierali ręce z radości, że niedługo wybije godzina odwetu za Waterloo. Młodsze pokolenie adherentów monarchii lipcowej, widziało w trójkolorowej chorągwi symbol propagandy wolności, zadatek pewny zwycięstw, odzyskanie Belgii, Renu i prymatu w Europie. Gabinet każdy, a coraz jawił się nowy, przemykał się z dnia na dzień między Scyllą i Charybdą wewnętrznych i zewnętrznych zawikłań, nigdy nie wiedząc, czy jutro do niego należy.

Talleyrand poszedł prostą drogą, i niepozwalając się z prostej drogi strącić, oddał Francji największą usługę. Od początku powiedział sobie, że jego zadaniem uniknąć wojny europejskiej i Francję z Europą pojednać; oraz, że cel ten osiągnąć można tylko idąc ręką w rękę z Anglią i wyrzekając się drobnych zysków postronnych. Z wyjątkiem Rosyi, wszystkie mocarstwa pokoju pragnęły i potrzebowały, ale wszystkie, prócz Anglii, były najgorzej ku Francji usposobione, i nieulegało wątpliwości, że na konferencyach wystąpią dwa obozy nierówne, trzech przeciwko dwom. W Londynie, Talleyrand znalazł się nadto w tem niemiłym położeniu, że co chwila mogło go spotkać zapytanie: *Votre gouvernement existe-t-il encore   l'heure qu'il est ?.....* bo w Paryżu ponawiały się ciągle zamieszki uliczne i gabinety upadały z dnia na dzień. Hr. Mol e proszony raz o instrukcyę, odpisał: Odpowiem jutro, jeżeli jeszcze będę ministrem... Miało to swoją dobrą stronę, wielką swobodę dla ambasadora, który swobody rozumnie i na dobre używał. Zresztą piolecenia swoich zwierzchników spełniał z gorliwością mniejszą lub większą, w miarę, jak odpowiadały jego przekonaniu własnemu; w ważnych

176

Wypadkach brał decyzję na własną odpowiedzialność; często drażliwe materye umyślnie pomijał milczeniem, dopóki rzecz nie była skończona, i z tego przed zaufanymi nie robił sekretu: *Je n'en parle pas   Paris, parce qu'on me donnerait des instructions et que je veux agir sans en avoir*. Podobna taktyka była bardzo ułatwioną przed wynalezieniem telegrafów elektrycznych i kolei

żelaznych; ułatwiało ją jeszcze bardziej osobiste stanowisko Talleyranda, którego wyprzec się lub odwołać nieśmiałyby był ani Ludwik Filip, ani żaden minister spraw zagranicznych. Zażyły stosunek ambasadora z gabinetem londyńskim, nader szybko zawiązany, zasłaniał Talleyranda od krytycznych sztychów, jakimi jego zwierzchnicy usiłowali od czasu do czasu pokrzyżować w Londynie bieg rzeczy na konferencyach. Można nawet powiedzieć, że nigdy nie przyszło do prawdziwej harmonii między Talleyrandem i ministerstwem spraw zagranicznych. Hr. Molé, jakkolwiek trzymający się umiarkowanej polityki króla i osobiście nie mało zawdzięczający Talleyrandowi, nie umiał pojąć, że w ówczesnych okolicznościach i z człowiekiem tego wieku, stanowiska i doświadczenia, należy pozostawić jego uznaniu kierunek sprawy na miejscu. Skarżył się na rzadkość raportów, zwłokę w traktowaniu sprawy belgijskiej, i chciał koniecznie przenieść siedlisko narad do Paryża. Pospiechu Talleyrand niemniej od niego pragnął, już przez wzgląd na trudne położenie rządu francuskiego, lecz wina zwłoki spadała na niejedność mocarstw, upór króla holenderskiego i roszczenia Belgów. Paryż, wystawiony na zamieszki uliczne, nie był miejscem właściwym dla narad europejskich. O przeniesieniu tam konferencji, nie chciała słyszeć Anglia, tem mniej dwory północne, i sam Talleyrand był temu przeciwny; w Paryżu bowiem musiałby być odnosić się z każdym szczegółem do ministrów, w których mądrość nie bardzo wierzył; nadto obawiał się przewagi ambasadora rosyjskiego, Pozzo di Borgo. Wolałem, powiada, znosić przewagę Wellingtona. Gdy gorąco kąpany minister spróbował trafić do Wellingtona po za plecami ambasadora, Talleyrand zemścił się dowcipnie, pisząc do pani Adelaidy: *J'ai trouvé un peu de jeunesse dans*

177

cette démarche. Niedługo potem Molé ustąpił z gabinetu, lecz po przejściu spraw zagranicznych w ręce Sebastianiego, rozpoczęły się gorsze i niebezpieczne machinacje, które Talleyrand szczęśliwie zdołał niweczyć zręcznym postępowaniem w Londynie i osobistym wpływem na Ludwika Filipa. Ten przyjąwszy w początkach bardzo rozsądną i ostrożną politykę, zachwiał się niejednokrotnie, ulegając pokusom ministrów i własnego egoizmu, które Talleyrand musiał odpędzać. Czynił to albo wprost, albo najczęściej przez panią Adelaidę. Mądra ta niewiasta, powierniczka najtajniejszych myśli brata, jakkolwiek łatwo przystępna podszeptom ambicyj, umiała doskonale zmiarkować prawdziwy interes rodziny, i szła chętnie za radą *dobrego księcia*. Zaklinając się, że od polityki stroni, *qu'elle n'est qu'une ignarde en politique*, ciągle trudniła się polityką i w najzawilszych kwestiach okazywała, że rzeczy rozumie i bystro sądzi.

XXX.

Konferencja londyńska, w której obok pełnomocników wielkich mocarstw, zasiadł pełnomocnik króla hollenderskiego, rozpoczęła swoje czynności, 4 listopada, wnioskiem zawieszenia broni, przyjętym przez obie strony, z zastrzeżeniami co do linii demarkacyjnej, uważanej za podstawę przyszłego rozgraniczenia między Belgią i Holandją. Samo zawieszenie broni było czystą formalnością, bo Belgowie nie byli w stanie w otwartym polu Hollendrów placu dotrzymać, a Hollendrzy stracili ochotę brać szturm miasta, zabarykadowane przez powstańców. Król hollenderski, rozgorzcony na mocarstwa odmową zbrojnej pomocy i przy tem mocno uparty, nie tracił nadziei, że z konferencji londyńskiej wyniknie wojna europejska, zwracająca mu Belgię. Tymczasem, buntownicy belgijscy, jak dobrze przewidywał cesarz Mikołaj, nie mieszkali skorzystać z niemocy Hollendrów i pobłażliwości Europy, aby swoje grzeszne przedsięwzięcie ukoronować. Między 18 i 23 listopada, kongres narodowy uchwalił

178

kolejno niepodległość Belgii, monarchiczną formę rządu i wykluczenie od tronu domu Orańskiego.

Bezpośrednio po zawieszeniu broni, przyszła zmiana gabinetu angielskiego, o tyle korzystna dla Belgów, że stronnictwo whigów, przechylające się ku teoryom liberalnym, od dawna okazywało dużo mniej niż torysi przywiązania do traktatu wiedeńskiego, dzieła torysów — oraz, że gabinet, zamierzony podjąć reformę parlamentarną, musiał tem staranniej unikać zatargów europejskich. Już wtedy Anglia zdecydowaną była przyjąć w zasadzie niepodległość Belgii, pod warunkiem wyboru na króla ks. Oranii, który długo nie przestał być urzędowym kandydatem Anglii, dla niej najmilszym i najwygodniejszym, albowiem taka kombinacja obiecywała zadowolnić Holandję i Rosyę, oderwaniu Belgii najbardziej przeciwnie. Wybór ks. Oranii nie był jednak dla gabinetu angielskiego warunkiem *sine qua non*; już bowiem w pierwszej połowie grudnia, pomyślano o kandydaturze ks. Leopolda Koburgskiego.

Talleyrand wyjechał do Londynu bez formalnej instrukcji. Dopiero koło połowy listopada, marszałek Maison, następca hr. Molé, nadesłał mu *memorandum* w sprawie belgijskiej, zredagowaną przez króla. Ludwik Filip, poszedłszy po radę do Lafontaine'a, wziął za godło swojej polityki:

Les plus accommodants, ce sont les plus habiles;

On hasarde de perdre en voulant trop gagner.

Poprzestawał więc na odłączeniu Belgii od Holandji i przyjmował kandydaturę ks. Oranii, wątpiąc o jej szansach. Co do linii demarkacyjnej, przyznawał słusność Belgom, którzy upominali się o Maestricht i hollenderską część Brabantu. Na wypadek niedojścia do skutku wyboru ks. Oranii, rzekł się korony dla swego syna ks. Nemours, o którym była mowa w Belgii, ale żądał natomiast wykluczenia kandydatury ks. Leuchtenberskiego, syna Eugeniusza Beauharnais, i arcyksięcia Karola. Kandydatem Ludwika Filipa był Neapolitańczyk, bratanek królowej Amelii; gdyby zaś

179

jego wyborowi stanęła na przeszkodzie niepopularność Burbonów neapolitańskich, król wymieniał ks. Ottona bawarskiego, lub ks. Jana saskiego.

Rosyę, Austryę i Prusy niezmiernie gorszyło samowolne postępowanie buntowników belgijskich, lecz gdy zbrojna interwencja okazywała się coraz mniej możebną, nie pozostało trzem dworom, jak poddać się konieczności i uznać formalnie niepodległość Belgii, co konferencja uczyniła 20 grudnia. Król hollenderski naturalnie zaprotestował; cesarz Mikołaj położył jako warunek *sine qua non* wybór ks. Oranii, swego szwagra. Protest króla hollenderskiego, dotyczący w pierwszym rzędzie Anglię, która w swoim czasie wynagrodziła Holandję Belgią za zabrane kolonie, poszedł do akt bez odpowiedzi. Rosyę ugłaskano obietnicą poparcia w Brukselli kandydatury ks. Oranii, i konferencja zajęła się rozbiorem pozostałych jeszcze do załatwienia

pytań, mianowicie sprawy rozgraniczenia, fortec, podziału długu publicznego, z których każda wzniewała największe trudności i mogła doprowadzić do rozbicia narad.

Wszyscy chcemy i potrzebujemy pokoju — mówił Talleyrand pełnomocnikom. Rewolucya, dopełniona we Francyi, zatrzęsła mniej więcej wszystkie trony i wszędzie osłabiła zasadę władzy. Ubolewam nad tem wraz z wami, i nie mniej od was, ale jedyne lekarstwo widzę w zgodzie i jedności mocarstw. Każdy rząd poczuje się silniejszym u siebie, gdy przemawiać będzie w imieniu największych potęg europejskich. Francya dała dowód szczerości swoich zamiarów, nie szczędząc starań, aby odwieść kongres belgijski od wykluczenia domu Orańskiego. Gotów jestem dopomagać w naprawie złego, należy nam jednak uzbroić się w cierpliwość, być przygotowanym na wielkie przeszkody, i pamiętać, że usunąć je zdołamy, tylko postępując z ufnością wzajemną i stałością.

Zbawienne przestrogi powyższe, należało poprzeć własnym przykładem: ale rząd francuski inaczej postępował. Gabinet Laffitte - Thiers - Sebastiani składał codzien dowody nieudolności, niezręczności i złej wiary. Spokój w stolicy

180

wisiał na łasce trafu, kredyt publiczny upadł, rząd nie umiał dać sobie rady z Izbą; w Paryżu mówiono, że wracają czasy Dyrektoryatu. Minister spraw zagranicznych, Sebastiani, człowiek mający dużo ambicyj i niespokojnego ducha, niejaką rutynę, zamiłowanie i wprawę do intryg, wznawiał chyłkiem tradycje rewolucyjne; obok polityki urzędowej, bliskiej programowi króla, prowadził drugą, tajemną, pod zasłoną zasady nieinterwencji. *Il met ses pieds dans tous les souliers*, mówił o nim Dalberg. Z takim człowiekiem, posiadającym w dodatku plecy w Izbie i w opinii, Ludwik Filip musiał rad nie rad paktować. Niekontent z obrotu rzeczy na konferencyjach londyńskich, Sebastiani zaprojektował podział Belgii między Francję, której przypisać miała lwia część, Hollandję, Prusy i Anglię, której oddawał Antwerpię z ujściem Skaldy. Z tym projektem wysłał do Londynu hr. Flahaut, któremu przeznaczał ambasadę londyńską, w razie ustąpienia Talleyranda. Flahaut nie znalazł u nikogo posłuchu, lecz propozycja obudziła w Anglikach podejrzliwość. Talleyrand zaś kazał powiedzieć Sebastianiemu, że da sobie rękę uciąć, ale niepodpisze układu, wprowadzającego nanowo na stały ład Anglików, wypędzenie których tyle krwi Francję kosztowało. Zdaniem Talleyranda, Francya powinna była dążyć do odzyskania prawego brzegu Renu i to pozostawić przyszłości; nateraz zaś zadowolnić się Belgią niepodległą,

pod jakim bądź księciem, bo ta Belgia Francyi niepokoić nigdy nie może i nie będzie nawet w stanie trzymać załóg w fortcach, zbudowanych kosztem i przeciwko Francyi. Da się to osiągnąć tylko w zgodzie z Anglią; nadto zgoda między Francją i Anglią położy tamę projektom odnowienia koalicji i ułatwi solidarne postępowanie mocarstw w sprawie belgijskiej. Wtedy Belgowie zaniechają oporu i król holenderski taktykę zmieni. — Sebastiani swój projekt podziału Belgii chwilowo odłożył na bok, lecz wdał się w intrygi z Belgami, i począł bruździć w sprawie wyboru króla.

Przeczuwając upadek kandydatury ks. Oranii, pod którym własny ojciec dołki kopał, Anglicy zwrócili się ku Koburgowi. Ks. Leopold po śmierci żony, następczyni tronu

181

angielskiego, osiadł w Anglii, pobierał pensję w kwocie 50.000 funtów i powszechnie był uważany za pół Anglika. Anglia chciała go osadzić na tronie greckim. Koburg palił się do tronu, ale do tronu porządnego i mocnego; przyjmując przeto grecką koronę, zażądał od mocarstw, aby Grecya otrzymała granice, zapewniające jej bezpieczeństwo i żywotność, oraz aby mocarstwa dostarczały w formie pożyczki funduszków, na pierwsze potrzeby do szczytu zrujnowanego kraju. Gdy to nie nastąpiło, Koburg zrzekł się korony, naraził na zły humor rządu angielskiego, lecz zyskał opinię człowieka rozważnego, na którym śmiało poledz można! W grudniu Palmerston i Grey pojechali na parę dni do Claremont, rezydencji Koburga. Talleyrand, czy przestrzeżony, czy też zmiarkowawszy sam, o co chodzi, zawiadomił zaraz panią Adelaide, że w Claremont będzie zapewne mowa o koronie belgijskiej: sprawa powinna zwrócić na siebie całą uwagę króla, *son attention royale et sa prévoyance paternelle*. Już wtenczas bowiem wszyscy mówili sobie, że przysły elekt belgijski musi zostać zięciem Ludwika Filipa, obdarzonego licznym potomstwem i szukającego po Europie żon dla synów i mężów dla córek. Po powrocie z Claremont, Palmerston zaraz nadmienił o tej kombinacji Talleyrandowi, który chwycił się jej całą siłą, jako zarówno dogadzającej widokom Francyi i Anglii. Gdy następnie lord Ponsonby zaproponował w Brukselli kandydaturę ks. Leopolda komitetowi dyplomatycznemu, prezydent komitetu Van de Weyer i jeden z regentów, Gendebien, wybrali się w tej sprawie, pierwszy do Londynu, drugi do Paryża.

W Paryżu kandydatura Koburga trafiła na zacięty opór. Sebastiani powiedział regentowi belgijskiemu: *Si Cobourg met un pied en Belgique, nous lui tirerons des coups de canon*. Na wzmiankę o małżeństwie, Ludwik Filip odrzekł: *Le prince Léopold est un beau cavalier, un parfait gentilhomme, très instruit; la reine le connaît aussi et apprécie les avantages de sa personne, mais il y a des répugnances de famille, des préjugés peut-être, qui s'opposent à l'union*

182

*projetée*¹. Pani Adelaida, w liście do Talleyranda, odmowę brata motywowała tem, że Koburg jest we Francyi niezmiernie niepopularny, wszyscy bowiem widzą w nim agenta angielskiego; gdyby wstąpił na tron, *en épousant une de nos petites*, uszłoby to za sprzedaż Belgii Anglikom i odarło króla z popularności. W dalszym jednak ciągu widać było, jakim bólem przejmowała Orleanów myśl, że im się korona belgijska wysunie. Belgowie, powiadała pani Adelaida, pragną najgoręcej połączyć się z Francją, albo przynajmniej osadzić na tronie ks. Nemours. Anneksya może sprowadzić wojnę, należy więc jej unikać. Mocarstwa sprzeciwiają się także wyborowi ks. Nemours. Ale we Francyi cały naród żąda zwrotu Belgii, umysły są bardzo rozdrażnione, tylko przywiązanie do króla trzyma niecierpliwość na wodzy; *le roi seul y met de la délicatesse et ne sait véritablement où donner de la tête dans cette malheureuse affaire qui le désole*. List kończył się prośbą o dobrą radę i dawał do zrozumienia, że Ludwik Filip życzy sobie ujrzeć na tronie belgijskim ks. Karola neapolitańskiego, albo ks. Ottona bawarskiego.

O Neapolitańczyku nikt w Belgii ani w Anglii mówić sobie nie dał; Grey otwarcie wyznał Talleyrandowi: *Il vous tient de trop près*. Bawarczyk był małoletni, mocarstwa zaś chciały uniknąć rządów regencji; nie miał zresztą stronników w Belgii. Obydwie przeto kandydatury francuskie odpadały same z siebie; lecz Anglia musiała do czasu odłożyć na bok ks. Leopolda i popierać dalej ks. Oranii, protegowanego przez północne mocarstwa. Ludwik Filip zaś tolerował podwójną grę Sebastianiego, który oświadczywszy urzędownie, że Francya nie przyjmie korony dla ks. Nemours, potajemnie Belgów do wyboru zachęcał. I król, i

minister nie tracili całkiem nadziei, że Europa przystanie w końcu na księcia francuskiego, jak przystała na niepodległość Belgii. Ludwik Filip rad był przynajmniej móż odmówić, aby potem tem silniej wystąpić w roli opiekuna Belgii. Sebastiani

¹ Gendebien: *Révélations historiques sur la révolution de 1830.*

183

raz jeszcze podniósłszy bez skutku plan podziału Belgii, wymyślił taką kombinację: osadzić ks. Oranii na tronie polskim, na co cesarz Mikołaj powinien się zgodzić i w zamian uznać wybór ks. Nemours.

Wbrew wszystkiemu, co pisała pani Adelaida, Belgowie przenosili niepodległość, już uznaną przez Europę, nad prostą aneksję do Francji. Kongres uchwalał konstytucję, dużo liberalniejszą od francuskiej; kandydatura ks. Nemours liczyła niewielu szczerych zwolenników. Belgom szło najbardziej o granice i korzystny dla nich rozdział długu publicznego. Rościli pretensje do Maestrichtu, będącego od pokoju Westfalskiego w posiadaniu Hollandyi i którego konferencya londyńska przyznać im nie chciała. Król hollenderski uznał niepodległość Belgii, lecz postawił za warunek podział długu publicznego, krzywdzący Belgów. Pomimo zawieszenia broni, obie strony pokazywały sobie zęby. Hollendrzy blokowali Antwerpię i ciągnęli na odsiecz Maestrichtu, obszczonego przez Belgów. Konferencya poleciła obu stronom zaprzestać kroków nieprzyjacielskich, pod groźbą blokady portów holenderskich i belgijskich; lecz sprawa przewlekła się w nieskończoność. Ten stan niepewności rujnował Belgię ekonomicznie i wzmagał wewnętrzne niesnaski. Aby wyjść z nieznośnego położenia, rozmaite stronnictwa chwyciły się, jak deski zbawienia, kandydatury ks. Nemours. Gorętsi spodziewali się wciągnąć tym sposobem Francję w wojnę o Belgię; umiarkowani liczyli, że Europa sowitemi ustępstwami okupi cofnięcie nieprzyjemnej kombinacji. Wszystkie rachuby były fałszywe, ale kongres, 3 lutego 1831 r., ogłosił ks. Nemours królem. Leuchtenberg i arcyksiążę Karol otrzymali nieznaczną liczbę głosów.

XXXI.

Talleyrand tymczasem nie próżnował, i przeprowadził na konferencji neutralność Belgii, w czem nie bez racji widział swoje wielkie zwycięstwo i zysk dla Francji. Oderwanie

184

Belgii znaczyło, że Francya zamiast sąsiadować bezpośrednio z Hollandyą, państwem siedmiomilionowem, bronionem pasem silnych fortów, miała na granicy czteromilionową Belgię. Ta Belgia neutralna zasłaniała teraz Francję od Dunkierki do Luksemburga taksamo, jak Szwajcarya od Bazylei do Chambéry. Talleyrand chciał neutralność rozciągnąć i do Luksemburga, wchodzącego w skład Rzeszy niemieckiej; bronił się jak lew, powiada Palmerston, przez całe dwa dni i ustąpił dopiero późno w nocy, wzięty głodem. W Paryżu neutralność belgijską obrócono w żart, chociaż miała ona i tę dobrą stronę, że wybór monarchy państwa neutralnego stracił wiele z swego znaczenia. Wszystkie zaś gabinety zgodnie opierały się kandydaturze ks. Nemours. Dla ułatwienia Francji odwrotu, Anglia wniosła na konferencji z 1 lutego *un protocole de désintéressement*, obejmujący oprócz zwykłych klauzul, zrzeczenie się przez wielkie mocarstwa korony belgijskiej dla książąt pięciu domów panujących. Znając ukryte myśli Orleanów, Talleyrand wziął propozycję *ad referendum*; w dwa dni później, pękła bomba w Brukselli.

Gabinet londyński postanowił bez wachania nie dopuścić wstąpienia na tron ks. Nemours, choćby kosztem wojny. Natenczas Sebastiani skapitulował i posłał natychmiast do Brukselli odmowną odpowiedź. Tosamo usłyszała z ust Ludwika Filipa deputacya belgijska, przynosząca uchwałę kongresu.

Otrzymałszy tekst przemowy króla do deputacyi, lord Grey znalazł, że zdradza ona zanadto pożądlivość ku odmówionej koronie. Pożądlivość była w samej rzeczy gwałtowna, niemniej gwałtowne pragnienie odwetu. Jesteśmy szczerzy i lojalni, pisała pani Adelaida do Talleyranda, mamy po sobie dobre prawo, *il faut parler maintenant des grosses dents à Londres* i skończyć czempredziej ze szkaradną sprawą. U pani Adelaidy zakończenie znaczyło wybór Neapolitańczyka. Gabinet i Sebastiani byli z wszystkiego niekontenci; zbrojono się, jak gdyby wojna była za pasem.

Talleyrand sądził, że właśnie należy niespieszyć się, znużyć Hollendrów i Belgów, aż przyjdą do rozumu, iść ręką

185

w rękę z Anglią i strzedz pokoju, jak oka w głowie. *Le trône du roi Louis-Philippe est vieux aujourd'hui comme celui de Saint-Louis; avec la guerre, il naît d'hier*, pisał do pani Adelaidy. Przekonany, że kandydatura Koburga niezadługo wróci na stół, z obowiązku, lecz miękko wstawiając się za kandydatami swego rządu, baczył głównie na to, aby wspólnym naciskiem mocarstw w Hadze powstrzymać króla hollenderskiego od kroków gwałtownych, i ustanowić na konferencji granice Belgii, oraz zasady przyszłych jej stosunków z Hollandyą. Ludwik Filip i Sebastiani żywili nieukoiony żal do Talleyranda za niepowodzenie swoich projektów, zarzucali mu samowolne postępowanie, wbrew wszelkim instrukcyom; lord Granville, ambasador angielski w Paryżu, pisał do Palmerstona, że tylko obawa narażenia się Anglii, wstrzymuje Sebastianiego od odwołania Talleyranda z Londynu ¹.

Niebawem, koło połowy marca, Laffitte zbankrutował i ustąpił wraz z całym gabinetem. Jego następca, Kazimierz Périer, także bankier, odznaczał się jasnym i zdrowym sądem, wolą i silną ręką. Powiedziawszy sobie, że pierwszą rzeczą poskromić anarchię w stolicy, gdzie parę tygodniami wprzód zaszły były straszne sceny, napad na kościoły i na pałac arcybiskupa, wziął za prawidło umiarkowanie w polityce europejskiej i Sebastianiego, który zachował sprawy zagraniczne, starał się zwrócić na prostą drogę. Gabinet francuski przyjął tak zwane *les bases de séparation*, przez konferencyę 20 stycznia ustanowione; począł innym tonem przemawiać *aux faiseurs d'emeutes* w Paryżu i w Brukselli, i zdołał zyskać nieco więcej zaufania w Europie.

Jak Talleyrand przewidywał, kandydatura Koburga ukazała się znowu na horyzoncie, i w lepszych niż dawniej warunkach, za zgodą Francji i Ludwika Filipa, któremu przyrzeczono, że ks. Leopold po upływie roku wstąpi w związki małżeńskie z jego córką. Przed końcem kwietnia przybyła

¹ Bulwer: *Life of lord Palmerston*. Granville do Palmerstona, 25 lutego 1831 r.

186

do Londynu deputacja belgijska, w celu rozpoczęcia układów z przyszłym elektem. Przyniosła z sobą konstytucję, uchwaloną przez kongres. Ks. Leopoldowi niepodobało się zbyt znaczne ograniczenie władzy monarszej, lecz większą trudność sprawił pierwszy artykuł konstytucji, dotyczący się granic Belgii. Kongres przyłączył do Belgii terytoria hollenderskie, które nigdy do niej nie należały, pod pretekstem, że ludność tamtejsza brała udział w powstaniu, tudzież Luksemburg, wchodzący w skład Rzeszy niemieckiej. Ta Belgia kongresowa znalazła się w sprzeczności z Belgią, opisaną w protokóle konferencji i uznana, po statecznym oporze, przez króla hollenderskiego. Koburg oświadczył więc, że przyjmie koronę dopiero wtedy, gdy kongres podda się woli mocarstw.

Układy z Belgiami trwały parę miesięcy. Palmerston mówił im: Daremna rzecz gadać o waszem terytoryum; wy żadnego nie macie. To, co zajęliście zbrojną ręką, należy do was *de facto*, *de jure* należeć dopiero będzie po zawarciu traktatu z królem hollenderskim. Maastricht, o który tak się dopominacie, jest w rękach Hollendrów, nie należy do was, ani *de facto*, ani *de jure*; uchwała waszego kongresu nic nie znaczy, bo taksamo moglibyście uchwalić przyłączenie do Belgii Akwizgranu, albo Lille. Granic z r. 1790 nikt wam nie zaprzecza; zaustąpienie Hollandyi Venloo, dostaniecie cytadelę antwerpską i nie straciecie na zamianie. — Po słusności, Belgowie więcej nie mogli i nie powinni byli żądać, ale ich ośmielała pobłażliwość Europy i rachuba na poparcie ze strony Francyi. Nareszcie, 4 czerwca, kongres wybrał ks. Leopolda na króla i wyznaczył pełnomocników do układów z mocarstwami i z elektem. Układy te doprowadziły, 26 czerwca, do spisania XVIII artykułów, zapewniających Belgii granice z r. 1790, sprawiedliwy podział długu publicznego, wolną żeglugę na Skaldzie i korzystne uregulowanie spraw wodnych. Komisarze belgijscy mieli udać się do Hagi, dla zawarcia ostatecznej umowy na podstawie tych artykułów. Gdy kongres artykuły potwierdził, 7 lipca, ks. Leopold przyjął koronę i konstytucję, i wyjechał do Brukselli.

187

Ale do końca było jeszcze daleko. Ministerjum belgijskie odmówiło wysłania komisarzy do Hagi, twierdząc, że lepiej traktować na piśmie. Król hollenderski, straciwszy cierpliwość, wypowiedział, 4 sierpnia, zawieszenie broni. Nazajutrz Hollendrzy w sile pięćdziesięciu tysięcy ludzi przekroczyli granicę, armia belgijska na widok nieprzyjaciela uciekła, król Leopold przyzwał na pomoc Francuzów i z resztką wojska cofnął się pod Louvain. Pomocy francuskiej zażądał z musu, bo nie było czasu do stracenia, lecz z wielką niechęcią, bo unikał narzucanego sobie protektoratu.

W Palais-Royal miano do niego żal za to, że w przemowie do deputatów, przynoszących koronę, wspomniawszy przychylnie o Anglii, ani słówkiem nie wspomniął o Francyi, i potem w Brukselli, mówiąc o Francyi, nie dołączył komplementu dla przyszłego teścia. Pani Adelaida wyrzekła na czarną niewdzięczność; niepodobienstwem było przecież opuścić taką sposobność pokazania, jak Francya Belgów kocha. Ludwik Filip wysłał natychmiast na odsiecz marszałka Gérard, dwóch synów, ks. Orleańskiego i ks. Nemours, i pięćdziesiąt tysięcy żołnierza. Ale, zamiast oczekiwanych podziękowań, otrzymał od Leopolda list z prośbą o wstrzymanie pochodu Francuzów; albowiem belgijski minister spraw zagranicznych, Mulnaere, wielki przeciwnik Francyi, oświadczył królowi, że konstytucya nie pozwala obcemu wojsku przekraczać granicy bez wyraźnej uchwały Izby. Łatwo sobie wystawić efekt, sprawiony przez ten list w Palais-Royal. Dopiero po rozsypce armii belgijskiej, Leopold poprosił marszałka Gérard o spieszne przybycie. Laury wojenne ominęły jednak Orleanów. Leopolda, otoczonego przez Hollendrów, wybawiła interwencya dyplomatyczna Anglii. Już 13 sierpnia wojsko hollenderskie rozpoczęło odwrót, w kilka dni potem zawarto zawieszenie broni do 10 października.

Wkroczenie Francuzów do Belgii przstraszyło Europę. Palmerston posądzał ich, że umyślnie podmówili króla hollenderskiego do zaczepki, aby móżdż się tam wcisnąć. Talleyrand zdołał przecież uspokoić kolegów i otrzymać protokół konferencji z 6 sierpnia, ganiący postępek króla hollenderskiego

188

i legalizujący wejście Francuzów do Belgii, pod warunkiem, że poprzestaną na odparciu Hollendrów, nie wkroczą do Hollandyi, nie zbliżą się do Maestrichtu i po zaprzestaniu kroków wojennych przez obie strony, wrócą do domu. Niechcąc rzeczy doprowadzić do ostateczności, Francya powinna była tem się zadowolnić; ale Ludwik Filip nie dał za wygraną, obiecał wyciągnąć z Belgii dwadzieścia tysięcy ludzi zaraz, resztę zaś, wystarczającą do zawojowania całej Belgii, dopiero po ukończeniu sprawy fortec.

Dwie fortece, Philippeville i Mariembourg, oderwane zostały od Francyi w r. 1815; inne, zbudowane z funduszów, wziętych z kontrybucyi wojennej francuskiej; *en haine de la France*, mówił Talleyrand; *en crainte de la France*, mówił Palmerston. Cztery mocarstwa posiadały prawo nadzoru nad temi twierdzami, i podczas wojny prawo wprowadzenia swoich załóg. Francya pragnęła temu koniec położyć i zrobić wyłom w traktatach wiedeńskich; szło jej bardziej o moralne zadośćuczynienie, niż o rzeczywisty pożytek; w razie bowiem wojny i zgwałcenia neutralności Belgii, Francuzi mieli zawsze czas i możność ubiedz Anglików i Niemców, twierdze opanować i użyć za podstawę dalszych działań. Przekonanie, że Belgia nie będzie w stanie utrzymać i bronić tak obszernego systemu twierdz, uczyniło cztery mocarstwa skłonnemi do zrzeczenia się praw traktatowych. Zaraz po przyjęciu zasady niepodległości Belgii, Talleyrand podniósł sprawę fortec. Według Palmerstona, miał proponować, aby Anglia ustąpiła Francyi Philippeville i Mariembourg za poparcie kandydatury Koburga. Palmerston odpowiedział, że o ustąpieniu mowy nie ma, choćby nawet do wojny przyjsć miało; natomiast fortece mogą być zburzone. Talleyrand chwycił się tej myśli i ciągle do niej wracał. Żadne mocarstwo nie chciało traktować z Francją sprawy, obchodzącej wyłącznie dawnych sprzymierzeńców, ale pełnomocnicy czterech dworów podpisali między sobą, 17 kwietnia, protokół, niosący, iż w swoim czasie mocarstwa w porozumieniu z rządem belgijskim oznaczą fortece, uledez mające zburzeniu. Przed wyjazdem do Brukselli, Koburg przyrzekł w liście do

189

Talleyranda interes bez zwłoki podjąć. Gdy Wellington, zapytany o zdanie, orzekł, iż Charleroy i Tournai są potrzebne dla bezpieczeństwa Belgii od napadu Francuzów, mocarstwa postanowiły zburzyć Menin, Atb, Mons, Philippeville i Mariembourg.

Ludwik Filip domagał się zburzenia wszystkich fortec belgijskich i Luksemburga, należącego do Rzeszy niemieckiej, którego daremnie napierali się Belgowie. Gdy mocarstwa odpowiedziały, że Belgia nie może całkiem obejść się bez twierdz, Ludwik Filip począł kramarzyć. Charleroy i Tournai, pisał do Talleyranda, utworzą linię operacyjną dla Francyi korzystną, skutkiem czego

neutralność Belgii będzie czystą iluzją. Philippeville i Mariembourg były niegdyś w posiadaniu Francji, ich zburzenie obrazi naród, rozkrwawi niezagojoną ranę i ściągnie na rząd wyrzuty; zresztą, *Mariembourg est une malheureuse bicogue dont la superficie est la même que celle du parterre des Tuileries*. Narażać Francję na wojnę europejską za taką dziurę, Ludwik Filip ani na chwilę nie myślał; w duchu niewiele dbał o to, która forteca padnie ofiarą, ale sprawę chciał załatwić wprost z Belgią, bez udziału mocarstw, pod naciskiem swoich bagnetów.

W przyszłym zięciu znalazł partnera przebiegłego, który wiedział czego chce i gdzie dąży. Leopold miał w kieszeni uznanie Francji, ale potrzebował uznania reszty Europy; znając apetyt Francuzów na Belgię, tem mocniej dbał o względy Anglików, naturalnych obrońców Belgii. Dlatego nie robił nic, coby mogło go narazić Europie i Anglii. W Londynie zaś, wkroczenie Francuzów do Belgii wzniesło niezmierny hałas, mocno niepokojący gabinet. *Times* ostro i gwałtownie napadł na Francję i na ministrów angielskich, których oskarżał, że dają się za nos wodzić przez Talleyranda. Wtedy pojawiła się owa karykatura z podpisem: *The lam leading the blind*, Palmerstonowi, czułem na śmieszność, bardzo nieprzyjemna. Torysi wystąpili w obronie traktatu wiedeńskiego, z zamiarem obalenia gabinetu. W Izbie lordów margrabia Londonderry zaatakował osobiście Talleyranda, nazywając go dyplomata nadzianym podstępami, człowiekiem

190

takiego charakteru, jakiego drugiego w świecie nie znajdzie, i dodał, że obrzydzenie sprawia widok ministrów angielskich, biegających do niego po radę. Wtedy powstał Wellington z obroną przyjaciela, wystawił mu najpochlebniejsze świadectwo, że we wszystkich negocjacjach trzymał się stale prawości i honoru, i zakończył oświadczeniem, że według jego najgłębszego przekonania i sumienia, charakter publiczny i prywatny tego męża znakomitego, jest krzywdzony bezzasadnie. Nazajutrz Talleyrand, czytając mowę Wellingtona w dzienniku, miał jak bóbr płakać. Holland i Goderich w imieniu gabinetu poparli naczelnika opozycji, z dodatkiem gorących pochwał dla napastowanego ambasadora; Anglia nieprzestała jednak nacierać o szybkie wyjście Francuzów z Belgii. Lord Grey zaklinał Talleyranda, żeby użył swego wpływu na Ludwika Filipa, w wspólnym interesie obu mocarstw i pokoju europejskiego; Palmerston pisał i głośno mówił, że Anglia nie da sobie tak z pistoletem w rękę cudzej woli nakładać. Pod koniec września, Ludwik Filip zwinął chorągiewkę, Francuzi opuścili Belgię; sprawa fortec pozostała w zawieszaniu.

Razem z nią Ludwik Filip wszczynął ustawiczne trudności co do rozgraniczenia i innych podrzędnych punktów. Talleyrand, który dnie spędzał na negocjowaniu z całym światem, nocę na konferencyach i korespondowaniu z królem i z ministrami w surdutach i spódnicach, panią Adelaidą i panią Vaudemont, a trzymał się na nogach dzięki swemu żelaznemu organizmowi i temu, że snu bardzo mało potrzebował — Talleyrand z anielską cierpliwością znosił kramarstwo swego pana. Jedyny punkt dla Francji istotnie ważny, Luksemburg, nie mógł być rozstrzygnięty w Londynie, z przyczyny Rzeszy niemieckiej; Austria i Prusy obstawały przy prawach Rzeszy, z którą nikt nie chciał wdawać się w proces, mogący trwać do końca świata. Talleyrand wymógł jedynie obietnicę, wciągniętą później do traktatu XXIV artykułów, że mocarstwa wejdą z Hollandią w układy o ustępstwo Luksemburga na rzecz Belgii, za odpowiednim wynagrodzeniem i bez uszczerbku praw Rzeszy. Co do reszty,

191

zasłaniał się przed królem argumentem, że Belgia powinna zadowolnić się granicami historycznymi z r. 1790, które wystarczą jej teraz, jak wystarczały dawniej. Gdy Ludwik Filip zarzucał, że Belgia przed r. 1790 była częścią monarchii austriackiej, i w niej znajdowała silną podporę, Talleyrand odpowiadał, że Belgia niepodległa i neutralna, będzie miała opiekę Francji, geograficznie bez porównania bliższej. Ostatecznie zaś chodziło o dziesięć czy dwanaście mil kwadratowych, ale powiększenie Belgii musiało się odbyć kosztem Hollandii, już i tak, jeżeli nie krzywdzonej, to dotkliwie upokorzonej. Jakiem czołem mocarstwa żądać mogły od króla hollenderskiego umniejszenia Hollandii, odmówiwszy mu pomocy, traktatami przyobiecanej?... Nie dość na tem; Ludwik

Filip wynalazł nowe niebezpieczeństwo, potop, grożący Belgii w każdej chwili, i żądał rękojmi przeciwko złej woli Hollendrów. O kanałach i szluzach konferencja nie przepominała; w XVIII artykułach trzymano się dawnego traktatu z r. 1785, którego skuteczność doświadczenie stwierdziło; więc Talleyrand z czystym sumieniem mógł zbyć króla przypomnieniem, że wody tam nigdy nie brakło, a przecież potop nie zalał Belgii.

Przekonawszy się, że Belgia i Hollandia nigdy same nie trafią z sobą do ładu, konferencja zredagowała projekt traktatu z XXIV artykułów, który posłany został do Hagi i do Brukselli z wezwaniem o proste przyjęcie. Belgom zrobiono nowe ustępstwo, przynajmniej połowę Luksemburga i Limburga. Izby belgijskie traktat potwierdziły, z zastrzeżeniem zmian i uznania natychmiastowego wyboru króla przez wielkie mocarstwa; lecz wskutek deklaracji mocarstw, że żadne zmiany miejsca mieć nie mogą, pełnomocnik belgijski podpisał, 15 listopada, traktat, wraz z pełnomocnikami pięciu mocarstw. Natomiast król hollenderski przyjął rozgraniczenie i podział długu publicznego, ale odrzucił artykuły, zapewniające Belgii swobodną żeglugę na Skaldzie i na kanałach. Odpowiedź hollenderska liczyła dziesięć arkuszy bitego pisma: *quand on a raison, on n'écrit pas quarante pages*, mówił Talleyrand. Rozpoczęto nowe pertraktacje w Hadze;

192

tymczasem przyszła znowu kolej na fortece. Francji nie udało się zakończyć sprawy wprost z Belgią. Leopold przyrzekł rozpocząć układy z mocarstwami o zburzenie Charleroy, Mons, Tournai, Ath i Menin; lecz w umowie, podpisanej w Londynie, 14 grudnia, wymieniono fortece: Menin, Ath, Mons, Philippeville i Mariembourg.— *Tout cela est mal et vilain, surtout quand du côté de notre cher roi et de son gouvernement, il n'y a que loyauté et franchise; il est impossible de se laisser jouer ainsi*, wyrzekała pani Adelaida.

Prawdę powiedziawszy, *le cher roi* nie zgrzeszył w tej sprawie zbyt wielką szczerością i w mowie tronowej przedwcześnie tryumfował, że stało się zadość woli Francji; jeżeli kto, to cztery mocarstwa miały prawo pomawiać Ludwika Filipa o igranie z sobą. *Il faut prendre cela du bon côté*, radził Talleyrand; Ath i Mons, leżące tuż przy naszej granicy, będą zburzone, Francja otrzyma zatem satysfakcję... Do omijania sprawy fortec miał on bardzo dobry i ważny powód. Austria, Prusy i Rosja zwlekały z ratyfikacją traktatu z 15 listopada, z czego korzystał król hollenderski, aby ze swojej strony mnożyć przeszkody. Spór o fortece

był dla dworów północnych wygodnym pretekstem do opóźniania ratyfikacji, pretekstem, który należało usunąć tem bardziej, że Wiedeń i Berlin broniły się miękko. Talleyrand zaś był mocno przekonany, że gdy Austria i Prusy traktat potwierdzą, Rosya prędzej czy później uczyni to samo i Hollandyę do uległości nakłoni.

XXXII.

W porządku chronologicznym wypada wspomnieć na tem miejscu o sprawie polskiej. W Londynie zajmowano się nią bardzo mało. Nasz przyjaciel Talleyrand, wracający teraz coraz częściej do wspomnień młodości, pierwszy odezwał się do Sebastianiego, 21 grudnia 1830 r. w te słowa: Wypadki, zaszłe w Polsce, przypomniały mi wrażenie, sprawione mnie i całej Francyi, przez pierwszy rozbiór Polski. Na politykę

193

francuską padła plama niestarta; ks. d'Aiguillon, minister spraw zagranicznych, i kardynał Rohan, ambasador w Wiedniu, nigdy nie zmyli z siebie wstydu, że nie wiedzieli o układach, poprzedzających ten czyn niesprawiedliwości i grabieży (*spoliation*). Później nadarzała się nieraz sposobność przywrócenia królestwa polskiego: Napoleon mógł być zwrócić temu krajowi niepodległy byt, tak ważny dla równowagi europejskiej; uczynić tego nie chciał, i nie potrzebuję przypominać, jak wielki błąd popełnił. W 1814 r. wypadki wojenne zniewalały nas troszczyć się wyłącznie o własny byt; musieliśmy milczeć, gdy dokonywało się ujarzmienie Polski. Dziś, odkąd nasz głos odzyskał wagę w radzie Europy, powinno dziać się inaczej. Sądzę, że możnaby bez zakłócenia pokoju i z poparciem Anglii, wystąpić w stosownej porze z pośrednictwem i z wypadków warszawskich wyciągnąć pożytek dla Europy. Wszyscy dziś rozumieją, że królestwo polskie, silnie ukonstytuowane, utworzyłoby najlepszą tamę od grożącego nacisku (*contre les envahissemens menaçants*) Rosyi. Byłyby różne ku temu środki, i gdyby Anglia szczerze przyłączyła się do naszych widoków, myślę, że w W. ks. Poznańskim, w Galicyi, w polskich prowincjach Rosyi, w Finlandyi, może nawet w Szwecyi i w Turcyi, znalazłyby się sposoby działania przeciwko Rosyi. Zdaje mi się, że cel da się osiągnąć bez wojny, gdyż gabinet petersburski, słuchając rozsądku, uległby wobec zręcznie skombinowanych kroków. Przedstawiam powyższe uwagi, wymagające licznych objaśnień, których chętnie dostarczę, jeżeli moja myśl przyjętą zostanie.

Pocziwy biskup, płacząc nad ujarzmieniem Polski, niepamiętał, co sam zamieścił w swoich instrukcyach, przed wyjazdem na kongres wiedeński. Że radby był złe naprawić, nie wątpię; ale jego plan trąci szarlataneryą. Widocznie miał na myśli, że gdy Polacy wypędzą Rosyan, jak Belgowie Hollendrów, zbierze się w Londynie konferencya, ułoży traktat, ten traktat każe obu stronom podpisać, i Polska będzie gotowa. Na nieszczęście, wzajemny stosunek sił między stronami wojującymi, charakter cesarza Mikołaja, geograficzne

194

położenie Polski i ogólna sytuacja europejska, usuwały analogie z Belgią. Poznańskie, Galicya i zabrane prowincje mogły dostarczyć i dostarczały ochotników, lecz ochotnik nie przerabia się z dnia na dzień na regularnego żołnierza; do wojny partyzanckiej zaś Polacy nie byli usposobieni i cierpieli od początku do końca na niedostatek broni, której przywóz z zagranicy okazał się niemożliwym. Austriacy i Prusacy przejmowali transporta lądowe, same z siebie nadzwyczaj utrudnione i kosztowne, podczas gdy dostęp do Połagi przecięły piaski, zasypujące przystań. Na alians z Turkiem i Szwedem, liczyli przywódcy wszystkich naszych powstań; wiadomo, z jakim skutkiem. Jeszcze mniej powodzenia rokował charakter osobisty cesarza Mikołaja i jego dobrze

znany sposób myślenia. W sprawie belgijskiej, która go bezpośrednio nie tyczyła, cesarz ustępował krok za krokiem dlatego tylko, że nie znalazł poparcia w Austrii i Prusach, unikających starcia z Francuzami i wojny europejskiej. W Polsce wchodził w grę interes pierwszorzędnny Rosyi i honor cesarza. Jedna kampania, stracona w Polsce, rzeczy jeszcze ostatecznie nie rozstrzygała; Rosyianie mogli wrócić po raz drugi i trzeci, i Polskę do szczytu zniszczyć. Nie było więc powodu kapitulować przed interwencją dyplomatyczną choćby całej Europy, tem mniej Francyi i Anglii, odgradzonych od Rosyi morzem, wielkimi przestrzeniami i zastępem bagnetów austriackich i pruskich. Interwencję zbrojną sam Talleyrand wykluczał w teorii i w praktyce, wzięwszy za cel

nietykalność pokoju europejskiego i zgodne rozstrzygnięcie belgijskich zatargów. Można przyjąć za pewnik, że powstanie polskie ocaliło Belgię i jej niepodległość; i odwrotnie, rewolucya belgijska pociągnęła za sobą zgubę Polaków. Przykład Brukselli przyspieszył wybuch listopadowy w Warszawie; porażka ks. Oranii skłoniła W. ks. Konstantego do usunięcia wojska rosyjskiego z miasta; ogłoszenie niepodległości polskiej i detronizacja Romanowów przypomina kubek w kubek uchwały kongresu belgijskiego; Dybicz użył w Polsce armii, przeznaczoną iść w pomoc królowi hollenderskiemu; na plecy Polaków spadły razy podwójne, za ich własne i za

195

cudze postęпки. W końcu, nawet dobre chęci Talleyranda rozbiły się w Paryżu o belgijskie rachuby.

Pani Adelaida już 12 grudnia zaczęła Talleyranda, co myśli o wypadkach w Polsce: *Ces pauvres Polonais, depuis si longtemps sacrifiés, m'intéressent, et je crains qu'ils ne soient accablés*; nazwiska ludzi, stojących na czele, zdają się świadczyć, że ruch ma nieco znaczenia: *cela nous donnera, à nous, certainement du temps*. Ostatnie zdanie nie mogło znaczyć co innego, jak tylko, że w Palais-Royal wybuch listopadowy przyszedł w porę i obiecywał ułatwić belgijskie plany. Pani Adelaida Polakom z całego serca dobrze życzyła: Ach! gdyby, ciągnie dalej, gdyby Austria i Prusy chciały zrozumieć własny interes, jak pięknym byłoby dla Anglii i dla nas otrzymać porządek znośniejszy i mniej gorzki dla tej biednej Polski; *l'intérêt pour elle est ici bien vif et bien général*.

Pod tę samą porę, Laffitte nie chciał widzieć margrabiego Wielopolskiego, przejeżdżającego przez Paryż w drodze do Londynu. Niebawem Sebastiani wysłał tamże hr. Flahaut z propozycją podziału Belgii, a podniósłszy sprawę tak drażliwą, nie kwapił się z rozpoczęciem drugiej, zdolnej tamtą tylko utrudnić. Rząd Ludwika Filipa nie miał zresztą nigdy zamiaru podjęcia naseryo kwestyi polskiej. Przedstawienia, przez ks. Mortemart na początku r. 1831 w Petersburgu czynione, były czysto platonicznej natury. W marcu dopiero, ulegając naciskowi opinii publicznej, gabinet paryski zaprosił Anglię do wspólnego pośrednictwa. Palmerston odpowiedział Talleyrandowi, że poleci swemu ambasadorowi przy dworze petersburskim, żądać od

Rosyi utrzymania w Polsce stanu rzeczy, określonego traktatami z r. 1814, zwłaszcza, aby Polska nie przestała tworzyć osobnego państwa. Nieco później, 29 marca, pisał do lorda Granville: Polacy dzielnie się biją, Rosyanie dużo więcej ucierpieli, niż myślano, ale w końcu cesarz weźmie górę. Mówiłem z Wielopolskim i z Walewskim, powiedziałem im, że musimy stać na gruncie traktatów; będziemy więc protestować, gdyby Rosya

196

odstąpiła od traktatu wiedeńskiego, lecz nie uczynimy nic, aby Polakom dopomódz do zupełnej niepodległości¹.

Świetne dla Polaków potyczki pod Wawrem, Wielkim Dębem i Iganiami, między 30 marca i 10 kwietnia, sprawiły w obu stolicach silne wrażenie. Palmerston podziwiał waleczność Polaków i z całego serca życzył nam powodzenia. Talleyrand, podwójnie przychylny Polakom, odkąd Walewski wszedł w łaski u pani Dino, sekundował mu z zapałem. Zdaniem obu, dalszy obrót rzeczy zależał od postępow powstania na Litwie. Palmerston wyrażał się, że położenie Polaków jest bardzo trudne, dopóki litewskie powstanie nie zaprzętnie Rosyan; Talleyrand, że jeżeli Litwa przysporzy trudności Rosyanom, rewolucya warszawska pociągnie za sobą następstwa ważniejsze, niż pierwotnie wnoszono. W początku maja, Talleyrand donosił Sebastianiemu, że Polacy obawiają się pośrednictwa Austrii i Prus, i proszą, aby Francya z Anglią wzięły w medyacji udział, czego Anglia zapewne nie odmówi. Na tym punkcie się mylił, gdyż Palmerston widział w tonie, przybranym przez Sebastianiego w kwestyach europejskich, odbłysek zwycięstw Skrzyneckiego, które Francję ośmielają do przesadzonych roszczeń. Myśl medyacji i w Paryżu nie znalazła oddźwięku: Nasze położenie, pisał Kazimierz Perier do Talleyranda, jest nader groźne; wobec powszechnego wstrząśnienia, Francya potrzebuje pokoju, w interesie bytu własnego i bytu wszystkich państw.

Palmerston pośrednio lepszą oddał Polakom usługę, ostrzegając już w końcu kwietnia Prusaków, że gdyby wkroczyli do Polski w pomoc Rosyanom, i wskutek tego zostali zaczepieni przez Francuzów nad Renem, Anglia nie wystąpi w obronie Prus. Esterhazemu doradził zaś, aby Austriya przy pierwszej sposobności, szczególnie w razie prośby o pomoc, ofiarowała Rosyi swoje pośrednictwo. Rozbrojenie Dwernickiego przez Austryaków pokazało dowodnie, po czyjej stronie stoi gabinet wiedeński. Anglia i Francya zaprotestowały

¹ Bulwer: *Life of lord Palmerston*. Z tegosamego źródła wzięte są dalsze wyjątki z listów Palmerstona.

197

dość miękko, szczególnie ostatnia, i na proteście poprzestały. Na czem innem skończyć się nie mogło, bo nikt nie pragnął wszczynać zwady; nadto, gdy żadne mocarstwo nie uznało Polaków za stronę wojującą, Austriya spełniła tylko prosty obowiązek międzynarodowy. Talleyrand wcześniej doniósł Sebastianiemu, że niepowinien oczekiwać wielkich wysiłków ze strony Anglii, gdyż rząd angielski nie zwykł zajmować się naraz kilkoma sprawami, a ma teraz właśnie na głowie reformę parlamentarną i Belgię. Z drugiej strony, Palmerston z całą otwartością wypowiedział się przed lordem Granville z najtajniejszych myśli w tych paru wierszach: Polakom trzeba z całego serca życzyć powodzenia; przyszlibyśmy im najchętniej w pomoc, gdybyśmy wiedzieli, jak to pogodzić z tem, co się od nas Rosyi prawnie należy.

W ciągu czerwca, rząd Ludwika Filipa ponowił w Petersburgu platoniczne instancje za Polakami i dostał odpawę. Zbliżało się otwarcie Izb, którym, równie jak opinii publicznej, należało złożyć dowody, że monarchia lipcowa nie odmawia opieki uciśnionym ludom, szczególnie Polakom, mającym licznych przyjaciół u wszelkich stronnictw. Na radzie gabinetowej postanowiono zawezwać Anglię do wspólnej interwencji dyplomatycznej. *Peut-être trouverez-vous, mon prince, notre démarche un peu vive*, tłumaczył się Perier przed Talleyrandem; *le conseil a cru d'une bonne politique de faire cette tentative, quel qu'en doive être le résultat*. W Paryżu przewidywano zatem z góry zawód; nie o skutek też chodziło, tylko o demonstrację.

On est ici bien froid sur la cause polonoise, ubolewał Talleyrand przed panią Adelaidą, 20 lipca. W przekonaniu rządu angielskiego, sprawa Polaków była stracona. Pretensje francuskie do fortec belgijskich, naprężyły stosunki z sąsiadem z poza kanału, posądzanym w dodatku o rozmyślne sianie wiatrów po świecie. Torysi stali po stronie Rosyi i traktatu wiedeńskiego. W parlamencie, większość ministryalna zajęta była wyłącznie reformą wyborczą. W końcu, lord Grey siedział pod pantoflem pani Lieven, która go podbiła pochlebstwem; dla niej tłumił w sobie dawne sympatyje

198

do Polski i pod najrozmaitszemi pozorami unikał interwencji, obrażającej Rosye. Sebastiani otrzymał więc odmowę i nią zasłonił się przed Izbami.

Z biednymi Polakami koniec! — pisał Palmerston, 16 września, do lorda Granville. Ich sprawa już dawno była bez nadziei stracona. Skoro nie zdołali obronić Warszawy, co poczną w Płocku, lub w Modlinie? Czterem monarchom jedno pozostaje, starać się, aby Rosya traktatu nie naruszyła.

W Paryżu, po upadku Warszawy, wybuchły trzydniowe zamieszki uliczne; tron Orleanów zatrzeszczał tak, że słychać było w całej Europie. Na ulicach krzyczano: *Vive la Pologne! à bas les ministres!* W Izbie deputowanych opozycja przypuściła szturm do gabinetu; rozprawy trwały pięć dni, Sebastiani zakończył je swoim słynnym: *L'ordre règne à Varsovie!* Stronnictwo rządowe, wystraszone świeżą burzą i znękanie napaściami przeciwników, przyjęło oklaskiem ostatni argument ministra; pani Adelaida nazwała mowę Sebastianiego *un parfait discours*. Gorący dotąd poplecznik Polaków, Flahaut, poseł w Berlinie, w piśmie do Talleyranda, wiernie wyraził przyczynę zmiany uczuć Orleanistów: *Les Polonais servent nos brouillons; je commence à me détacher d'eux*.

Stary Dalberg, z filozoficznym spokojem przypatrujący się komedyi, odgrywanej na deskach świata, wyprorokował już 3 października przyszły obrót kwestyi polskiej: Rosya nie ścierpi niczyjej interwencji; pozostawi nadal granice i nazwę królestwa polskiego, ale nie da Polakom ani sejmu, ani wojska. I, według mego zdania, dobrze zrobi. W obecnej chwili, cała sztuka polega na tem, żeby silną władzę ustanowić i utrzymać. Orleanizm — czyli, jak się wyraził: Palais-Royal — rozluźnił wszystkie węzły w społeczeństwach politycznych, *il est temps d'y regarder de près*.

Pozostaje pytanie, o ile Sebastiani zwodził Polaków fałszywemi obietnicami; pytanie trudne do rozwiązania, zwłaszcza, dopóki nie wyjdą na jaw raporta polskich agentów i szczegóły stosunku Sebastianiego z Skrzyneckim. Ale

199

i wtedy sprawa nie wyjaśni się sama. Rządowi Ludwika Filipa wojna w Polsce, zatrudniająca Rosyę, była bardziej na rękę, niż komukolwiek w Europie. Własny interes doradzał przeto Francuzom zachęcać Polaków do wytrwania. Sebastiani, wielki krętacz, okłamywał swego własnego ambasadora, Talleyranda; z Polakami niezawodnie pozwalał sobie rozmaitych sztuczek. W początkach powstania, agentem polskim w Paryżu był Wolicki, człowiek ograniczony, łatwowierny, nieroztropny i natrętny. Aby ministrów przychylnie dla Polski usposobić, wdał się w kabały z opozycją i gadał, że gabinet wywróci. Jego raporta, w części mi znane, obfitowały w pomyślne wróżby, oparte jakoby na oświadczeniach Sebastianiego, który, być może, mniej więcej niewyraźnymi obietnicami usiłował powstrzymać tego natręta od konszachtów z przeciwnikami rządu; ale Bogu jednemu dziś wiadomo, co Wolicki z ust ministra usłyszał, a co sam zmyślił. Tosamo stosuje się do Teodora Morawskiego, dyplomaty ze szkoły poprzednika. Kniaziewicz i Plater chłodniej sądzili rzeczy. Skrzynecki gorliwie szukając powodów do unikania Rosyan, bardzo był skłonny wierzyć we wszystko i wyczytać między wierszami to, co sobie życzył.

XXXIII.

Z 15 stycznia 1832 r. upływał termin ratyfikacji traktatu listopadowego, rzeczy niezmiernie wstrętnej dla dworów północnych. Austria i Prusy były w duchu zdecydowane poddać się konieczności, z zastrzeżeniem praw Rzeszy niemieckiej do Luksemburga, oraz niejakich zmian w traktacie, później ułożyć się mających wprost między Hollandją i Belgią; lecz chciały nie oddzielać się od Rosyi i nie obrazić króla hollenderskiego. Cesarz Mikołaj oświadczył, że traktatu nie potwierdzi i króla Leopolda nie uzna, dopóki król hollenderski nie przystąpi dobrowolnie do umowy londyńskiej, na co w Hadze weale się nie zносиło.

200

Sprawa belgijska przejmując obrzydzeniem mego N Pana — pisał Metternich do ambasadora austriackiego w Petersburgu — jej punktem wyjścia była opieka, udzielona rebelii; konferencja londyńska postąpiła arbitralnie, podpisując traktat z 15 listopada, do czego pełnomocnicy trzech dworów upoważnienia nie posiadali. Lecz co się stało, odstać się nie może; należy dążyć do ukończenia układów, aby ustrzedz się większych nieszczęść. Źródłem trudności jest stanowisko rządu francuskiego, błędzenia Anglii, zimny i wyrachowany upór króla hollenderskiego, który nie przestaje liczyć na przewrót powszechny. Siła moralna trzech dworów sprzymierzonych nie zdoła zmienić stanu rzeczy w Paryżu i zachowania się Anglii, natomiast może skłonić króla hollenderskiego do ustępstw. — Kanclerz zaproponował zatem w Petersburgu odłożenie terminu ratyfikacji, aby zyskać czas potrzebny do układów z Hagą¹.

Gabinety zachodnie nic więcej żądać nie mogły. Talleyrand nie przestawał utrzymywać, że Austria i Prusy, pierwsze przyjdą z ratyfikacją; *Petersbourg montrera sa puissance, comme à Paris on montre son élégance, en arrivant tard*². W Paryżu zalecał cierpliwość i żądał nadesłania w porę ratyfikacji, czego Anglicy mocno sobie życzyli i co im się od Francji należało za wytrwałe poparcie dotychczasowe.

W owym czasie wojna europejska wydawała się wszystkim niezawodną i bliską. W Wiedniu, Berlinie i Petersburgu przewidywano zaczepkę ze strony Francji. Francuzów prześladowało widmo św. Przymierza i obawa najazdu nowej koalicji. Sprawiedliwość dodać każe, że Francya czyniła wszystko, żeby obudzić ku sobie nieufność mocarstw północnych, swoją niespokojną i wściubską polityką, propagandą liberalną, przeradzającą się regularnie w propagandę rewolucyjną, nakoniec uzbrojeniami. Jeszcze w październiku 1831 r. mocarstwa na wniosek Sebastianiego, oświadczyły gotowość

¹ Metternich do hr. Ficquelmont, 29 grudnia 1831 r. — *Mémoires de Metternich*.

² Do pani de Vaudémont, 30 grudnia 1831 r.

201

sprowadzenia swych wojsk na stopę pokojową; lecz czekano, kiedy do tego przystąpi Francya, trzymająca pod chorągiewkami prawie pół miliona żołnierzy. Talleyrand nalegał o rozpoczęcie redukcji naprawdę, dowodząc, że jak długo Francją jest w zgodzie z Anglią, niema mowy o koalicji. Rząd przecieć trwał przy swoim, a Ludwik Filip, nie mogąc strawić fortec belgijskich, ociągał się z ratyfikacją i domagał zmian w umowie o twierdze.

Tego było już zanadto Talleyrandowi. Przez panią de Vaudémont kazał powiedzieć w Tuileries, że król powinien zadowolnić się zasadą zburzenia fortec przeciwko Francji wzniesionych. Jeżeli wojny nie będzie, fortece same się zawała, bo nikt ich naprawiać nie zechce; jeżeli do wojny przyjdzie, Francuzi twierdze zajmą: *Voilà le fait; l'amourpropre seul, et assez bêtement, est engagé...* Podwójne intrygi rządu psują zawsze w końcu jego własne interesa... *on embrouille tout, puis on revient à moi... Je travaille trop, je ynirai par avoir, comme Sebastiani*¹, *quelque mauvaise aventure...* Wiedzieć zaś trzeba, że okropnie bał się dla siebie apopleksyi.

Ludwik Filip, pani Adelaida, Perier, różni adherenci Orleanów zaklinali Talleyranda, żeby sprawę fortec czempredzej po ich myśli zakończył, gdyż Izby i opinia nie przebaczą monarchii lipcowej ugięcia się przed despotami Północy. Natenczas Talleyrand wynalazł kompromis, zmieniający układ czterech mocarstw z Belgią w ten sposób, że fortece Mons, Atli i Menin miały uleść zburzeniu, los zaś innych twierdz dopiero później rozstrzygniętym. Rząd Ludwika Filipa i ten kompromis odrzucił. Odmowa postawiła Talleyranda w drażliwym położeniu względem gabinetu angielskiego, wystawionego na zawzięte napaści torysów i zachwianego złym obrotem

¹ Sebastiani rażony był atakiem apopleksyi podczas posiedzenia Izby parów. Ta żmija Dalberg drwił z niego: *Il doit sent accident aux manières bouffonnes avec lesquelles il s'est présenté à la tribune du Luxembourg. Il s'était gonflé comme un crapaud pour faire effet et le sang lui à porté à la tête.*

202

billu reformy; Palmerston najniestuszej posądzał Talleyranda, że przez próżność nakłania swego króla do oporu. Dwory północne ujrzały w tem nowy dowód wrogich dla spokoju świata zamysłów Francji, ustąpiły przecieć raz jeszcze i deklaracją z dnia 27 stycznia 1832 r. zrzekły się wszelkich praw do fortec belgijskich. Gdy Talleyrand kategorycznie oświadczył w Paryżu, że

nie więcej otrzymać nie zdoła, pani Adelaida przyznała: *Certes, Philippeville et Marienbourg ne valent pas la guerre; il faut se consoler de ce qui froisse un peu la petite vanité et la gloriole nationale....*

Francja traktat ratyfikowała. Ratyfikacja pruska znajdowała się w Londynie od 14 stycznia, ale aby być wymienioną razem z austriacką. Gabinet wiedeński opóźniał się, czekając na rezultat misji Orłowa, wysłanego do Hagi przez cesarza Mikołaja, z poleceniem skłonienia króla do przyjęcia traktatu, pod warunkiem zmiany punktów dotyczących się długu publicznego i żeglugi. Król po dawnemu odpowiedział: *non possumus*. Wtedy Orłów przestrzegł króla, że cesarz nie będzie nadal popierał roszczeń hollenderskich i pozostawi Hollandję swemu losowi.

Wtem pękła nowa bomba: zajęcie Ankony przez Francuzów 22 lutego 1832 r. Latem poprzedniego roku, Austriacy przyzwani przez Papieża, stłumili powstanie w Bolonii. Wskutek wdania się Anglii i Francji, Papież przyrzekł amnestię i reformy administracyjne; Austriacy cofnęli się. Niebawem wybuchły nowe rozruchy i na wezwanie Papieża wojsko austriackie wróciło w styczniu 1832 r. Powtórna interwencja Austrii wywołała wielki hałas w Izbach francuskich. Dla zamknięcia ust swoim przeciwnikom, rząd postanowił wchodzić czynnie w tę sprawę i udał się do gabinetów z przedstawieniem, że Francja pragnie podzielić się z Austrią zaszczytem bronięcia Głowy Kościoła; nie znalazłszy zaś nigdzie zachęty, wystąpił na własną rękę. Eskadra francuska wysadziła nocą na ląd około półtora tysiąca ludzi, którzy Ankonę bez oporu zajęli. Périer zwierzył się Talleyrandowi, że chce pokazać Austriakom, iż nie ścierpi okupacji Romanii bez terminu, i Papieża zmusić do nadania obiecanych reform.

203

Na miejscu historia wyglądała bardzo podejrzanie. Francuzi rozbili garnizon papieski i władze papieskie złożyli z urzędu; naczelnicy wyprawy, *wściekli jakobini* według Metternicha, głosili, że przybywają w pomoc liberałom, ciemionym przez rząd Papieża, co się równało zachęce do powszechnego buntu.

Wyprawa na Ankonę zrobiła wszędzie w Europie najfatalniejsze wrażenie. W Londynie mówiono, że wracają formy rewolucyjne. Naczelnicy stronnictwa liberalnego, najprzychylniejsi Francji, zganili ekspedycję niczem niewytłomaczoną, dostarczającą torysom argumentów przeciwko polityce gabinetu i przyjaźni z Francją. Papież wystąpił z protestem, to samo uczyniła Austria. Cesarz Mikołaj kazał swemu ambasadorowi opuścić Paryż, jeżeli austriacki zażąda paszportów, i groził, że traktatu londyńskiego pod żadnym warunkiem nie potwierdzi. Metternich w sprawie Ankony poprzestał na prośbie, lecz wręczenie ratyfikacji powstrzymał.

Talleyrand zajęcie Ankony nazwał bez ogródek: *une prise flibustière*. Twarda to rzecz, pisał do pani de Vaudémont, utonąć w porcie po osmnastu miesiącach ciężkiej pracy, *et cela pour une fantaisie de expédition dénuée du sens commun!* W roku zeszłym otrzymaliśmy od Papieża żądane koncesje; jeżeli pomimo to liberały rewoltują się, nic nas to nie obchodzi. Papież robi u siebie politykę, jak mu się podoba; Austriaków on wezwał, nas nikt nie wzywał. Interweniować nie przyrzekaliśmy nikomu, chyba panu Mauguin i generałowi Lamarque¹, co na jedno wychodzi. Dwa lub trzy tysiące Francuzów w Ankonie nic nie znaczą wobec siedemdziesięciu tysięcy Austriaków, stojących w Medyolanie. Szaleństwem jest z naszej strony zadzierać z Rzymem, kiedy mamy do czynienia z ruchem legitymistycznym i katolickim w Wandei i na południu. Jak w końcu Europa ma nam uwierzyć, że chcemy naprawdę poskromić propagandę rewolucyjną? Z obowiązku bronię postępów mego rządu, ale mój rząd robi co może, aby mi zadanie utrudnić. Zakończmy czempredzej

¹ Przywódcy opozycji w Izbie deputowanych.

204

sprawę ankońską, a wszystko pójdzie dobrze: *je m'en charge*.

Cofnąć się z Ankony nie było łatwo. Nie pozwalała na to miłość własna i sytuacja parlamentarna. Périer pisał, że od ostatniej reformy wyborczej, rząd ma w Izbie do czynienia z ludźmi, których głowy nie myślą, a ręce burzyć tylko umieją. Nadto, w początku kwietnia, Périer ciężko zapadł na cholere; Sebastiani zaś, o którym Talleyrand mówił, *qu'il était né faiseur*, o tyle przyszedł do zdrowia, że mógł napowrót objąć urzędowanie. Zatarg z Ankoną załagodzony zawarciem między Stolicą Apostolską i Francją konwencji z 16 kwietnia 1832 r., legalizującej obecność Francuzów w Ankonie. W dwa dni później nastąpiła w Londynie wymiana

ratyfikacji austriackiej i pruskiej. Pierwsza zawierała zastrzeżenie praw Rzeszy niemieckiej do połowy Luksemburga, ustąpionej Belgii; prócz tego pełnomocnik austriacki dodał protokolarne oświadczenie, iż Austria przewiduje konieczność dodatkowych układów między Hollandją i Belgią i zmiany ze zgodą mocarstw, niektórych artykułów traktatu. Druga była bezwarunkową, lecz poseł pruski słownie przyłączył się do zastrzeżeń Austrii i w protokole zamieścił wyraz najżywszej sympatii dla Hollandji, wraz z życzeniem, aby traktat został na jej korzyść ulepszony. Z końcem miesiąca zjawiała się nareszcie ratyfikacja rosyjska, obwarowana wyraźną klauzulą, że artykuły dotyczące się żeglugi wewnętrznej i długu publicznego, ulegną zmianie, jak tego żądała Hollandja. Formalna wymiana ratyfikacji z Rosją miała miejsce 3 maja; nazajutrz konferencja wystosowała do Belgii i Hollandji wezwanie o rozpoczęcie układów między sobą.

Talleyrand już rokiem wprzód zapowiedział, że będzie żądał urlopu na wiosnę 1832 r. Potrzebował wypoczynku; musiał, powiada, pomyśleć o swoich nogach, oczach i interesach domowych, ale oświadczał z góry, że wróci do Londynu i zostanie na stanowisku, dopóki może być użytecznym. Z Paryża zapytywano go, czyby nie wziął spraw zagranicznych, albo przewodnictwa gabinetu; jedno i drugie stanowczo odrzucił. Nie mógł jednak natychmiast ruszyć się z Londynu.

205

Hollandja odmówiła wzięcia traktatu za podstawę układów, podczas gdy rząd belgijski domagał się naprzód wyjścia Hollendrów z cytadeli antwerpskiej. O to samo nalegał Ludwik Filip, oficjalny teść króla Leopolda, który w ciągu maja złożył Orleanom wizytę w Compiègne i poprosił o rękę księżniczki Ludwiki. Talleyranda niepokoiło to spotkanie. Belgowie staną się jeszcze bardziej wymagający, pisał do pani de Vaudémont: *On se croit bien habile, quand on sait faire quelques difficultés. Belle science! Tout le monde sait faire cela!* Król hollenderski szuka tylko pretekstów do zwłoki a nie ma środka na jego upór¹. Użyć przymusu, nie jest, ani łatwym, ani słusznym, ani pożytecznym.

Ludwik Filip chciał, żeby wyznaczono dzień 1 lipca, jako termin ewakuacji Antwerpii, pod zagrożeniem blokady portów hollenderskich przez angielską i francuską eskadrę. Lecz gdy dwory północne odrzuciły wszelkie środki przymusowe, konferencja wdała się w targi z królem hollenderskim, obiecując mu niejaki ustępstwa. — Nie oddzielajmy się od czterech mocarstw, zalecał w Paryżu Talleyrand przez panią de Vaudémont. *C'est la force du roi et de sa dynastie*. Anglia poszłaby dziś z nami, ale inne gabinety robiłyby wszystko, żeby ją od nas odciągnąć. Mamy w Anglii silne stronnictwo przeciwko sobie; nikt nie wie, co może stać się w razie upadku gabinetu, a i tak nie jest pewnym, czy Anglia oparłaby się namowom mocarstw. Pospieszna decyzja może nas daleko zaprowadzić. Gdy wszelkie próby pojednania okażą się próżnemi, postaramy się o to, aby mocarstwa działać niechcące powiedziały nam: jesteście wolni, możecie działać. Nic zapominajcie również, że nieporządki choć poskromione, rodzą obawę wybuchu nowych, a to nie zwiększa ufności ku nam.

¹⁾ Król Leopold wróciwszy z Compiègne, pisał do Talleylanda. *Malgré l'absence d'une semaine, il n'y a pas eu le plus petit scandale en Belgique; je pense, que j'ai le droit de sonner cela bien haut. Mais il est bien temps qu'on finisse.*

206

Talleyrand miał na myśli *dnie czerwcowe*, krwawe zajścia z powodu pogrzebu generała Lamarque, stłumione po niemal dwudniowej walce ulicznej, a które nazywał owocem *des caresses à la canaille*. Ludwik Filip tryumfował ze swego zwycięstwa, które, jak pisał do Talleyranda, zadało kłam prococtwom, że tron lipcowy runie pod ciosami karlistów i republikanów, jak mury Jerycho od trąby Jozuego. Szczera i zupełna narodowość (*nationalité*), religijne poszanowanie zaprzysiężonej wiary, praw, ustaw i swobód kraju, są lepszą dla tronu obroną, aniżeli władza absolutna ze swą zgrają dworaków i satellitów! — O karabinach i armatach król zapomniawszy, choć one właściwie tron lipcowy tym razem zbawiły i dużo więcej pomogły od umizgów mieszczańskiego króla do gwardzystów narodowych, których tytułował: *Mes chers camarades!* Europie zwycięstwo Orleanizmu nie zaimponowało zbyt wiele, bo jak trafnie uważał Talleyrand, co się działo wczoraj, mogło się powtórzyć za miesiąc lub dwa, a najlepszy dzban dopóty tylko wodę nosi, dopóki ucho się nie urwie. Próżnem więc było wmawiać w Europę, jak to Ludwik Filip czynił, że jego rządowi należy się za okazaną tęgość nagroda, pod postacią upoważnienia do egzekucji traktatu listopadowego. Prócz tego gabinetowi angielskiemu przytrafiło się na parę miesięcy wprzód małe nieszczęście. Izba lordów odrzuciła bill reformy, król odmówił mianowania nowych parów i gabinet podał się do dymisji. Gdy Wellington nie zdołał utworzyć nowego, Grey z kolegami wrócił do władzy, lecz znalazł się w położeniu człowieka z nogą złamaną. W najlepiej nastawionej nodze zawsze odzywają się dolegliwości. Wiadome były natomiast usposobienia i uczucia torysów dla monarchii lipcowej. Wellington chował, co myśli, dla siebie; inni, jak świeżo Robert Peel, przy każdej sposobności wyrzucali Orleanom sposób przyjscia do korony. Publiczne takie policzki okropnie bolały Orleanów. Pani Adelaida dawała do zrozumienia Talleyrandowi, że może i powinien położyć temu tamę swoim osobistym wpływem, przypominając mu delikatnie, jak dzielnie bronił Ludwika Filipa przed Wellingtonem w początku misji. Talleyrand jednak

207

głuchym pozostał, a między wierszami radził Orleanom dowodzić uczynkami, że wyszli na porządnym i spokojnym ludzi. Pod koniec życia obudziło się w starym grzeszniku poczucie przyzwoitości do wysokiego stopnia posunięte, tudzież wielka drażliwość na sądy ludzkie. Nie chciał ułżywać samemu sobie i wystawiać się na pośmiewisko, zbyt częstem myciem murzyna.

Z drugiej strony, wytrwale i z rzadką zręcznością posuwał naprzód rozwiązanie sporu belgijskiego, dążąc do tego, aby mocarstwa północne powierzyły Anglii i Francji egzekucję traktatu. Przekonawszy się, że z przeciwnikami dużo sobie pozwolić można, był w zgodzie z Anglią, i krok za krokiem namówił Anglików do śmiałego pociągnięcia na szachownicy. Oba gabinety wystosowały do trzech dworów wspólną notę z 19 czerwca, z oświadczeniem, iż jeżeli król holenderski do końca sierpnia nie potwierdzi traktatu, Anglia i Francja nie będą mogły odmówić Belgii żądanej satysfakcji.

Nazajutrz Talleyrand wyjechał do Paryża.

XXXIV.

W Paryżu znalazł gabinet mocno zachwiany, wskutek śmierci Kazimierza Perier. Pod nominalną prezydencją marszałka Soult'a, Sebastiani i ludzie jego koloru nawracali ku polityce paktowania z partją rewolucyjną, co w stosunkach z Europą znaczyło propagandę niepokojów i poróżnienie Francji z wszystkimi mocarstwami. Sebastiani pragnął pozbyć się Talleyranda z Londynu i osadzić tam swoją kreaturę, hr. Flahaut. Małżonka tego ostatniego, wysłana do Anglii dla przysposobienia gruntu mężowi, rozpowiadała głośno, że Talleyrand już nie wróci, bo zdzieciniał i zniedołężniał. Ze swojej strony Sebastiani począł skarżyć się, że Durant de Mareuil, zastępca Talleyranda w Londynie, rady dać sobie nie umie, a od ambasadora żądał spieszego powrotu na stanowisko. Wszystko razem miało na celu zbrzydzić Talleyrandowi urząd i skłonić go do ustąpienia.

208

Obiecawszy skrócić swój pobyt we Francji, Talleyrand przesiedział całe lato u wód i w Valençay. Tymczasem zaszły ważne zdarzenia. Konferencja londyńska, znużona uporem króla hollenderskiego, zgodziła się, 1 października, na użycie przymusu; w Paryżu zaś Ludwik Filip ujrzał się zniewolonym przyjmując warunki doktrynerów; do gabinetu wszedł ks. Broglie, Thiers i Guizot.

Tak zwane ministeryum 11 października, przyszło do steru pełne chwalebnych chęci i zamiarów. Teoretyczny program gabinetu streszczał się w słowach: pogodzić wolność z porządkiem, utrzymać spokój we Francji i w Europie. Równorzędne punkta programu stanowiło wzmocnienie monarchii lipcowej i udoskonalenie rządów parlamentarnych. Brzmiało to bardzo pięknie, lecz w praktyce na pierwszym planie stało pytanie, jak zdobyć dla nowego rządu większość w Izbie? Sesja rozpocząć się miała 19 listopada, nie było więc wiele czasu do stracenia. Po wybadaniu opinii naczelników stronnictw, ministrowie przyszli do wniosku, że większość zapewnić im może jedynie świetny sukces w kwestyi belgijskiej, wszystkie umysły drażniące.

Co do owych środków przymusowych, w zasadzie postanowionych, nie było zgody między mocarstwami. Austria, Prusy i Rosya, wykluczając użycie siły, wносиły zagrożenie Hollandyi grzywnami, w kwocie miliona złotych za każdy tydzień zwłoki w przyjęciu traktatu. Grzywny miały być ściągane z udziału Belgii w długi publiczny hollenderski; kara dosięgała w dotkliwy sposób skarb państwa i obiecywała prędzej czy później pomyślny skutek. Więcej trudno było zresztą żądać od mocarstw

przystępujących do egzekucji z największym wstrętem, wbrew własnemu przekonaniu. Anglia proponowała blokadę portów i wybrzeży holenderskich na wspólnie z Francją, oraz położenie *embargo* na statki handlowe. Rząd francuski obstawał przy jednoczesnym użyciu siły zbrojnej na lądzie, aby zdobyć laury wojenne dla monarchii lipcowej; Ludwikowi Filipowi schlebiała perspektywa chrztu wojskowego dla synów.

209

Talleyrand wyjechał z powrotem do Londynu na parę dni przed złożeniem formalnym nowego gabinetu. Broglie, Thiers i Guizot byli mu osobiście sympatyczni; pierwszy uprzedził go, że jeżeli obejmie tę sprawę zagranicznych, dążyć będzie do interwencji zbrojnej w Belgii. Zaraz po urzędowej nominacji posypały się listy od ministrów, przepełnione pochlebstwami dla Talleyranda i prośbami, aby nie bawiąc otrzymał przyzwolenie mocarstw na wyprawę do Belgii. Broglie pisał: Rozpoczynamy walkę za sprawę cywilizacji; cywilizacja winna nam dopomódz *pour que nous ouvrons la session avec éclat*. Guizot swoim zwyczajem rozwodził się, jak wielkie rzeczy gabinet spełnić zamysła i spełni, jeżeli otrzyma poparcie wszystkich ludzi dobrej woli. Thiers, nie obwiniając w bawelnę, przyznał, że gabinet ma w Izbie większość zapewnioną, jeżeli Francuzi wypędzą z Antwerpii Hollendrów; w przeciwnym razie gabinet upadnie, a wtedy przyjdzie Dupin i Odilon Barrot. W Antwerpii Francuzi zabawią trzy dni, miasto oddadzą Belgom i natychmiast wrócą do domu. Ministrowie ręczą za to słowem honoru.

Kiedy Broglie opowiedział swój plan ambasadorowi angielskiemu, ten odparł: Kto zaręczy, że panowie zostaniecie u władzy dość długo, aby waszego słowa dotrzymać?... Na to Broglie pokazał mu przygotowany kalendarzyk. Francuzi przekroczą granicę między 20 i 22 października, 27 staną pod Antwerpią; cytadela podda się najpóźniej do 15 listopada, 20 tego miesiąca korpus ekspedycyjny opuści ziemię belgijską. W ten sposób Izba nie znajdzie czasu do przewrócenia gabinetu.

Podobne obliczenia były dzieciństwem, bo rezultat zależał od pogody, stanu dróg i siły odpornej garnizonu hollenderskiego; następstwa okazały, że cała rachuba Francuzów wisiała w powietrzu. Ministrowie angielscy wachali się z przyzwoleniem; król ze względu na Hanower musiał zważać na zdanie Rzeszy niemieckiej; pani Flahaut głosiła w Londynie, że gabinet francuski z pewnością upadnie i Ludwik Filip przywoła napowrót Sebastianiego, któremu nikt nie dowierzał. Projekt wkroczenia Francuzów do Belgii niepokoił dwory

210

północne; przypisywano im najczarniejsze zamysły, chociaż szło tylko o prosty manewr parlamentarny. Prusacy grozili nawet, że wejdą do Belgii jednocześnie z Francuzami. Ostatecznie przecież przeważała u wszystkich obawa przyścia we Francji radykałów do władzy. Anglia zawarła z Francją dnia 22 października konwencję, na mocy której zawieszano Hollendrów i Belgów do opuszczenia spornych terytoriów z terminem 15 listopada, poczem przeciwko stronie nie czyniącej zadość wezwaniu, nastąpić miała blokada i wkroczenie korpusu francuskiego. Dla zabawienia Prusaków, ofiarowano im zajęcie Venloo na rzecz Hollandyi. Prusacy nie zdobyli się jednak na tyle odwagi i poprzestali na wystawieniu korpusu obserwacyjnego nad granicą. Cesarz Mikołaj polecił swoim pełnomocnikom usunąć się z konferencji, będącej zresztą piątem kołem u wozu. Metternich dowiódłszy ponownie, że sprawa belgijska obraża wszelkie zasady zdrowej polityki, spróbował skłonić mocarstwa do zebrania nowego areopagu w Akwizgranie, lub gdziekolwiek, byle nie w Londynie i nie pod boki Palmerstona, głównego winowajcy i sprawcy wszystkiego złego.

Ludwik Filip, pani Adelaida, ministrowie pospieszyli z podziękowaniami dla Talleyranda za spełnienie ich życzeń gorących. Właściwie wdzięczność należała się królowi hollenderskiemu, który jednym słowem mógł cały plan zniweczyć. Na cztery dni przed otwarciem Izb francuskich, korpus ekspedycyjny ruszył pod Antwerpię. Pomimo to babka na dwoje wróżyła i gabinet z pewnym strachem oczekiwał rozpraw nad adresem. Szczęściem, do Ludwika Filipa, jadącego konno przez Pont-Royal na otwarcie Izb, jakiś złoczyńca strzelił z pistoletu. Królowi nic się stało, ani nikomu; śladu kuli nie znaleziono, sprawca także przepadł bez wieści. Złe języki głosiły, że *l'horrible attentat* był niewinną komedią, obliczoną na bojaźliwe umysły w Izbie, która w samej rzeczy okazała się powolną dla rządu.

Wyprawa na Antwerpię poszła trudniej, niż myślano z początku. Słota i złe drogi wstrzymywały pochód wojska; generał Chasse dzielnie się bronił i kapitulował dopiero dnia

211

23 grudnia, po dziewiętnastodniowym bombardowaniu. Garnizon hollenderski został uwolniony na słowo, Francuzi opuścili Belgię; Ludwik Filip kazał sobie zwrócić koszt wyprawy.

Król hollenderski, przyciśnięty przez własnych poddanych, którym blokada dotkliwie zrzędała szkody, wszedł w układy z Anglią i Francją. Po trzech miesiącach, w maju 1833 r. przyszła do skutku umowa tymczasowa, utrzymująca do chwili zawarcia formalnego traktatu, *status quo* w Luksemburgu i w Limburgu, tudzież zapewniająca Belgom wolną żeglugę na rzekach. Wtedy konferencja londyńska zebrała się ponownie, aby Hollandyę z Belgią na dobre pogodzić i ugodę opatrzyć sankcją europejską. Po kilku tygodniach, w sierpniu, narady odroczone bez terminu; król hollenderski zaniedbał bowiem wyjednać u Rzeszy niemieckiej przyzwolenie na podział Luksemburga, Anglia zaś i Francja nie widziały powodu usunięcia prowizoryum, dla Belgów ze wszechmiar korzystnego.

Taki stan rzeczy trwał aż do r. 1839. Wtedy dopiero Hollandya przyjęła ostatecznie traktat z 15 listopada 1831 r., Belgia zwróciła trzymane przez się części Luksemburga i Limburga, wytargowawszy wprzód parę milionów, należnych Hollendrom zaległości z tytułu długu publicznego.

Cesarz Mikołaj, jeden w Europie, nie uznał króla Leopolda belgijskiego i nie zawiązał z Belgią stosunków dyplomatycznych. W r. 1844, podczas wizyty cesarza w Londynie, lord Aberdeen spróbował wstawić się za Koburgiem. Cesarz odrzekł: Rewolucji belgijskiej nigdy nie uznałem i nie uznaję, ale państwo belgijskie uznałem. Króla Leopolda kocham i szanuję, pragnę z nim żyć na dobrej stopie, ale to jest niepodobieństwem, jak długo polscy oficerowie pozostają w służbie króla. Polacy są i będą buntownikami, żaden *gentleman* nie powinien buntownikom używać opieki. Co powiedzianoby w Anglii, gdybym O'Connell zrobił moim ministrem?... Skoro Polacy opuszczą służbę belgijską, mój poseł przybędzie do Brukselli ¹.

¹ *Stockmar's Denkwürdigkeiten.*

W r. 1852, gdy Belgia uczuła się zaniepokojenia powrotem Bonapartów na tron francuski, król Leopold rozstał się z Skrzyneckim i Kruszkowskim, i za tę cenę otrzymał zawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rosją.

XXXV.

Z tymczasowym załatwieniem sprawy belgijskiej skończyła się czynna i dodatnia rola Talleyranda na wielkiej scenie polityki europejskiej. Ambasadę londyńską zachował jeszcze do końca roku następnego, poprzestając na obowiązkach urzędowego pośrednika między gabinetami, nie próbując wywierać przeważnego wpływu na bieg interesów świata.

Wiek dopominał się o swoje prawa; w walce wyjątkowo silnej natury z czasem, ten ostatni począł brać górę. Władze umysłowe dopisywały w potrzebie po dawnemu, lecz sprężyny, poruszające człowiekiem, straciły elastyczność. Ambicja stępiła się i zobojętniała; stary dyplomata dosięgnął najwyższego szczytu. Orleanom dał wszystko, co dać mógł; monarchii lipcowej wyrobił prawo obywatelstwa w Europie, reszta nie od niego zależała. On sam czuł, że zbliża się chwila zejścia z widowni ziemskiej; własnej przeszłości zapewne nie żałował, wiedząc przecież, jak dużo nabroił, postanowił unikać pokus i przyzwoicie skończyć. Solidarność z Orleanami ciążyła mu, dostarczając powodów i dowodów do oskarżeń o zmiennictwo i niewdzięczność względem dawnych panów. Orleani nie szczędzili mu pokłonów i kadzideł, ale nienawiść między dwiema liniami Burbonów smutne wydawała owoce. Świeżo księżna Berry zjawiała się potajemnie we Francji, aby stanąć na czele ruchu legitymistycznego. Przedsięwzięcie było szalone i zdrożne. Księżnę ujęto i osadzono w zamku Blaye. Niebawem pokazało się, że księżna jest w błogosławnym stanie. Orleaniści zacierali ręce z ukontentowania, że przyjsie na świat nieślubnego potomka okryje niestawą starszą linię Burbonów i zada cios śmiertelny

213

sprawie pretendenta. Księżna milczała i dopiero w ostatniej chwili oświadczyła, iż jest prawowitą żoną hr. Lucchesi-Pallii. Wstyd i śmieszność spadły na Ludwika Filipa, który dopuścił do podobnego skandalu. Talleyrand o całej historii słówkiem nie wspominał, jakby nie istniała, lecz podczas uwięzienia księżny w Blaye, ks. Orleańskiemu przyszła ochota wybrać się do Londynu. Talleyrand, na którego spadł obowiązek wyjednania księciu dobrego przyjęcia w Londynie, przedstawiał, że byłoby przyzwoiciej podróż odłożyć i nie pokazywać się za granicą wśród tak szczególnych okoliczności¹. Nie posłuchano go. Ludwik Filip, przy całym sprycie, nie grzeszył taktem w stosunkach z dworami europejskimi, narzucał się i wystawiał na upokorzenia, co niezmiernie bodło Talleyranda, bardziej niż kiedy drażliwego na sądy świata i reguły *du savoir-vivre*.

Do polityki czuł coraz mniej ochoty i smaku. Sprawą belgijską zajmował się całą duszą, widząc w niej zaangażowane bezpieczeństwo, dobro i honor Francji, oraz byt monarchii lipcowej. Utonął w niej tak, iż wszelkie inne kwestye bieżące traktował lekko, z rozmysłem usuwał je na bok i zżymał się na swój rząd, gdy podnoszeniem innych spraw sam sobie i jemu stwarzał trudności. Wybór króla greckiego pozostawił całkowicie Anglii w spółce z innymi mocarstwami. W Tuileries protegowano ks. Pawła wirtemburskiego, prywatnego kandydata Orleanów, osobistość nie bardzo interesującą, który nigdzie nie znajdował pleców. Kiedy mocarstwa zgodziły się na ks. Ottona bawarskiego, Talleyrand oddał mu swój głos

¹ *J'espère que M. le duc d'Orleans ne quittera Paris qu'après le prochain dénouement de Blaye: il ne saurait être commode, pour un aussi proche parent et dans des circonstances aussi particulières, de se trouver dans un pareil moment sur une terre étrangère. On ne porte ici aucun intérêt politique à madame la duchesse de Berry, mais elle a inspiré une grande pitié. Pourquoi donc M. le duc d'Orléans, qui est maître de choisir son moment, ne remettrait-il pas son voyage après la délivrance de sa cousine?*

Talleyrand do ks. de Broglie, 15 kwietnia 1833 r.

214

bez pytania, a Paryż zbył żarcikiem, wyliczywszy bowiem nazwiska książąt, którzy korony greckiej nie przyjęli, tak zakończył: Bolivar umarł, kogóż więc mieliśmy wziąć na króla?... I ile razy szło o Grecję, podobnie czynił.

Nie zbywało wówczas w Europie na okazyjach do sporów i zatargów. Wielkie mocarstwa podzieliły się na dwie grupy. Po jednej stronie stała Austria, Prusy i Rosja, związane wedle powszechnie przyjętego wyrażenia św. Przymierzem, będącem w gruncie formułką bez treści istotnej; zwane przez Metternicha *les alliées intimes*, dążące do nałożenia światu swej woli, lecz między sobą najczęściej niejedne i do czynu nieskore. Akcją dyplomatyczną prowadził Metternich, imponujący dwom innym rozumem, doświadczeniem, rutyną i wspomnieniami walki z Napoleonem, której był głową i duszą. Nie będąc ani takim twardym absolutystą, ani takim zakamieniałym zacofańcem, za jakiego go miano, był kanclerzem mocarstwa, wystawionego w każdym powszechnym starciu na pierwszy ogień, tudzież ministrem monarchii, który żadnej zmiany w państwie nie przypuszczał. Położenie Austrii, stan finansów i wola cesarza, kazały Metternichowi unikać czynnej polityki i wszędzie w Europie tłumić ducha innowacji. Z wielkim nakładem pracy talentu eksploatował on przyjaźń sąsiadów, aby Austrii spokój z dnia na dzień zapewnić. Walka zasad zachowawczych z rewolucją przybrała postać prostej polityki prewencywnej, której ironia losu dała miano św. Przymierza. Na przeciwnym biegunie, Anglia z Francją reprezentowały liberalne dążności. Dla Anglii, nader bacznej na materialny interes, liberalizm był okrasą, zabawką, ulubionym konikiem Palmerstona, który na nim uwijał z popędlivością namiętnego temperamentu i siał po świecie wichry, dla Albionu najmniej niebezpieczne. We Francji propaganda liberalna szła przed interese, przeradzała się w propagandę rewolucyjną, a częste objawy gorączki rewolucyjnej przerażały Anglików, budziły nieufność, utrudniały przyjsie do skutku rzeczywistego przymierza, czemu interes zbyt często stawał na zawadzie. W ostatecznym rezultacie

215

wielkie mocarstwa dawały zwykle światu widowisko, przypominające *Zrzęde i Przekorę* starego Fredry.

W r. 1832, cesarz dom Pedro, zmuszony abdykować w Brazylii na syna, wrócił do Portugalii z zamiarem wypędzenia brata dom Miguela i osadzenia na tronie swej córki donny Maryi, rodzonej wnuczki cesarza Franciszka austriackiego. Miguel, po śmierci ojca, króla Jana VI, objąwszy regencyę na rzecz małoletniej donny Maryi, zeskałmował koronę. Metternich jeszcze w r. 1828 orzekł po należytej rozważce, iż Miguel był uzurpatorem, a donna Marya prawowitą panią tronu portugalskiego. Lecz

Miguel rządził absolutnie, dom Pedro zaś nadał Portugalii konstytucję tak liberalną, że nawet Anglicy nazywali ją waryacką. Wskutek tego Austria wzięła stronę dom Miguela; za Austrią poszły Prusy i Rosya, podczas gdy Anglia z Francją sprzyjały sprawie donny Maryi. Dom Pedro zwerbował na wyspach Azorskich kilkanaście tysięcy ludzi, opanował, dzięki tolerancji gabinetu paryskiego, część floty portugalskiej, znajdującej się w portach francuskich, wziął Oporto i tam stolicę założył. Oficer marynarki angielskiej, Karol Napier, pod przybranym nazwiskiem Carlosa da Ponza, objął dowództwo floty dom Pedra. Naród portugalski podzielił się na dwie partie i wojna domowa zawrzała. Wmieszały się w nią rozmaite stronnictwa. Torysi wspierali dom Miguela. Legitymiści francuscy pospieszyli pod tegoż chorągwie; marszałek Bourmont stanął na czele armii Miguelistów, z misją ocalenia sprawy prawowitości na półwyspie pirenejskim, w Europie i na całym świecie. Polska emigracja, przez miłość sprawy konstytucyjnej, wystawiła legion na usługi donny Maryi. Wszystko się składało, aby wojnę domową nad Ebram uwiecznić.

Kwestię wschodnią poruszył Mehemet-Ali, wice-król Egiptu. Albańczyk pochodzeniem, genialny i ambitny barbarzyńca, z prostego żołnierza dobiwszy się udzielnego stanowiska, stworzył w Egipcie administrację, skarbu, wojsko, flotę; zawojował górny Egipt, Nubię, część Arabii i dążył do wykrojenia dla swojej dynastii obszernego państwa niezawisłego. W 1831 r. zażądał od Porty ustąpienia Syrii, w nagrodę

216

za pomoc, dostarczoną podczas wojny greckiej. Gdy sułtan odmówił, Ibrahim, syn Mehemeta, wkroczył do Syrii, wypędził Turków, posunął się do Anatolii i w bitwie pod Konieh, 21 grudnia 1832 r., zniósł do szczytu armię sułtańską. Natenczas Rosya ofiarowała pomoc Porcie. Sułtan ofiary nie przyjął; niemniej jednak propozycja rosyjska obudziła czujność mocarstw, strzegących bytu i całości państwa ottomańskiego.

Rząd Ludwika Filipa zapragnął ubiedz Rosyę w Stambule, wystąpić przy tej sposobności w wielkiej kwestyi europejskiej na jednej linii z Anglią i zarazem rozluźnić węzły, łączące dwory północne; nadto zaś zyskać przewagę w Egipcie, starem jabłku niezgody między nią i Albionem. Francuzi mieli mocne postanowienie wytargować na Porcie jak największe ustępstwa dla Mehemeta, w którym upatrywali reformatora islamizmu i naturalnego spadkobiercę tronu Osmanów. Aby wszystko pogodzić, ks. de Broglie zaproponował w Londynie medycację Anglii, Francji i Austrii. Myśl pośrednictwa Palmerston przyjął bardzo chłodno; co więcej, zażądał wciągnięcia do niej Rosji, aby, jak mówił, związać ręce dworowi petersburskiemu i zachować pozór dobrych stosunków z tem mocarstwem. Talleyrand, zażarty na Rosyan, za żadną cenę nie chciał na to zezwolić; lecz i potrójna medycacja wpadła w wodę, gdyż Metternich był przekonany, że trzymając się cesarza Mikołaja, powstrzyma go od zamachów na byt Turcyi.

Mocarstwa, każde na swoją rękę, poczęły tentować o zgodę w Konstantynopolu i w obozie Ibrahima. Rosya z Austrią radziły sułtanowi nieustąpić, Anglia i Francya nakłaniały do poświęcenia Syrii. Sułtan ofiarował wprost od siebie wicekrólowi część tej prowincji; nie czując się jednak bezpiecznym w własnej stolicy, zażądał pomocy Rosyan. Ibrahim miał drogę otwartą, Francuzi i Anglicy byli daleko; jedna zaś armia rosyjska stała w księstwach Naddunajskich, druga nad Prutem; Porta nie spłaciła dotąd summ, należnych Rosji, na mocy traktatu adrianopolskiego; wszystko ją więc do uległości nakłaniało.

217

Jednocześnie z wpływaniem eskadry rosyjskiej do Bosforu, stanął w Konstantynopolu ambasador francuski, admirał Roussin, opatrzony w nieograniczone pełnomocnictwo; zażądał od Porty, pod zagrożeniem wyjazdu, odproszenia Rosyan i zobowiązał się na piśmie, że Francya zmusi Ibrahima do przyjęcia warunków sułtana. Rosyanie opuścili Sambu i Dardanelle, lecz Ibrahim zerwał układy. Natenczas sułtan posłał Mehemetowi inwestyturę na Syryę z paszaliem Adany i powtórnie Rosyan przywołał.

Obecność Rosyan w Konstantynopolu nieprzypadła Austrii do smaku. Kanclerz dał do poznania w Londynie i w Paryżu, że chętnie porozumiałby się w tej sprawie z zachodnimi mocarstwami, byle ognisko układów przeniesione zostało do Wiednia. Broglie odrzącił wyciągniętą rękę, zawsze w myśli, że zdoła pociągnąć Anglię do śmielszego wystąpienia. Palmerston ponownie go zawiódł; Austria zdawała mu się pewniejszym narzędziem do ocalenia Turcyi. Gabinet londyński wystąpił z projektem poczwórnej umowy, między Anglią, Austrią, Francją i Rosją, poręczającej byt Turcyi. Francuzi podnieśli trudności formalne; Rosyanie oświadczyli, że do wdania się obcych mocarstw niema powodu, gdyż oni są sprzymierzeńcami sułtana.

Cesarz Mikołaj, daleki w owej chwili od zamiaru rozbicia Turcyi, dążył do zdobycia protektoratu nad Turcyą. Po cofnięciu się Egipcyan, odwołał wiece wojsko i flotę z Konstantynopola, otrzymawszy od Porty konwencję z Unkiar-Skelessi, którą oba mocarstwa przyrzekły sobie wzajemną obronę; artykuł sekretny stanowił, że Porta, zamiast pomocy w ludziach, zamknie podczas wojny cieśniny dla wszystkich, prócz Rosji.

Talleyrand radził swemu rządowi użyć w Konstantynopolu całego nacisku, aby powstrzymać Portę od ratyfikowania traktatu. Ministrowi spraw zagranicznych, wydało się to niebezpiecznym, albowiem Francya wzięłaby tem samem na siebie obowiązek bronięcia Turcyi i ujrzała się zmuszoną trzymać w pogotowiu znaczne siły lądowe i morskie na usługi sułtana. Traktat z 8 lipca materialnie położenia nie

218

zmienił, Francja może przeto poprzestać na oświadczeniu wraz z Anglią Porcie, że tego traktatu nie uznaje i szanować nie może. Obydwa gabinety przesłały noty w tym duchu do Konstantynopola, nie żądając wcale od Dywanu odpowiedzi, i na tem stanęło.

Uwagę gabinetów zachodnich odwrócił w inną stronę zjazd monarchów w Münchengraetz, we wrześniu 1833 r. Pozzo w Paryżu, Lieven w Londynie zaręczali, że monarchowie chcą jedynie dać sobie dowód wzajemnego przywiązania i wcale nie myślą o politycznych umowach. To nikogo nie zwiodło, owszem obudziło tem większą podejrzliwość. Palmerston pisał do brata: Wmawiają w nas takie dzieciństwa chyba na to, żebyśmy im nie wierzyli.

W Londynie podejrzewano trzy dwory północne o zamiar rozbioru Turcyi; w Paryżu o zmoję na zgubę Francji. W rzeczywistości zjazd miał być demonstracją przeciwko zachodnim mocarstwom, szczególnie przeciw Francji. Prusacy popsuli szyki Metternichowi, ani król bowiem, ani Ancillon nie przybył; posłano tylko następcę tronu. Gabinet berliński postąpił tak, aby Francuzów nie drażnić, lecz to uszło ich uwagi. Do umów, spisanych w Münchengraetz, Prusy przystąpiły dopiero później i nie bez oporu. Pierwsza konwencja zabezpieczała byt Turcyi; mocarstwa postanowiły nie dopuścić rozciągnięcia władzy wicekróla Egiptu na posiadłości sułtana, i w razie upadku Turcyi zapobiedz, aby nowy porządek rzeczy naruszył ich własne bezpieczeństwo

i równowagę europejską. Druga konwencja tyczyła się Polski. Trzecia, podpisana w Berlinie 15 października, wymierzona była przeciwko zasadzie nieinterwencji. Na razie wszystkie trzy trzymane były w tajemnicy.

XXXVI.

W tej porze Talleyrand wyjechał do Francji, powołany przez rodzinę, aby postanowić o losie brata, na umyśle chorego. Miał zamiar do Londynu nie wracać.

219

Tymczasem trzy mocarstwa zdecydowały się oznajmić w Paryżu rezultat zjazdu w Münchengraetz. Metternich chciał przesłać sam tekst konwencji berlińskiej, przyznającej każdemu rządowi prawo interweniowania w sprawy obce, gdy będzie o pomoc wezwany, tudzież zapewniającej państwu interweniującemu solidarne poparcie dwóch pozostałych, na wypadek zaczepki z tego tytułu. Prusy oparły się notyfikacji tekstu, mogącej Francję obrazić. Obrano formę not identycznych, dla Francuzów o wiele nieprzyjemniejszych. Na wstępie była mowa o ścisłej przyjaźni, łączącej monarchów i o ich usposobieniach przyjacielskich ku innym dworom. Dalej szedł wykład zasad, zdaniem monarchów zdolnych zapewnić spokój Europie. Monarchowie uznawali naturalnym, że każdy rząd stara się rozpowszechniać doktryny, na jak ich sam się opiera. Prozelityzmu takiego nie można potępiać,

dopóki działa na drodze pokojowej, za pośrednictwem wpływu moralnego. Inaczej rzecz się ma z propagandą, zmierzającą do obalenia wszędzie prawnego porządku; tego rodzaju propagandę, niebezpieczną dla wszystkich rządów regularnych, zwalczać należy wspólnymi siłami. W konkluzji trzy dwory ostrzegały rząd francuski, że gdyby nie był w stanie poskromić knoń rewołucyjnych, wymierzonych na szkodę obcych państw i gdyby wskutek tego wynikły tam niepokoje, zmuszające rządy do wezwania pomocy jednego z trzech mocarstw, mocarstwo wezwane pospieszy z interwencją, dwa inne zaś bronić go będą solidarnie od zaczepki.

Brogie odrzekł, że widzi w tem coś więcej nad proste wyznanie wiary, ale nie przypuszcza, żeby mocarstwa chciały insynuować, jako rząd francuski faworyzuje propagandę rewolucyjną. Takiej obrazy nie ścierpiałby rząd Ludwika Filipa; podobne zajście spowodowało właśnie wyjazd posła francuskiego z Sztokholmu. Co do obcej interwencji, Francja nie przypuszcza takowej w Belgii, Szwajcaryi i Piemencie; w innych krajach i w pewnych warunkach nie będzie sprzeciwiać się w sposób absolutny, jak się to zdarzyło w Rumunii. Ile razy jakie mocarstwo zajmie terytorium obcego

220

państwa, Francja postąpi wedle wskazówek własnego interesu.

Z obu stron ponowiono stare protestacje i pogróżki, których praktyczną doniosłość świat mógł niejednokrotnie ocenić w ciągu sporów belgijskich. Talleyrand poczuł ochotę wrócić do Londynu i wnieść na stół dawną swoją mrzonkę aliansu odpornego między Francją i Anglią. Uśmiechała mu się niewątpliwie myśl zamknięcia kariery rozgłośnym aktem i to tak mocno, że zapomniał o powszechnie znanej niechęci Anglików do zawierania traktatów bez ściśle oznaczonego celu i bez terminu.

Ludwik Filip pozwolił szczęścia spróbować; Brogie niezmiernie zapalił się do projektu Talleyranda. Światły ten mąż, z wielką łatwością władający piórem, umiał wszelki temat świetnie rozwinąć, a skończywszy, wierzył święcie w nieomyślność własnego rozumowania. Rozpisawszy się tedy o projektowanym aliansie, przyszedł do wniosku, że ten alians leży w interesie obu stron, że nawet istnieje, chociaż nie jest spisany i podpisany¹. Czekają go srogie rozczarowanie.

Grey i Palmerston, zaczepieni przez Talleyranda, obiecali naradzić się z kolegami i dać odpowiedź. *Mes ouvertures m'ont paru avoir sur eux le petit mérite de l'inattendu, du moins quant à la forme, si ce n'est quant à l'idée du traité en lui-même*, zwierzył się ambasador swemu ministrowi, który pospieszył wypracować koncept traktatu. Daremna fatyga. Parę dni wystarczyło Talleyrandowi do przekonania się, że z traktatu nic nie będzie: *Pour le moment, je crois qu'il faut laisser dormir notre projet de traité*, pisał do Paryża, 3 stycznia 1834 r.; Anglicy zawsze mieli i mają wstręt do wiązania się umową bez specjalnego i oznaczonego celu...

Ku wielkiemu umartwieniu Talleyranda, pokazało się, że Anglicy kokietują w Wiedniu z Metternichem o różne usługi na Wschodzie. Gabinet Greya tracił grunt w parlamencie i poczynął unikać pozorów zbytnej zażyłości z Francją,

¹ Brogie do Talleyranda, 16 grudnia 1833 r.

221

a w sprawach półwyspu pirenejskiego chodzić odrębnymi drogami.

W ciągu lata 1833, w Portugalii szale przeważały się na stronę dom Pedra. Carlos da Ponza zniszczył flotę Miguelistów, dom Pedro zajął Lizbonę, donnę Maryę okrzyknęto królową. Wojna domowa wrzała jednak dalej. Anglicy chcieli gwałtem pozbyć się dom Pedra i regencyę oddać w ręce swoich stronników. Macocha donny Maryi układała małżeństwo królowej z swoim bratem ks. Leuchtenbergskim, co Orleanom nie dogadzało, ze względu na bonapartystów. Talleyrand podsunął w Tuileries myśl ożenienia jednego z synów króla z Portugalką, lecz Ludwik Filip projekt odrzucił i zaczął protegować Neapolitańczyka. Do donny Maryi Orleani żywili różne żale za niewdzięczność im okazywaną. Na to wszystko przyszła sprawa sukcesji hiszpańskiej.

We wrześniu 1833 r. umarł król Ferdynand VII hiszpański. Niegdyś, na mocy starodawnego prawa kastylijskiego kobiety nosiły koronę w Hiszpanii. Filip V wprowadził prawo salickie, Ferdynand to prawo uchylił, potem przywrócił i znowu zniósł, aby tron przekazać infantce Izabelli, córce z czwartej żony, Krystyny neapolitańskiej, która objąwszy po śmierci męża regencyę, rzuciła się w ramiona partyi konstytucyjnej. Don Carlos, brat Ferdynanda, już pierwiej wygnany do Portugalii, zaprotestował przeciwko sankcyi pragmatycznej, pozbawiającej go tronu, i zgromadziwszy koło siebie swoich stronników, połączył się z Miguelistami.

Austria, Prusy i Rosya nie uznały ani Krystyny z Izabellą, ani don Carlosa, któremu sprzyjały i dostarczały broni i pieniędzy. Anglia i Francja oświadczyły się za Izabellą. Anglików Hiszpania obchodziła o tyle tylko, o ile sprawa następstwa tronu związana była z obrotem wypadków w Portugalii, gdzie Anglicy mieli rozliczne interesa handlowe i morskie. Dla Orleanów don Carlos był kolcem w boku, ze względu na Karlistów francuskich.

Ludwik Filip bał się, jak ognia, bezpośredniej interwencji w sprawy hiszpańskie, mogącej wywołać zatarg z mocarstwami północnymi i zarazem osłabić Francję od strony

222

Belgii i Renu. Stan rzeczy wewnątrz królestwa nie sprzyjał czynnej polityce. W lutym 1834 r. wybuchły krwawe rozruchy w Lyonie, Marsylii, Saint-Etienne; w kwietniu znowu w Lyonie i w Paryżu; rozruchy stłumione z niemałą trudnością i pozostawiające po sobie przygnębiające wrażenie.

Około połowy kwietnia Palmerston zwierzył się Talleyrandowi, że Anglia, Hiszpania i Portugalia zawierają traktat przeciwko donowi Miguelowi i donowi Carlosowi. Wojsko hiszpańskie miało wkroczyć do Portugalii i wspólnie z flotą angielską dopomóc do wypędzenia pretendentów. Francji zostawiano swobodę przystąpienia do traktatu, będącego osobistym dziełem Palmerstona, który namówił Hiszpanów do interwencji i rząd donny Maryi do przyzwania pomocy angielskiej; następnie zaś zdobył wstępnym bojem przychylną decyzję gabinetu. Palmerston życzył sobie formalnej adhezji Francji, aby Europie tem mocniej zaimponować; lecz chciał rząd francuski trzymać na uboczu i odebrać mu możliwość wciągnięcia Anglii w zatargi hiszpańskie.

Francji propozycja angielska była ze wszech miar nie na rękę. Król wolałby być pozostawiony rozstrzygnięciu czasowi. Odłączyć się jawnie od Anglii nie pozwalał wzgląd na Europę. Proste przystąpienie do gotowego traktatu, równało się zepchnięciu Francji na szary koniec. Talleyrand, zaskoczony zniemacka, odpowiedział, że Francja przystąpi do traktatu, jeżeli Anglia zawrze z nią jednocześnie przymierze odporne; w przeciwnym razie, on pierwszy starać się będzie odwieść swój rząd od udziału w akcie, w którym Francji przypadłoby miejsce podrzędne. Przewidując odmowę ze strony Anglii, wspominał zarazem, że Francja zadowolnićby się mogła traktatem poczwórnym, w którym stanie na równi z innymi kontrahentami i który każdemu mocarstwu pozostawi należny udział w wspólnym przedsięwzięciu.

Rada gabinetowa odrzuciwszy bez dyskusji wniosek odpornego przymierza, nie zgodziła się również na traktat poczwórny, obstając przy prostej adhezji. Talleyrand nie ustąpił i dopiął swego. *J'a en à soutenir une lutte prolongée avant d'obtenir cette concession*, pisał do Paryża, gdzie

223

wskutek dymisji ks. Broglie, teka spraw zagranicznych dostała się w ręce admirała Rigny, który sam przyznawał, że burza go tam zapędziła. Gabinet osłabiony ostatniem przesileniem, zdał sprawę na Talleyranda, zalecając mu tylko, żeby traktat był *défendable* przed Izbami. Należało zatem być bardzo ostrożnym przy redakcyi traktatu.

Palmerston przedstawił projekt, dający do poznania, że Francja jest w tej sprawie piątym kołem u wozu. Artykuł, specjalnie tyczący się Francji, umieścił na samym końcu i dodał klauzulę, iż król Francuzów obowiązany jest dostarczyć pomocy na wezwanie sprzymierzeńców. Na żądanie Talleyranda zmodyfikował wstęp i ów artykuł posunął wyżej, lecz upierał się przy pozostawieniu zdania: *et lorsque S. M. sera invitée à le faire*, wskutek czego Francja nie mogłaby się ruszyć bez zgody pozostałych mocarstw i musiała wziąć udział w wyprawie na każde wezwanie. Palmerston składał się trudnościami przyjscia do końca z polyglotyzmem pełnomocników; Talleyrand zasłaniał się gramatyką: *Il y a redondance*, rzecz zaś wypływa sama z ducha traktatu. Natenczas Palmerston przyznał, że chodzi o drażliwość i przesady Anglików, chcących dobrze obwarować się, że traktat ma jedynie Portugalie na celu. Talleyrand odpisał w te słowa: Tak czy owak, Francja nie może przedsięwziąć na półwyspie bez zgody Anglii i dwóch innych państw. Powtórzenie jednej i tej samej myśli w jednym i tym samym artykule, świadczyć będzie o nieufności, czego wystrzegać się winniśmy dla dobra obu krajów i obu rządów. Traktat wyjdzie kiedyś na jaw, a wtedy w Anglii i we Francji opozycja nie zaniedba ukuć z tego bronii na szkodę naszych stosunków.

Argument trafił do przekonania Palmerstonowi; nowa redakcyja artykułu IV brzmiała:

Dans le cas, où la coopération de la France serait jugée nécessaire par les hautes parties contractantes, S. M. le roi des Français s'engage à faire tout ce que lui et ses très augustes alliés détermineront d'un commun accord.

Talleyrandowi wydawało się, że wyrazi: *par les hautes parties contractantes*, mogą dać powód do twierdzenia, że

224

Francja przyznała swą zależność od sprzymierzeńców. Uciekł się raz jeszcze do gramatyki i do powagi Voltaire'a. Wsuniecie tych wyrazów, przecina zdanie i zaciemnia sens; Voltaire mawiał, że nigdy nie żałował wykreśleń, doradzanych przez przyjaciół.

Długi kontrowers niecierpliwił Palmerstona, zmuszonego z każdą zmianą odnosić się do króla i do pełnomocników interesowanych gabinetów. Urwał więc oświadczeniem, że ani kroku dalej nie zrobi. Zdanie Voltaire'a może być słusznym, gdy idzie o książkę; przy układaniu traktatów lepiej trzymać się przeciwnej reguły: niejeden spór międzynarodowy wynikł ze złej i niejasnej redakcyi.

Przed bratem Palmerston tryumfował z odniesionego zwycięstwa. Zgodę moich kolegów, pisał, zdobyłem, nie dając im czasu do robienia zarzutów. Stary Talleyrand i rząd francuski wszczęli mnóstwo trudności co do formy ich udziału; zdołałem jednak zadowolnić ich miłość własną, przyznając im między nami miejsce, jakie mieć chcieli. Traktat poczwórny rozstrzygnie sprawę portugalską i przyczyni się nieco do ułożenia hiszpańskiej. Głównem i trwałem jego następstwem będzie to, że przymierze konstytucyjnych państw zachodnich utworzy przeciwwagę św. przymierzu Wschodu. Traktat poczwórny, pisał Talleyrand do Paryża, wzniesi niezawodnie odrobinę hałasu w Europie. Nie myślę przeczyć, iż podrażni on zazdrość wielkich mocarstw Północy, lecz sądzę, że nie przysporzy nam to trudności, na jakie od lat trzech narażeni jesteśmy... Ścieśniając węzły, łączące nas z Anglią, i czyniąc Hiszpanię i Portugalie, żeby tak rzec, zawisłemi od nas, traktat wzbudzi na dworach północnych pewien respekt dla Francji. Gdyby nawet ujrzały one w tem wszystkim skupienie się narodów, przejętych duchem rewolucyjnym, tembardziej wystrzegać się będą zaczepki względem potęgi, samej z siebie groźnej i otoczonej sympatyą wszystkich ludów.

Agenci dyplomatyczni francuscy zagranicą wystawiali traktat, jako odpowiedź na zjazd w Münchengraetz. Metternich twierdził, że jestto frazes, pożyczony u gazet rewolucyjnych

225

i nie mający praktycznej wartości, albowiem Francya i Anglia długo przed zawarciem traktatu popierały zasady rewolucyjne; traktat sam, w niczem istoty rzeczy nie zmieniając, stanie się źródłem niezgody między sprzymierzeńcami. Następstwa dały mu racyę.

Interwencya hiszpańska przyspieszyła upadek dom Miguela, który po nieszczęśliwej potyczce pod Thomar, 15 maja, zrzekł się korony i opuścił Portugaliją. Don Carlos trzymał się jeszcze, ale musiałby był także uleść przeważnej sile. Tymczasem pełnomocnik angielski Grant, uprzedził katastrofę swoim pośrednictwem. Don Carlos złożył wprawdzie broń i do Anglii odpłynął; w kapitulacyi nie było jednak mowy o zrzeczeniu się praw do tronu hiszpańskiego. Teraz Francya osiadła na koszu, z kolcem w boku, pretendent bowiem do niczego się nie zobowiązał, mógł wrócić każdej chwili do Hiszpanii, i w samej rzeczy wrócił, niedalej jak w lipcu, aby wzniecić wojnę domową w okolicznościach dla siebie pomyślnych, Hiszpanie bowiem już uprzykrzyli sobie liberalne rządy regentki.

Je n'ai pas besoin de vous dire dans quel embarras nous met l'arrivée de don Carlos en Espagne....— pisał admirał Rigny, 21 lipca, do Talleyranda. W Izbach zanosilo się na rozprawy nad polityką zagraniczną, w której na pierwszym miejscu stała Hiszpania i traktat poczwórny; gabinet przewidywał, że spotka się z zarzutem, iż wyciągał dla Anglików kasztany z pieca, bez pożytku własnego kraju. Niewiadomo było, czy Anglia zechce traktat uznawać i nadal obowiązującym. Hiszpania miała podwójny tytuł do zażądania od Francyi pomocy, na mocy traktatu i na mocy dawnych przyrzeczeń; nadto don Carlos, udając się do Hiszpanii, przejechał wzdłuż całe terytorjum francuskie. W Paryżu redukcya kuponów od renty hiszpańskiej, krzywdząca mnóstwo drobnych kapitalistów, wywołała wielkie nieukontentowanie w partyi rządowej, zarzucającej gabinetowi słabość i nieczynność. Ruch karlistowski w Hiszpanii groził wznieceniem podobnych ruchów na południu Francyi; w każdym zaś razie musiał stać się zachętą dla legitymistów, którzy

226

świeżo zyskali w Izbie dzielnego rzecznika w osobie Berryera, wybranego w Tuluzie i Marsyllii. Ludwik Filip bał się mocarstw północnych, co Rigny dosłownie Talleyrandowi wyznał; bał się wszelkiej wojny i zbrojnej interwencji w Hiszpanii. W gabinecie zdania były podzielone; niektórzy członkowie już przy zawarciu poczwórnego traktatu mówili o wysłaniu tam dziesięciu tysięcy ludzi, lecz król się temu oparł, a marszałek Soult powtarzał: Ani dziesięciu tysięcy, ani pięciu tysięcy, ani nawet stu żołnierzy; znam dobrze Hiszpanię z własnego doświadczenia i nigdy królowi podobnego kroku nie doradzę.

Palmerston uznawał, że cel traktatu poczwórnego nie jest osiągniętym, i że pozostaje *coś* do zrobienia na rzecz Izabelli; wypada jednak czekać, co rząd hiszpański powie. Na razie gabinet polecił kilku lekkim statkom angielskim krążyć u wybrzeży; Francya to samo uczyniła. Do czasu więc ocalały pozory wspólnego postępowania mocarstw zachodnich, lecz Talleyrand ostrzegł w Paryżu, że Anglia nie życzy sobie bynajmniej zbrojnej interwencji francuskiej.

Les dépêches de Madrid ne donnent pas un grand appétit d'aller se fourrer là; najlepiej byłoby, gdyby Hiszpania niczego od nas nie żądała, — odpowiedział Rigny. Pani Adelaida, pod największym sekretem odkryła Talleyrandowi najtajniejsze myśli *du cher roi*. Ludwik Filip zdecydowany był nieszczędliwiej młodej królowej moralnego poparcia i sądził, że ono wystarczy, a nawet osiągnie lepszy skutek niż zbrojna interwencya. Co do tej ostatniej, król nie może ręczyć, iż nigdy nie nastąpi; owszem, chce, aby wiadano, że gotów jest w potrzebie uciec się do najsmielszych środków, gdy tego wymagać będzie interes Francyi. Ponieważ jednak interwencya zbrojna w Hiszpanii osłabić musi Francję od strony Renu i Alp, i z tego powodu skusić może mocarstwa północne do rozpoczęcia wojny przeciw Francyi, król nie przekroczy Pireneów, dopóki Anglia nie zawrze z nim przymierza.

Hiszpania zażądała od Anglii i Francyi materialnego poparcia, tudzież zbiorowego oświadczenia sprzymierzeńców

227

przeciwko don Carlosowi i dodatkowych artykułów do traktatu poczwórnego. Palmerston wywiódł Francję z kłopotu, znajdując, że niema właściwie o co zawierać nowej umowy. Rząd francuski ma prawo niezaprzeczone zabronić przewozu broni i materiału wojennego dla powstańców hiszpańskich, równie jak strzedz wraz z Anglią wybrzeży hiszpańskich od kontrabandy wojennej, w granicach prawa narodów. Co się tyczy zbrojnej pomocy, wolno Hiszpanii prosić o takową, a Francyi udzielić, lub odmówić. Deklaracya przeciwko pretendentowi, może przyjść do skutku pod postacią not dyplomatycznych, podanych do wiadomości publicznej. Francyi to dowodzenie najzupełniej dogadzało. Na nalegania rządu hiszpańskiego i portugalskiego, dwa mocarstwa przystały na zawarcie dodatkowej konwencji z 18 sierpnia 1834 r., złożonej z trzech artykułów. Pierwszy niósł, że Francya zamknie granicę dla ochotników i niedopuszczi kontrabandy wojennej. Drugim, Anglia zobowiązała się dostarczyć rządowi hiszpańskiemu broni i amunicyi, tudzież w razie potrzeby pomocy sił morskich. W trzecim, don Pedro, jako regent portugalski, obiecał przybyć na zawołanie z sukursem dla Izabellistów.

Konwencya nic nowego nie przyniosła dla nikogo. Rząd francuski już poprzednio pilnował granicy, jak mógł i umiał najlepiej; don Carlos potrafił przecieżyć ujęć jego czujności. Angielskie okręty strzegły wybrzeży hiszpańskich i angielscy handlarze sprzedawali Hiszpanom broń i proch; w pierwotnym projekcie konwencji znajdowała się klauzula, warująca zapłatę za dostarczony materiał wojenny; klauzulę usunięto, aby w Izbach francuskich nikt nie mógł wyrzekać na monopol, przyznany Anglii za szkodę francuskich dostawców.

Metternich, gdy mu poseł francuski zakomunikował konwencyę, trafnie określił doniosłość praktyczną *de ce nouvel acte des quatre complices*. Francya, pisał do swego ambasadora przy dworze petersburskim, Francya nie osiągnęła dla siebie żadnego nowego prawa; każde państwo bowiem może na własne ryzyko zamknąć lub otworzyć swoje granice komu chce; natomiast wyrzekła się swobody działania. Tożsamo stosuje się do Anglii, z tą różnicą, że Anglia jest

228

mniej związaną w ruchach, niż Francya. Artykuł III posłużył za miarę żywotności rządów Krystyny; jeżeli potwierdzi ten artykuł, znaczyć to będzie, że się czuje bliskim śmierci. Don Pedro ma wojsko regularne, jemu samemu dla własnego bezpieczeństwa potrzebne; Krystynie na pomoc posłać może chyba legiony obce, które w Hiszpanii połączą się z tamtejszymi *comuneros*, aby republikę zaprowadzić.

Ostatnia przepowiednia nie sprawdziła się, jak bardzo wiele prorocत्व kanclerza. Drwiny z nowego traktatu *des quatre complices* były do pewnego stopnia uzasadnione, lecz ci czterej, tak pogardliwie traktowani, nie kryli przynajmniej czego chcą, działali jawnie w biały dzień i dążyli ostatecznie do położenia tamy wojnie domowej w Hiszpanii. Wielkie mocarstwa północne,

występujące w obronie zasad monarchicznych i zachowawczych, nie mogły zdobyć się na nic więcej, prócz marnych skarg i narzekań na niegodziwość ludzką; potajemnie zaś dopomagały do uwiecznienia na półwyspie pirenejskim bratobójczej walki, największego nieszczęścia, jakie naród spotkać może. Jeden rycearz monarchizmu posyłał don Carlosowi pieniądze, drugi bawił się kontrabandą starych karabinów. Uznać pretendenta za prawowitego monarchę, żaden się nie odważył. *Rien de plus facile que de lâcher le mot*, rozumował Metternich; formalne uznanie przyniosłoby bezwątpienia wielką i niezaprzeczoną siłę moralną sprawie don Carlosa, lecz nikt przewidzieć nie zdoła następstw ze strony mocarstw zachodnich, zwłaszcza Ludwika Filipa, który mógłby opuścić stanowisko pośrednie, zajmowane dotąd względem infanta. Mocarstwa nie uznały królowej Izabelli, nigdy także nie uznają Rzeczypospolitej hiszpańskiej, a ponieważ każdy kraj musi mieć rząd, nie pozostaje najmniejsza wątpliwość, komu mianowicie mocarstwa przyznają prawo rządzić w Hiszpanii. Coby jednak nastąpiło, gdyby don Carlos, uznany królem, został wypędzony z swego królestwa? Gdzie i jakie są środki przywrócenia go na tron? Pozostawiając don Carlosa swemu losowi, mocarstwa dowiodłyby światu, że protekcyja dwóch morskich

229

mocarstw jest pożyteczniejszą dla pretendentów od opieki dworów północnych.

Świat od dość dawna tego się domyślał. Don Carlos, obsaczony przez swego pogromcę z Portugalii, Rodila, tułał się po górach, krew ciekła nadarmo, społeczeństwo demoralizowało się, Hiszpania upadała coraz niżej w rzędzie narodów.

W kilka dni po podpisaniu konwencji, Talleyrand opuścił Londyn.

XXXVII.

Doświadczenia ostatnich czasów nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, że Anglia coraz bardziej i coraz wyraźniej odsuwa się od Francji, i że ta ostatnia na przyjaźń sąsiadki liczyć nie powinna. Przyczyną tego była nietyle sprzeczność interesów, jak niespokojna i niepewna polityka Ludwika Filipa, tudzież położenie gabinetu angielskiego. Rządy whigów miały się ku schyłkowi; większość rządowa często odmawiała posłuszeństwa; skład gabinetu ulegał zmianom, świadczącym o rozprężeniu w samym jego łonie. Wpływ Greya upadł zupełnie; gabinet nie posiadał rzeczywistego naczelnika. Korzystał z tego Palmerston, aby sprawy zagraniczne prowadzić na własną rękę. Z wszystkich mocarstw, Francja była mu najbardziej sympatyczną, a nieraz wygodnym narzędziem i pożądaną współpracowniczką; lecz chwilowo Francji nie potrzebując, unikaniem pozorów wielkiej z nią zażyłości, kupował sobie spokój w parlamencie ze strony torysów. Prócz tego, osobiste stosunki Palmerstona z Talleyrandem mocno się popsęły. Nestor dyplomatów traktował wszystkich nieco z góry i lubił, żeby mu się nisko kłaniano. To Palmerstona niecierpliwiło i bodło; nie pozwalał sobie imponować, wreszcie nawet zaczął uchybiać Talleyrandowi, niedotrzymując umówionych spotkań, każąc ambasadorowi czekać godzinami w przedpokoju.

¹ Bulwer: *Life of lord Palmerston*.

230

Talleyrand opuścił Londyn, niekontent z Anglików i z doznanego zawodu w projektach przymierza, nawpół zdecydowany złożyć urząd. Ale o tem głośno nie mówił; zdaje się, że upatrywał sposobności wyjścia z efektem. Przed wyjazdem zaprosił do Valençay wielu znajomych na jesień. W Paryżu Orleanie zasypali go czułościami; Ludwik Filip kazał zrobić swój portret *en pied* i w dowód szczególnej łaski wysłał w październiku najstarszego syna z wizytą do Valençay. Jak Talleyrand donosił księżnie de Bauffremont, wszystko poszło doskonale, deszcz nie padał, dom był pełen gości, następca tronu bawił się wybornie i odjechał kontent; ucierpiał tylko nogi gospodarza, który pocieszał się tem *qu'il faut vivre avec ses maux*. Później dopiero pokazało się, jakie niesmaki i kwasy pozostawiła po sobie wizyta księcia.

Ludwik Filip nienawidził doktrynerów, którzy chcieli go opanować i zrobić malowanym monarchą. Wskutek nieporozumień z królem, Broglie usunął się z gabinetu. Mały Thiers, awansowany wtenczas na ministra spraw wewnętrznych, wygryzł z ministerium marszałka Soult, główną podporę polityki królewskiej, i niezmordowanie intrygował, aby zmusić króla do utworzenia z samych doktrynerów gabinetu pod prezydencją ks. de Broglie, któremu przeznaczano także sprawy zagraniczne. Król bronił się zacięcie, ale nie mógł znaleźć nikogo innego na miejsce pocziwego marszałka; szukał zaś między dawnymi bonapartystami, do których miał

szczególne nabożeństwo, czy dlatego, że ich uważał za ludzi przyuczonych do uległości, czy też z obawy tego stronnictwa; najprędzej zaś z obu powodów. Na to nabożeństwo Ludwika Filipa do sług nieboszczyka cesarza, Talleyrand zawsze nosem kręcił.

Podczas pobytu w Valençay, ks. Orleański wyrzekł przed Talleyrandem na ludzi, których ojciec musi używać, przewidywał bliskie przesilenie gabinetowe i prosił swego gospodarza o wskazówkę, kogo mianowicie należy do władzy powołać? Talleyrand odpowiedział: *Tous ceux dont je ne sens pas le nom*. Z jego strony było prosty wybieg, albowiem w duchu sprzyjał doktrynerom i musiał wiedzieć o ich

231

robocie, w trakcie będącej. Świadczy o tem list z 11 listopada 1834 r. do ks. de Broglie, któremu Talleyrand obiecuje przybyć do Paryża w pierwszych dniach grudnia i dopomagać swoim starym doświadczeniem, a nawet w razie potrzeby objąć napowrót ambasadę londyńską.

Zaledwie ten list odszedł, zjawilo się pismo pani Adelaidy z 10 listopada, z nieprzyjemną nowiną o porażce doktrynerów i jeszcze nieprzyjemniejszą listą nowych ministrów. Na czele gabinetu stał ks. Bassano, sprawy zagraniczne wzięł Bresson, ów pełnomocnik konferencji londyńskiej w Brukselli. Pani Adelaida składała całą winę na niewdzięczność dawnych ministrów, którzy najlepszemu z królów, za tyle dobroci odpłacili podaniem się do dymisji w chwili otwarcia Izb. Chcieli królowi prawo dyktować, oddać ks. de Broglie sprawy zagraniczne i prezydencję gabinetu, złożonego z samych doktrynerów. Król poszedł za radą, udzieloną w Valençay ks. Orleańskiemu i zdecydował się powołać *un ministre tout neuf*.... I przebiegła niewiasta, aby ozłocić pigułkę, uciekła się do pochlebstwa: *Vous savez tout le poids de vos conseils sur notre cher roi*.... Dalej szły pochwały dla nowego ministra spraw zagranicznych. Bresson był uczniem Talleyranda, rozumnym i utalentowanym człowiekiem; sam

Talleyrand nieraz go chwalił. W Berlinie Bresson zyskał ogólny szacunek; niema wprawdzie wielkiego stanowiska w świecie, lecz odznacza się talentem i zacnością.

¹ *Quant à aller à Londres, je n'en sens pas bien la nécessité. Je suis bien vieux. Tout autre y fera maintenant aussi bien que moi, au moins. Si cependant, par impossible, vous arriviez à égarer assez mon amour-propre pour me persuader que je suis, jusqu'à un certain point, indispensable encore aux affaires actuelles, alors je croirai sans doute de mon devoir de m'y livrer jusqu'à leur accomplissement et je partirai pour Londres. Après avoir fini ce à quoi vous me jugez nécessaire, vous me laisserez retourner tout de suite dans ma tanière et rentrer dans l'engourdissement qui seul me convient maintenant.*

Le prince de Talleyrand et la maison d'Orléans, par la comtesse de Mirabeau. Paris, 1890.

232

Skończyć służbę pod takimi zwierzchnikami, jak Bassano i Bresson?... W dodatku chciano weń wmówić, że on sam tych zwierzchników zarekomendował niejako królowi?... Nie zwlekając długo, Talleyrand postanowił zażądać dymisji, a pani Adelaidzie odpisał w te słowa:

„W liście pani znajduję nazwiska w samej rzeczy bardzo nowe. Nie skarżę się, lecz jeżeli wolno mi żal jaki wyrazić, żałuję, iż nie wszystkie są zarówno nowe. Bassano zestarzał się i popadł w nicość wraz z cesarstwem. Inny (Bresson), pomimo dziwnie szybkiej kariery, pozostawił w archiwach mojej ambasady po sobie ślady swego pobytu w Brukselli, niekoniecznie pochlebne; przynajmniej zresztą temu młodzieńcowi, że jest zdolny, czynny, przywiązany i spodziewam się, że usprawiedliwi dobroć króla. Nie przeczę również, że wszystko jest lepsze od nieobecności rządu i odosobnienia króla, albo konieczności poddania się pretensjom zarozumiałców i niewdzięczników... Teraz wolno mi mówić o sobie. Wyprawiam do wydziału spraw zagranicznych list, z prośbą o dymisję. Winienem sądzić, że król ją przyjmie, skoro ks. Orleański oświadczył mi, iż jego zdaniem, moja obecność w Londynie jest nadal bezużyteczną. Książę ma słuszność. Jestem stary, kaleka, przygnębiony smutkiem na widok, jak szybko znika pokolenie, do którego się liczę: *homme d'un outre temps, je me sens devenir étranger à celui-ci*. W ciągu ostatnich czterech lat, wyciągnęliśmy z Anglii wszystkie pożytki, jaki dać nam mogła; oby w przyszłości szkody na nas ztamąd nie spadły! Anglia dziwnie się zmienia i coraz bardziej zmieniać się będzie. Nie czuję ochoty zdążyć za nią na obranej drodze. Prócz kwesty i systemu, zachodzi jeszcze kwestya osób. Lord Palmerston i ja nie zgadzamy się z sobą i niepodobamy sobie wzajemnie. Dobro służby króla nie powinno cierpieć na tem. Co do mnie jeszcze, potrzebuję wypocząć przed końcem życia. Miejsca, jakie mi kiedyś historia przeznaczyć może, winienem ocalić pamięć usług, w ciągu pół wieku przeszło Francji przezemnie oddanych, podejmując się zaś obowiązków bez celu, stałbym się nieużytecznym memu krajowi i zaszkodził godności własnej.“

233

W napadzie złego humoru Talleyrand zrobił z sobą samym obrachunek i zdobył się na postanowienie, które go dużo kosztować musiało, skoro ciągle je odkładał i teraz różnej wagi powody swego kroku na jednym planie umieścił. Wiek, kalectwo, oziębienie przyjaźni z Anglią i osobistych stosunków z Palmerstonem, były wystarczającą pobudką do usunięcia się z ambasady londyńskiej. W podeszłym wieku, zgon rówieznika lub długoletniego przyjaciela, podwójnie zasmuca, bo jest ostrzeżeniem, że myśleć trzeba o podróży, z której nikt nie wrócił. Talleyrand poniósł dwie takie straty dotkliwe, przez śmierć pani de Vaudémont i świeży zgon pani Tyszkiewiczowej¹. Montrond powiadał, że po śmierci pani de Vaudémont, widział po raz pierwszy Talleyranda płaczącego. Przyjaźń z panią Tyszkiewiczową przetrwała lat dwadzieścia i siedm; Talleyrand, jak widać z różnych listów, mocno uczył boleść wiecznej rozłąki, ale donosząc o tem lady Jersey, nie zaniedbał upomnieć się o nowinki polityczne z Anglii i pochwalić wizytą następcy tronu, a myśli powrotu do Londynu całkiem niezarzucił. Dopiero ministeryalne machinacje Ludwika Filipa poruszyły w nim wszystkie zawody i smutki; zemścił się na Orleanach, najmniej winnych w tej sprawie, albowiem król i pani Adelaida najmocniej pragnęli pozostania Talleyranda w służbie.

Bassano urzędował całe trzy dni, po upływie których ministrowie przyszli do króla z oświadczeniem, że służyć nie mogą pod prezesem, mającym więcej długów, niż włosów na głowie. Pani Adelaida skorzystała z tego, żeby błagać Talleyranda o cofnięcie dymisji, ofiarując mu ambasadę wiedeńską, na wypadek, gdyby nie chciał wracać do Londynu; Ludwik Filip kazał podanie Talleyranda sobie oddać i do swego biurka nieodpieczętowane schował. Tym razem Talleyrand nie ustąpił, ale i Orleanom całkowicie nie przebaczył. Odpowiadając pani Adelaidzie, znowu poskarżył się na następcę tronu, który Anglikom, obecnym w Valençay, mówić miał, że Talleyrand nie ma po co wracać

¹ Zmarłej w Tours, 2 listopada 1834 r.

234

do Londynu. Pani Flahaut rozgadywała w Anglii niestworzone rzeczy o tej wizycie; Talleyrand i te plotki włożył na karb księcia. Zresztą, obok zapewnień przywiązania do osoby rodziny króla, dowodził, że jego dymisya żadnej szkody nie przyniesie i jednemu chyba Palmerstonowi może być nieprzyjemną. Korespondencya na ten temat trwała dość długo; sam król parę razy wprost się odezwał do serca swego ambasadora, z nielepszym od siostry powodzeniem. Ks. Orleańskiemu kazano pisać do pani Dino, aby naprawić, co popsuł.

Tymczasem w Anglii, po upadku whigów, Wellington z torysami objął rządy. Ludwik Filip sądził, że to skłoni Talleyranda do pozostania. Lecz u tego minął zły humor, a rozum wziął górę. Odpisał królowi, że jego zadanie spełnione, wyrobił bowiem dla rewolucyj lipcowej prawo obywatelstwa w Europie. Cofnięcie w tej chwili dymisji, oddawna zapowiadanej i już powszechnie wiadomej, uczyniłoby go członkiem partii, czego zawsze unikał, *ayant toujours voulu être l'homme de la France*.

Rozum także kazał mu tak się urządzić, aby ostatni akt burzliwego żywota był przyzwoity, godny po ludzku i respekt nakazujący. W wyżej wspomnianym liście do króla, znajduje się ustęp z wyraźnym tego wyznaniem: *Le roi oublie trop souvent, dans son indigente bonté, mon grand âge; il oublie qu'il n'est plus permis à un octogénaire de manquer de prudence, car ce qui rend les fautes de vieillesse si tristes, c'est qu'elles sont irréparables*. Innemi słowy, chciał nic już więcej nie mieć do naprawiania. Z tychże

samych przyczyn, podziękował za ambasadę wiedeńską. Wiedeń, pisał do pani Adelaidy, podobałby mi się z wielu względów i odpowiadał pani Dino, z żalem Londyn opuszczającej, gdyby nie to, że przed dwudziestu laty byłem tam człowiekiem

Restauracji. *Mademoiselle a-t-elle bien songé à un pareil rapprochement ?*... I to wobec Karola X, tudzież księżny d'Angoulême, która często bywa w Wiedniu, przyjmowana z honorami, należnymi jej stanowisku, nieszczęściu i pokrewieństwu. W Anglii Burboni starszej linii są ludźmi prywatnymi; w Austrii książętami krwi i niemal pretendentami.

235

Robi to niezmierną różnicę dla ambasadora króla, szczególnie dla mnie, gdyż w życiu mojem rok 1814 zapisany jest wielkimi literami.

Tkwiła w tem i lekcy przyzwoitości dla Orleanów. Ludwik Filip chciał gwałtem ożenić najstarszego syna z arcyksiężniczką i pomimo zimnego przyjęcia swatów, ciągle wracał z swoim projektem. Talleyrand wolał komu innemu podobne zlecenia zostawić, tembardziej przeto zapewniał panią Adelaide, że nie widzi i nie pragnie dla siebie nic, prócz prostej i spokojnej egzystencji w domowym zaciszu i rozmyślania dawnych wspomnień. Gdyby jednak miał się zgromadzić kongres europejski, jak niegdyś w Weronie, lub w Akwizgranie, a król uznał go za zdolnym bronić interesów Francji — to co innego: *Que le roi me donne ses ordres et je pars à l'instant.*

Francuzi utrzymują, że Talleyrand nowego świata wcale nie rozumiał; nie zdawał sobie sprawy z przewrotu, jaki rewolucya francuska wywołała w stosunkach społecznych całej Europy i z wpływu tego przewrotu na stosunki międzynarodowe; trzymał się do końca życia wyobrażeń, doktryn i praktyk z końca XVIII wieku, szczególnie z czasów Konstytuanty. Demokracji przyznawał on znaczenie w Ameryce; w Europie była ona dlań czężą formułą. Prostego ludu nie przestał uważać za bierną masę, dbającą jedynie o chleb powszedni i o prawa cywilne. Sam będąc arystokratą liberalnym, nie odmawiał oświeconemu mieszczaństwu przywilejów politycznych, udziału w rządzie, wpływu na opinię publiczną, honorowego kącika w przybytku, dostępnym dla wybranych, którym tradycya przekazała monopol rozumu stanu. Na demokratyzowanie Anglii i Francji kiwał głową, uważając to za rodzaj obłędu epidemicznego, szerzącego się zwłaszcza z winy nierozważnych statystów. Stosunki międzynarodowe traktował jak w XVIII wieku, ze stanowiska równowagi, przywracanej od czasu do czasu drogą układów i kompensat. Do wojen zawsze czuł wstręt; na starość powiedział sobie, że głównym obowiązkiem każdego rządu, dążyć do utrzymania pokoju, i najmocniej był przekonany, że wszelki zatarg da się załagodzić

236

sztuką negocyatorską, zgromadziwszy interesowanych przy jednym stole. Na tem polu odniósł najświetniejsze zwycięstwa swoje, w Wiedniu, potem w Londynie, i marzył o zdobyciu raz jeszcze podobnych laurów.

Natura ciągnęła wilka do lasu, ale stary wilk miał węż mocno przytępiony. Pora klasycznych kongresów minęła była bezpowrotnie, brakowało podstawy i punktu wyjścia, zasad powszechnie przyjętych i dobrej woli do wzajemnych ustępstw. Metternich często wspominał, że dobrze byłoby zgromadzić się w jakimś mieście niemieckim na pogadankę o bieżących sprawach, lecz na myśli miał poskromienie propagandy rewolucyjnej i liberalnej, przez zbiorową policję mocarstw, do czego ani Francya ani Anglia nie czuły pociągu. Żaden gabinet parlamentarny nie był dość silnym, aby wystawić się na zarzut, że bierze udział w nowym spisku despotów. W sporach hiszpańskich, włoskich, szwajcarskich, mocarstwa zachodnie i północne dzielił antagonizm zasadniczy, niedopuszczający kompromisu. Wszyscy wreszcie bali się tykać Wschodu.

Gorąco zaleciwszy myśl kongresu, Talleyrand uderzył do Wellingtona, jako do jedynego człowieka, który swoją powagą mógł Europę skłonić do takiego przedsięwzięcia, lecz i w Paryżu i w Londynie posłuchu nie znalazł.

XXXVIII.

Odtąd Talleyrand przestał trudnić się polityką. Przybywszy z początkiem zimy do Paryża, doznał od Orleanów niezmiernie czulego przyjęcia, lecz i stosunek z rodziną królewską ustał wkrótce.

Gagern, tensam Gagern, co niegdyś był pośrednikiem między ministrem Napoleona i książętami Konfederacji reńskiej, pisząc do Talleyranda na wiosnę r. 1835, zrobił mu grzeczne wymówki za przedwczesne usunięcie się od spraw publicznych. Talleyrand odpowiedział, że usunął się, skoro dokonał swego zadania: uratował Francję od wojny,

237

otrzymał dla rewolucji lipcowej prawo obywatelstwa w Europie i zaspokoił świat na punkcie *propagandyzmu*, przypisywanego rządowi Ludwika Filipa; co osiągnąwszy, nie chciał doczekać się, aż mu przypomną *solve senescentem* Horacego.

Lorsque de tout on a tâté,
Tout fait ou du moins tout tenté,
Il est bien doux de ne rien faire...

Jedynem więc jego zajęciem używać w całej pełni słodczy *far niente*, między dwiema najdroższymi istotami, panią Dino i jej córką Paulina, którą nazywał *l'idole de sa vieillesse*.

Nie tańl przytem, że żyje wspomnieniami i że myśli o sądach, jakie go czekają u potomności. W listach, pisywanych ze wsi do paryskich znajomych, znajduje się dość często wzmianka: *je travaille... je travaille chaque jour plusieurs heures*. Świat wniósł z tego zaraz, że książę Talleyrand pisze swoje pamiętniki i puścił się na domysły, co one zawierać będą.

Cała część pamiętników, tycząca się Rewolucyi, Cesarstwa i Restauracji, była już dawno gotowa. Talleyrand porządkował teraz papiery z ambasady londyńskiej i przeplatał je krótkimi komentarzami, które dyktował sekretarzom. O pamiętnikach w ścisłym i powszechnie przyjętem znaczeniu słowa, nigdy mowy nie było, tem mniej o pamiętniku własnoręcznie pisanym. Francuzi nie przypuszczali, żeby pamiętniki składać się mogły przeważnie z dokumentów urzędowych i z prywatnej korespondencji; dlatego już wielki czekał ich zawód. Spodziewano się prócz tego mnóstwa zdumiewających odkryć i skandalicznych anegdot, a to przypuszczenie zdawał się popierać sekret, jakim autor otaczał swoje *opus*, następnie zaś klauzula testamentowa, polecająca spadkobiercom nie ogłaszać pamiętników przed upływem lat trzydziestu. Tymczasem głównem źródłem dyskrecyi był zwyczaj, pilnie przestrzegany, wzbraniający urzędnikowi wyjawiać tak zwane papiery stanu. Co do reszty, współcześni źle

238

sądzi człowieka, z którym zjedli niejedną beczkę soli. Stary grzesznik zawsze unikał skandalu, pod koniec zaś życia dbał więcej niż kiedykolwiek o dobrą reputację i nawet o pozory szacunku ludzkiego.

W sąsiedztwie Valençay przebywał latem Royer-Collard, mieszczański Katon, twardy w obejściu, na którego zdanie wszyscy zważali. Talleyrand mocno pragnął zawiązać stosunek sąsiedzki z Katonem, często powtarzającym, iż na dwa rodzaje istot patrzeć nie może bez obrzydzenia, mianowicie na królóbójcę i na żonatego księdza. Sprawa nie była więc łatwa; Talleyrand musiał udać się w pokorę i przyjąć warunek, że ani małżonka Katona, ani jego córka nogą w Valençay nie postanie. Wybrawszy się pierwszy z wizytą do Château-Vieux, po najokropniejszej, górzystej i kamienistej drodze, pomścił swoje kości utrażone i swoją urazę, witając gospodarza słowami: *Monsieur, vous avez des abords bien sévères...*

Do Talleyranda przystęp nie był tak surowy, ale i nie łatwy. W Paryżu zwłaszcza wznosił on u siebie przedrewolucyjny obyczaj i ścisłą etykietę, czem się zresztą bronił od najazdu gapiów, którzy zwiedziwszy ciekawości stołeczne, chcieli koniecznie oglądać oblicze dygnitarza tyłu rządów i dynastji. Wizyt nie oddawał nikomu, u siebie przyjmował wieczorem, ile tylko zdrowie na to pozwalało. Miał kucharza europejskiej sławy i lubił dawać wykwinne obiady, używające wielkiej wziętości. Przy drugim daniu, marszałek dworu stawiał przed gospodarzem półmisek z jakąś szczególną potrawą, którą gospodarz własnoręcznie gości obdzielał, z dodatkiem gestów i frazesów, stopniowanych wedle hierarchicznej godności: *Monsieur le duc, aurais-je l'honneur de vous offrir?..... Monsieur le marquis, voulez-vous bien permettre?... Mon cher comte, votes enverrais-je?... Baron, vous plait-il?..... Eh! là-bas, Montrond ?...* Siedzącym na szarym końcu, dostawało się tylko kiwnięcie łyżką.

Po obiedzie książę zasiadał do wista; człowiek, niemniejący grać w wista — mawiał on — gotuje sobie smutną starość. Wtedy zazwyczaj przedstawiano mu cudzoziemców

239

przejeżdżających, których witał skinieniem głowy, i na tem kończyła się znajomość. Powierzchnowość nie była ujmująca. Na grubym i ciężkim kadłubie spoczywała wielka głowa, pokryta obfitym siwym włosem, spadającym, jak peruka, na kołnierz staroświeckiego fraka. Twarz koloru wosku, w sine plamy, od dołu tonęła w białej chustce, kilka razy okręcającej szyję; na olbrzymie i mocno. krochmalne kołnierzyki, zwieszały się fałdy policzków. Z pod brwi krzaczystych, obojętnie patrzyła para siwych oczów. Szczególnie nieprzyjemnym miał być pogardliwy wyraz ust zaciśniętych, z dolną wargą obwisłą i głębokimi rowami w kątach. Głos silny, pełny i mężki, nabrał jakby grobowego oddźwięku. Obcy rzadko głos ten słyszeli; Talleyrand coraz mniej rozmowny, tonem wyroczeni rzucał zrzadka lakoniczne zdania. *M. de Talleyrand n'invente plus, il se raconte*, powiadał Royer-Collard, a kroniki nie zapisują nowych z tego czasu conceptów. Małomowność niezmiernie jednak ludziom imponowała, potwierdzając trafność anegdoty o rabinie tak mądrym, że nigdy nie gada.

Stały w przyjaźni, Talleyrand miał jeszcze jedną dobrą stronę, namiętnie lubił dzieci. Hrabina Mirabeau, siostrzenica pana de Bacourt, opowiada, jak będąc ośmioletnią dziewczynką i poszedłszy z rodzicami do pani Dino, aby z okien przypatrywać się fajerwerkowi na placu Zgody, została zaprowadzoną do pokoju starego księcia, który jakkolwiek mocno cierpiący, kazał sobie przedstawić kuzynkę przyjaciela. Siedział wyprostowany w olbrzymim fotelu; na sobie miał watowany szlafrok z białego fularu w chińskie desenie, białą chustkę na szyi i kołnierzyki, krające policzki; kulawa noga, wyciągnięta na taburecie, kończyła się stopą okrągłą, nakształt końskiego kopyta. Dziewczynka, nieco wystraszona, tuliła się do pani Dino. Talleyrand przyciągnął ją do siebie, objął ramieniem, i chcąc pocałować, ukłął w nos końcem kołnierzyka. Dziecko wybuchło śmiechem, lody były przełamane.

¹ Autorka książki: *Le prince de Talleyrand et la maison de Orléans*.

240

Przy pożegnaniu, książę zalecił jej, aby wuja, gdy będzie stary, tak pielęgnowała, jak pani Dino pielęgnuje stryja.

Podporze swojej starości przy każdej okazji wyrażał wdzięczność i oddawał największe pochwały. Pani Dino, wydana za mąż w trzynastym roku życia i licząca wówczas lat czterdzieści parę, bardzo jeszcze piękna, z czarnemi, niezwykle wielkimi oczami, któremi patrzeć umiała, była dla stryja prawdziwym aniołem stróżem, czuwającym nad doczesnem jego dobrem, duszą i pamięcią.

XXXIX.

W r. 1832, na propozycję Guizota, Ludwik Filip przywrócił był w Instytucie francuskim, tak zwaną klasę nauk moralnych i politycznych, utworzoną niegdyś przez Konwencyę i następnie zniesioną za Konsulatu, jako gniazdo nienawistnej Bonapartemu ideologii. Talleyrand, członek tej klasy w początkach jej istnienia, został naturalnie i teraz wybrany, ale na posiedzeniach nie bywał. Dopiero pod wiosnę r. 1838 dowiedziano się, że stary książę zamierza na zwyczajnem posiedzeniu 3 marca odczytać pochwałę niedawno zmarłego kolegi, Reinharda.

Takie pochwały czytywał zwyczajnie stały sekretarz, Mignet. Osobistość zmarłego nie odznaczała się niczem nadzwyczajnem. Reinhard, Szwab rodem z Wirtembergii i protestant, przeznaczony pierwiastkowo na pastora, ukończywszy nauki teologiczne w Tubindze, przeniósł się około r. 1787 do Bordeaux i guwernerował w jakiejś protestanckiej rodzinie francuskiej. Tam wszedł w stosunki z rewolucjonistami, którzy ułatwili mu wstęp do służby dyplomatycznej. W roku 1792 znajdujemy go sekretarzem poselstwa w Londynie, następnie rezydentem przy miastach hanzeatyckich, ministrem pełnomocnym w Toskanii i wreszcie ministrem spraw zagranicznych pierwszego konsula, który używał go kolejno w Szwajcaryi, w Medyolanie, w Westfalii, w Mołdawii, i hrabią

241

zrobił. Pod Restauracją, Reinhard posłował przy Bundestagu w Frankfurcie nad Menem, za Ludwika Filipa w Dreźnie. Umarł parem Francji; do potomności przeszedł jako korespondent Goethego; do Instytutu należał jako geograf. Posiadał kilka języków, za młodu pisywał wiersze, miał gust do literatury; świątły był, pracowity, sumienny, skromny; dobry podobno mąż dla dwóch żon i dobry ojciec. Więcej sam Talleyrand o nim do powiedzenia nie znalazł, ale nie o Reinharda mu chodziło. Saiute-Beuve powiada, że Talleyrand, naśladować Voltaire a, urządził widowisko w rodzaju przedstawienia *Ireny*, aby uroczyście pożegnać się z publicznością i obmyć siebie z zarzutów podstępstwa i złej wiary.

W dniu oznaczonym, sala posiedzeń Instytutu była szczelnie zapełniona. Na schodach, Talleyrand, niesiony przez dwóch lokai, spotkał się z ks. Bassano, podobno po pierwszy raz od r. 1814, i podali sobie ręce. Gdy woźny zaanonsował: *Le prince!* wszyscy powstali. Talleyrand ukazał się wsparty na kuli i na ramieniu Migneta, i zaraz rzecz swą rozpoczął.

Na wstępie przypomniał, że wybrany członkiem Instytutu podczas pobytu w Ameryce, przed czterdziestu laty, nie przestał należeć do Akademii nauk moralnych i politycznych od początku jej istnienia — co było lekkim anachronizmem, gdyż ta Akademia przez długie lata wcale nie istniała; taksamo Ludwik XVIII przy wstąpieniu na tron, datował swoje manifesta z dziewiętnastego roku panowania, pomimo Konwencji, Dyrektoryatu, Konsulatu i Cesarstwa. Dalej opowiadał, jak po powrocie z Ameryki przyszedł podziękować za wybór, jak został wybrany sekretarzem i przez całe pół roku ciężko pracował nad redakcją sprawozdań, szczególnie nad sprawozdaniem z bardzo uczonej rozprawy: *Dissertation sur les lois ripuaires*, z której nic a nic nie rozumiał; nie omieszkął także pochwalić się, że i jego własne prace dostąpiły zaszczytu być drukowanymi w pamiętnikach Instytutu. Tutaj popełnił znowu mały i zapewne rozmysłny anachronizm, mówiąc, iż przez lat czterdzieści trybuna akademicka była mu wzbroniona, przez dalekie podróże, obowiązek dyskrecyi

242

urzędowej, kalectwo, wiek... Wszyscy wiedzieli, że trybuna nie było.

Wytlómaczywszy słuchaczom, co go skłoniło do ukazania się po raz ostatni na trybunie — mianowicie potrzeba wewnętrzna i obowiązek uczczenia pamięci ulubionego kolegi — mówca skreślił w głównych zarysach żywot Reinharda, przeplatając powszechnie wiadome szczegóły dodatkami, w których zamykało się to, co właściwie powiedzieć zamierzał.

Na czele szło pokrewieństwo między dyplomacją i teologią, która uczy rozumować z siłą i giętkością. Tej prawdy świadkami są znakomici negocjatorowie różnych czasów. Kardynał kanclerz Duprat, równie biegły w prawie kanonicznym i w prawie cywilnym, zawarł z Leonem X konkordat. Kardynał d'Ossat pogodził Henryka IV z Rzymem. Kardynał Polignac ocalił dla Francji w Utrechcie zdobycze Ludwika XIV. Biskup z Autun... Nie, czego ten dokazał, Talleyrand przez skromność nie powiedział, ale każdy sam się domyślił. Listę zamykał Lionne, którego ojciec został na stare lata biskupem, a że w domu musiały znajdować się dzieła teologiczne, syn wzrastał wśród dobrej atmosfery.

W dalszym ciągu przyszedł wizerunek doskonałego szefa wydziału w ministerstwie spraw zagranicznych, doskonałego konsula i doskonałego ministra.

Szefa wydziału i konsula możemy opuścić, i przejść do ministra. Ministeryalna karyera chwalonego nieboszczyka była bardzo krótka, nic nie znacząca i czysto przypadkowa, gdyż Bonaparte, nie mogąc zaraz powierzyć spraw zagranicznych Talleyrandowi, zbyt świeżo skompromitowanemu amerykańską awanturą, wziął Reinharda na pierwszy ogień i prędko odprawił¹. Lecz pretekst był dobry, żeby wymalować ideał ministra i wmówić w ludzi, że ten ideał nie przestał być przytomnym w umyśle następcy Reinharda.

¹ Talleyrand sam zarekomendował pierwszemu konsulowi Reinharda, wiedząc, że porównanie później nie wypadnie na jego szkodę.

243

Minister powinien łączyć w sobie dobór najrzadszych przymiotów i posiadać prócz tego instynkt wrodzony, kierujący każdym jego krokiem i każdym słowem, *et qui l'empêche de jamais se compromettre*; umieć okazać otwartość i pozostać nieprzeniknionym, czyli dosłownie: *Il lui faut la faculté de se montrer ouvert en restant impenetrable, d'être réservé avec les formes de l'abandon*; być przezroczym nawet w wyborze rozrywek; w rozmowie być żywym, zawsze naturalnym, czasem naiwnym; ani na chwilę nie zapominać o obowiązkach urzędu. Wszystkie jednak tak rzadkie przymioty potrzebują oparcia i rękojmi w dobrej wierze. Dyplomacya nie jest bynajmniej, jak niesie upowszechniony przesąd, umiejętnością używania podstępów i dwulicowości: *une science de ruse et de duplicité*. Jeżeli gdzie dobra wiara jest niezbędną, to w tranzakcjach politycznych, ona bowiem daje tym tranzakcyom moc i trwałość. Brano nieraz za jedno ostrożność i podstęp, *la réserve et la ruse*; dobra wiara wyklucza podstęp, lecz nie wyklucza ostrożności, mającej to jeszcze do siebie, iż wzmagą zaufanie. Minister spraw zagranicznych, umiejący nim być, przejęty poczuciem honoru i interesu monarchy, miłośnik swobody, oparty na porządku i poszanowaniu prawa i słuszości, zajmuje najpiękniejsze z stanowisk, nęcących ku sobie podniosłe umysły.

Grzmot okłasków okrył te słowa. Filozof Cousin zacierał ręce: *C'est du Voltaire! c'est du meilleur Voltaire!*... Nie mniejszy poklask spotkał frazes, sławiący zbawienne i słodkie skutki głębokiego poczucia obowiązku, które życie ułatwia i tłumi podszepty ambicji... Opuszczając salę, Talleyrand kroczył wśród potrójnego szeregu czół i łysin, głęboko pochylonych.

244

XL.

Wielki świat ówczesny oddawna trapiło pytanie, czy książę Talleyrand przed śmiercią pogodzi się z Kościołem katolickim, a temsamem wyprze się solidarności z błędzeniami Rewolucyi, oraz wielu własnych uczynków.

Latem r. 1825, Metternich, bawiąc w Paryżu przy umierającej żonie, i widząc po raz ostatni Talleyranda, rzekł doń na pożegnanie: *N'oubliez jamais qu'il vous reste un grand exemple à donner au monde; il sera salutaire ou détestable, selon que vous saurez vous décider*. Talleyrand, wzięwszy go za rękę, miał odpowiedzieć uroczystym tonem: *Croyez, mon cher prince, que je sais ce que je dois à Dieu et au monde, et ayez l'âme en repos*¹.

Z tej rozmowy wnosić trzeba, że Talleyrand zawczasu był zdecydowany i pod tym względem skończyć przyzwocie, ale ostateczny obrachunek odkładał, jak gdyby pewny był, że śmierć nie zaskoczy go zniemacka. Ufał swojej silnej naturze; utrzymywał, że jego puls odpoczywa po każdym sześciu uderzeniach, i że tym sposobem organizm robi oszczędności, przedłużające życie. Od nawiedzeń nieproszonego gościa, bronił się wszelkimi środkami; jadał obficie, ale tylko raz na dzień; z obawy apopleksyi, sypiał nawpół siedząco i na głowę wdziewał podobno aż czternaście szlafmyc, żeby się nie potłuc, w razie spadnięcia z łóżka.

Rok za rokiem upływał, równienny ubywali jeden za drugim... W styczniu r. 1834, na cztery lata przed śmiercią, Talleyrand zrobił testament i rozporządził majątkiem na rzecz rodziny. W dwa lata później, 1 października 1836 r., dodał do testamentu

obszerną deklarację, mającą wytlómaczyć jego metamorfozy publiczne, i zaczynającą się od słów: Umieram w religii katolickiej, apostołskiej i rzymskiej. Łudził się może, iż taka deklaracja od biedy wystarczy, tem więcej, że

¹ *Mémoires de Metternich*. T. VI, p. 243.

245

dołączył do niej *breve* papieskie z zdjęciem klątwy, które nazywał swoją sekularyzacją.

Duchowieństwo odmawiało chrześcijańskiego pogrzebu otwartym ateuszom i wyrzutkom stanu kapłańskiego, zmarłym bez pokuty; wynikały ztąd nieporządki uliczne, gdyż lud, na złość księżom, brał w obronę rzekomo pokrzywdzonych nieboszczyków. Po każdym takim wypadku, przypominającym mu, co winien światu i swoim, chmurzyło się czoło starca. Kilkakrotnie miał powtarzać: *Je sens que je devrais me mettre mieux avec l'Eglise*; a swemu lekarzowi mówił: Jednej rzeczy się boję, nieprzyzwoitości wszelkiej, i dla siebie skandalu podobnego, jak przy śmierci księcia Liancourt.

Pani Dino nie spuszczała z oka starego grzesznika, widocznie medytującego nad ciężką przeprawą. Zapadłszy raz w Rochecotte, pod nieobecność stryja, na kamienie wątrąbiane, zażądała Sakramentów. Talleyrand przybiegł z Valençay, mocno wystraszony, a widząc, że niema niebezpieczeństwa, skrzywił się na niewczesny pośpiech. Chora poprzestała na uwadze, że to zostawi służbie zbawienne wrażenie.

Na parę miesięcy przed owem posiedzeniem w Akademii nauk moralnych i politycznych, Talleyrand polecił synowicy zaprosić na obiad X. Dupanloup, który dawniej uczył katechizmu Paulinę Dino, teraz już wydaną za margrabiego de Castellane. X. Dupanloup wymówił się od zaproszenia, pod pozorem, że nie jest światowym człowiekiem; na co Talleyrand sucho zauważył: *Cet homme ne sait pas son métier*. Wtedy zrozumiano, o co idzie.

Na mocy oświadczenia Talleyranda, iż pragnie zawrzeć pokój z Kościołem, X. Dupanloup odniósł się do arcybiskupa paryskiego, ten zaś do Rzymu, z kąd zażądano retraktacy na piśmie. Pierwiastkowy projekt retraktacy, przez Talleyranda przedstawiony, nie uzyskał potwierdzenia w Rzymie; stary książę targował się podobno dość długo, dopóki stolica Apostolska nie poprzestała na najskromniejszym zadośćuczynieniu.

246

Retraktacja brzmiała następująco:

„Po długiej rozwadze, sądząc z zimną krwią skutki Rewolucji, która wszystko za sobą pociągnęła i która trwa od lat pięćdziesięciu, naganiam wybryki mego czasu i potępiam otwarcie ciężkie błędy, jakie zasmuciły Kościół katolicki, apostołski, rzymski, i w jakich miałem nieszczęście brać udział.

Jeżeli X. arcybiskup paryski, który zapewnił mnie o łaskawem usposobieniu Głowy Kościoła ku mojej osobie, zechce, jak sobie tego życzę, przesłać Ojcu św. hołd mojej wdzięczności i zupełnego poddania się doktrynie i karności Kościoła, wyrokom i postanowieniom Stolicy Apostolskiej, tyjącym się spraw kościelnych we Francyi, śmiem żywić nadzieję, iż Jego Świątobliwość raczy przyjąć to z dobrocią.

Zwolniony przez świątobliwego Piusa VII od pełnienia obowiązków duchownych, szukałem, w ciągu mego długiego zawodu publicznego, sposobności oddania wszelkich możliwych usług religii i wielu znakomitym członkom duchowieństwa katolickiego. Nigdy nie przestałem uważać się za dziecię Kościoła. Raz jeszcze oplakuję uczynki mego życia, Kościół zasmucające, a ostatnie me życzenia będą dla Kościoła i jego Głowy.“

Do retraktacy dołączony był list do papieża Grzegorza XVI, tej treści.

„Przenajświętszy Ojcze! Pobożna dziecina ¹, otaczająca moją starość najczulszą opieką, oznajmiła mi, w jakich dobrotliwych wyrazach Wasza Świątobliwość raczyła wspomnieć o mnie, przy przesłaniu jej przedmiotów, ręką Waszej Świątobliwości poświęconych. Przejęły mnie one taksamo, jak wzmianka, dawniej przez X. arcybiskupa zakomunikowana. Zanim ulegnę trawiącej mnie chorobie, pragnę wyrazić Waszej Świątobliwości całą moją wdzięczność i zarazem moje uczucie. Śmiem spodziewać się, iż Wasza Świątobliwość

¹ Zapewne pani de Castellane, która wraz z matką pracowała nad szybkim załatwieniem sprawy z Rzymem.

247

raczy przyjąć je łaskami i sprawiedliwie osądzić okoliczności, jakie kierowały mojami uczynkami. Pamiętniki, od dawna ukończone, ale które, wedle mej woli, ukaza się dopiero w lat trzydzieści po mojej śmierci, wytlómaczą potomności moje postępowanie podczas zamieszek rewolucyjnych. Dziś, niechcąc trudzić Waszej Świątobliwości, poprzestanę na zwróceniu uwagi Ojca św. na powszechny obłęd owego czasu. Uszanowanie należne moim życiodawcom, nie wzbrania mi dodać, że przeznaczono mnie do stanu, do którego nie byłem stworzony. Co do reszty, zdaję się całkowicie na pobłażanie i sprawiedliwość Kościoła oraz jego Głowy.“

Obydwa dokumenta noszą podwójną datę, jako pisane 10 marca 1838 r., a podpisane 17 maja t. r. Talleyrand bowiem, ku wielkiemu zdumieniu w tajemniczonych w tę sprawę, formularze przez Rzym approbowane, schował bez podpisu do stolika.

Dwoma miesiącami później, około połowy maja, ciężko zaniemógł na wrzód karbunkułowy na łądźwiach. Gdy po bezskutecznej operacji, lekarze orzekli, że chory jest stracony, wiadomość o bliskiej śmierci, udzieloną sobie z woli rodziny, przyjął z największym spokojem, z taką samą odwagą, z jaką znosił wszystkie cierpienia; ale z podpisem jeszcze zwlekał.

Umierał niemal publicznie, jak dawni królowie francuscy. Przez trzy ostatnie dni, w bibliotece, przytykającej do sypialnego pokoju, cisnął się tłum przyjaciół, znajomych i ciekawych; ambasador austriacki złożył kanclerzowi osobny raport z opisem tej śmierci; raport obiegł następnie stolice Europy, począwszy od Rzymu. Każdy miał na ustach jedno i to samo pytanie: podpisze, czy nie podpisze?...

W przeddzień śmierci, kiedy katastrofa mogła lada chwila nastąpić, pani de Castellane, poprosiwszy X. Dupanloup o błogosławieństwo, weszła do pokoju dziadka i wymogła obietnicę, że następnego ranka odbędzie spowiedź i podpisze retraktację. Tak się też stało. Retraktacja i list do Papieża zostały głośno odczytane, w przytomności rodziny i wielu blizkich znajomych; chory położył na obu dokumentach

swoje nazwisko, a zaraz potem popadł w sen letargiczny, z którego zbudzono go nie bez trudu na przyjęcie Ludwika Filipa i pani Adelaidy. Król, mocno wzruszony, zaledwie zdołał wyjąkać parę słów, zastosowanych do okoliczności; pani Adelaida tonęła we łzach. Talleyrand, najzupełniej przytomny, zachował się, jak przystało na wielkiego szambelana, Najpierw, przemówił do króla silnym i doniosłym głosem: *Sire, vous êtes venu assister aux souffrances d'un mourant, et ceux, qui ont de l'affection pour lui, ne peuvent avoir qu'un désir, celui de les voir bientôt finir.* Gdy Ludwik Filip po chwili zabrał się do odwrotu, chory przedstawił królowi obecnych lekarzy, sekretarza, kamerdynera, i w te słowa podziękował za zaszczyt odwiedzin: *Sire, notre maison a reçu aujourd'hui un honneur digne d'être inscrit dans nos annales, honneur dont mes successeurs se souviendront avec orgueil et reconnaissance.*

Koło południa zaczęło się konanie. Nie mogąc leżeć, z powodu rany na łądźwiach, umierający siedział na brzegu łóżka, wsparty na ramionach dwóch służących. Śmierć wycisnęła już swoje piętno na czole, lecz twarz zachowała wyraz uderzającej energii. Od czasu do czasu, starzec, pozbawiony mowy, podnosił głowę, otrząsał włosy z czoła i wodził wzrokiem po pokoju; lekki uśmiech jawił się na ustach i głowa znowu opadała na piersi.

O czwartej popołudniu, 17 maja 1838 r., zasnął na wieki. Jak stado wron, powiada jeden z naocznych świadków, rozpierchło się towarzystwo, zapelniające komnaty. Każdy spieszył roznieść po mieście szczegóły rzadkiego widowiska, zaopatrzone komentarzami. Legitymiści mieli mówić: *Il est mort en bon gentilhomme.* Jakaś wielka dama dawnego autoramentu zakonkludowała: *Enfin il est mort en homme qui sait vivre.* Złe języki skomponowały dialog między Ludwikiem Filipem i Talleyrandem, który miał rzec do króla: *Sire, vous voyez un malheureux qui souffre comme un damné — król zaś odrzec: Comme un damné! Déjà?....* Montrond przedrwiwał cud, jaki się stał *entre deux saintes.* Inny dowcipniś zawyrokował: *A près avoir roué tout le*

monde, M. de Talleyrand a voulu finir par rouer le bon Dieu.

Po pogrzebie, odprawionym z wielką pompą naprzód w Paryżu w kościele Wniebowzięcia, następnie w Valençay, gdzie ciało złożono w grobach kaplicy, ufundowanej przez zmarłego, przysłała kolej na oficjalne pochwały. W Izbie parów przemówił Barante, w Akademii nauk moralnych i politycznych Mignet, który, równie jak Thiers, był w wielkich łaskach u Talleyranda, podobno dlatego, że obaj trudnili się dziejami Rewolucji. Pochwała Migneta, obok wielu szczegółów wówczas zapomnianych lub nieznanymi, zawierała dyskretną obronę pamięci zmarłego i szczególnie nacisk na to, że nigdy nikomu krzywdy nie wyrządził żadnej, tudzież, że zawsze był przeciwnikiem prześladowań i gwałtów. Obrona przebrzmiała, nie przekonawszy nikogo; na pamięci Talleyranda ciążyły zarzuty i uprzedzenia, nie tak łatwe do zwalczania. W *Historii Konsulatu i Cesarstwa* olbrzymia postać cezara przygniotła wszystkich, co służyli fenomenalnemu człowiekowi; co potem przyszło, nie należało jeszcze do dziejopisarstwa. Imię Talleyranda nie utonęło w zapomnieniu, lecz zajęło miejsce w ustnych podaniach, w pamfletach i rozmaitych surrogatach historii. Miano go zwyczajnie za gatunek potwornej istoty, zbiornik najbrzydszych wad i występków. Dwie utalentowane kobiety zostawiły jego portrety; pani Staël w *Delfinie* odmalowała go pod postacią pani de Aernon, która ma być salonowym Talleyrandem w czepku

i spódnicy; pani George Sand jako *Księżca* w *Listach podróżnego*, jeszcze mniej pochlebnie. W świetle *Pamiętników* i dokumentów historycznych, Talleyrand lepiej się przedstawia. Smutną stroną jego życia pozostanie nazawsze gorszące sponiewieranie godności kapłańskiej i biskupiej; jakkolwiek uniewinnia go do pewnego stopnia zaniedbanie przez rodziców i gwałt, jaki mu zadano, wtrącając do seminarium człowieka, prędzej na huzara stworzonego, niż na księdza; wreszcie zły przykład, tak niezmiernie w tamtych czasach rozkrzewiony. Że do Rewolucji ciałem i duszą przystąpił w jej początku, trudno mu za grzech poczytywać. Ta Rewolucya

w zaraniu, rokująca tyle najpiękniejszych obietnic, zbyt potężnie nęciła ku sobie młode umysły, którym wszystko wydaje się snadnym i prostym. Raz w wir porwany, Talleyrand błędził, tchórzył, potykał się i upadał. Czasy były straszne, zwłaszcza dla ludzi ambitnych, bez zasad, wyrobionych przekonań i doświadczenia; w porach bez porównania mniej krytycznych, umysły poniekąd wytrawne, gubią raptem swoje zasady, tracą głowę, popełniają najniedorzeczniejsze omyłki.

Talleyrand urodził się dyplomatą i negocjatorem, jak Mozart muzykiem, Patti śpiewaczką, pani Modrzejewska artystką dramatyczną. Wewnętrzne powołanie, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, uratowało go od najniebezpieczniejszej próby: pozostania we Francji w epoce terroru. Pierwsze kroki w Londynie stawiał nieśmiało; nic nie zrobił, bo nic zrobić nie mógł, ale się rozejrzał po świecie i nauczył alfabetu rzemiosła. Odtąd droga jego była wytknięta i jej trzymał się do końca.

Sprawiedliwość każe raz jeszcze przypomnieć, iż nie poszedł za przykładem tylu współczesnych, w podobnym znajdujących się położeniu, którzy poszli szukać przytułku w obcych obozach, służyli przeciwko własnej ojczyźnie, dobijali się z wielką łatwością stanowisk i zaszczytów. Dla człowieka bez dachu i majątku, miłującego mamonę i wygody, pokusa była niemałą; aby zaś znaleźć dobre przyjęcie, wystarczało zapukać do wrót i nazwać się. Talleyrand wrócił na swoją ziemię, gdzie nikt jutra pewien nie był, nie mając sam prawie żadnych widoków powodzenia. Na szali zaważyło niewątpliwie przywiązanie do bruku paryskiego, patriotyzm *sui generis*, podziwu zapewne nie wart, ale sympatyczny i dobre strony mający, bo w skutkach pożyteczny. My Polacy, najlepiej wiemy, co znaczy dla narodu tłumna emigracya, jakie zubożenie intelektualne społeczeństwa sprowadza. Żaden kraj nie cierpi nigdy na zbytek doborowych umysłów, które znowu, aby móz z pożytkiem prawdziwym służyć ojczyźnie, potrzebują rodzinnego gruntu pod nogami.

Służąc różnym panom, Talleyrand nie uległ zarazie, upowszechnionej między Francuzami, nie poszedł w służbę żadnej partyi, faksyi, lub koteryi. Niezawistość ułatwił mu znakomicie zupełny brak sformułowanych zasad moralnych i politycznych. Ludźmi jednak nie sama miłość zasad rządzi; na opinie polityczne wpływa ambicja, interes, najrozmaitsze, bardzo powszednie i poziome względy. U Talleyranda niezaprzeczenie grał wielką rolę egoizm, mocno rozwinięty i będący podstawnym rysem charakteru; dalej, indyferentyzm i sceptycyzm, wcześniej wt umyśle zakorzeniony; lecz te własności ujemne trzymał na wodzy rozum bystry, w parze z wrodzonym taktem i poczuciem miary.

W pewnym sensie, miał on prawo mówić o sobie: *J'ai toujours été l'homme de la France*. Powieść o służeńiu Francji, jako Francji, dorobił ku końcowi życia, ale ostatecznie tak było, chociaż bez wyrozumowanego, z góry powziętego zamiaru. Akkomodując się do czasu i okoliczności, nie przekształcił się na fanatycznego bonapartystę; po powrocie Burbonów, nie dał się porwać prądowi reakcji; Orleanów powstrzymywał od igrania z ogniem; każdemu z panów swoich udzielał rad zdrowych, trafnych, nacechowanych rozsądkiem i umiarkowaniem, zgodnych z dobrem Francji. Temu, bardziej niż giętkiej naturze i elastycznemu sumieniu, zawdzięczał możliwość służenia z pożytkiem swemu krajowi pod trzema dynastiami; zawdzięczał znaczenie i wzięcie, jakiego używał u swoich i obcych, nie tylko podczas urzędowania, lecz popadłszy w niełaskę u Napoleona i później u Ludwika XVIII.

Zarzut zdrady, ciśnięty nań przez bonapartystów, był czystą bajką i stroniczym wymysłem. Napoleon sam siebie zgubił, własnym nieumiarkowaniem, co mu Talleyrand od Hiszpanii przepowiadał. Przy całym swoim rozumie i sprycie, Talleyrand nie był dość silnym, żeby takiego olbrzyma powalić, albo od upadku uchronić. Z dawnych sług cesarza, najszczerzej łaskami obsypanych, nikt nie zagrzebał się pod gruzami wraz z twórcą gmachu. Talleyrand zręcznie od innych manewrował, i tego przebaczyć mu nie chciano. Myśląc

252

zaś o sobie, nie zapominał i o dalszych losach Francji. Jego zasługą było szybkie rozwikłanie kwestii dynastycznej, w jedyny wówczas możliwy sposób. Restaurację Burbonów przeprowadził niemal w ciągu jednej doby, ku wielkiemu zdziwieniu swoich partnerów, którzy nawet się nie opatrzyli, kiedy i jak im tron i koronę nieco po kuglarsku zeskamotował. Opłakana to rzecz zapewne, kiedy kunszt i kunsztiki rozstrzygają najważniejszą dla narodu sprawę, ale prawda każe wyznać, że innego środka nie było. Spieszyć się zaś należało, żeby ustalić jakikolwiek porządek, zawrzeć pokój i pozbyć się z kraju obcych wojsk. Zbieg okoliczności pozwolił Talleyrandowi otrzymać traktat szczytny dla Francji, przyczem jego osobistą zasługą było, że umiał z okoliczności korzystać i ująć sobie ludzi, z którymi miał do czynienia; że interesu Francji sumiennie dopilnował i o niczym nie zapominał.

Podczas dwukrotnej prezydencji gabinetu, okazało się, że nie posiadał talentów organizatorskich, ani też innych potrzebnych przymiotów. Zbyt naiwnie wierzył w zbawczą moc swojej teorii konstytucyjnej, którą próbował zaszcześcić na maszynie napoleońskiej. We Francji widział tylko filozofów, sobie podobnych; usposobienia mas nie znał i o nie się nie troszczył. Z natury leniwy, pogardzał szczegółami i codzienną pańszczyzną; chciał rządzić, gawędząc godzinami przy rannej tualecie, albo ze swojej sofy. Dodać wszakże należy, iż ówczesna Francja nie zdobyła się na człowieka z planem odbudowania społecznego, od czego zacząć wypadało. Rojaliści rozprawiali o przywróceniu dawnego porządku, rzeczy, przechodzącej możliwość ludzką; wszyscy inni poprzestawali na łataninie. Dobra strona rządów Talleyranda tkwiła w tolerancji dla cudzych przekonań; słusznie zalecał Burbonom

puścić przeszłość w niepamięć, strzedz się antagonizmu między sprawą monarchii i sprawą narodu, nie solidaryzować się z jedną, wyłączną koteryą.

Na kongresie wiedeńskim osiągnął zaraz wstępnie główny punkt: miejsce należne Francji w rządzie wielkich mocarstw i głos przy rekonstrukcji Europy. Swoją program

253

rekonstrukcji dopasował do istniejących warunków; innego nie byłby przeprowadził. Zarzucić mu można jedno, zbytek gorliwości w robieniu interesów cudzych, austriackich i angielskich, a pośrednio i pruskich, czego wcale czynić nie zamierzał, i co wypadło z naturalnego biegu rzeczy, jego ręką popychanych. Chcąc ukontentować swego króla i dogodzić własnym antypatyom, zraził ku sobie i Burbonom cesarza Aleksandra, który to z lichwą odpłacił przy drugim pokoju paryskim, podczas gdy Austria z Anglią nie poczuwały się bynajmniej do obowiązku wdzięczności.

W późniejszych kongresach Talleyrand nie brał udziału, i pozbawił świat ciekawego widowiska. On jeden mógł być godnym partnerem Metternicha; byłby był niezawodnie starał się miarkować prąd reakcji europejskiej i sporo dolać wody do sztucznego wina, jakim się mocarze świata upajali.

Do upadku Burbonów jeśli się przyczynił, to bardzo zdaleka, niewyświeconymi dotąd konszachtami z domem Orleanów, oraz z partią konstytucjonalistów, zmierzających ku zmianie dynastji. Spiżowa wierność nie leżała ani w charakterze, ani w zwyczajach Talleyranda; widział on tyle przewrotów, że jeden więcej, jeden mniej, nie ważył w jego oczach. Poszedł w służbę monarchii lipcowej, z pewnością wiedziony względami, w rządzie których płomienny patriotyzm siedział na szarym końcu; lecz przyłożył się dzielnie do skonsolidowania nowego porządku i pokoju świata, a owoce zebrała Francja.